



JULIE PARSONS

Piętno grzechu

Smutek, kara za grzech, serce pełne poczucia winy od wewnątrz.

J.S. Bach, *Pasja według św. Mateusza*

Dzieci zawsze są tam, w środku. Setki tysięcy dzieci. Jest ich tyle, co gwiazd, które składają się na Mleczną Drogę, i są równie piękne jak one. Ich buzie wyglądają z jasnych komputerowych ekranów. Otwierają usta i odsłaniają lśniące białe zęby. Mają włosy ciemne jak nocne niebo i włosy jasne i złociste jak wiosenne kwiaty. Są pulchne, krągłe, dobrze odżywione, wypieszczone i zadbane, z dołeczkami w policzkach i łokciach, przypominającymi odcisk palca. Są także wychudzone i kościste, zaniedbane, prawie zagłodzone, z wystającymi łopatkami, podobnymi do anielskich skrzydełek, które sterczą z ich chudziutkich pleców. Stoją albo siedzą. Przykucają i kładą się. Nie stawiają oporu. Nie okazują, że coś je boli. Czekają w milczeniu, w ciemności, na chwilę, kiedy ktoś dotknie klawisza, muśnie myszkę, kiedy przyjemny pomruk maszyny znowu je ożywi. Zawsze tam są, gotowe, oczekujące, chętne. Zawsze twoje.

TTLR

Rozdział pierwszy

Środek lata, najgorsza część roku dla mieszkańców Nowego Orleanu. Strużka potu zaczynała spływać między łopatkami Nicka za każdym razem, kiedy oddalał się od wentylatora, a na niebie czarne chmury tworzyły groźne wieże, które wznosiły się nad miastem codziennie po południu, aby wieczorem zlać ziemię wielkimi, ciężkimi kroplami deszczu.

Powinien był wyjechać zaraz po Tłustym Czwartku, tutaj zwanym Mardi Gras, może wrócić do Kalifornii, do kobiety, która prowadziła sklep z koralikami w San Francisco. Powiedziała mu, że przy jej stole zawsze będzie dla niego miejsce, a także praca - projektowanie oraz ilustrowanie broszur, które rozsyłała do klientów. Zamierzała założyć własną stronę internetową i zaproponowała, żeby nad nią popracował, ale on zaczął czuć się nieswojo w jej towarzystwie, bo za bardzo zbliżyła się do niego. Właśnie dlatego zostawił ją i jej ciemnooką córkę i wyruszył na południe, do miasta położonego na podobnym do półksiężyca zakolu rzeki Missisipi.

Powinien był wyjechać zaraz po Mardi Gras, ale nie wyjechał. Miał tu dobrą pracę, uczył rysunku na Wydziale Sztuk Pięknych uniwersytetu Tulane. Miał także pokój w zaniedbanym drewnianym domu na Esplanade, bardzo blisko Francuskiej Dzielnicy, pokój z ogłoszenia, które znalazł na tablicy w szkole. Czasami wydawało mu się, że mógłby zamieszkać tu na dobre. Było to jedyne ze znanych mu amerykańskich miast, po którym poruszał się łatwo i wygodnie. Spacerował prostymi ulicami Francuskiej Dzielnicy, zaglądał przez rzeźbioną koronkę furtek i ogrodzeń, ciekawy pełnych chłodnej zieleni podwórek. Chodził wzdłuż brzegu rzeki, przyglądając się olbrzymim słupom mostów, wznoszącym się nad czerwonymi dachami domów. Przechadzał się biegnącymi między drzewami alejami w Dzielnicy Ogrodów, patrząc na wielkie, bogato zdobione fasady domów, równocześnie zachęcające i trochę przerażające. Czasami wsiadał do tramwaju jadącego Aleją św. Karola i obserwował grupy turystów z uniesionymi kamerami, zachwycających się potężnymi, wiecznie zielonymi dębami po obu stronach torów, obrośniętymi kępami szarozielonego hiszpańskiego mchu, wysiadał przy Parku Audubon i szedł dalej wzdłuż eleganckich budynków w stylu klasycystycznym, otoczonych zielonymi trawnikami i ogrodami.

Doskonałe przykłady stylu wzorującego się na architekturze starożytnej Grecji i Rzymu, myślał, zaczynając tamtego pierwszego dnia zajęcia ze studentami pierwszego roku w studiu o wysokim suficie. Proste, spokojne, eleganckie linie. Na podwyższeniu za jego plecami modelka zrzuciła szlafrok z ramion. Dzieciaki wstrzymały oddech na jej widok, nie dlatego, że była piękna, bo nie była, ale że naga. Nick odwrócił się i spojrział na nią. Prawdziwa kobieta. Białe piersi o dużych brązowych sutkach, zwisające w kierunku brzucha i ciężko opierające się na żebrach. Ciemne włosy pod pachami. Krągły, miękki brzuch o skórze poznaczonej tu i ówdzie rozstępami, lśniącymi łagodnie jak ślady, które pozostawiają po sobie ślimaki. Delikatnie nakreślona mapa żyłaków pod kolanami. Stopy ze zrogowaciałą skórą na piętach i powykrzywianymi, brzydkimi palcami. Pomyślał wtedy, że trudno o lepszą modelkę - pokaże tym dzieciakom, że kobiece ciało nie zawsze naznaczone jest piętnem doskonałości, nie zawsze idealnie piękne i gotowe poddać się pełnym podziwu spojrzeniom.

- Zmiana pozycji! - wołał co dwie minuty.

„Zmiana”, „zmiana” i znowu „zmiana”. Zupełnie jak strzelający z bata treser na cyrkowej arenie albo nauczyciel baletu w rosyjskiej szkole tańca klasycznego. Kobieta posłusznie spełniała jego polecenia, zwracając tors raz w jedną, raz w drugą stronę, podnosząc ramiona i opuszczając je, opierając się na prawej, potem na lewej nodze, unosząc podbródek, odrzucając do tyłu głowę, przykucając, przyklękając, a w końcu zwijając się w kłębek na podłodze, z kolanami podciągniętymi do piersi, dopóki Nick nie zarządził przerwy. Powiedział jej, żeby odpoczęła, a sam zaczął chodzić po sali, przyglądając się pracom studentów, korygując błędy i podsuwając sposoby ulepszenia rysunku.

Te zajęcia sprawiały mu sporą frajdę. Każdy dzień pierwszego semestru zmieniał doznania i doświadczenia ich wszystkich. Nick obserwował, jak jego studenci kreślą coraz śmielsze linie ołówkiem i węglem na dużych arkuszach papieru, szybko porzucając początkową nieśmiałą ostrożność. Niektórzy z nich naprawdę umieli rysować. Nick był zafascynowany postępami, jakie robili, tym, że wydawali się zaglądać pod powierzchnię niezbyt już jędrnej skóry modelki, starając się oddać na papierze jej osobowość i cechy charakteru, niepowtarzalne i jedyne w swoim rodzaju. Ich prace przypominały mu jego własne szkice, przedstawiające Susan, jego żonę, a raczej chyba była żoną, z okresu, kiedy oboje jeszcze studiowali. Słoneczny dzień na kampusie Stephen's Green, sesja. Ona, ze stosem medycznych podręczników, pokazuje mu rysunki mięśni, ścięgien i kości, jej palce chwytają kartki tak mocno, jakby chciała wbić je pod powierzchnię papieru i zacisnąć na czymś, co znajduje się wewnątrz. On, z ołówkiem w ręku, co chwilę rzuca na nią szybkie spojrzenie i przenosi wizerunek na papier. Pośpiesznie szkicuje ciężką falę jasnych włosów, gładką, prawie białą skórę twarzy, szyi i ramion, krągłości ciała, ukryte pod długą sukienką w niebieskie i białe stokrotki. Jej stopy, białe, zginające się i rozprostowujące, żyjące własnym życiem, podczas gdy ona mówi coś do niego.

Jej stopy, takie jak stopy Owena. Nick ujął je w dłonie tego pierwszego ranka, kiedy jego syn przyszedł na świat. Przycisnął wysklepioną podeszwę do ust, potem zaś wsunął palec wskazujący między palce małej stopy i chwilę przyglądał się, jak zaciskają się mocno, sprawnie, zupełnie jak palce malutkiej, podobnej do rozgwiazdy dłoni, która uchwyciła jego kciuk. Później chodził po szpitalnym pokoju, podczas gdy Susan spała, a jej rozluźnione, puste ciało oddychało spokojnie, wtulone w białe poduszki. Spacerował z dzieckiem na rękach, szepcząc do niego, składając mu obietnice i przyrzekając wieczną miłość oraz lojalność.

W jakimś tekturowym pudle, prawdopodobnie nadal w piwnicy ich domu, tam, gdzie je zostawił, znajdowała się cała seria szkiców stóp Owena, no, chyba że Susan spełniła swoją groźbę... Powiedziała przecież, że zniszczy wszystko, co mogłoby przypominać Nicka i to, jak zdradził ją i ich dziecko.

Teraz, pod koniec lata, gdy studenci wciąż jeszcze cieszyli się wakacjami, prowadził zajęcia z techniki rysunku dla początkującej grupy dorosłych, głównie pań w średnim wieku, które zapisały się na poranny, sześciotygodniowy kurs. Przed chwilą spakowały swoje drogie farby, oczyściły pędzle, zdjęły fartuchy w kwiaty i poszły na lunch. W holu było jeszcze słyhać, jak rozmawiają, z tym swoim południowym akcentem, rozciągając sylaby. W studiu został po nich leciuteńki zapach perfum i papierosowego dymu. Nick stanął przy sztalugach, starając się nie słyszeć, jak klimatyzator grzechocze okienną framugą, i zaczął rysować od nowa, tym razem z pamięci. Stopy, długie, chude nogi, smukły tors, głowę ze szczoteczką gęstych, krótkich włosów. Ale co się stało z twarzą? Dlaczego nie ma oczu, ust, nosa, podbródka, policzków i czoła? Nie ma czym zapełnić pustej przestrzeni, nie ma jak od nowa uformować dziecka, sprowadzić go z tego miejsca, gdziekolwiek i

czymkolwiek ono jest, do którego odeszło. Dłoń Nicka zacisnęła się na kawałku węgla, zawahała i wreszcie spoczęła na papierze.

Mocno nacisnął niezbyt gruby sztyft, który pękł na dwie części, zostawiając nieregularną, czarną, intensywną plamę na białej powierzchni. Nick patrzył na nią chwilę, potem wyciągnął rękę i roztarł plamę palcem, lecz mroczne centrum pozostało, podobne do dziury, ciemnego wgłębienia otoczonego jaśniejszą aureolą rozdartej skóry, tkanek, kości.

Postanowił, że wieczorem się upije. Już teraz, drąc papier na cztery części, czuł smak piwa na języku i podniebieniu. W Nowym Orleanie produkowano piwo „Jax”, gorzkawe i mocne, takie jakie lubił. Zdecydował, że pojedzie autobusem z Freret Street na Canal, a potem pochodzi po Francuskiej Dzielnicy, przyglądając się turystom i wstępując do każdego napotkanego baru. Pójdzie na Bourbon Street i będzie udawał, że jest tam pierwszy raz w życiu. Pogapi się na półnagie dziewczyny w oknach striptizerskich klubów, kupi bukiet goździków od kwiaciarki na rogu Iberville Street i podaruje je pierwszej ładnej turystce, jaką zobaczy. Może wstąpi do baru Pata O'Briena i zamówi koktajl „Huragan” w wysokiej szklance, i przez cały wieczór będzie go nosił w ochronnym tekturowym pudełku. A może znajdzie sobie kobietę, taką, której będzie wszystko jedno, czy zapłaci jej gotówką, czy tylko postawi drinka. I zakończy dzień nieprzytomny, w jej łóżku, a rano obudzi się z tak kosmicznym kacem, że przez kilka dni będzie w stanie myśleć wyłącznie o tym, jak się go pozbyć.

Było koło czwartej po południu, kiedy wydobył się z zatłoczonego autobusu i natychmiast wtopił w tłum. Upał. Przystanął na chwilę, żeby kupić butelkę korzennego piwa od ulicznego sprzedawcy, odchylił głowę do tyłu, z rozkoszą przełykając zimny płyn, a potem wierzchem dłoni otarł brodę i usta. Dookoła niego słońce lśniło w oknach sklepowych witryn, budziło blaski wśród dachówek domów i masek powoli czołgających się samochodów. Ukrył się przed tym natrętnym, rażącym oczy światłem w cieniu nisko zawieszonych markizy i stał tam parę minut, ciesząc się chłodnym cieniem. Nagle błysnęło, sekundę później po niebie przetoczył się grzmot, ulicę ogarnęło pasmo mroku i deszcz lunął tak obficie, jak z nieostrożnie przechylonego wiadra. Zagrzmiało znowu. Niski, wibrujący dźwięk zagłuszył warkot samochodowych silników, ciężkie basy tańecznej muzyki, kroki i rozmowy ludzi. Po obu stronach ulicy popłynęły najpierw strużki, potem strumyki i wreszcie strumienie wody, szybko zalały chodnik i ruszyły w kierunku sklepu, pod którego markizą znalazł schronienie. Woda zawirowała wokół jego stóp, niosąc pianę i rozmaite śmieci - kawałki papieru, niedopałki papierosów, puste puszki po coli, nawet niedojedzonego hamburgera w firmowym pudełku. Nick cofnął się, a kiedy woda krótkotrwałej powodzi zaczęła opadać, ostrożnie wyszedł spod markizy i skręcił w Bourbon Street.

Rozdział drugi

Był to jeden z tych przypadków, które trudno zapomnieć. Lata mijają, a ludzie wciąż pamiętają o zaginionym chłopcu i zrozpaczonych rodzicach. Pamiętają apele w telewizji, doniesienia o poszukiwaniach, najbardziej intensywnych i dokładnych, jakie policja kiedykolwiek przeprowadziła w sprawach niezwiązanych z terroryzmem. Domniemane rewelacje, chwile nadziei. Ktoś widział go w Donegal, ktoś w Wexford, ktoś w Belfaście, jeszcze ktoś inny w Cork. Ktoś widział, jak siedział na ławce na Grafton Street i jadł hamburgera z McDonalda w towarzystwie mężczyzny i kobiety w średnim wieku. Widziano go tu, tam, wszędzie, ale nigdzie i nigdy naprawdę. Zaginął bez śladu.

Ludzie wciąż pamiętają, jak się nazywał, chociaż minęło już dziesięć lat. Owen Cassidy, lat osiem. Gęste, jasne, krótko przystrzyżone włosy. Jasnoniebieskie oczy. Szczupła budowa ciała. Ubrany w niebieską nieprzemakalną kurtkę z czarnymi ściągaczami, robiony na drutach sweter z czerwonej włóczki i adidas. Jako ostatni widział go jego najlepszy przyjaciel, Luke Reynolds.

Owen przechodził wtedy przez trawnik przed Victoria Square w Dun Laoghaire, między drugą a trzecią po południu, w dzień Halloween tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

Co Owen robił tego dnia? To, co wszystkie dzieci w jego wieku robią w Halloween - przygotowywał się na wieczorne ognisko. Zbierał drewno, wymieniał się z innymi kolorowymi naklejkami, poprawiał kostium. I marzył, ile cukierków i innych smakołyków oraz pieniędzy zgromadzi w czasie wędrówki od domu do domu przy najbliższych ulicach i skwerach.

A dlaczego był sam? Dlaczego nikt go nie pilnował? Dlaczego dopiero o szóstej trzydzięci wieczorem okazało się, że nie ma go w domu i nie wiadomo, gdzie się podział? Cóż, odpowiedź na te wszystkie pytania była naprawdę interesująca... Dobrze im tak, mówili ludzie, z powagą kiwając głowami nad szklankami z piwem. No cóż, skoro się nie wie, co dzieje się z dzieciakiem... To wina rodziców. A sprawiali wrażenie takiej doskonałej, cudownej pary... Słyszeliście, że on zabawiał się z jedną z sąsiadek? Coś takiego! Tak, był u niej, podczas gdy jego żona pracowała, a dzieciak wyszedł z domu i nie wrócił... Co za drań... Taki lekkoduch, kto by pomyślał...

Sprawiali wrażenie takiej doskonałej, cudownej pary. Oboje wykształceni. Ona, Susan, lekarka, onkolog, pracowała w najlepszym szpitalu dziecięcym w kraju. On, Nicholas, Nick dla przyjaciół, pisarz i ilustrator książek dla dzieci. W gazetach pisali, że zdobył jakieś nagrody, odniósł sukces. I na dodatek oboje bardzo atrakcyjni. Ona z jasnymi włosami zgarniętymi w gładki kok na karku, z gładką, wolną od zmarszczek skórą i niebieskimi, jak u syna, oczami. On z ciemnymi włosami do ramion, modnie rozchełstany, „o wyglądzie rockowego piosenkarza”, jak pisali dziennikarze brukowców, pociągłej twarzy, długich nogach i ramionach, które odziedziczył po nim Owen, w dżinsach i skórzanej kurtce, zupełnie jak dwudziestokilkulatek.

No i jeszcze ta opiekunka... Gdzie była tamtego popołudnia? Dziewczyna nie miała łatwego życia. Nazywała się Marianne O'Neill. Dziewiętnaście lat, prawie dwadzieścia, delikatna i ładna. Przez ostatnie dwa lata mieszkała z rodziną Cassidych, ale znała ich od dawna. Wcześniej była pacjentką Susan Cassidy. Jako dwunastolatka zachorowała na białaczkę, została poddana kuracji i wyleczona. Jej rodzice nie stracili kontaktu z le-

karką i kiedy Marianne postanowiła wyjechać z Galway do Dublina, zamieszkała u Cassidych jako opiekunka do dziecka. Ten układ doskonale wszystkim odpowiadał. O'Neillowie byli szczęśliwi, bo ich córka miała prawdziwy, bezpieczny dom w wielkim mieście, a Susan i Nick nie kryli zachwytu, że znaleźli odpowiedzialną osobę, która zajmie się ich synem i umożliwi im prowadzenie normalnego życia. Ona pracowała przecież w szpitalu sześćdziesiąt cztery godziny tygodniowo, a on poświęcał dużo czasu swoim książkom, rysunkom i skokom w bok, rzecz jasna. Doskonały układ...

Więc jak to się stało, że dziewczyna, zamiast zajmować się dzieckiem, za co koniec końców brała pieniądze, spędziła to popołudnie ze swoim chłopakiem, Chrisem Gouldingiem, który mieszkał w domu obok, a także jego siostrą Róisín oraz jej chłopakiem, Eddiem? Wszyscy siedzieli w piwnicy domu Gouldingów, palili trawę, pili i strach myśleć, co jeszcze robili, a w tym czasie Owen oraz jego przyjaciel poszli gdzieś z pieniędzmi w kieszeni. „Kupcie sobie trochę słodyczy, poszukajcie gałęzi na ognisko i nie wracajcie szybko, słyszysz mnie, Owen?”. Marianne przerwała jego narzekania i błagania, żeby nie wyłączać go z towarzystwa „dorosłych”, niedbałym machnięciem dłoni. „Idźże już, Owen, przecież powiedziałam, żebyś się tutaj nie kręcił!”.

Tak to właśnie było tamtego popołudnia, w Halloween, trzydziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, kiedy cała ta idealna, piękna, starannie skonstruowana fasada runęła im na głowy. I nic już nigdy nie było tak jak dawniej, dla żadnego z nich. Nigdy.

Owen Cassidy, imię, nazwisko i twarz. Co się z nim stalo, na miłość boską? Nie mógł tak po prostu zniknąć bez śladu, prawda? Ale zniknął, zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Zniknął.

Rozdział trzeci

Zawsze miał przy sobie ten pęk kluczy. Kiedy wychodził, przypinał go sobie do pasa, gdy wracał, kładł na stoliku przy łóżku. Zaraz po przebudzeniu wyciągał dłoń i sprawdzał, czy klucze leżą na miejscu. Wieczorem, już w łóżku, dotykał ich, zanim wygodnie ułożył się do snu. Klucz od drzwi frontowych domu, w którym mieszkał z żoną i synem. Klucz do piwnicy, w której urządził sobie studio. Ciężki żelazny klucz od furtki w murze ogrodu. Klucze od drzwi do garażu i kluczyki do dwóch samochodów - jego i żony. Często brał je do ręki i kołysał metalowym kółkiem, a potem kładł na stole przed sobą i po kolei wyliczał ich przeznaczenie. Wciąż od nowa przypominał sobie, co zostawił.

Aż w końcu każda z kobiet, które poznawał i czasami obdarzał miłością w czasie tych długich lat poza domem, zaczynała zadawać mu pytania.

- Dlaczego? Co? Gdzie? Powiedz mi, Nick...

Czasami odpowiadał, czasami nie. Wszystko zależało od tego, jakie były, czym pachniały, jak posługiwały się rękami i oczami, jaki miały uśmiech. Te, którym opowiadał, co go spotkało, otaczały go ramionami, przytulały do piersi, głaskały po włosach, odgarniając je z jego czoła, całowały czule. Staraly się poprawić mu samopoczucie, złagodzić wyrzuty sumienia.

Wcześniej czy później zawsze odpychał je od siebie, gniewnie krzycząc, że i tak nie odbiorą mu tej świadomości, tej pewności, tego przerażającego poczucia winy i odpowiedzialności. Że nie uda im się pocieszyć go słowami i gestami. A przede wszystkim, że nigdy, nigdy nie zdołają sprawić, aby odzyskał syna.

I wtedy zaczynały rozumieć, że powiedział za dużo, że obnażył się przed nimi, pokazał im swoją całkowitą bezradność. I że oznacza to koniec ich związku.

Wtedy przenosił się dalej. Do nowego miasta, nowej pracy, nowego pokoju, w którym zawsze był stolik przy łóżku, stolik na klucze... Do nowej kobiety, która mu współczuła, litowała się nad nim, zaprzyjaźniała się, a wszystko po to, żeby w końcu się w nim zakochać. Do nowego zestawu pytań. Opowiedz mi o tych kluczach... Od czego jest ten? A ten... Powiedz mi, powiedz, powiedz...

Hmmm... Kilka lat temu byłem żonaty i miałem piękny dom przy miłej uliczce, w niewielkim mieście. Miałem syna. Nazywał się Owen. Był drobny, szczupły. Miał gęste jasne włosy i błyszczące niebieskie oczy, przerwę między przednimi jedynekami i małą bliznę na brodzie, bo kiedyś spadł z roweru i głęboko rozciął skórę o krawędź chodnika. Któregoś dnia zostawiłem go i poszedłem z kimś się spotkać. Z kobietą, ale nie z moją żoną. Myślałem, że nic mu się nie stanie. Był z przyjaciółmi i ze swoją opiekunką. Tak czy inaczej, nic mnie wtedy nie obchodziło, zależało mi tylko na tym, żeby wreszcie znaleźć się sam na sam z tamtą kobietą. Nawet się z nim nie pożegnałem. Nie pamiętam, co krzyknąłem, wychodząc z domu, ale okazało się, że były to moje ostatnie słowa, ostatnie, jakie do niego wypowiedziałem. Nigdy więcej go nie zobaczyłem. Nikt go nigdy więcej nie zobaczył. Zniknął. Coś się stało, nie wiem, co, lecz wiem, że spotkało go coś złego. Teraz mam tylko klucze do mojego domu. Do naszego domu. Domu, w którym mieszkaliśmy, Owen, jego matka i ja. Nie mogłem tam dłużej wytrzymać, więc wyjechałem. Nie zabrałem ze sobą nic poza tymi kluczami.

Zamknij drzwi, tato, nie zapomnij.

Zamknij drzwi, tato, nie wpuszczaj złych ludzi.

Zamknij drzwi, tato. Nic nam się nie stanie, prawda?

Nigdzie nie ruszał się bez swoich kluczy. Tamtego dnia, kiedy zaginął Owen, leżały tam, gdzie je rzucił, obok garści drobniaków i zegarka, na toaletce w sypialni Giny Harkin. O której godzinie zamierzał zostawić ją i wrócić do domu? Między czwartą i piątą po południu, ale zasnął z głową wtuloną głęboko w poduszkę, a kiedy się obudził, okazało się, że zupełnie stracił poczucie czasu. Nie miał pojęcia, czy jest środek nocy, czy wczesny ranek. Miał ochotę nadal leżeć w łóżku i oddychać jej ciepłem, lecz ona przyniosła mu filiżankę herbaty i powiedziała, że na niego już czas. Podała mu klucze i zegarek, przesyłała monety ze swojej drobnej dłoni na jego dłoń, dużą i szeroką. Pomachała mu zza brudnej szyby w oknie na piętrze. Patrzyła, jak przerzuca nanizane na metalowe kółko klucze, szukając tego od drzwi wejściowych swojego domu. I zobaczyła, jeszcze zanim on zdążył podnieść głowę, jak drzwi otwierają się i w progu staje Susan, która wcześniej wróciła z pracy. Wcześniej, niż się spodziewali. Gina zobaczyła, jak Nick przechodzi przez próg i wyciąga do tyłu jedną rękę, z kluczami zwisającymi między palcami i znacząco uniesionym kciukiem. Potem drzwi zamknęły się za nim, a Gina parsknęła śmiechem, rozbawiona jego śmiałością, jego fascynującą brawurą. I nie myślała o tym więcej, aż do chwili, kiedy następnego dnia rano dwóch policjantów zapukało do jej drzwi, aby zadać kilka pytań.

Co widziała, co wiedziała, co mogłaby im powiedzieć...

Na jaki temat?

Na temat Owena Cassidy, ośmioletniego chłopca, który zaginął wczesnym popołudniem poprzedniego dnia.

Kilka dni później rozmawiali już z nią zupełnie inaczej. Przesłuchiwali ją. Proszę nam opowiedzieć o ojcu Owena Cassidy, Nicku. Może spróbuje pani jeszcze raz. Mogę mówić pani po imieniu? Dobrze... Opowiedz nam wszystko dokładnie, ze szczegółami, Gino. O której tu przyszedł? O której wyszedł? I co robił w czasie, kiedy był tutaj z tobą, Gino? Mam nadzieję, że mogę się tak do ciebie zwracać, że nie czujesz się urażona... Nie, prawda? Dobrze... Więc co właściwie tu robił? Jesteś malarką, tak jak on, prawda? Pracował tu czy szukał przyjemności? No, powiedz, jak to było, Gino...

A ona nie mogła odpowiedzieć, nie była w stanie niczego wyjaśnić, podobnie jak Nick. Nie była w stanie powiedzieć nic, co posłużyłoby jako wymówka, złagodzenie, obrona.

W ogóle nic nie mogła powiedzieć.

Rozdział czwarty

Jak bardzo był pijany, kiedy pierwszy raz zobaczył tę dziewczynę? Nie do nieprzytomności, to pewne. Nadal trzymał się na nogach, potrafił usiąść na stołku przy barze i zejść z niego. Mógł też jeszcze trafić o własnych siłach do toalety i ocenić, jak długim łukiem jego mocz tryśnie na poźółkłą emalię urynału, napotykając spojrzenie stojącego obok mężczyzny w brudnym lustrze, zajmującym połowę ściany pokrytej graffiti. Wciąż był w stanie zapiąć rozporek, umyć ręce, wrócić do baru i zamówić następne piwo.

- Dzban piwa dla moich przyjaciół, bardzo proszę! - zawołał, szerokim gestem obejmując skupionych po obu stronach jego stołka mężczyzn.

Był pijany, ale nie miał wielkich problemów ze skupieniem uwagi i mówieniem. Był pijany, bo czuł się jak po znieczuleniu, zadowolony, więcej, prawie szczęśliwy, zupełnie jakby świat znowu miał stać się dobrym, pięknym, przyjaznym miejscem, może tylko na parę chwil, ale co z tego.

I właśnie wtedy zobaczył tę dziewczynę. Była na prostokątnej scenie przed barową ladą. Przez cały wieczór tańczyły tam panienki, lecz Nick nie zwracał na nie uwagi. Piwo wydawało mu się o wiele bardziej interesujące, działało na niego mocniej niż widok nagich ciał na podwyższeniu, zresztą, te dziewczyny nie zasługiwały na szczególną uwagę, w najlepszym razie były przeciętnie ładne, niektóre niskie, niektóre wysokie, niektóre pulchne, inne chude. Jedne miały obwisłe piersi, inne napompowane silikonem kule, żyjące własnym życiem. Większość tańczyła ze wzrokiem utkwionym gdzieś wysoko nad głowami widzów, żując gumę w rytm muzyki i od czasu do czasu bez zapału dotykając swoich sutek lub krocza. Nick był pewny, że myślał o tym, co ugotować na kolację i czy opiekunka do dziecka się nie zbuntuje, jeśli trochę się spóźni.

Robiło się już późno. Klientela w barze wyraźnie się zmieniła. Zniknęli turyści z wypchanymi portfelaми i czekającymi w autokarze żonami, a ich miejsce zajęli inni mężczyźni. Ci nowi stali w małych grupkach, bez przerwy bawiąc się kluczami, papierosami, banknotami lub monetami, i pochodzili z innego świata. Podobnie jak tańcząca przed nimi dziewczyna. Nick cofnął się o krok, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Miała wspinałe ciało i doskonale się poruszała, jak zawodowa tancerka. Jego oczy przemknęły po jej długich nogach,

gładkim, leciutko zaokrąglonym brzuchu, po małych, kształtnych, jędrnych piersiach. Jej skóra była bardzo jasna, prawie biała. Wyglądała niewinnie, miała w sobie coś z dziecka zawieszzonego w próżni, między okresem dorastania i dojrzałością. Nick uniósł szklankę i pociągnął duży łyk piwa. Spojrzał na jej twarz, zasłoniętą maską przedstawiającą pyszczek jakiegoś zwierzęcia. Na czubku głowy sterczały malutkie uszy, otwory na oczy miały trójkątny kształt, a wysunięty, ostry pysk nosił wyraz niebezpiecznego sprytu i czujności, niepasujący do delikatnego piękna ciała. Nickowi nagle zakręciło się w głowie, w uszach mu zaszumiło, kiedy tak patrzył, jak dziewczyna lekkim krokiem porusza się po scenie. W sali zapanowała dziwna cisza. Wszyscy przyglądali się dziewczynie w masce. Nick rozejrzał się dookoła, potoczył wzrokiem po uniesionych twarzach mężczyzn, zaczął się zastanawiać, co teraz czują.

A potem przestał się zastanawiać. Zamaskowana twarz dziewczyny wisiała nad nim, jednocześnie znajoma i obca. Dopiero teraz dostrzegł, że w jednej ręce trzymała krótki bat ze sztywnej, naoliwionej skóry, taki, jakiego czasami używają dżokeje. Kołysała nim nad tłumem, lekko nim strzelając, coraz niżej i niżej. Nick drgnął, całkowicie zaskoczony, gdy gwałtownym ruchem smagnęła batem po swoim prawym udzie, po lewym, potem zaś odwróciła się tyłem do widowni i mocno przeciągnęła twardym rzemieniem po pośladkach i plecach. Nick miał ochotę wskoczyć na scenę i wyrwać jej bat z ręki, ale otaczający go mężczyźni zaczęli klaskać, gwizdać i wznosić zachwycone okrzyki. Dziewczyna smagała się batem, czasami tak mocno, że Nick krzywił się i przygryzał dolną wargę, kiedy indziej lekko i łagodnie, tak, że na skórze nie pozostawał żaden ślad. Mężczyźni napierali na scenę i zachęcali tancerkę do dalszych popisów, powietrze było gęste od podniecenia. Porwany falą barków Nick znalazł się tuż przy scenie, dziewczyna nachyliła się, wyciągnęła bat i strzeliła nim tuż nad jego głowę. Skóra głowy zapiekła go nagle, chociaż włosy złagodziły i tak niezbyt mocne uderzenie.

Wtedy nagle, bez ostrzeżenia, muzyka ucichła i dziewczyna podeszła do brzegu sceny. Zgięła jedno kolano, złożyła widzom formalny ukłon i teatralnym gestem ściągnęła maskę, unosząc ją za znajdującą się z tyłu gumkę. Wyglądało to trochę tak, jakby podniosła ściętą gilotyną głowę, chcąc ucieszyć tłumy tym widokiem. Nick spojrzał na maskę i wreszcie rozpoznał, że jest to lisi pysk o rozchylonych szczękach i wyszczerzonych drobnych zębach. Przeniósł wzrok na dziewczynę. Jej mokre od potu włosy, ufarbowane na platynowy blond, ciasno oblepiły małą głowę. Oddychała ciężko, na delikatnej twarzy malował się wyraz uniesienia i triumfu. Ukłoniła się jeszcze raz, głęboko, mocno zginając się w biodrach i wysuwając jedną stopę do przodu. Był to ruch tancerki baletowej, nie striptizerki, pomyślał, patrząc, jak jej głowa prawie dotyka podłogi, a lisa maska kołysze się w odległości kilku centymetrów od jego twarzy. Zaraz potem podniosła się, wyprostowała, na moment stanęła na czubkach palców, wreszcie odwróciła się, zeskoczyła ze sceny i zniknęła za drzwiami za barem.

- O, Jezu... - Stojący obok Nicka facet podniósł szklankę w geście toastu. - Niezłe, co? To dopiero cipka... - Przelknął resztę piwa i wskazał pustą szklankę Nicka. - To jak, jeszcze jedno piwko, kolego?

Ale Nick nie odpowiedział. Na podniebieniu czuł kwaśno-gorzki smak piwa i żółci, nagle zemdliło go, nozdrza wypełnił odór zimnego potu i obrzydzenia do samego siebie. Wciąż miał przed oczami twarz dziewczyny, wyraźnie rysującą się na tle zatłoczonego, zadymionego baru. To była Róisín Goulding, dziewczyna z sąsiedniego domu. Siostra Chrisa, córka Briana i Hilary. Oboje, ona i jej brat, byli dużo starsi od Owena, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku Chris miał dwadzieścia jeden lat, a Róisín dziewiętna-

ście. Przyjaźnili się z Marianne O'Neill, opiekunką Owena, i bardzo często zaglądali do Cassidych. Owen zawsze im towarzyszył, chodził za nimi jak piesek. Słuchał ich muzyki, wracał do domu i z przejęciem opowiadał, gdzie byli i kogo spotkali. Wiele razy błagał rodziców, żeby pozwolili mu siedzieć z młodymi Gouldingami i Marianne w ogrodzie, dokąd późno w nocy czasami przychodziła lisica z małymi. Skradała się wśród trawy i krzewów w świetle księżyca, lekko przebiegała przez trawnik.

- Idź, Owen, ty jesteś najmniejszy, ciebie się nie przestraszy - mówili. - Może weźmie coś od ciebie, daj jej herbatnik albo kawałek chleba...

Nick patrzył na nich z okna na piętrze. Światło wpadało do pokoju pasmami srebrzystego błękitu, kładło się na dachach i drzewach, dotykało też jasnych włosów jego jedyne go syna.

Srebrzysta głowa dziewczyny przemknęła w tłumie gdzieś z boku. Nick zaczął rozgarniać stłoczone ciała, spychać ludzi ze swojej drogi, deptać po palcach, ignorując gniewne okrzyki. Dotarł do drzwi za barem, tych samych, za którymi wcześniej zniknęła, ale były zamknięte. Raz i drugi szarpnął za klamkę, spróbował ją naciśnąć, pchnął nawet drzwi barkiem, lecz w tej chwili z tłumu wyłonił się ochroniarz w koszulce mocno opinającej umięśnioną pierś i potężne bicepsy, chwycił go za ramiona i odciągnął na bok.

- Nie ma mowy, facet, nie wejdiesz tam, chyba że zapłaciłeś i dziewczyna każe mi cię wpuścić, ale na razie nic nie powiedziała. Uspokój się, koleś, wróć do kumpli i napij się zimnego piwka, bo pożałujesz. - Dźgnął Nicka palcem i uśmiechnął się krzywo, widząc, jak ten zatacza się do tyłu i z trudem odzyskuje równowagę.

- Odpieprz się, nie dotykaj mnie, kurwa mać! - warknął Nick. Wyprostował się, nagle boleśnie świadomy niepewnej, pijackiej nuty w swoim głosie. - Znam ją, wszystko jest w porządku. Na pewno zgodzi się ze mną zobaczyć, mówię ci, tylko mnie wpuść... Hej! - Zrobił krok do przodu. - Słyszysz, co mówię, dupku?

Cofnął się pośpiesznie, kiedy bramkarz ostrzegawczo położył palec na ustach i przerzucił ciężką, krótką pałkę z jednej ręki do drugiej.

- Spokojnie, spokojnie, po co się tak denerwować? To przecież miłe, eleganckie miejsce, nie? Ta pani nie chce się z panem widzieć, nie chce widzieć się z nikim, kto nie zapłacił. Prosiłem już grzecznie, żeby pan zniknął, prawda? Za drugim razem nie będę taki uprzejmy, więc zmywaj się stąd, gościu, zamów sobie drinka i jazda do domu! Co, nie kumasz? Posłuchaj, najbliższy szpital jest dwie przecznice dalej, na Tulane Avenue, zrozumiano? Tam dobrze traktują wszystkich, nawet takich dupków jak ty, koleś...

Iberville, Bienville, Conti, St Louis, Toulouse, St Ann, Dumaine, St Phillip... Nick starał się zapamiętać nazwy przecznic, które mijał, idąc za dziewczyną od tylnych drzwi baru. Szła szybko, nie zwracając uwagi na podpitych mężczyzn z owiniętymi w brązowe papierowe torebki butelkami w rękę, którzy pokrzykiwali do siebie i do wszystkich przechodzących w pobliżu kobiet. Bez maski, ubrana w dżinsy i sportową koszulkę z krótkimi rękawami, wyglądała zupełnie zwyczajnie. Na rogu Ursulines i Bourbon skręciła w lewo, w kierunku Royal Street. Nick poszedł za nią, słysząc w nagłej ciszy uderzenia jej obcasów o bruk. Znowu skręciła i zaraz zatrzymała się pod drzwiami obok witryny z reklamą leków ziołowych i zdrowej żywności. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej klucze. Kiedy uniosła głowę, światło neonu zamigotało na powierzchni klucza i wtedy Nick zawołał ją po imieniu.

- Hej, Róisín, to ty, prawda? Róisín Goulding, z Dublina, tak?

Powoli odwróciła się twarzą do niego. W jej oczach malował się niepokój.

- Róisín... - Nick podszedł bliżej. - Jak się masz? Pamiętasz mnie?

W ciągu minionych dziesięciu lat prawie się nie zmieniła. Jej blada twarz o delikatnych rysach nadal wyglądała tak, jak ją zapamiętał. Dziewczyna z sąsiedztwa... Zawsze była milcząca, rzadko się odzywała, kiedy przypadkiem wpadał na nią na ulicy czy kiedy przychodziła do Marianne i siedziała w ich kuchni, pijąc kawę, albo wyciągała się na łóżku Marianne, czytając kolorowe magazyny. Przed przyjazdem Marianne Róisín i jej starszy brat czasami zostawali z Owenem. Chris i Róisín, prawie bliźnięta... Takie same smukłe ciała i jasnobrązowe włosy... Oboje z takim samym wyrazem twarzy wbijali wzrok w podłogę, kiedy ktoś próbował rozpocząć z nimi rozmowę. Może odcinali się w ten sposób od obcych i ich ciekawości. Nick przypomniał sobie, że właściwie to Chris zawsze mówił za Róisín, odpowiadał na wszystkie skierowane do niej pytania, a czasami wręcz uprzedzał pytania, które ona mogłaby zadać. Był to prawdziwy pokaz dominacji starszego brata nad młodszą siostrą.

- Pamiętasz mnie, Róisín? Nick Cassidy, z Dublina? Przypominasz mnie sobie?

Lecz jej dłoń wepchnęła już klucz do zamka i przekreśliła go. Dziewczyna otworzyła drzwi i, zanim zdołał ją powstrzymać, zatrzasnęła mu je przed nosem. Został na ulicy, z twarzą przyciśniętą do metalowej kraty, wprawionej w gruby, masywny drewniany panel. Chwilę wołał za postacią, która szybko zniknęła w ciemnym pasażu, podążając w kierunku błyszczącego na końcu światła. Uderzył w drzwi rozpostartą dłonią, a potem nacisnął kilka dzwoneczków, umieszczonych nad skrzynkami na listy w murze obok i czekał na dźwięk brzęczyka, ale nikt mu nie otworzył.

Cofnął się na chodnik, stamtąd na środek ulicy. Dokoła panowała cisza, ruch zamarł na kilka nocnych godzin. Zza zasłon i rolet przenikało światło. Nick podniósł głowę i spojrzał na wysokie okna i kutą balustradę balkonu nad chodnikiem. Przez chwilę stała tam drobna, wiotka postać. Dziewczyna patrzyła na niego, jej sylwetka wyraźnie rysowała się na tle pasma żółtawego światła bijącego z pokoju. Potem ciężkie zasłony opadły i nic już nie było widać.

Rozdział piąty

Księżyc wisiał nisko na czarnym niebie, jego jasną tarczę od czasu do czasu przesłaniały ciemne chmury. Nick leżał na plecach z szeroko otwartymi oczami i obserwował, jak uliczne światła tworzą skomplikowane wzory na suficie. Kiedy się ocknął, nie był pewny, gdzie jest. Śnił mu się dom. Sen nie miał żadnej formy ani narracji, żadnej ciągłości wydarzeń. Nick nie mógł sobie przypomnieć, co w nim się działo, ale wiedział, że był tam, w domu, który kiedyś był jego domem, i po przebudzeniu długo rozglądał się po ciemnym, obcym pokoju. Okna znajdowały się nie tam, gdzie powinny, sufit był zbyt niski, naprzeciwko łóżka nie było dużego lustra... I co się stało z Susan? We śnie nie miał cienia wątpliwości, że leżała obok niego, zwinięta w kłębek. Nadal czuł dotyk jej ud, piersi i brzucha na swoich plecach, ciepło palców, mocno splecionych z palcami jego dłoni.

Leżał nieruchomo, nasłuchując dobiegających z zewnątrz odgłosów. Co usłyszysz? Wysoki świergot drozda czy sikorę modrą? Powolne bicie dzwonów i cichy trzask drzwi pani Morrissey, która mieszka dwa domy dalej i codziennie chodzi na poranną mszę?

Gdzieś na rzece rozległo się niskie, posępne buczenie holownika. Nick wpatrywał się w ciemność, czekając na odpowiedź, i w końcu usłyszał bliźniaczy odgłos, może o ton lub dwa wyższy. Słuchając głosów dwóch statków, unoszących się na czarnej powierzchni rzeki, przypomniał sobie przeciwmgielny klakson, każdej zimy rozbrzmiewający w Zatoce Dublińskiej - uporczywe, paskudne porykiwanie. Listopadowa pogoda... Mgła rano i wieczorem, czarne noce, ponure dni, prawie bez słońca, nawet w południe. Ogniska rozpalane z okazji Halloween, aby odsunąć ciemność, utrzymać ją na dystans... Dzień zaginięcia Owena. Po południu mgła i zimny północny wiatr. Tamtej nocy, podobnie jak przez wszystkie noce długiego listopada, Susan leżała na plecach obok niego, nie mogąc zasnąć. Oboje szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w ciemność. Co jakiś czas spoglądali na zegar przy łóżku i nasłuchiwali dzwonka telefonu, lecz słyszeli jedynie ryk alarmu przeciwmgielnego, odzywający się regularnie co dwadzieścia sekund. Czuli chłodne powietrze na twarzach i zastanawiali się. Gdzie on jest? Czy jest głodny, spragniony, przerażony, ranny? Czy ich woła? Czekają, żeby go znaleźli? Kiedy tamtej nocy Nick wyciągnął rękę i ujął dłoń Susan, spostrzegł, że wreszcie zasnęła, na poduszce wilgotnej od łez. Wiedział, że jego kolej na sen nadejdzie dopiero wtedy, kiedy ona się obudzi. W ten sposób mogli jeszcze na jakiś czas uniknąć słów, które musiały zostać wypowiedziane.

Jak mogłeś?

Jak mogłeś go tak zostawić?

Dlaczego nie sprawdziłeś, gdzie jest?

Dlaczego nie upewniłeś się, czy jest z nim Marianne?

Co właściwie robiłeś przez całe popołudnie?

Dlaczego nie chcesz powiedzieć mi prawdy?

A przecież Nick nie miał cienia wątpliwości, że prawda zniszczy ich małżeństwo.

Kochasz mnie?

Jeżeli naprawdę mnie kochasz, jak mówisz, to jak mogłeś to zrobić?

Nie pragniesz mnie już? Nie pragniesz mnie, prawda?

Tak więc leżeli obok siebie, nie dotykając się, słuchając swoich oddechów i monotonnego jęku alarmu przeciwmgielnego. Zasyпали i płakali na zmianę, a godziny mijały.

Teraz Nick usiadł i włączył światło, nie mogąc dłużej znieść obrazów, które cisnęły się pod powieki. Pokój nabrał kształtów. Był mały i kwadratowy, cztery białe niczym nieozdobione ściany i ciemna drewniana podłoga. Łóżko, krzesło, szafa. Umieszczony tuż pod sufitem wentylator, którego śmigła obracały się powoli, jakby z namysłem. Nick wstał i otworzył torbę, nigdy do końca nierozpakowaną, leżącą w kącie za szafą. Chwilę grzebał w środku i wyjął duży plastikowy album. Sięgnął do jednej z przegródek i zaczął przeglądać wydobyte fotografie. Owen zaraz po urodzeniu, w ramionach matki, dziecko o gładziutkiej, pozbawionej jakiegokolwiek skazy skórze. Nick oglądał zdjęcia, obserwując, jak Owen rośnie i kształtuje się przed jego oczami. Jak raczkuje, podnosi się na nóżki, robi pierwsze ostrożne kroki. Biega, kopie piłkę, jeździ na rowerze, bawi się z Luke'em, swoim przyjacielem z naprzeciwka. Pierwszy dzień Owena w szkole. Lekcja pływania, wakacje w

ich ulubionej miejscowości na Krecie - Owen w masce i płetwach stoi na brzegu basenu, gotowy do skoku, a w tle Susan podnosi głowę znad książki i słońce odbija się w szklach jej ciemnych okularów. Zawsze uśmiechnięty, z wyraźnie widoczną przerwą między jedynkami i gęstymi jasnymi włosami zmierzwionymi na czubku głowy. Zimowy dzień w ogrodzie. Śnieg przykrył trawę, Owen bawi się z Marianne i tamtymi, z Chrisem, Róisín i tym ich kumplem, Edem, bo chyba tak miał na imię... Spokojny, nieśmiały chłopiec, trochę się jąkał. A tu Owen pokazuje palcem ślady na śniegu, prostą linię odcisków łap - na jego buzi maluje się radość i podniecenie.

Popatrz, tato! Spójrz, była tu wczoraj wieczorem. Widziałem ją z okna. Miałem rację, ale ty nie chciałeś mi wierzyć, prawda? Myślałeś, że to sobie wymyśliłem, co? Ale ona naprawdę tu była! Lisica przyszła do naszego ogrodu, tu masz najlepszy dowód...

Oto najlepszy dowód, że Owen naprawdę istniał, myśli Nick. Że przez tych osiem lat był moim synem, moim ukochanym dzieckiem. A co stało się później? Wyjmuje z torby drugi album i rozkłada jego zawartość na łóżku. Tyle zdjęć różnych dzieci. Chłopców, prawdopodobnie w wieku Owena. Chłopców, którzy mogliby nim być. Chłopców o tym samym kolorze włosów i oczu. Takiej samej budowy ciała. O takim samym, chociaż w gruncie rzeczy tylko podobnym spojrzeniu, wyrazie oczu... Fotografie zrobione wiele tysięcy kilometrów od miejsca, w którym ostatni raz widziano Owena. Zrobione kilka miesięcy, kilka lat później. Zdjęcia wyznaczające szlak podróży Nicka - najpierw Londyn, później Nowy Jork, Toronto, Boston, Waszyngton, Chicago, Los Angeles. Później mniejsze miasta, rozsiane jak garść rzuconych z wysoka kamyczków na dużej mapie Ameryki. Tu i tam, tam i z powrotem. Jeździł, gdzie go oczy poniosły, aż w końcu trafił do Nowego Orleanu. No i teraz ma, na co zasłużył - środek lata, piekielny upał. Powinien był wyjechać zaraz po Mardi Gras, wszystko jedno, dokąd. A jednak to tutaj, w Nowym Orleanie, zobaczył dziewczynę w lisiej masce. I to tutaj, po tylu latach, wszedł w kontakt z rzeczywistością, którą zostawił za sobą.

Bo przecież sądził, że z przeszłością nie wiąże go już nic poza tą kolekcją zdjęć. Fotografii, które zrobił Owenowi i chłopcom, którymi jego syn mógłby się stać. Z plastikowej koperty albumu wyjął ostatni komplet. Ostatnie zdjęcia. Chłopak, który przychodził na jego zajęcia. Miał jasnobrązową skórę, a kiedy się schylał, Nick widział, jak kości jego kręgosłupa ostro rysują się pod koszulką i tuż nad jej kołnierzem. Krótko ostrzyżone włosy podkreślały kształt głowy i układały się na karku w szpic, niczym grot strzały. Nick wiedział, jak wyglądałby jego student, gdyby zdjął ubranie. Skóra na ramionach, nogach oraz u podstawy kręgosłupa byłaby pokryta złocistym, ledwo widocznym puchem. Obserwował tego chłopca. Chciał się do niego zbliżyć, jeszcze dokładniej przyjrzeć się jego małym, kształtnym uszom i przerwie między górnymi jedynkami. Kiedy siedział i rysował, bez przerwy poruszał jedną stopą, a od czasu od czasu odkładał ołówek i przyglądał sobie włosy na czubku głowy, gdzie kilka kosmyków uporczywie stawało dęba.

Nie rób tego, Owen. Będą sterczały jeszcze gorzej, zobaczysz. Zostaw je w spokoju, same opadną i ułożą się jak należy. I przestań wreszcie ciągle ruszać stopą, bo mnie rozpraszasz. Chociaż chwilę posiedź spokojnie, na miłość boską...

Chłopak miał na imię Ryan i skończył osiemnaście lat. Mieszkał po drugiej stronie rzeki, w dzielnicy Algiers. Jego matka prowadziła kawiarnię i sklep z ciekawymi rzeczami, ojciec był dentystą. Rozwiedli się,

kiedy Ryan miał dziesięć lat, potem matka ponownie wyszła za mąż i znowu się rozwiodła. Z drugiego małżeństwa miała dwie córeczki.

Nick pochylił się nad sztalugami, żeby popatrzeć na rysunek Ryana. Poczł zapach wody po goleniu, aromatycznej, korzennej. Przecież on w ogóle nie potrzebuje się jeszcze golić, pomyślał, ukradkiem zerkając na gładkie policzki chłopca. Szybko przeniósł wzrok na szkic. Chłopak rzeczywiście miał talent. Jego ruchy były pewne i celowe. Skończył szkicować modelkę, zanim pozostali ledwie zaczęli, a margines arkusza ozdobił skomplikowaną spiralą małych rysuneków, przedstawiających ptaki, zwierzęta i ryby.

- Podoba mi się to - powiedział Nick. - Przypomina motywy zdobnicze ze starych celtyckich manuskryptów...

- Jak w Księdze z Kells - zauważył chłopiec.

- Właśnie. Widziałeś te ilustracje?

Ryan skinął głową. Sięgnął po mały scyzoryk i zaczął nim temperować ołówek, zdmuchując strużyny z arkusza.

- Moja mama sprzedaje takie rzeczy w swoim sklepie. Pocztówki, ścierki, plakaty - wszystko zdobione ilustracjami z Kells. Jej rodzina pochodzi z Irlandii. Pojechaliśmy tam, kiedy byłem mały, i wybraliśmy się do tego college'u, żeby zobaczyć Księgę. Jest piękna. Później codziennie chciałem tam wrócić i obejrzeć następną stronicę, a potem następną... - Odwrócił się i spojrzał na Nicka. - Mówiłem jej, że pan przyjechał z Dublina. Prosiła, bym panu powtórzył, że jeżeli kiedyś będzie pan w Algiers, chętnie zrobi panu dobrą kawę.

Dłonie chłopca tańczyły z ołówkiem i miękką żółtą gumką, rysując i wycierając ciemnoszare linie, ostrożnie zmiatając z papieru okruchy gumy i grafitu. Czubki jego palców były poplamione, prawie czarne.

- Dużo zapamiętałeś z Dublina? Podobało ci się tam?

Ale zajęcia właśnie dobiegły końca i Ryan wstał, spakował podkładkę pod papier, ołówki i wyszedł razem z innymi, którzy czekali na niego przy drzwiach, nagle zażenowany, że wdał się w rozmowę z nauczycielem. Nick wiele razy słyszał, jak nazywali go „dziwnym Irlandczykiem”. Chwilę szedł za Ryanem, który swobodnym krokiem zmierzał do wyjścia, w szerokich džinsach, których nogawki łopotwały nad adidasami, i w baseballówce włożonej tyłem na przód. Zaraz potem chłopak i jego koledzy zniknęli między drzewami, za którymi znajdował się parking. Nick miał ochotę pójść za nimi, zobaczyć, dokąd pojedą i co będą robili, posłuchać ich gadaniny, nauczyć się ich języka, języka, którym Owen także umiałby się posługiwać, zauważył jednak, że odsuwali się od niego, kiedy za bardzo się do nich zbliżał. Wyczuwali prześladowające go pragnienie, wiedział o tym.

Wyciągnął się na łóżku, między fotografiami, i splótł dłonie za głową. Przez pewien czas był głównym podejrzanym, oczywiście z własnej winy. Nie chciał powiedzieć policji, gdzie spędził tamto popołudnie. Zmieniał zeznania, wycofywał się, robił uniki, w końcu kłamał. Twierdził, że przez całe popołudnie był w mieście. Że omawiał nowy projekt z wydawcą. Gotów był powiedzieć cokolwiek, byle tylko uniknąć prawdy. Widział, jakim wzrokiem patrzył na niego prowadzący dochodzenie nadinspektor Matt O'Dwyer. Któregoś dnia przypadkiem usłyszał, jak O'Dwyer powiedział, że chce zabrać go na komisariat na oficjalne przesłuchanie. Że zamierzają go aresztować. Wciąż jeszcze, po tylu latach, czuł bolesny ucisk w żołądku i napływającą do gardła gorzką falę obrzydzenia do siebie samego.

- W porządku, niech będzie... Powiem wam, gdzie byłem. Mam alibi na to popołudnie. Może pan je sprawdzić.

- Takie jak te poprzednie, panie Cassidy?

- Nie, nie, ona je potwierdzi...

- Ona?

- Tak, skurwysynu! Ona! Teraz jesteście zadowoleni?

Dobrze ich poznał, tych policjantów, którzy przejęli kontrolę nad ich życiem. Była wśród nich młoda kobieta, świeżo przyjeta, w każdym razie tak powiedziała w rozmowie z Susan. Nazywała się Min Sweeney i miała dwadzieścia dwa lata. To właśnie ona wprowadziła się do ich domu, żeby odbierać telefony, stawiać czoło potężnemu strumieniowi rozmów z ciekawskimi, gruboskórnymi i żądnymi sensacji, a także z tymi, którzy dzwoniли w środku nocy, wypluwając z siebie najgorsze brudy, sugerując, gdzie może być Owen i co robi.

- Wy dwoje dopiero się uczycie, jak traktować takich ludzi - powiedziała im Min.

I miała rację. Dużo się nauczyli w ciągu tych długich miesięcy oczekiwania na coś, na cokolwiek. Dowiedzieli się, jak dobrzy i pełni zrozumienia potrafią być ludzie, ale poznali również bezmiar okrucieństwa, jakim można zmiażdżyć zrozpaczonych i bezbronnych.

Zaczęli kwestionować wszystko, co wcześniej traktowali jako pewne i oczywiste. Policjanci przygotowali listę podejrzanych, na której znaleźli się wszyscy sąsiedzi i znajomi. Nauczyciele Owena, jego koledzy, przyjaciele i ich rodzice. Przyjaciele Nicka i Susan, ich bliżsi i dalsi krewni. Wszyscy zostali przesłuchani, wszystkie alibi potwierdzone i poddane próbie podważenia. Susan i Nick widzieli stosy kwestionariuszy, które wypełnili wszyscy mieszkający w promieniu półtora kilometra od ich domu. Mnóstwo informacji - godziny, miejsca, odwiedziny, spotkania, goście... Wszystkie sprawdzone i wprowadzone do komputera.

Wciąż powtarzali sobie, że z takiej ilości danych na pewno uda się w końcu wyłowić jakąś informację co do losów Owena, uda się go odnaleźć.

Wszystkie domy przy placu zostały przeszukane. Ogrody także. Strychy, piwnice, szopy na narzędzia. W niedawno skopane grządki wbito czułki urządzeń wyczuwających wszelkie, nawet najdrobniejsze zmiany temperatury.

- Co wolisz? - zapytała pewnego wieczoru Susan, kilka tygodni po zniknięciu Owena, kiedy skończyli drugą butelkę wina i Nick zaczął rozlewać whisky do szklaneczek. - Co wolisz, Nicky? Martwe dziecko czy dziecko, którego nie ma?

- A ty? - Stał przed nią, trzymając w ręku pękata butelkę.

- No, cóż... - Podniosła na niego oczy o rozszerzonych tęczęwkach. - Martwe dzieci nie budzą we mnie strachu, bo dobrze je znam. Widuję je codziennie. Siedzę przy nich, dopóki nie wydadzą ostatniego tchnienia. Obmywam ich wychudzone ciała, zawijam je w prześcieradła.

Rozcinam je, żeby dowiedzieć się, dlaczego umarły. Oddaję je matkom. Bywam na ich pogrzebach i oplakuję je. Często wydaje mi się, że najbliżsi przyjmują ich śmierć w tej samej mierze z rozpaczą, co z ulgą...

- Więc to jest twoja odpowiedź? - Usiadł obok i wziął ją za rękę.

- Nie, ty draniu! Nie... Chcę, żeby mój syn wrócił, oto moja odpowiedź. Chcę odzyskać go żywego, całego, pięknego i tak doskonałego, jak tamtego ranka, kiedy pojechałam do pracy i zostawiłam go pod twoją

opieką. Nigdy o tym nie zapomnij, Nicky, nigdy. Wyszłam z domu ze świadomością, że ty bierzesz na siebie odpowiedzialność za Owena, nie Marianne czy ktokolwiek inny, ale ty. I co zrobiłeś? Zmusiłeś Marianne, żeby się nim zajęła, prawda? Poprzedniego dnia powiedziała mi, że chce mieć wolne popołudnie, a ja się zgodziłam, lecz ty miałeś inne plany. Nie chciałeś zajmować się Owenem, byłeś spragniony czegoś innego, więc kazałeś Marianne go popilnować, podobno dodałeś, że w końcu za to jej płacisz. Tyle że Marianne, podobnie jak ty, też miała inny pomysł na przyjemne spędzenie popołudnia. Poszła za twoim przykładem. Wiedziała, co zamierzasz. No, dalej, powiedz mi, opowiadaj, ze wszystkimi szczegółami. Dobrze się bawiłeś z tą kobietą, właśnie tamtego popołudnia? Przeżyłeś orgazm, kiedy życie mojego syna dobiegało końca? Jeden czy może więcej? Powiedz, powiedz. Opowiadaj, słucham.

Pozbierał wszystkie zdjęcia i ostrożnie wsunął je między plastikowe okładki. Blask świtu zaczął przenikać do pokoju przez szpary między żaluzjami. Nick patrzył, jak cienkie pasma światła i cienia układają się na suficie. Już w tej chwili było ciepło, a wkrótce miasto ogarnie nieznośny upał. Podniósł się z łóżka, wziął ręcznik i poszedł korytarzem do łazienki. Wokół niego dom trwał w ciszy. Stał pod prysznicem i włączył zimną wodę. Zacisnął zęby i pozwolił, aby obmyła mu głowę i całe ciało. Czy ta dziewczyna, Róisín, sama zrobiła lisią maskę? Na tamto Halloween wszyscy przygotowali sobie maski. Marianne i Chris, Róisín i Eddie. Głowy zwierząt i ptaków, doskonale wykonane z piór i papier mâché, pomalowane, ozdobione koralikami i haftami. Poprosili go o pomoc, więc rozrysował im kontury masek na kartonie, pokazał, jak przygotować papier mâché, dał im farby i kredki. Marianne była kotem, Chris sroką, Róisín wiewiórką, Eddie chomikiem. A Owen? Owen był lisem. Zrobili dla niego nawet ogon, duży, obfity i rudy, do przyczepienia z tyłu kurtki. Oni mieli cynowe gwizdki, w które dmuchali, a Owen irlandzki bębenek bodhran.

- Kiedy zapadnie zmrok, wszyscy razem wyruszmy z domu w kierunku ogniska - powiedziała mu Marianne. - Posłuchaj, jaką melodię skomponowaliśmy specjalnie na tę okazję... Podoba ci się?

Całe popołudnie spędził w łóżku Giny Harkin, w pokoju przesiąkniętym znajomym zapachem olejnych farb i słodkawym pyłem z pasteli i barwnej kredy. Chwilami miał wrażenie, że słyszy dźwięki muzyki, bicie w bębenek. Co jakiś czas dobiegał go nagły huk, kiedy jakiś dzieciak na próbę odpalał fajerwerki. Zanurzał twarz w jej miękką pierś i oddychał powoli i głęboko, aż wreszcie zasnął. Rozgrzany, zaspokojony, rozluźniony.

Teraz wyszedł spod prysznicza i energicznie wytarł się do sucha. Wśród gęstych ciemnych włosów na piersi już parę lat temu pojawiły się siwe, a kiedy spoglądał w lustro, z gładkiej tafli patrzył na niego stary człowiek. Czoło i mostek między brwiami miał poorane głębokimi liniami i fałdami, wokół oczu drobne zmarszczki, od nozdrzy do kątek warg biegły bruzdy. Kiedy stracił Owena, miał trzydzieści pięć lat, teraz kończył czterdziesty piąty rok życia. Był najmłodszym z pięciorga dzieci. Ojciec umarł już dawno, matka przed trzema laty, nagle. Kilka miesięcy wcześniej dostał od niej list. Jak zwykle pytała w nim, kiedy wróci do domu.

„Tęsknię za Tobą, Nicky, napisała, wciąż wyraźnym, równym charakterem pisma. Wszyscy za Tobą tęsknimy.

Codziennie rozmawiamy o Tobie i zastanawiamy się, jak się czujesz i jak sobie radzisz. Powinieneś wrócić, zresztą sam wiesz o tym najlepiej. Twoje miejsce jest tutaj, z rodziną”.

Nick wiedział, co naprawdę chciała mu powiedzieć.

„Nie powinieneś być wyjeżdżać. Uciekłeś. Trzeba było zostać i odbudować swoje życie tutaj, bo tu jest twoje miejsce, nie gdzie indziej”.

To właśnie usłyszał od niej, kiedy pojechał się z nią zobaczyć i powiedzieć, że wyjeżdża. Było zimne, szare popołudnie. Ukląkł u jej nóg, żeby rozpałcić ogień w kominku. Połamał gałęzie na podpałkę, ożywił iskry z kawałków węgla, karmił mały, słabiutki płomień tak długo, aż w końcu nie potrzebował już pomocy. Patrzył, jak ciąg zasysa płomień w górę. Ogień buchnął błękitnym odcieniem, potem zielonkawym i żółtym, a po paru chwilach zapłonął tak mocno, że Nick przysunął się do krzesła matki i oparł głowę na jej kolanach.

- Popelniasz błąd - powiedziała mu. - Ten wyjazd jest bez sensu, nie uciekniesz przed swoimi uczuciami, bo one i tak pójdą za tobą wszędzie. Wiesz o tym, prawda?

Milczał.

- A co z Susan? Co ona ma teraz zrobić?

- Nie chce wyjechać, nie chce opuścić domu. Mówi, że musi zostać, na wszelki wypadek. Jaki wszelki wypadek, zapytałem, ale nie chce mnie słuchać.

- Jaki wszelki wypadek?! - krzyczał do Susan. - Kogo próbujesz oszukać?! On nie wróci, odszedł na zawsze! Ty o tym wiesz i ja także. I policja. Wszyscy to wiedzą, do diabła...

- Naprawdę? - Siedziała nieruchomo, patrząc na niego uważnie. - Ja nie wiem. Czekam na moje dziecko i będę czekała do końca życia, jeżeli będzie trzeba. Gdybyś kochał go tak, jak twierdzisz, czekałbyś tu na niego razem ze mną.

Widział plakaty, rozlepione w całej Francuskiej Dzielnicy. Foxy Lady, Lisiczka - tak ją nazwali. Teraz musi mieć dwadzieścia osiem lat. Owen miałby osiemnaście.

Mieszkała przy Royal Street, pod numerem 1100. Nick przystanął po drugiej stronie ulicy i utkwiał wzrok w oknach zakrytych opuszczonymi żaluzjami oraz w pięknie kutej balustradzie balkonu. Jaka ścieżka przyprowadziła ją aż tutaj, tysiące kilometrów od spokojnej, cichej uliczki na przedmieściach Dublina? Postanowił, że tego wieczoru zaczeka na nią, będzie tu, kiedy ona zakończy występ w klubie. I tym razem Róisín porozmawia z nim. Razem wrócą do tamtego popołudnia przed dziesięciu laty. Do Halloween w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Ognisko, maski, kostiumy, atmosfera oczekiwania. I wszystkie te pytania, zadane, ale wciąż bez odpowiedzi. Wziął głęboki oddech, wewnętrznie przygotowując się na ból wspomnień, nadal tak porażający, tak nieznośny, ponad siły, by sobie z nim poradzić.

- Owen... - szepnął. - Owen, wracam, żeby cię odnaleźć. Zaczekaj na mnie, gdziekolwiek jesteś, bo już niedługo będę z tobą. Pamiętaj o tym, moje dziecko. Pamiętaj, że nadal cię kocham i chcę, żebyś był ze mną. Pamiętaj o tym, czekając na mnie. Niedługo wracam.

Rozdział szósty

To Susan wybrała dom przy Victoria Street, pod numerem 26. Pojechała obejrzeć go w pewną sobotę, tuż przed drugimi urodzinami Owena. Dom był na rynku nieruchomości przez wiele miesięcy i Susan natychmiast zrozumiała, dlaczego nikt nie chciał go kupić. Był brudny, zaniedbany. Wysoko sklepione, piękne pokoje podzielono na małe sypialnie z niewiele większymi salonikami, podobnymi do Mateczek. Na szczęście ona dostrzegła wdzięczne proporcje i kształty domu mimo przesłaniających je ścianek działowych, a kiedy uniosła głowę, zobaczyła przepiękne gipsowe plafony, wciąż nietknięte. Natychmiast zadzwoniła do Nicka.

- Chcę go mieć - powiedziała. - Musimy wyprowadzić się z tego mieszkania. Nie możemy mieszkać z dzieckiem w środku miasta. Wiem, że nie chcesz mieszkać na przedmieściu, ale wcześniej czy później i tak musimy się przeprowadzić, więc złożę wstępną ofertę kupna. Wymaga poważnego remontu, ale możemy to zrobić razem, bez pośpiechu. Będzie piękny, doskonały - prawdziwy dom, zrobimy z niego prawdziwy, przytulny dom. Ostatecznie coś takiego robi się tylko raz w życiu, prawda?

Odmruknął coś niewyraźnie, bo wiedział, że to „my” w gruncie rzeczy odnosi się do niego i tylko do niego. Susan nigdy nie ma przecież czasu, pomyślał z westchnieniem.

- Dobrze, skoro tak ci na tym zależy, złóż ofertę - odparł.

Musiał jednak przyznać, że kiedy formalności zostały już zakończone, był dosyć zadowolony. Victoria Square był jednym z wielu placów, tarasowych skwerów i ogrodów rozpościerających się między górami pod Dublinem i Morzem Irlandzkim. Wszystkie domy wybudowano pod koniec dziewiętnastego wieku. Były dwupiętrowe, z długimi, wąskimi ogrodami na tyłach. Z tych ogrodów wychodziło się prosto na małe, zabawne uliczki, przy których kiedyś znajdowały się stajnie i mieszkania dla stajennych.

Trójka Cassidych wprowadziła się do nowego domu, kiedy Owen miał dwa lata i sześć miesięcy. Był kwiecień. Wiosna - w ciągu dnia ciepło i słonecznie, nocą zimno i wilgotno. Rozbili obóz w dużym pokoju na parterze. Gotowali na prymusie, a myli się w cynowej wannie przed wesoło trzaskającym w kominku ogniem, który Nick rozpalał co wieczór, gdy ciemność otaczała ich chłodnymi ramionami. Susan zawsze chętnie wracała myślami do tamtych pierwszych miesięcy. Owen był taki łagodny... Bawił się, uśmiechał i bez przerwy gadał. Wspinał się na długie schody i zaraz znowu z nich zbiegał, ale ani razu nie upadł. Od początku bardzo spodobał mu się ogród za domem. Godzinami tarzał się w wysokiej trawie, a potem wracał i obserwował, jak Nick zdziera ze ścian starą tapetę i farbę, rozwała ścianki działowe i pogania hydraulików, elektryków, stolarzy i malarzy. Codziennie, gdy wracała ze szpitala, Nick pokazywał, co zostało zrobione w czasie jej nieobecności, a Owen zabierał ją na wycieczkę po domu, służąc za przewodnika.

- Popatrz, mamó, tylko popatrz, co tata zrobił... - zachwycił się.

Wtedy obejmowała ich obu, jednego jednym ramieniem, drugiego drugim, całowała ich i mówiła, jak bardzo ich kocha. Jak bardzo jest szczęśliwa w ich nowym domu. I że zawsze będą tu razem mieszkali. Zawsze, razem, we troje, zawsze i na zawsze. Amen.

Teraz, otwierając drzwi po długim dniu pracy, przystanąła na progu. Czekwała, czujnie nasłuchując. Nasłuchiwała, czy przypadkiem nie usłyszy powitalnego okrzyku Nicka.

- Cześć, jak tam było? No, wreszcie jesteś w domu! Zaczekaj, zaraz ci wszystko opowiem...

I tupotu bosych stóp Owena.

- Mamo, mammo, zgadnij, co dzisiaj zrobiłem! Zgadnij, jaką miałem przygodę!

Wiedziała, że to głupie. Doskonale o tym wiedziała. Próbowwała tego nie robić, zachowywać się tak, jak zachowują się inni ludzie, którzy wracają do pustego domu. Włączyć światło, wyłączyć alarm. Schylić się i podnieść pocztę. Szybko pójść do kuchni, postawić czajnik na fajerce. Usiąść. I czekać.

Ale na co? Na co miałyby czekać, na miłość boską?

Może właśnie na to. Na ten list, leżący razem z innymi na wycieracze. Długa koperta, ręcznie wypisany adres. Amerykański znaczek i pocztowa pieczęć. Brak nazwiska nadawcy w lewym górnym rogu i na odwrocie. Tchorz, pomyślała, rzucając kopertę na stół. Zupełnie jakbym nie wiedziała, od kogo jest ten list. Jakbym nie była w stanie odgadnąć, mimo że nikt inny nigdy nie pisał do mnie z Ameryki. Jakbym nie pamiętała tamtych innych listów. Kartek z życzeniami urodzinowymi, świątecznymi, z okazji różnych rocznic. Kiedyś, parę lat temu, często pisał. Po tym, jak stąd wyjechał. Po tym, jak uciekł ode mnie, Owena i swoich obowiązków wobec nas obojga, pomyślała.

Usiadła i spojrzała na list. Nalała sobie kieliszek wina i poszła na górę, do łazienki. Puściła wodę do wanny i opuściła żaluzje. Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Był początek października, miesiąca, którego najbardziej się obawiała. Tego dnia między świtem i zachodem słońca zmieściło się dziewięć godzin i piętnaście minut światła. Jutro będzie mniej, pojutrze jeszcze mniej, następnego dnia jeszcze mniej. A ostatni dzień miesiąca, dzień, w którym zniknął jej syn, dzienne światło zniknie najszybciej. Ciemność otoczy ją ze wszystkich stron.

Ułożyła się na plecach w wannie i zamknęła oczy. W domu panowała cisza. Co za ulga po szpitalnym gwarze i hałasie... Wreszcie nie ma nikogo, kto zadreślałby ją pytaniami, nikogo, kto domagałby się odpowiedzi i wyjaśnień, a przede wszystkim jej uwagi, czasu, zdolności pocieszania. Nikogo. Paul nie przyjedzie, bo pracuje do późna. Wpadnie następnego dnia wieczorem i wtedy znowu zaczną tę rozmowę.

- Dlaczego nie mogę się do ciebie przeprowadzić? - zapyta Paul. - Kocham cię i wiem, że ty także mnie kochasz. Pozwól mi dzielić twoje życie. Skoro nie chcesz się wyprowadzić z tego domu, pozwól mi zamieszkać ze sobą. Proszę cię, Susan, wiem, że nam się uda. Jestem tego pewny.

Wstała, wyszła z wanny i owinęła się ręcznikiem. Na dole czekał list. Stała przy oknie w sypialni i wyjrzała w noc. Świecił księżyc w nowiu, delikatny i cieniutki. Jego światło było słabe, ledwo widoczne. Spojrzała w dół, na ogród. Ostatnią niedzielę poświęciła na sprzątanie grządek i ścieżek, przygotowanie roślin na zimową hibernację. Przynosiła i przesadzała, zaczęła nawet rozsadzać niektóre byliny, geranium i chryzantemy, kampanulę i rudbekię. Wkopała się głęboko między ich mięsiste korzenie i zaczęła oddzielać matki od dzieci. Najwyższy czas rozmieścić je na grządkach, dać im więcej miejsca, żeby lepiej rosły, pomyślała.

Teraz ubrała się szybko w dzinsy, gruby sweter i wygodne buty z miękkiej, rozciągniętej skóry. Na dole włożyła kurtkę na kozuchu i omotała szyję szalikiem, z komody wyjęła wysoką woskową świecę i pudełko zapalek. Otworzyła tylne drzwi. Pod nią znajdowały się drewniane schodki, prowadzące z kuchni do ogrodu. Latem często siadywała na najwyższym stopniu i cieszyła się słońcem. Jej sąsiedzi także to robili. Po lewej mieszkali ci nowi, Whelanowie, którzy sprowadzili się tu w zeszłym roku w lipcu. Wymieniała z nimi powita-

nia, miłe uwagi, rozmawiała o pogodzie, roślinach ogrodowych, okolicznych sklepach i tak dalej. Mieli troje dzieci, chłopca i dziewczynkę, już nastolatków, i najmłodszego synka, czteroletniego, który jesienią miał pójść do szkoły. Tej samej, do której chodził Owen. Jego rodzice wyraźnie się niepokoiли, że widok małego zdenerwuje ją, zrani jej uczucia. Starła się pokazać im, że wszystko jest w porządku, że rozmowa o dzieciach nie sprawia jej przykrości, że nie muszą jej osłaniać, ale nie zdołała ich przekonać. Widziała, że jej unikają, podobnie jak Chris Goulding z naprzeciwka. Był bardzo spięty i chyba nawet trochę przestraszony, kiedy powiedział jej o kobiecie, którą poznał i pokochał. To Bośniaczka. Uciekła stamtąd z dwojgiem dzieci. Zamieszkają ze mną. Dobrze, że na placu znowu będą dzieci. Susan przytaknęła. Oczywiście, powiedziała i dodała, że ma nadzieję, iż będą szczęśliwi. Gdyby kiedykolwiek pojawiły się jakieś problemy, zdrowotne, rzecz jasna, niech się nie krępują i dzwonią do niej. Chris skinął głową i uśmiechnął się. Jego pociągła, przystojna twarz rozjaśniła się nagle, tak jak dawniej, wiele lat temu, kiedy przychodził do Marianne. Wyraźnie ośmielony, opowiedział Susan o swojej niespodziance dla tych dzieci. Ustawi im w ogrodzie letni domek, który należał do jego babki. Jej stary dom został sprzedany i Chris przeniósł ogrodowy domek do siebie, żeby dzieci mogły się w nim bawić, urządzić w nim kryjówkę. Susan się ucieszyła, że Chris otacza współczuciem i troskliwą opieką dzieci, które przecież nie były jego własne.

Ale tego wieczoru w ogródkach nie było nikogo. Chmurka oddechu zawisła przed jej twarzą, stopy zostawiły srebrzyste ślady w pokrytej zamarzającą rosą trawie. Odciągnęła zasuwkę furtki w wysokim granitowym murze i wyszła na zewnątrz. Alejka pogrążona była w ciemności. Żadnych świateł, żadnego znaku życia z okolicznych domów. Szybkim krokiem dotarła do szerszej, wysadzanej drzewami ulicy. Tu domy były duże, niepołączone ze sobą, otoczone rozległymi ogrodami i trawnikami. Psy zaniósł się ujadaniem, kiedy przechodziła, a z wysokiej gałęzi brzozy spojrzęły na nią świecące w ciemności kocie oczy.

Pierwszy dzień listopada. Czas wspomnień, obaw, lęku. Czas zatrzymania się nad inną śmiercią, śmiercią innego dziecka. Tym razem była to dziewczynka, piętnastolatka, Lizzie Anderson, która zginęła przed osiemnastoma laty w rozwalającej się ogrodowej szopie, uduszona, torturowana, zgwałcona.

Po piętnastu minutach szybkiego marszu Susan przystanąła i rozejrzała się dookoła. Przed sobą miała furtkę zamkniętą na kłódkę i gruby łańcuch. Dalej w mroku rysował się kontur budynku. Spojrzała na ziemię. Przy furtce leżały kwiaty, niektóre zwiędnięte, inne świeże. Przykucnęła i potarła zapalną o ciemniejszy pasek na pudełku. Płomyk zamigotał, a ona otoczyła go dłonią i przytknęła do knotu świecy, który zapłonął miękkim, złocistym blaskiem. Zakołysała się na piętach i zamknęła oczy.

- Dla ciebie, Lizzie, żeby odegnać ciemność w tej strasznej porze roku. Dla ciebie. Niech odgania strach w tych okropnych miesiącach. Dla ciebie, żebyś wiedziała, że ktoś o tobie pamięta. Teraz i zawsze, na zawsze... I niech tak będzie.

Oto miejsce, gdzie przychodziła. Gdzie mogła przyjść, żeby oplakiwać śmierć syna, bo przecież nie miała innego miejsca. Strzęp pocieszenia. Poczucie przynależności, jedności z innymi ludźmi, także pogrążonymi w smutku.

Znowu zakołysała się na piętach, nie otwierając oczu. Po chwili podniosła się i oparła o granitowy mur. Wróć tu jutro i pojutrze, pomyślała, i każdego następnego dnia. To był jej obowiązek, jej zwyczaj.

Zrobiło się bardzo zimno, poza tym była głodna. No i wciąż czekał na nią ten list. Odwróciła się i poszła na róg ulicy, gdzie pomarańczowe światło latarni odbijało się w maskach zaparkowanych samochodów. Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła kopertę. Rozdarła ją. Eleganckie, równe pismo Nicka pokrywało dwie strony cienkiego papieru. Zaczęła czytać.

Najdroższa Susan,

Dawno do Ciebie nie pisałem, za co serdecznie przepraszam. Zamierzałem pisywać regularniej ale na pewno się domyślasz, z jakich powodów okazało się to trudniejsze, niż przypuszczałem. Tak czy inaczej, proszę, uwierz mi, że stale o Tobie myślę. Szczerze mówiąc, w miarę jak lata mijają, myślę o Tobie coraz więcej, a czasami nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że jesteś bardzo blisko, a ja nie mogę cię dotknąć. Jest to dziwne, irytujące uczucie, ale bardzo realne.

Podniosła głowę i chwilę patrzyła na rząd połyskujących w świetle latarni samochodów. Potem znowu przeniosła spojrzenie na list.

Często próbuję wyobrazić sobie Twoje obecne życie w Dublinie. Myślę, że nadal pracujesz w szpitalu i wiem, że wciąż mieszkasz w naszym domu. Mam nadzieję, że ból częściowo ustąpił, że niektóre wspomnienia przestały ranić tak mocno jak kiedyś. Jeżeli jednak Twoje doświadczenia są podobne do moich, a sądzę, że w jakimś stopniu tak jest, to muszę założyć, że ból ciągle jest obecny i nic nie zdołało go stepić. I chyba właśnie dlatego piszę do Ciebie ten list. Chcę wrócić do domu na dziesiątą rocznicę odejścia Owena. Chcę być blisko miejsca, gdzie spędził ostatnie dni swego życia. Chcę oddychać tym samym powietrzem, czuć na twarzy ten sam deszcz i zimne powietrze, patrzeć na te same domy, twarze, ulice, to samo wybrzeże i szarozielone morze. Żyć w tym samym świecie, z którego odszedł.

Czy możesz mnie zrozumieć, Susan? Mam nadzieję, że tak. Mam też nadzieję, że zgodzisz się wyświadczyć mi pewną grzeczność. Chciałbym zatrzymać się w domu. Na parę tygodni, najwyżej dwa miesiące, dość czasu, aby coś się stało, chociaż sam nie wiem, na co liczę. Na pewno nie spłynie na mnie spokój ducha czy pocieszenie, nie spodziewam się również, że rozwiążę tajemnicę czy dowiem się, co naprawdę wydarzyło się dziesięć lat temu. Dopuszczam jednak możliwość, że są pytania, które trzeba zadać raz jeszcze, z perspektywy czasu i przestrzeni. Z jakiegoś powodu, którego nie umiem uchwycić i wyjaśnić, czuję, że właśnie teraz nadszedł właściwy moment, aby wrócić i postawić te pytania. Może się zastanawiasz, dlaczego wybrałem akurat tę rocznicę. Czym różni się dziesiąta od czwartej, szóstej, ósmej czy dziewiątej? Albo mówisz sobie: „Jakie to typowe dla tego egzaltowanego skurwysyna - nagle przyszło mu do głowy, że dziesiąta rocznica jest szczególnie ważna”. I zapewne masz rację. Ale może po prostu dotarło do mnie wreszcie, że dziesięć lat to długi okres oderwania od miejsca, które nadal nazywam domem. Może też chodzi o to, że ostatnio spotkałem kogoś z tamtego świata i dlatego nasz dom i Victoria Square niespodziewanie ożyły w mojej wyobraźni. Na pewno pamiętasz Róisín Goulding, prawda? To właśnie ją spotkałem któregoś wieczoru. Jest tancerką w jednym z tutejszych barów. W pierwszej chwili w ogóle jej nie poznałem. Nie przypomina tej zwyczajnej szarej myszki, która ciągle kręciła się po naszym domu. Jej widok uświadomił mi, ile czasu minęło od tamtych dni, że jestem o dziesięć lat starszy i że wcale nie muszę pogodzić się z tym, jak zniknięcie Owena zniszczyło nasze życie. Czy mniej więcej rozumiesz, co usiłuję powiedzieć? Cóż, sam wcale nie jestem pewny, czy to rozumiem. Tak czy inaczej, niez-

leżnie od powodu czy powodów, od czasu spotkania z Róisín nie mogę przestać myśleć o powrocie do domu. Susan, zrób to dla mnie. Proszę.

Ucałowania,

Nick

Zadrżała, po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Zaczęło padać. Drobne krople deszczu zmoczyły kartki, które trzymała w ręku. Złożyła je starannie, wsunęła do koperty i schowała do kieszeni. Zawróciła i przystanąła nad leżącymi na ziemi kwiatami. Świeczka u jej stóp zamigotała, płomień zasyczał i zgasł. Przykucnęła i ponownie zapaliła świecę, osłaniając jej złocisty płomyk tak długo, aż zapłonął mocniej. Postanowiła zaczekać, gdy postawi świecę wśród kwiatów i dopiero wtedy deszcz przestanie padać. Wiedziała, że obraz rozjaśniającego ciemność płomienia pozostanie w jej wyobraźni i pomoże walczyć z gęstym, ciężkim mrokiem, którego pora miała dopiero nadejść.

Rozdział siódmy

Padło także wtedy, gdy kierowca taksówki przywiózł Nicka i jego bagaże na Victoria Square. Nick zadrzał pod wpływem nagłego powiewu lodowatego wiatru, który rzucił mu w twarz zimne krople deszczu. Zdażył już zapomnieć, jaka jest typowa irlandzka pogoda, i dopiero teraz zorientował się, że dzinsy, rozpięta pod szyją koszula i skórzana kurtka nie są najlepszym strojem na tę porę roku.

- Podwieźć pana pod sam dom? To żaden problem. - Taksówkarz wychylił się przez okno, patrząc na Nicka z pewnym zaniepokojeniem.

Ale Nick odparł, że to miejsce bardzo mu odpowiada. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem, bo po długim locie czuł się zmęczony i trochę bolała go głowa.

- Za dużo darmowych drinków na pokładzie samolotu, co? - Kierowca uśmiechnął się ze zrozumieniem, szukając w portfelu reszty.

Nick przytaknął i schował podane przez mężczyznę drobne do kieszeni. Życie byłoby bardzo proste, gdyby jego głównym problemem był w tej chwili nadmiar wypitego alkoholu. Stał na chodniku i czekał, aż taksówka odjedzie, wzbijając z kałuży fontannę brudnej wody. Potem rozejrzał się dookoła. W drodze z lotniska taksówkarz wygłosił niewątpliwie standardową reklamę Dublina - opowiedział Nickowi o zdumiewającym wzroście gospodarczym, astronomicznych cenach nieruchomości, najwyższej w całej Unii Europejskiej liczbie samochodów i telefonów komórkowych w stosunku do populacji. Z jego słów wynikało jasno, że dawna bieda i depresja ustąpiły miejsca mentalności „chciwość to dobra rzecz”, która pociągnęła za sobą gwałtowny wzrost przestępczości, przemocy i liczby uzależnionych od narkotyków.

„Świetnie”, kilka razy powiedział Nick. Co jakiś czas wtrącał też: „Naprawdę?” i „Co pan mówi?”, byle tylko uniknąć pytań. Tych, które zaczynały się od: „Skąd pan pochodzi?” i „Gdzie pan ostatnio był?”, a kończyły na „Co sprowadza pana do Dublina?”. Był gotów na wszystko, byle tylko nie musieć udzielać odpowiedzi, których i tak nie był w stanie udzielić, nawet sobie.

Klucze miał w kieszeni. Wyjął je i podrzucił na dłoni, idąc powoli w kierunku domu. On i Owen bawili się kiedyś w grę, którą nazwali „Ciekawscy sąsiedzi”, albo „Kto jest w domu, a kogo nie ma”. Teraz zarzucił sobie torbę na ramię i spróbował zagrać w „Ciekawskich”. W domu pod numerem 2 piętro zajmowała kiedyś rodzina Butlerów, natomiast parter Mickey i Jo Deenihan, dwaj bracia z Kerry, obaj niezonaci. Butlerowie są w pracy, bo przed domem nie ma samochodu, natomiast Mickey i Jo są chyba u siebie, bo zasłony wciąż zaciągnięte, chociaż dochodzi już piąta po południu. Pod numerem 3 mieszkała rodzina O'Gradych. Są w domu czy ich nie ma? Trudno powiedzieć. Przez otwarte lub uchylone okno dużej kuchni na parterze dawniej dobiegała muzyka z włączonego radia, lecz teraz wszystkie okna były szczelnie zamknięte, a sprzed domu zniknął rząd połączonych łańcuchem rowerów. Dom pod numerem 4 podzielony był na pięć niewielkich mieszkań, które właściciele wynajmowali studentom. Z pojemnika na śmieci zawsze wysypywały się pudełka po daniach na wynos i puszki po piwie, ale teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Nick przystanął i uważnie przyjrzał się domowi. Ogródek przed wejściem, dawniej całkowicie zaniedbany i zarośnięty mleczem oraz innymi chwastami, przeistoczył się w idealną kopię osiemnastowiecznego ogrodu w stylu francuskim. Żywopłoty, przycięte z chirurgiczną precyzją, grządki obsadzone lawendą, której ostatnie, już mocno zszarzałe kwiatki kiwały się na wietrze.

A więc to miał na myśli taksówkarz... Nick nagle dostrzegł potwierdzenie jego słów wszędzie wokół siebie, w błyszczących nowych samochodach, stłoczonych przy krawężniku, w czystych, świeżo otynkowanych fasadach domów, w widocznych przez duże, niezastłonięte okna nowoczesnych, zamożnych wnętrzach, z pewnością stworzonych przez zawodowych projektantów. Gdzie podziały się obwisłe, siatkowe firanki, brudne rolety, popękane i rozsypujące się granitowe schodki, a przede wszystkim starsze panie - panie z piwnicy, jak nazywał je Owen - które mieszkały w wiecznie wilgotnych, ponurych pokojach? Zwykle wychodziły przed dom, żeby przywitać się z Owenem i Nickiem i zaprosić ich na czekoladowe herbatniki albo kawałek domowego ciasta. Zniknął nawet pomarańczowy kocur, który prychał i pluł, dając odpór wszelkim próbom zawarcia z nim przyjaźni, a także zamieszkujące placik wróble, które podskakiwały przed ojcem i synem na sztywnych nóżkach, dopóki okrzyki chłopca nie zmusiły ich do poderwania się do lotu.

Na chwilę przystanął przed domem, w którym mieszkała Gina Harkin. Od tamtych listopadowych dni nie rozmawiali ze sobą ani razu, Nick wiedział jednak, że Gina i jej mąż pogodzili się i wyprowadzili z Victoria Square zaraz po tym, jak policja oczyściła ich ze wszelkich podejrzeń. Nie miał pojęcia, gdzie się przenieśli, lecz zdawał sobie sprawę, że nie tylko oni zdecydowali się na ten krok w miesiącach po zniknięciu Owena. W stosunkowo krótkim czasie przy placu nie pozostał już prawie nikt, kto znał chłopca i jego rodziców. Nick i Susan rozumieli to i w gruncie rzeczy byli nawet zadowoleni. Wobec obcych nie musieli niczego udawać, nie czuli się w obowiązku podejmować żalonych prób życia normalnym życiem. Obcy przyglądali im się z nieskrywanym zaciekawieniem i szeptali do siebie, kiedy mijali ich dom. Czasami zwalniali kroku i nawet przystawali, żeby zajrzeć do środka przez niezastłonięte okna na parterze. Sprowadzali swoich przyjaciół, żeby ci także mogli pogapić się do woli, i znacząco trącali ich w bok, kiedy czasami wpadali na Nicka lub Susan w sklepie na rogu. Zdarzało się, że Nick odpowiadał twardym, nieruchomym spojrzeniem, czerpiąc pewną satysfakcję z ich zmieszania, lecz najczęściej nie reagował.

Teraz w końcu dotarł do domu. Zatrzymał się i popatrzył na niego. Wyglądał jak dawniej. Drzwi pomalowane kanarkowym odcieniem żółci, który sam wybrał, okna czyste, framugi chyba niedawno odświeżone, poręcz schodów oczyszczona, wolna od rdzy, przestrzeń bezpośrednio przed domem porządnie wybrukowana kamieniami, które znalazł na pobliskim wysypisku gruzu i przydźwigał do domu w plecaku, partię po partii. Ale gdzie podział się głóg, który zasadził z okazji pierwszych urodzin Owena? Głóg przynosi szczęście, powiedział do Susan. Sprowadza dobre wróżki. Teraz na miejscu tamtego drzewka stał miniaturowy japoński klon w glinianej donicy. Jego szkarłatne liście zaczęły opadać, tworząc miękkie, barwne koła na szarych kamieniach.

Nick postawił torbę na chodniku i poprawił pas laptopa na ramieniu. Wyprostował się, podniósł głowę i spojrzał na dom naprzeciwko, nieco po prawej. Dom Gouldingów. I wtedy w oknie na piętrze, nad drzwiami wejściowymi, dostrzegł jakąś twarz. Cofnął się o parę kroków, żeby mieć lepszy widok. Twarz należała do dziecka, chłopca o jasnych, nieco zmierzwionych włosach. Mały odwzajemnił spojrzenie Nicka chłodno, z twardą niechęcią w nieruchomych oczach. Nick zmrużył powieki, ponieważ nagle łzy napłynęły mu do oczu. Chwilę później chłopiec powoli odsunął się od okna, krok po kroku, odsłaniając przed wzrokiem Nicka szczupłe ciało w niebieskiej bluzie i džinsach. Przez chwilę stał jeszcze, wciąż patrząc na nieznanego, następnie odwrócił się szybko i zniknął. Z wnętrza domu Gouldingów dobiegło Nicka głośne trzaśnięcie drzwiami, zupełnie jakby z ogrodu wpadł nagle ostry powiew silnego wiatru.

W przeszłości wiele razy widział twarze młodych ludzi w tym oknie. Latem było ono zwykle szeroko otwarte; pamiętał, że zaraz po tym, jak wprowadzili się do domu przy Victoria Square, dzieciaki Gouldingów codziennie wisały na parapecie. Chris i Róisín często spędzali tam prawie całe dnie, zwykle w towarzystwie innych nastolatków z okolicznych domów. Stawiali na krześle magnetofon kasetowy i na cały regulator puszczały najnowsze przeboje muzyki pop, popijając colę albo 7 up z litrowych butelek i zajadając się popcornem i chipsami. Chris siadał na parapecie i machał nogami, gwizdał i pokrzykiwał. Bezczelny smarkacz, który uważał, że musi wypróbować swój rosnący zasób przekleństw... Róisín chichotała, siedząc u jego boku, drobniutka, blada, z grzywką równo przystrzyżoną tuż nad brwiami. Nikt nie doszukałby się najmniejszego choćby podobieństwa do tamtej dziewczyny w kobiecie w lisiej masce i z batem, kobiecie o pięknym ciele, naznaczonym śladami dzikiego okrucieństwa.

- Miło będzie patrzeć, jak Owen osiąga ten wiek - powiedział do Susan, gdy przyglądali się, jak ich syn pędem przebiega z jednego końca ogrodu w drugi i z powrotem. - Jest tu mnóstwo dzieci, więc zawsze będzie miał przyjaciół...

Niewypowiedziana głośno myśl zawisła między nimi jak kamień: „Nawet jeżeli nie zdecydujesz się na drugie dziecko, nawet jeżeli wciąż będziesz się upierać, że jedno ci wystarczy, że twoim obowiązkiem jest opieka nad cudzymi dziećmi, nie własnymi i że robisz to tylko ze względu na męża”.

Podniósł torbę i postawił lewą stopę na pierwszym z granitowych schodów, prowadzących do wejścia. Zaczął je liczyć. Jeden, dwa, trzy, cztery... Przystanął, odwrócił się plecami do domu i objął wzrokiem plac. Niebo robiło się coraz ciemniejsze, zimny wiatr szarpał nielicznymi listkami, które jeszcze trzymały się gałęzi wiśniowych drzew, zasadzonych przy ulicy w równych odstępach i otoczonych metalowymi kojcami. Na środku skąpanego w błocie trawnika ktoś ułożył krzywy stos drewna. Znowu ta pora roku, znowu bliskość rocznicy

zniknięcia Owena... W całym kraju zapłoną ogniska, które mają odegnać ciemność i powstrzymać nadejście zimy przynajmniej na tę jedną noc.

Spojrzał na dom Gouldingów i znowu zobaczył w oknie to dziecko. Podniósł rękę i pomachał mu, ale chłopiec nie zareagował. Jego oczy patrzyły na Owena z zimnej, obojętnej twarzy.

Jezu Chryste... Nick uniósł twarz ku łożnianemu niebu i poczuł, jak krople deszczu spływają mu za kołnierz. Dlaczego wrócił do tego przeklętego miasta? Dlaczego znowu otworzył się na to wszystko? Szybko pokonał ostatnie pięć schodków. Kołatka, skrzynka na listy i zamek były wyczyszczone do połysku. Kiedy nachylił się, ujrzał swoje odbicie w owalnym kawałku metalu wokół dzwonka. Zniekształcona, obrzmiała twarz, wytrzeszczone oczy... Wybrał odpowiedni klucz z całego pęku i spróbował wsunąć go do otworu zamka. Bezskutecznie. Podniósł dłoń, żeby nacisnąć dzwonek i wtedy drzwi się otworzyły, na progu stała Susan. Za nią czekał dom ze wszystkimi wspomnieniami, które Nick usiłował odegnać. Usiłował i poniósł sromotną klęskę.

- Dlaczego wróciłeś? - zapytała.

W środku swojej głowy Nick usłyszał własny głos, podobny do echa, lecz dziwnie brzęczący. Nie wiem, nic już nie wiem, mówił ten głos.

Kiedy się obudził, było ciemno. Nie miał pojęcia, która może być godzina, wiedział jednak, że kiedy wreszcie zabrał się do ślania sofy w piwnicy, było już dobrze po północy. Susan przygotowała mu pościel i kołdrę.

- Masz miesiąc, ani dnia dłużej, Nick - oświadczyła. - Możesz mieszkać tu na dole i robić, co ci się podoba. Wszystkie twoje rzeczy są tutaj, Owena także. Twoje miałam już wyrzucić, więc jest mi obojętne, czy się ich pozbędziesz, czy nie, ale rzeczy Owena nie ruszaj, słyszysz?

Siedzieli w kuchni. Nie zaprosiła go do salonu. Nalała kieliszek wina i pchnęła butelkę w jego kierunku. Wyjęła razowy chleb, cheddar i zrobiła mu kanapkę, ale nie zaproponowała nic więcej. Wiało od niej chłodem, nie ukrywała, co czuje.

- Dokonałeś wyboru, ja również - powiedziała. - Postanowiłam tutaj zostać, bo tu jest mój dom. Ty wyjechałeś. Nie wiem, co się z tobą działo i nic mnie to nie obchodzi. Mam teraz własne życie, ty nie jesteś jego częścią i życzę sobie, aby tak pozostało.

Dobrze chociaż, że w kuchni nic się nie zmieniło. Sosnowy kredens i szafki, które sam do niego dobudował, nadal wyglądały bardzo porządnie. Siedzieli przy stole, który kupił za pięć funtów na aukcji, potem zaś oczyścił papierem ściernym i zawoskował. Sztućce pochodziły z kompletu, który dostali od jego matki. Nie rdzewna stal, dzieło projektanta z północnej Anglii. Na ścianie wisiał drzeworyt przedstawiający Owena jako raczkującego niemowlaka. Nick oprawił go dla Susan na Gwiazdkę, kiedy ich syn miał trzy latka. Naprzeciwko widniała korkowa tablica z przypiętymi fotografiami. Bardzo opalona Susan w szortach i górze od bikini, a obok niej niski, ciemnowłosy mężczyzna w zasłaniających oczy i rozdzielających twarz na dwie połowy okularach przeciwsłonecznych. Obejmował Susan, a ona opierała się o niego. Uśmiechali się, nie do fotografa, lecz do siebie i sprawiali wrażenie szczęśliwych, beztrudnych oraz bardzo zakochanych.

- Kto to? - Nick krótkim ruchem głowy wskazał tablicę.

- Nazywa się Paul O'Hara.

- Mogę? - Sięgnął po butelkę i zbliżył ją do pustego kieliszka.

- Proszę bardzo, nalej sobie...

- Długo się to ciągnie?

- Czy to aby na pewno twoja sprawa? - rzuciła gniewnie.

- Może nie, ale nie widzę powodu, żebyś od razu tak mnie atakowała. Zadałem ci tylko pytanie, nic więcej.

- W porządku, skoro koniecznie chcesz wiedzieć, to znam go od półtora roku. Pracujemy razem, Paul jest patologiem w szpitalu.

- Zajmuje się twoimi porażkami, tak?

- Nie opisałabym tego w ten sposób, ale jeżeli tak uważasz... - Lekko wzruszyła ramionami.

Wstała i sprzątnęła jego talerz ze stołu. Podeszła do zlewozmywaka, otworzyła zmywarkę i włożyła talerz do środka, potem zaś dopchnęła drzwiczki kolaniem. Wskazała ręką szerokie szklane drzwi i wzięła pęk kluczy z kredensu.

- Proszę, tu masz klucze od tylnego wejścia i piwnicy. Jeśli chcesz, możesz włączyć grzejniki. Na sofie położyłam komplet pościeli, kołdrę i ręcznik. Jak już mówiłam, daję ci miesiąc. Później będziesz musiał znaleźć sobie inne miejsce, mam nadzieję, że to jasne. No, robi się późno, a ja wcześniej wstaję... - Ruszyła w kierunku drzwi do holu. - Och, jeszcze jedno... Nie próbuj żadnych numerów, Nick. Nie wtrącaj się w moje życie, trzymaj się na dystans. Robię ci uprzejmość, ze względu na dobre dawne czasy, czy coś w tym rodzaju, więc staraj się nie nadwyreżać mojej cierpliwości, słyszysz?

Leżał zupełnie nieruchomo, czując zimne powietrze wokół głowy i szyi, i nasłuchując przefiltrowanych przez ciemność odgłosów. Na dworze zawodził wiatr i framugi okien co jakiś czas trzeszczały pod naporem mocnych podmuchów. Gdzieś skrzypnęły otwierane drzwi. Usłyszał bulgotanie wody w rurach w ścianie, z góry dobiegły dźwięki muzyki, potem głos radiowego spikera. Daleko, przy drodze do portu, rozdzwoniły się dzwony, wzywające wiernych na pierwszą mszę.

Teraz usłyszał głos Susan i jakiś inny, obcy. Susan roześmiała się głośno. Nick pamiętał, że zwykle uśmiechał się, gdy słyszał, jak przelykała ślinę i chwytiała powietrze, zanosząc się zaraźliwym chichotem. Zasłaniała usta dłońmi i zamykała oczy, a jej barki, ramiona i piersi trzęsły się i podrygiwały...

Ciaśniej otulił się kołdrą, broniąc się przed chłodem. Dźwięki z góry przybrały na sile, stały się bardziej natarcywe. Słyszał kroki, przemierzające ścieżki od kuchenki do stołu, od stołu do zlewozmywaka i do kredensu. Był pewny, że to Susan przygotowuje śniadanie. Zawsze uwielbiała robić śniadanie, był to jej ulubiony posiłek, często jedyny, jaki miała okazję spokojnie zjeść w ciągu dnia. Na początku ich małżeństwa, jeszcze przed przyjściem na świat Owena, wstawał razem z nią, chociaż sprawiało mu to dużą trudność. Siadał przy stole w szlafroku narzuconym na przygarbione ramiona i przyglądał się, jak Susan piecze na grillu kielbaski, smaży jajka, smaruje masłem grube grzanki i nalewa kawę do kubków. W tamtym okresie wspólnego życia mieli kocicę, łagodną, pogodnie usposobioną do życia i ludzi stworzoną, która chętnie sadowiła mu się na ramieniu, pocierając wąsami o jego pokryte zarostem policzki i donośnie mrucząc. Po wyjściu Susan, kiedy odgłos jej kroków już ucichł, Nick wracał do łóżka, a kotka biegła kilka kroków przed nim. Wskakiwała na kołdrę, przez chwilę ugniatała ją łapkami z wyciągniętymi pazurami i wreszcie zwijała się w kłębek, przytulona do jego pleców.

Pewnego dnia wczesnym rankiem Susan powiedziała Nickowi, że jest w ciąży. Zwymiotowała śniadanie i jej twarz przybrała chorobliwy odcień szarości, a czoło pokryło się zimnym potem. Usiadł obok niej na brzegu wanny i zaczął masować jej kark.

- Nie chciałam ci nic mówić, zanim moje podejrzenia się potwierdzą... - Oparła się o niego z wyraźną ulgą. - Popatrz, odebrałam to wczoraj...

Czarno-białe zdjęcie przypominało księżycowy krater widziany przez teleskop. Nick pogładził błyszczący papier czubkami palców.

- Widzisz? - szepnęła Susan. - To nasze dziecko...

Znowu odgłosy kroków na górze, tym razem cięższych. Tembr głosu mężczyzny był niski, o zupełnie innej częstotliwości drgań niż u Susan. Nick utkwiał wzrok w suficie. Paul O'Hara musiał przyjechać w nocy, kiedy on spał. Przyjechał, żeby dzielić z nią łóżko, a teraz jadł z nią śniadanie... Nick słuchał uważnie. Ktoś puścił wodę do zlewozmywaka i zaraz zamknął kran. Potem lekkie i ciężkie kroki przemierzyły hol nad jego głową, trzasnęły wejściowe drzwi. Pośpiesznie zrzucił kołdrę i podkradł się do okna. Niebo było ciemnoszare, ponure, a oni stali przy furtce, ubrani do pracy. Mężczyzna trzymał w ręku teczkę i telefon komórkowy. Susan przeciągnęła grzebieniem włosy, ściągnęła je do tyłu i ścisnęła gumką. Śmiała się. Tamten otoczył ją ramieniem, przyciągnął bliżej, pocałował w policzek, potem w usta. Odwrócił się i ruszył w kierunku samochodu zaparkowanego przed bramą sąsiadów, a Susan podniosła torebkę i wetknęła kluczyk do zamka swojego samochodu. Obejrzała się przez ramię, napotkała spojrzenie Nicka i uśmiechnęła się. Odwróciła wzrok, otworzyła drzwiczki, wsiadła do środka i zatrzasnęła drzwi za sobą.

Nick się cofnął. Był zmarznięty na kość, drżał na całym ciele, zaschło mu w gardle, w ustach miał nieprzyjemny posmak. Susan nigdy wcześniej nie patrzyła na niego z takim drwiącym triumfem, zawsze była nieśmiała i ostrożna, niepewna swoich fizycznych walorów. Teraz widział, jak przywarła całym ciałem do tamtego mężczyzny, uniosła ściągnięte gumką włosy, podsunęła mu swoje piersi i zakołysała biodrami niczym nastolatka, a on roześmiał się, pocałował ją i pieśczołtliwie pogłaskał po plecach. Nickowi zrobiło się niedobrze.

Róisín wszystko mu powiedziała. Czekał pod klubem i poszedł za nią do domu na Royal Street, lecz tym razem był szybszy, lepiej przygotowany. Nie zawołał jej imienia, ale mocno napał ramieniem na furtkę i wcisnął się za dziewczyną do środka. Nie okazała zdziwienia.

- Wejdz, wejdz, proszę bardzo, oczywiście... - Jej głos był trochę zdyszany, zacinała się lekko, tak samo jak dawniej.

Odwróciła się i chłodnym, ciemnym pasażem ruszyła przed siebie w kierunku drewnianych schodów.

Jej mieszkanie na piętrze było duże i pełne światła. Wysoko sklepione pokoje, wywoskowane, wypolerowane podłogi, eleganckie nowoczesne meble. Nick usiadł na obitej grubym kremowym płótnem sofie, nie czekając na zaproszenie. Róisín wróciła z kuchni z dwoma butelkami piwa, otworzyła i podała mu jedną. Odchylił głowę do tyłu i pociągnął duży łyk. Dziewczyna usiadła na krześle o wysokim, twardym oparciu. Nie odrywała wzroku od jego twarzy.

- No więc? Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Nick otworzył usta grzbietem dłoni. W pokoju panował chłód, klimatyzator szumiał głośno. Było mu zimno, miał wrażenie, że krople potu na jego plecach zmieniają się w kostki lodu. Wzruszył ramionami.

- Widziałem cię w barze. Niezły występ.

Uśmiechnęła się.

- Nie mów mi tylko, że cię zgorszyłam... - Napiła się piwa.

- Nie, nie zgorszyłaś mnie, ale na pewno zaskoczyłaś. Dziwię się, że właśnie ty robisz coś takiego... - Przerwał i potoczył wzrokiem po białych, pustych ścianach. - Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał...

- Nie? A czego byś się po mnie spodziewał? Znowu wzruszył ramionami.

- Nie znasz mnie, prawda? Zupełnie nic o mnie nie wiesz. Nigdy nie wiedziałeś. W odległej przeszłości w ogóle nie liczyłam się w twoim świecie, mam rację?

Nick utkwiał wzrok w podłodze. Próbował sobie przypomnieć, co wiedział o Róisín.

- Byłam dziewczyną, którą zatrudniałeś do opieki nad dzieckiem, kiedy nie miałeś pod ręką nikogo innego, ale nie znałeś mnie, prawda? Nie wiedziałeś o mnie nic albo prawie nic...

- Przepraszam... - Nick postawił butelkę na podłodze. - Nie powinienem był nachodzić cię tutaj, ale gdy w barze rozpoznałem, kto ukrywa się pod tą maską, nie mogłem przestać myśleć o Owenie i o tym, co było dawniej. Zanim to się stało.

- Zanim co się stało?

- Przecież wiesz, o czym mówię...

- Tak, wiem. Zanim twoja żona odkryła, kim naprawdę jesteś. - Drobną twarz Róisín rozjaśniła się w uśmiechu. - Biedna Susan, taka z niej dobra osoba... Zawsze była dla nas bardzo miła, tymczasem ty pieprzyłeś tę larwę z sąsiedztwa... Miała na imię Gina, prawda? Malarka, jak ty... Wszyscy wiedzieliśmy o was, często obserwowaliśmy was z alejki za domami. Czasami pękaliśmy ze śmiechu. Nawet Marianne, twoja najgorętsza wielbicielka, która za nic nie mogła uwierzyć, że zdradzasz żonę, nawet ona była zde gustowana... - Róisín skrzyżowała nogi i nachyliła się ku niemu. - Tak czy inaczej, teraz na pewno ucieszysz się wiadomości, że Susan w końcu jest szczęśliwa. Otrzymałam tę nowinę z dobrego źródła, więc wreszcie możesz spać spokojnie, mój drogi...

Nick przyglądał się jej w milczeniu.

- Twoja żona ma chłopaka - powiedziała Róisín, obnażając drobne białe ząbki. - Wiedziałeś o tym? Facet mieszka u niej, w twoim domu... - Przerwała i zerknęła na Nicka. - Wyglądasz na zaskoczonego... Nie przyszło ci do głowy, że poczuje się samotna i zechce dzielić życie z kimś innym? Cóż... - Uniosła butelkę w geście toastu. - Teraz wreszcie ma kogoś, z kim może dzielić wszystko, co zechce...

Nick wstał i ruszył do drzwi.

- Ojej, ojej! - Róisín wygodniej usadowiła się na krześle. - Idziesz już? Jaka szkoda... Myślałam, że będziesz miał ochotę wybrać się na trochę dłuższą wólcę drózkami przeszłości, powspominać swojego zaginionego chłopca, znowu zasypać mnie pytaniami o tamto popołudnie... Nie chcesz? Szkoda, szkoda... No, ale i tak nie powiedziałabym ci nic nowego...

Przystanął i spojrzał na nią przez ramię.

- Podjąłeś słuszną decyzję - ciągnęła. - Dobrze, że wyjechałeś z Dublina. Po co miałbyś tam siedzieć? Poszłam za twoim przykładem i też rzuciłam to wszystko. Ameryka, to dopiero coś, prawda? Kraina wielkich możliwości, ulice brukowane złotem... - Podniosła się, podeszła do niego i położyła dłoń na jego piersi, tuż nad

sercem. - Nie musisz iść, wiesz? Jestem dziś sama, więc może dotrzymałbyś mi towarzystwa? - Zaczęła rozpiąć guziki jego koszuli.

Nick poczuł dotknięcie jej chłodnej skóry, ale kiedy popatrzył na nią, ujrzał twarz dziecka o brązowo-zielonych oczach i włosach koloru mysiego futerka. Cofnął się gwałtownie i bez słowa poszedł ku drzwiom. Róisín podreptała za nim.

- Ojej... - Zwiesiła głowę, jej twarz przybrała wyraz udawanego smutku. - Ojej, chyba nie jestem w twoim typie... Cóż... - Podniosła butelkę. - Osiem, osiem, pamiętasz? - Zaśmiała się głośno, nieprzyjemnie.

- Naprawdę nie pamiętasz? Nie pamiętasz tej swojej starej książki? To była *Wyspa skarbów*, czy coś takiego... John Silver z papugą na ramieniu... Wszyscy byliśmy papugą, po kolei... - Przechyliła głowę na bok i zamachała ramionami jak skrzydłami. - Osiem, osiem! - wrzasnęła przeraźliwie, podskakując najpierw na jednej, potem na drugiej nodze.

Nick się odwrócił. Nagle zabrakło mu słów, nie miał nic więcej do powiedzenia. Otworzył drzwi i wyszedł na półpiętro. Woda ciurkała powoli z małej fontanny w patiu na dole. Zbiegł po schodach na dół, przeskakując po dwa stopnie, i znowu znalazł się na ciepłej, parnej ulicy. Kiedy spojrzął za siebie, zobaczył jej drobną, szczupłą sylwetkę na balkonie.

W mieście nad wielką rzeką na pewno nadal było jeszcze gorąco. Gorąco i parno, przez cały wrzesień, często do końca października, chociaż eleganckie damy zabierały już futra z przechowalni. Kiedy jednak Nick szedł tamtego wieczoru ulicą, czuł na policzkach powiew zimnej irlandzkiej jesieni, krople deszczu na plecach, słyszał szelest opadających liści pod stopami. Słońce wędrowało coraz niżej nad ziemią, a wieczory codziennie kradły cenne minuty.

Teraz także było mu zimno, w tym znajomym pokoju i domu. Drżał z zimna i wyczerpania, powieki mu opadały, ciało skłaniało się ku posłaniu. Ułożył się wygodnie i otulił kołdrą. Ukrył twarz w poduszce. Oddech uleciał spomiędzy jego rozchylonych warg, ciemność zamknęła się nad jego głową. Zasnął.

Rozdział ósmy

Była to jedna z tych spraw, o których nie da się zapomnieć. Lata mijają, a ludzie wciąż je pamiętają. Ósmioletni chłopiec i jego rodzice, taka miła para, prawda? I co się zdarzyło, co naprawdę zdarzyło się tamtego dnia po południu, w święto Halloween przed dziesięciu laty?

W piwnicy budynku głównej kwatery policji okręgu miasta stołecznego Dublina przy Harcourt Square znajduje się sala pełna dowodów rzeczowych, a właściwie magazyn. To tam przechowywano wszystkie dowody, zebrane w czasie poszukiwań i dochodzenia w sprawie zaginięcia Owena Cassidy'ego. Pięć szaf z zeznaniami i kwestionariuszami. Grube pliki fotografii domów, samochodów, ulic, alejek, otwartych przestrzeni, zaniedbanych działek, budynków publicznych, kościołów. I liczący sto stron raport, napisany przez nadkomisarza Matta O'Dwyera, ze szczegółowym opisem wszystkiego, co zaszło od godziny osiemnastej trzydzieści tamtego wieczoru, kiedy Susan Cassidy zadzwoniła na komisariat, do zakończenia dochodzenia sześć miesięcy później. W raporcie znajdował się także skład i opis czterech zespołów, na jakie podzielono policjantów. Ze-

spół zajmujący się kwestionariuszem, zespół poszukiwawczy, zespół dochodzeniowy i biurowy. Raport w prosty, przejrzysty sposób opowiadał, co się wydarzyło i kiedy. Kilka aneksów zawierało informacje dodatkowe i uzupełniające, między innymi listę szkół, instytucji oraz innych punktów, gdzie rozdano i zebrano kwestionariusze, listę wraz ze szczegółowym opisem wszystkich przeszukanych miejsc, listę dat, rozwinięcie odpowiedzi na pytanie, czy w sprawę nie była wmieszana jakaś sekta, religijna lub o innym profilu. Także w aneksach umieszczono opinie jasnowidzów, którzy mówili o przeszłości i przyszłości na podstawie wizji, snów, kontaktu z przedmiotami i tak dalej - każde z nich wypowiedziało się w swojej dziedzinie. Łącznie raport zawierał czterysta dwadzieścia zeznań. A konkluzja była taka, że mimo niezliczonych godzin pracy i nagłośnieniu sprawy w środkach masowego przekazu, nie udało się wyjaśnić, co stało się z dzieckiem.

Na końcu znajdowała się lista podejrzanych, długa, a jednocześnie uboga. Byli na niej wszyscy i nikt, od rodziców chłopca po emerytowanego listonosza, który przeprowadzał dzieci przez pasy pod szkołą. Gdyby udało się określić miejsce popełnienia przestępstwa, sprawa byłaby o wiele jaśniejsza. Czasami wydawało się, że miejscem przestępstwa jest całe pasmo wybrzeża od Dublina aż po Bray, ponad dwadzieścia kilometrów, ale cóż z tego, gdy nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd dziecko mogło trafić i gdzie popełniono zbrodnię, bo trudno było przecież uwierzyć, że jej nie popełniono.

A lista podejrzanych? Na pierwszych miejscach znajdowali się mężczyźni. Policja ze szczególną uwagą potraktowała wszystkich mężczyzn i chłopców, zamieszkałych lub pracujących w promieniu mniej więcej półtora kilometra od domu zaginionego. W magazynie dowodów złożono mapę, dużą, dwa metry pięćdziesiąt centymetrów na metr pięćdziesiąt. Była to powiększona siatka ulic przedmieścia Dun Laoghaire, którą policjanci przykleili do ściany w pokoju operacyjnym. Sporządzili listę mieszkańców każdego domu, jako informacje podstawowe podając płeć oraz wiek. Skupili się na mężczyznach. Przesłuchiwali ich po kolei i w krótkim czasie wiedzieli o nich więcej niż o własnych krewnych. Poznali dobre i złe cechy ich charakterów, zgromadzili mnóstwo informacji. Kto kogo zdradzał i z kim. Kto był homoseksualistą i ukrywał to przed żoną. Czyja firma stała na krawędzi upadku. Kto zbierał śmietankę i przelewał pieniądze na oddzielne konto w banku. Ludzie, o których na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że nie mają nic, ale to nic do ukrycia, wypowiadali się z wielu grzechów i grzeszków. Pewna policjantka, bardzo młoda i entuzjastycznie nastawiona do pracy, ta sama Min Sweeney, która zamieszkała w domu Cassidych, na ochotnika przygotowała jeszcze inną siatkę. Rozrysowała kalendarz wydarzeń tamtego dnia i następnego tygodnia i umieściła na tym planie każdą z przesłuchanych osób. Robiło to wrażenie, naprawdę.

Niestety, żadne z tych działań nie rzuciło światła na los Owena Cassidy'ego.

Dwóch przedstawicieli zespołu dochodzeniowego, dojrzałych mężczyzn, rzecz jasna, obarczono trudnym zadaniem przeprowadzenia rozmowy z mężem Giny Harkin na temat natury i częstotliwości wizyt Nicka Cassidy'ego u jego żony. Przez krótką chwilę serca zabiły im szybciej, bo odnieśli wrażenie, że może zniknięcie dziecka ma coś wspólnego z romanssem Giny i Nicka. Pomyśleli, że a nuż w grę wchodzi zemsta, wet za wet, ale szybko się zorientowali, że jest to bardzo mało prawdopodobne. Mąż Giny Harkin był aktorem, który występował w reklamach telewizyjnych, a także w popularnym w tamtym okresie serialu telewizyjnym. Wyglądał na alkoholika i miał raczej lekkie podejście do niewierności żony. Powiedział policjantom, że w gruncie rzeczy jej zachowanie wcale go nie dziwi, ponieważ sam ma na sumieniu kilka zrad.

Dowiedzieli się także, że Gina nie była pierwszą kochanką Cassidy'ego. Jakiego zdania były o nim mieszkające w okolicy panie? Wysłano do nich Min.

Nick był cudowny, wspaniały, miał doskonale poczucie humoru i był bardzo wrażliwy. No i był idealnym ojcem.

- Właściwie to był dla Owena jak matka - powiedziała jedna z kobiet. - Był taki jak my...

Miłe było też to, że tak chętnie włączał się we wszystkie akcje. Woził dzieciaki do szkoły, pomagał organizować święta szkoły i dzień sportu, zawsze był gotów zająć się dzieckiem, którego matka zachorowała lub z powodu jakiegoś niespodziewanego zdarzenia nie mogła po niego przyjechać. Wszystkie kobiety powtarzały zgodnym chórem, że Nick był strasznie, okropnie miły, a trzy, przyciśnięte do muru, zeznały, że ich stosunki z ojcem Owena nie były zupełnie platoniczne.

- Oczywiście, sytuacja trochę się zmieniła, kiedy u Cassidych zamieszkała Marianne - mówiły wszystkie.

- Zmieniła się? W jaki sposób? Czy coś działo się między Cassidym i dziewczyną? O to chodzi? - pytała Min Sweeney.

Och, nie, nie o to im chodziło. Nie, nie, Nick miał do dziewczyny bardzo ojcowski stosunek, nic z tych rzeczy, nie, nie... Chodzi tylko o to, że chyba nie poświęcał już Owenowi tyle czasu co wcześniej. Marianne przyprowadzała chłopca rano do szkoły i zabierała po południu. To z nią porozumiewały się w sprawie urodzinowych przyjęć, wycieczek nad morze i wizyt z nocowaniem u kolegów, już nie z ojcem Owena. Brakowało im Nicka.

- Kto to jest, ta opiekunka? Skąd się u nich wzięła? Znaleźli ją z ogłoszenia w gazecie czy przez agencję?

Och, to zupełnie inna sprawa... Wszystkim paniom wydawało się, że reżyserką całej tej sytuacji była matka Marianne. Najwyraźniej dziewczyna, wtedy osiemnastolatka, bardzo chciała wyjechać do Dublina, a jej rodzice martwili się, czy da sobie sama radę.

- Bo widzi pani, kiedy Marianne była młodsza, okropnie chorowała. Stwierdzono u niej białaczkę, czy coś takiego, i przez kilka lat była pacjentką Susan Cassidy, która zaprzyjaźniła się z nią i jej rodzicami. Kiedy Marianne przyjeżdżała do szpitala na zabiegi, jej rodzice zatrzymywali się u Susan i Nicka, można więc powiedzieć, że naprawdę łączyła ich przyjaźń. Ojciec Marianne był malarzem, a może rzeźbiarzem, no, w każdym razie artystą...

- Czy matka Owena nigdy nie poświęcała mu czasu? - pytała Min. - Zawsze była aż tak pochłonięta pracą?

- Ależ tak, absolutnie! Odkąd pamiętamy, Susan zawsze stawiała pracę na pierwszym miejscu.

- Nick powiedział mi, że zawarli pewnego rodzaju umowę - zwierzyła się jedna. - Widzi pani, Nick bardzo chciał mieć dzieci, natomiast Susan nie była zdecydowana. Ona tylko wygląda na taką łagodną i miękką, w gruncie rzeczy jest twarda i stanowcza. Cóż, gdyby była inna, pewnie nie udźwignęłaby ciężaru tej pracy... No więc Susan uważała, w każdym razie Nick tak mówił, że swój czas i siły powinna poświęcić chorym dzieciom, i wcale nie była pewna, czy chce mieć własne...

- Naprawdę? - Min zachęcająco uniosła brwi.

Czyżby kryło się tu coś, co mogłoby doprowadzić ich do rozwiązania?

- Nie, proszę mnie źle nie zrozumieć, Susan była, to znaczy, jest, kochającą, czułą matką... - W głosie kobiety zabrzmiała nuta niepokoju. - Widać to, kiedy ona i Owen są razem, ale... - Lekko wzruszyła ramionami.

- Więc dlaczego w ogóle zdecydowała się na dziecko?

- Cóż, Nick powiedział jej, że jest gotowy wziąć na siebie lwią część codziennych obowiązków... - Kobieta dołała Min i sobie kawy. - Że sam wszystkim się zajmie i Susan nie będzie musiała niczym się martwić. I tak się stało, Nick naprawdę czuwał nad wszystkim.

Dopóki nie przyjechała Marianne.

Jaka była Marianne? Następna seria rozmów, następne zeznania. Min Sweeney znowu ruszyła do boju, sprawnie stenografując, potem zaś odczytując zapis zwierzchnikom.

- Kiedy Owen zniknął, wpadła w rozpacz. Kochała małego, a on kochał ją. Świetnie się rozumieli, lubili ze sobą przebywać. Zwykle Marianne bardzo chętnie poświęcała mu swój czas bez żadnych ograniczeń, ale na ten dzień miała inne plany, już wcześniej umówiła się z Chrisem i Róisín Gouldingami, i jeszcze z kimś. Tak czy inaczej, Cassidy uparł się, żeby zajęła się dzieckiem, powiedział jej, że ma spotkanie z wydawcą. Marianne czuła, że Nick kłamie i wściekła się. Pozbyła się dzieciaka, sama tak to określiła - dała mu trochę pieniędzy i kazała zniknąć, spławiła go razem z jego przyjacielem. Potem poszła do tamtych.

- Daleko?

- Nie, do domu obok. Często wszyscy razem przesiadywali w piwnicy. Młodzi Gouldingowie urządzili tam sobie pokój do zabawy - to moje określenie, nie jej. Mieli magnetofon kasetowy, małą kuchenkę, gdzie mogli coś ugotować, kilka starych materaców i sofę. Prawie codziennie spędzali tam czas z przyjaciółmi. Ich rodzice często wyjeżdżali na weekendy, wtedy też ich nie było, więc... - Min przerwała i zerknęła na O'Dwyera znad notatnika.

- Nie mów, niech zgadnę... Seks, narkotyki i rock and roli?

Zgadł. Palili marihuanę, brali też prochy, które Chris zawsze miał pod ręką. Marianne powiedziała Min, że uprawiali seks, bo się kochali, a Chris był jej pierwszym chłopakiem.

- Mają alibi czy nie?

Wszyscy zostali przesłuchani. Każde potwierdziło to, co mówili pozostali troje. Chris Goulding początkowo wyparł się posiadania LSD. Przyznał, że miał w domu marihuanę, ale oni wiedzieli, że nie mówi prawdy. Wystarczyło kilka odpowiednio zastosowanych gróźb, żeby się załamał. Podał nawet nazwisko dealera. Róisín Goulding próbowała zaprzeczyć, że uprawiała seks i zażywała narkotyki, lecz także szybko pękła. Powiedziała, że rodzice zabiliby ją, gdyby się dowiedzieli, i potwierdziła zeznania złożone przez Marianne oraz Chrisa. Tak samo postąpił Eddie Fallen, spokojny chłopak z długimi, ciemnymi włosami i paskudnym trądzikiem. Ich nazwiska i poczynania znalazły się na przygotowanej przez Min siatce.

- Śni ci się Owen Cassidy? - zapytała Min szefa pod koniec trzeciego miesiąca śledztwa. - Bo mnie tak...

- Czy mi się śni? Chyba nie, ale dużo o nim myślę. A jeśli pytasz o to, czy myślę o nim w czasie snu, to tak, chyba można powiedzieć, że mi się śni.

Wszyscy myśleli o nim we śnie i na jawie, w pracy i w domu. Myśleli o nim również sześć miesięcy później, kiedy z pierwotnego zespołu zostało już tylko kilka osób, bo większość trzeba było oddelegować do innych zadań, i nawet rok, dwa lata, trzy lata później, gdy cały materiał dowodowy złożono w magazynie przy Harcourt Square. Nawet kiedy wycinki prasowe, taśmy audio i wideo oraz wspomnienia krewnych i przyjaciół chłopca stały się karmą dla archiwum, ci, którzy byli zaangażowani w sprawę od samego początku, wciąż myśleli o Owene, zastanawiali się, czekali na jakiś moment zwrotny. Wciąż mieli nadzieję, że nagle coś się stanie, wcześniej czy później.

Prawie wszyscy spotykali się jeszcze przez dłuższy czas po zakończeniu śledztwa. Umawiali się na kanapkę i małe piwo w porze lunchu, albo na kilka piw w ciemne zimowe wieczory. Zaczęto ich uważać za innych, dziwnych, pokręconych, wszystko jedno, jak to nazwać.

- To pieprzone towarzystwo wzajemnej adoracji - powiedział ktoś.

- Tyle że nie ma czego adorować - rzucił inny. - Śledztwo nie zakończyło się sukcesem, prawda?

I tak przenosili to swoje piętno czy też może aureolę z komisariatu na komisariat, z jednej zmiany na drugą, z dochodzenia na dochodzenie. Min Sweeney zawsze uważała, że jest to i piętno, i aureola jednocześnie. Nigdy nie rozmawiała o tym z obcymi, zaciekawione spojrzenia nie sprawiały jej przyjemności, ale zawsze, przy okazji każdej rocznicy zaginięcia Owena, znajdował się jakiś mądrała, który mówił: „Pogadajcie z Min, ona wie wszystko o tej sprawie”.

Czy naprawdę wiedziała cokolwiek o sprawie Owena Cassidy'ego? Wiedziała jedno - chłopiec zniknął i nigdy nie udało się go odnaleźć. Wiedziała więc dokładnie tyle, co ojciec dziecka, którego twarz nagle zobaczyła przez oszklone drzwi, prowadzące z ogólnej poczekalni na komisariacie do jej pokoju.

- Czego on chce? - zapytała Hennigana, dyżurującego sierżanta, który po nią przyszedł.

Hennigan wzruszył ramionami.

- A jak ci się wydaje? Tego samego, co my wszyscy.

- Przecież ja nie mogę mu pomóc, nie teraz, nie po tych wszystkich latach... - Cofnęła się, mając nadzieję, że Nick Cassidy jej nie dostrzeże.

- Możesz sobie tak myśleć, może zresztą ja też tak uważam, ale szef powiedział, że masz z nim porozmawiać. On na pewno cię pamięta, więc pozbędziesz się go szybciej i bardziej bezboleśnie niż którykolwiek z nas, no nie? - Otworzył drzwi i odsunął się, żeby ją przepuścić.

Piętno czy aureola? Wystarczyło spojrzeć na twarz Nicka Cassidy'ego, żeby odgadnąć, którą wersję by wybrał. Min z trudem przełknęła ślinę, podeszła do czekającego i podała mu rękę.

- Dzień dobry, panie Cassidy - powiedziała. - Podobno chciał się pan ze mną zobaczyć.

Rozdział dziewiąty

Strata nikomu nie dodaje uroku, pomyślała Min, siadając po drugiej stronie biurka. Wciąż pamiętała Nicka Cassidy'ego takim, jakim był w dniu, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. A wtedy na jego widok dosłownie zaparło jej dech w piersiach. Zrobił wrażenie nawet na jej kolegach, niektórych potwornie męczyła zazdrość. I nie chodziło tylko o to, że był bardzo przystojny, chociaż, naturalnie, również i to. Cassidy był wysoki, szczupły, świetnie zbudowany i umięśniony, z długimi nogami i wąskimi biodrami. Z pociągłej, śniadej twarzy o wyraźnych rysach patrzyły intensywnie błękitne oczy. Miał ciemne włosy do ramion, układające się w naturalne fale, i uśmiech, który sprawiał, że można było tylko uśmiechnąć się słabo w odpowiedzi.

Ważny był jednak także jego sposób bycia. Nick Cassidy był naprawdę miłym facetem. Czarującym, bez dwóch zdań, chociaż jego urok stał się mniej widoczny pod wpływem rozpaczy i gorączkowej aktywności, jaka opanowała go w pierwszych dniach i tygodniach po zniknięciu syna, i wtedy spod tej wierzchniej warstwy wyłoniło się coś innego, chyba jeszcze lepszego. Głębia, ciepło, szczerość. Trudno było dopasować to do obrazu olśniewającego uwodziciela, który przeleciał te wszystkie kobiety, nie myśląc chyba ani o swojej żonie, ani o mężach swoich kochanek.

Teraz Min miała przed sobą zupełnie innego mężczyznę. Ten Nick Cassidy robił wrażenie zmęczonego życiem, pokonanego. Mówiły o tym nie tylko zmarszczki wokół oczu i ust czy pasma siwizny w ciemnych włosach. Był po prostu inny i to dawało się wyczuć. Przecież ja też się zmieniłam, pomyślała, patrząc na swoje dłonie, które nerwowo skubały leżące na biurku teczki z aktami. Mnie także strata nie dodała uroku.

Podniosła wzrok i napotkała wpatrzony w nią wzrok.

- Nie słucha mnie pani, prawda? - Jego głos nagle wypełnił cały nieduży pokój. - Może dla pani nie ma to wielkiego znaczenia, może widzi to pani jako kolejną zamkniętą sprawę, czy jak tam nazywacie takie przypadki, ale dla mnie jest to bardzo ważne i oczekuję przynajmniej odrobiny uprzejmości, nie aroganckiej obojętności!

- Chwileczkę, chwileczkę! - Min uniosła się na krześle, do żywego dotknięta oskarżeniem. - Spokojnie! Sprawa pańskiego syna nie jest zamknięta, to po pierwsze! Jak wszystkie dochodzenia, które nie zakończyły się wszczęciem postępowania prokuratorskiego i skazaniem winnego, wciąż pozostaje otwarta. Problem polega na tym, że wyczerpaliśmy wszystkie możliwości dalszego prowadzenia śledztwa, jak sam pan dobrze wie, i do pojawienia się jakichś nowych wskazówek niewiele możemy poradzić...

Przerwała. Oderwała ręce od biurka, usiadła i odchrząknęła.

- Proszę posłuchać... - zaczęła. - Pamiętam, przez co przeszliście, pan i pańska żona. Może nie przypomina pan sobie tego, ale tamte wydarzenia dotknęły także i mnie. Spędzałam wtedy z wami dużo czasu, prawda? Wiem, jak to było. Może mi pan wierzyć, że nie zapomnieliśmy o tej sprawie, ani ja, ani żaden z moich kolegów. Wszyscy pragniemy z całego serca, żeby dochodzenie zakończyło się jakimś konkretnym wynikiem. Nie jesteśmy dumni z faktu, że nie udało nam się nawet znaleźć ciała waszego syna i potwierdzić, że nie żyje. Wcale nie jesteśmy z tego dumni... I wiele byśmy dali, żeby to zmienić.

- Więc dlaczego nie chce pani ponownie otworzyć dochodzenia?

- Tłumaczyłam już panu, że dochodzenie nie jest zamknięte, pozostaje tylko w stanie zawieszenia i nie można nic z tym zrobić, dopóki nie otrzymamy jakiejś nowej informacji lub dowodu.

- Bzdury! - Nick wstał. - Nie do wiary! Nie mogę uwierzyć, że nie przejrzeście jeszcze raz zebranych wtedy danych, wszystkich zeznań, wszystkich tych kwestionariuszy! Pamiętam, ile tego było! Pamiętam, że znaliście praktycznie każdy krok zamieszanych w sprawę osób, wiedzieliście, co kto robił tamtego dnia i w dniach poprzednich. Nie wierzę, że wśród tych wszystkich szczegółów nie kryje się klucz do zniknięcia Owena! Na miłość boską, wciąż pamiętam, jak przesłuchiwał mnie ten bezczelny mądrała, zaraz, zaraz, jak on się nazywał... Sierżant Carrol, O'Carrol, Callaghan, coś takiego... Skoro ten facet potrafił w ciągu pół godziny zmusić mnie do złożenia najbardziej niewygodnych zeznań, to dlaczego nie zrobił tego z innymi?!

- Zrobił, ale nic z tego nie wynikło. - Min podniosła głos, nie panując nad poczuciem bezradności. - Andy Carolan próbował wszystkiego, zastosował wszystkie swoje sztuczki, lecz informacje, które wydusił z pana i innych, można w najlepszym wypadku opisać jako drobne wykroczenia, pogwałcenia zasad moralnych i etycznych. Nie uzyskaliśmy żadnych istotnych zeznań czy choćby takich, które rzuciłyby jakieś światło na sprawę. Jak sam pan dobrze pamięta, zostaliśmy z pustymi rękami...

- Więc co zamierza pani z tym zrobić? - Usiadł, skrzyżował nogi i wyjął paczkę papierosów.

- W tym budynku obowiązuje zakaz palenia. - Min wskazała wiszący na drzwiach znak.

- Och, na miłość boską... - Nick zerwał się z krzesła i wepchnął papierosy do kieszeni. - Mówię pani, że coś musi się zmienić, a jeżeli pani nic nie zrobi, sam się tym zajmę!

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem i w pokoju zapanowała nagle cisza. To bezczelny mądrała, pomyślała Min. Typowy opis Andy'ego. Podejrzani, których przesłuchiwał, nigdy nie mieli o nim nic dobrego do powiedzenia. Po pierwszej rozmowie z Andym niektórzy być może uznaliby go za miłego, rozsądnego, pełnego zrozumienia faceta, ale zwykle już w czasie drugiej zmieniali zdanie. Wydarzenia wymykały się spod kontroli - Andy opowiadał jej o tym wiele razy. Wcześniej czy później przychodził moment, kiedy Andy przyspieszał, zmieniał bieg, zwiększał napięcie. Zrzucał maskę Miłego Faceta i odsłaniał twarz Prawdziwego Skurwysyna.

- Lubisz to, przyznaj się - mówiła wtedy.

Uśmiechał się kpiąco. Kąciki jego ust podnosiły się, policzki wydawały się okrągłe i rumiane, jak u dziecka.

- Tak jest, skarbie, lubię to. Co tam, lubię, uwielbiam. To najlepsza rzecz na świecie, no, poza sama wiesz czym...

Andy był dobry, bardzo dobry. Należał do małej garstki najskuteczniejszych śledczych w irlandzkiej policji. Kiedy umarł, bardzo im go brakowało, ale nikt nie odczuł jego odejścia tak jak ona. Nie wiedziała, jak nazwać to, co przeżywała, wszystkie popularne określenia wydawały się niestosowne, za słabe. Złamane serce, skamieniałe serce... Szczerze mówiąc, po śmierci Andy'ego w ogóle straciła serce do życia i nie wiadomo, co by z nią było, gdyby nie dzieci, którymi przecież musiała się zająć. Szczęśliwy debel Andy'ego - tak nazwał bliźniaki zaraz po urodzeniu, kiedy wziął noworodki na ręce i przytulił, patrząc na identycznie pomarszczone twarzyczki.

- Dobrze, że mamy ich dwóch - powiedział. - Wyobrażasz sobie nasze kłótnie, jakie imię nadać jednynkowi? Po kim, po twoim ojcu czy po moim? A tak mamy święty spokój...

I rzeczywiście. Jeden z chłopców otrzymał imiona James Patrick, po ojcu Andy'ego, a drugi Joseph Malachy, po ojcu Min.

- Jim i Joe, tak ich będziemy nazywać - oświadczył Andy, kiedy przywieźli synów do domu. - Krótko i po prostu...

Teraz chłopcy mieli sześć lat i chodzili do zerówki. Za dwa lata osiągną wiek Owena Cassidy. Czasami Min się zastanawiała, czy inaczej potraktowałaby tamtą sprawę, gdyby wtedy była już matką. Przed dziesięciu laty dopiero wstąpiła do policji i właściwie nie miała zielonego pojęcia, na czym polega ta praca. Każdy dzień był dla niej nową przygodą, każda sytuacja lekcją. Doświadczenia nie miała za grosz, nie wiedziała, jak podchodzić do dochodzenia. Ale przecież miałaś przełożonych, którzy służyli ci pomocą, kpiła czasami z tamtej młodej Min. Byłaś zresztą tylko małą śrubką w całej tej maszynie dochodzenia, zwykłym szeregowcem, kimś, kto wypełnia rubryki w dokumentach... Dopuszcili cię do śledztwa wyłącznie dlatego, że potrzebna im była kobieta, albo tak sądzili, kobieta, która z wyczuciem zajęłaby się drobnymi sprawami.

- Ty idź, Min - kiwali głowami. - Porozmawiaj z matką, na pewno łatwiej jej będzie pogadać z tobą niż z którymś z nas...

Albo:

- Zostań u nich na noc, Min, bo już nie dają sobie rady z tymi wariatami, którzy do nich wydzwanają. Obecność kobiety nie będzie ich tak krępowała, może nawet będzie im miło, że mają w domu sympatyczną, uprzejmą osobę, która zaparzy herbatę, odbierze telefon i otworzy drzwi...

Pozostałą część komentarza przemilczali, chociaż była ona równie oczywista. Jesteś młoda, ładna, masz lśniące, krótkie czarne włosy, duże brązowe oczy i wysportowaną figurę, która dobrze wygląda nawet w marnie skrojonym granatowym mundurze... Bóg wie, co facet ci powie, kiedy ogarnie go rozpacz i wyrzuty sumienia, i poczuje, że musi się przed kimś wypłakać...

Zawsze tak było, od samego początku.

- Lepiej zgłoś się do wydziału walki z przemocą w rodzinie i naucz się, jak zajmować się zgwałconymi. Będiesz mogła wziąć wszystkie te poplątane sytuacje rodzinne, kazirodztwo, przypadki pobicia żon przez mężów i inne takie rzeczy, które chłopcom nieszczególnie pasują...

Zaraz, chwileczkę, miała ochotę odpowiedzieć. Wcale nie chcę prowadzić takich spraw. Co z włamaniami, podpaleniami, szantażami i morderstwami, do kurwy nędzy? Co z Sekcją do Zadań Specjalnych? Dlaczego nie mogę wybierać, jak wszyscy? Dlaczego nie mogę być prawdziwą policjantką?

Potem urodziła bliźniaki, ale nawet wtedy jakoś sobie radziła. Ona i Andy pracowali na różne zmiany. Andy pomagał w domu, okazało się, że to także uwielbia robić. Potrafił godzinami rozprawiać o pieluchach, butelkach, wzdęciach, kolce i bezsennych nocach, był jak najczulsza matka. Gotował posiłki, trzymając Jima na jednym biodrze, a Joego na drugim. Kąpiął malców, cierpliwie czekał, aż im się odbije i całował ich, wywołując wybuchy radosnych chichotów, a wszystko to wcale nie gorzej od niej.

A potem umarł. Bez ostrzeżenia, bez żadnych wcześniejszych dolegliwości, ot, tak sobie. Wróciła do domu po nocnej zmianie i usłyszała, jak chłopcy próbują obudzić ojca. Kiedy otworzyła drzwi do salonu, telewizor i lampy były jeszcze włączone. Andy leżał na boku na sofie, na niskim stole przed nim stała otwarta butelka piwa, w rękę ścisnął do połowy zjedzoną kanapkę z szynką. Słyszając jej kroki, Jim podniósł wzrok.

- Tatuś mocno śpi - powiedział. - Strasznie mocno...

Ale Andy nie spał, Andy był martwy. Wylew krwi do mózgu, oznajmił patolog. Nagły, katastrofalny w skutkach krwotok, pęknięcie żyłki i po wszystkim. I tak nic nie dałoby się zrobić.

Min wiedziała, co szepczą do siebie za jej plecami.

- Dobrze, że wykorkował. Gdyby przeżył, leżałby jak kłoda i nie byłoby z niego żadnego pożytku.

Tyle że przynajmniej mogłabym pożegnać się z nim, wychodząc do pracy, myślała. Mogłabym pocałować go, przytulić i powiedzieć, jak bardzo go kocham, a jego ciało byłoby ciepłe i miękkie, nie zimne i sztywne, jak wtedy, gdy go znalazłam. I może udałoby mi się pomóc mu wrócić do normalnego życia, kto wie... Może moja miłość obudziłaby go ze snu i któregoś dnia, kiedy pocałowałabym go na dzień dobry, otworzyłby oczy i znowu byłby mój...

Spojrzała na zegarek. Zaraz przerwa na lunch. Miała szczęście, naprawdę. Może czuwanie nad życiem zawodowym Matta O'Dwyera, pilnowanie terminarza jego spotkań i odpowiadanie na rozmaite pytania i żądania, lądujące na biurku nadinspektora, nie było szczególnie fascynujące, ale przynajmniej dzięki tej pracy miała czas dla dzieci. Ostatnio słyszała jednak pogłoski, czy raczej stołówkowe plotki, że niektórzy uważali, iż powinna podjąć jakąś decyzję. Czy chce pozostać w służbie czynnej, czy zrobić podyktowany przez rozsądek krok i wrócić do życia w cywilu? Na pewno dostałaby dobrą pracę jako osobista asystentka albo kierowniczka biura. Była inteligentna, umiała posługiwać się komputerem, rozumiała, jak funkcjonują duże instytucje. Mogłaby zostać cywilnym pracownikiem policji albo w ogóle poszukać zajęcia gdzie indziej, najlepiej w jakiejś dużej, zamożnej firmie, gdzie zarabia się więcej. Sama o tym myślała, ale świadomość, że pracuje w policji, sprawiała jej dziwną satysfakcję. Ta praca była życiem Andy'ego. Gdyby teraz odeszła, zostawiłaby go, w pewien sposób zdradziła, a tego nie chciała zrobić. Nie była na to gotowa, jeszcze nie. Więc co by zrobiła, gdyby się nagle dowiedziała, że wraca do normalnych zajęć, do pracy na zmianę, do patrolowania ulic?

Jeszcze raz szybko zerknęła na zegarek. Jeżeli się pośpieszy, wróci do domu dość wcześnie, żeby zjeść kanapkę z dziećmi i ich opiekunką. Może nawet zdąży napić się herbaty? Nie, na to jednak raczej nie starczy jej czasu... Nieważne. Dowie się, co chłopcy robili w zerówce, czy Jim gorzej nie kaszle i czy Joe już zapomniał o tym złym śnie, który tak przestraszył go w nocy. Powie im, że ich kocha i upewni się, że wszystko u nich w porządku - to na pewno zdąży zrobić.

Rozdział dziesiąty

Ciemne noce najlepiej nadawały się do obserwowania lisów, zwłaszcza te bezksiężycowe, kiedy niebo zawleczone jest cienką warstwą chmur, przez które gwiazdy wydają się jeszcze bardziej odległe i niedostępne niż zazwyczaj. Kiedy Susan wyłączyła wszystkie światła w domu i stanęła przy kuchennych drzwiach, zwierzę wkrótce się pojawiało. Skradało się, z długim nosem przy ziemi, węsząc w poszukiwaniu robaków, żuków, ślimaków, czegokolwiek do jedzenia, co można znaleźć w trawie i zarośniętych kwiatowych grządkach. Stwierdziwszy, że nic więcej nie ma, biegło w zaułek muru, gdzie stały pojemniki na śmieci. To była najbardziej odpowiednia chwila, żeby otworzyć drzwi, cicho zamknąć ją za sobą i ostrożnie, powoli zejść do ogródka.

Oczywiście ten lis, a raczej lisica, która sprowadziła się do ogrodu w ostatnich latach, była prawie oswojona. Susan regularnie karmiła ją kuchennymi resztkami, stawiała pod murem miseczkę z rozdrobnionym w mleku chlebem, żeby zróżnicować jej dietę. Czuła, że w pewien sposób jest to winna Owenowi. Pamiętała, jak rozzłościł się na nią, kiedy powiedziała mu, że lisy są potwornymi szkodnikami, że na wsi, gdzie dorastała, farmerzy z otwartymi ramionami witali przyjeżdżających na polowanie myśliwych.

- Trzeba ograniczać ich populację, kochanie - powiedziała. - W przeciwnym razie zagryzłyby wszystkie kury i kurczaki. Kiedy zakradną się do kurnika, dostają ataku morderczego szału. Nie masz pojęcia, co wyrabiają. Zabijają o wiele więcej ptaków, niż są w stanie zjeść, mordują dla przyjemności, zostawiają mnóstwo pokrwawionych zwłok...

Jej argumenty nie przekonały Owena. W jego oczach lis był miłym zwierzęciem i nie mógł zrobić nic złego. Nick narysował synowi pięknego lisa i powiesił go na ścianie w jego pokoju.

- To lisica - wyjaśnił Owen, kiedy któregoś wieczoru Susan przysiadła na brzegu jego łóżka. - Lisica jest lepsza od lisa, bo może urodzić dzieci, szczenięta, które także wyrosną na piękne zwierzęta, podobne do niej...

- Ma jakieś imię? - zapytała Susan, biorąc książkę z półki.

- Oczywiście. Każdy człowiek i każde zwierzę ma jakieś imię.

- Więc jak ona się nazywa? Powiedz mi...

Owen przechylił głowę na bok i przytknął czubek palca do kącika ust, świadomie naśladować ojca.

- Myślę, że nadam jej imię „Susan”. Wiesz, dlaczego, mamusiu? Dlatego, że czasami twoje włosy w słońcu wydają się zupełnie rude i są wtedy naprawdę piękne.

Nachyliła się, pocałowała go w czubek głowy, otuliła kołdrą i położyła się na chwilę obok niego.

- Poczytać ci tę książkę? - zapytała. - *Syn gwiazdy*, z ilustracjami tatusia, pamiętasz ją?

Owen skinął głową, przesadnie energicznie poruszając okrągłym podbródkiem.

- Jasne! To ta bajka o dziecku z nieba, które drwale znajdują w lesie, ratują i oddają miłej rodzinie, która się nim opiekuje.

- Podobają ci się obrazki? Tatuś umie pięknie rysować, prawda?

Znowu pokiwał głową i wskazał palcem rysunek przedstawiający chłopca.

- To ja - powiedział. - Tatuś wziął moją twarz i umieścił ją w książce, tak?

- Tak - odparła. Przytuliła syna do siebie i zaczęła czytać. - Dawno, dawno temu dwóch ubogich drwali wracało do domu z wielkiego sosnowego lasu...

Tej nocy także nie było księżycy. Cieniutki paznokietek, który widziała na niebie poprzedniej nocy, przesłoniły gęste chmury, więc schodząc do ogródka, mocno trzymała się poręczy i patrzyła pod nogi. Za godzinę lub dwie powinien przyjechać Paul. Rano powiedział, że wróci na noc. Susan wiedziała, dlaczego. Nie podobało mu się, że pozwoliła Nickowi zamieszkać w piwnicy. Kiedy wyjaśniła mu, co było w liście, mruknął pod nosem, że to nie jego sprawa, ale... Potem wzruszył ramionami i dodał, że nie chce się wtrącać, nie ma zresztą prawa, ale zupełnie nie rozumie, dlaczego jej mąż wraca właśnie teraz i dlaczego chce zatrzymać się u niej, w tym domu. Czy nie czułby się swobodniej u jednej ze swoich sióstr?

- Na pewno nie - pokręciła głową. - Były na niego wściekłe i bardzo rozżalone, kiedy nie przyjechał po śmierci ich matki. Mówiłam ci o tym, nie pamiętasz? Odłożyły pogrzeb o tydzień, próbowały go odszukać, skontaktowały się z ambasadorem Irlandii w Waszyngtonie i z konsulatami na terenie całych Stanów. Mam wrażenie, że do ostatniej chwili, kiedy na trumnę spadła pierwsza garść ziemi, liczyły, że Nick jednak się zjawi...

- Ty także na to liczyłaś? - Paul spojrzał jej prosto w oczy.

Odwróciła wzrok, nie odpowiedziała. Liczyła, oczywiście. Stała przy grobie i spodziewała się, że lada chwila zobaczy jego wysoką, szczupłą postać i ciemnowłosą głowę, zobaczy, jak przepycha się przez tłum żałobników w jej kierunku.

A teraz w końcu przyjechał. Odwróciła się w kierunku domu. W piwnicy paliły się wszystkie światła, widziała cały duży pokój z kuchennym aneksem. Nick stał przy kuchence i mieszał coś w dużym czerwonym garnku. Stół był nakryty. Na środku stała otwarta butelka wina i bukiet kwiatów w dzbanuszkach. Kwiatki z supermarketu, pomyślała. Rdzawo-pomarańczowe chryzantemy, które nienaturalnie długo nie więdną. Nick przykrył garnek i przeszedł w drugi koniec pokoju. Tu także wyburzył ścianki działowe. Zrobił to sam, dużym młotem, pozostawiając jasną, otwartą przestrzeń. Teraz zapalił punktową lampę i usiadł na brzegu wysokiego stołka, pochylił długie ciało nad deską do rysowania. Susan zbliżyła się ostrożnie, chcąc zobaczyć, co robi. Pracował, jak zwykle w potwornym bałaganie. Na podłodze leżały duże arkusze papieru, obok niego, na małym stoliku, cały zestaw piór, ołówków, farb, pędzli, tuszów. Podeszła jeszcze bliżej. Krąg światła padał na biały papier i słoik z wodą, w którym płukał pędzle. Nagle z przeszłości napłynął ku niej ostry zapach farby. Nick zawsze pachniał farbą, zawsze miał jej resztki pod paznokciami, choćby nie wiadomo jak długo szorował je szczotką... Teraz wyprostował się i zmierzył wzrokiem swoje dzieło. Wstał, przeciągnął się i przez głowę zdjął sweter i biały T-shirt. Rozbierał się w drodze do łazienki, rzucając rzeczy na podłogę. Skórę miał brązową na całym ciele, z wyjątkiem pasa bieli na biodrach i pośladkach. Drgnęła, poruszona widokiem jego nagości i zasłoniła oczy, zaraz jednak opuściła ręce. Długą chwilę stała i patrzyła, zanim wreszcie odwróciła się i odeszła. Czas płynął, musiała się pośpieszyć. Czekala na nią Lizzie.

Było już późno, kiedy Nick usłyszał jakiś dźwięk, dobiegający z ogródka. Nie zdołał go od razu zidentyfikować. Może był to trzask trąconej wiatrem gałęzi, a może skrobanie drobnych pazurów o granitowy mur. Wstał od deski i podszedł do oszklonych drzwi, otworzył je i wyszedł na zewnątrz. W odległym rogu, tam, gdzie stały pojemniki na śmieci, coś poruszyło się gorączkowo, trawa zaszeleściła. Nick uświadomił sobie, że spłoszył jakieś nieduże zwierzę, może kota albo lisa. Dawno temu bardzo się zdziwił, kiedy okazało się, że lis jest niewiele większy od kota, znacznie mniejszy, niż sądził, i podobny do kota także pod innymi względami. Lisy umiały skakać, wspinać się, czołgać, skradać, wciskać się do wszelkiego rodzaju dziur w ziemi, kryjówek, nor. Nick zajrzał do śmietnika, ale amatora grzebania wśród śmieci już nie było. Na ziemi leżała tylko rozerwana torba, z której wysypało się kilka puszek po napojach i resztki po posiłku. Schylił się, wrzucił wszystko z powrotem do pojemnika i dokładnie zamknął pokrywę.

Zawrócił do domu. Na górze światło paliło się w kuchni i w małym gabinecie obok niej. Susan siedziała przy komputerze, w okularach. Coś nowego, pomyślał. Dawniej nigdy nie nosiła okularów. Nadawały jej nieco staroświecki, surowy wygląd. Natychmiast skojarzyła mu się z wymagającą nauczycielką albo wojowniczą

feministką. Włosy miała ściągnięte w węzeł na karku, zmarszczone czoło. Na pewno pracowała. No, tak, wszystkie te dzieci i ich potrzeby...

- Bawisz się w Boga, oto, co robisz - powtarzał jej. - Dlaczego nie dasz im po prostu umrzeć, spokojnie i godnie? Przecież wiesz, że prędzej czy później i tak umrą. Co im po tobie, po tych twoich kroplówkach i magicznych pastylkach?

- Dzięki nim mają szansę dorosnąć - odparowywała zwykle. - Przeżyć jeszcze parę lat w domu, z rodziną i być może doczekać chwili, kiedy na rynku pojawi się nowy, skuteczny lek...

- Jasne, jasne! - zadrwił kiedyś Nick. - Mają też szansę zostać świnkami doświadczalnymi w rękach twoich kumpli farmaceutów, bo o to tak naprawdę chodzi, prawda?

I natychmiast pożałował tych słów. Susan miała rację. Przecież sam dobrze wiedział, że gdyby to Owen był chory, on sam zrobiłby wszystko, żeby wycisnąć choćby kilka dni z jej czarodziejskiego kapelusza.

Wyglądała na zmęczoną, garbiła się. Zjrzy do niej, pomyślał. Zaproponuje, że zaparzy herbatę, może zrobi jej drinka. Usiądą przy stole i pogadają. Opowie jej o swoim życiu w Ameryce, o ludziach, których spotkał w czasie podróży. Spróbuje jeszcze raz wyjaśnić jej, dlaczego wyjechał, powie, jak cierpiał, kiedy w końcu dowiedział się o śmierci matki. Susan go zrozumie. Zawsze go rozumiała. Posiedzą sobie razem w tym małym, cichym pokoju, otoczeni jej książkami, porządnie ustawionymi na półkach, które sam zrobił. Potem weźmie ją za rękę. Pocałuje ją, najpierw w policzek, później w usta. Ona zbliży twarz do jego twarzy i znowu będzie jak dawniej. Wstaną od stołu i Nick poprowadzi ją do schodów. Pocałuje ją jeszcze raz i powoli pójdą na górę, do sypialni. I wszystko będzie dobrze. Będą szczęśliwi, ona i on.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się i w progu stanął mężczyzna, którego ona nazywała Paulem. Nick ujrzał, jak Susan uśmiecha się, wyciąga do niego rękę. Tamten stanął za jej plecami, oparł dłonie na ramionach, potem zsunął je w dół, ujął piersi. Nick zobaczył, jak ona opiera się o kochanka z uśmiechem, potem zaś wstaje i odwraca się twarzą do niego. Paul rozpiął guziki koszulowej bluzki Susan, pochylił głowę, zdjął jej biustonosz i zaczął całować piersi, unosząc je lekko i skubiąc sutki wargami. Susan zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu, uwalniając włosy z luźnej gumki. Wyciągnęła ręce ponad głowę mężczyzny i szybko zaciągnęła ciężkie zasłony, lecz wcześniej Nick zdążył jeszcze zobaczyć, jak tamten szarpnięciem rozpina suwak jej spódnicy i zaczyna zsuwać ją w dół.

Po chwili Nick odwrócił się i ruszył do furtki. Otworzył ją i wyszedł na pogrążoną w ciemności alejkę. Oparł się o ogrodzenie, bo nagle zrobiło mu się słabo ze zdenerwowania. Nie powinien był podglądać Susan. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć. Spojrzał w bok. Furtka prowadząca do ogrodu Gouldingów stała otworem. Drgnął, zdziwiony. Dawniej, przed katastrofą, Brian Goulding miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Na szczycie muru kazał założyć kolczasty drut, a na dachu domu automatyczny reflektor, który zapalał się, kiedy tylko coś poruszyło się w zasięgu jego czujników. Reflektor nadal tkwił na dachu, ale żarówka była zbita, a zwoje kolczastego drutu przeżarła rdza. Nick wyciągnął rękę, żeby zamknąć furtkę i wtedy się zorientował, że w ogrodzie coś się zmieniło. W miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się warzywne grządki Hilary Goulding, teraz stał drewniany domek o spadzistym dachu, z okienkami w trzech ścianach i podwójnych drzwiach w czwartej. Drzwi były otwarte. Nick podszedł bliżej i ostrożnie zajrzał do środka. Natychmiast poczuł zapach pleśni i rozkładu. Zeschnięte liście, ale chyba coś jeszcze, pomyślał. Może ostry, piźmowy lisi odór... Gdy po-

stawiał nogę na schodku, podłoga zakołysała się lekko. Nick wiedział, co to takiego. Miał kiedyś starą ciotkę, która mieszkała w dużym domu w Blackrock. Była to stara panna, którą jego matka nazywała „niezamezną”. W dużym, pięknym ogrodzie ciotki stał letni domek z poczerńiałego drewna. Pod podłogą, w centralnym punkcie, znajdowała się oś i duże koło, za jego pomocą można było obracać domkiem, żeby zawsze padały nań promienie słońca. Pamiętał, jak czasami jeździł tam z matką na podwieczorek. Siadali na leżakach ustawionych na tarasie domku i po pewnym czasie ciotka prosiła Nicka, żeby przekręcił domek o kilka stopni. Opierał się barkiem o drzwi i pchał mocno.

- Wystarczy, wystarczy! - wołała ciotka. - Dosyć, Nicholasie, teraz jest doskonale...

Później słońce zmieniało położenie i znowu trzeba było popchnąć domek. Teraz Nick popchnął domek w ogrodzie Gouldingów, ale nic się nie stało. Budynek się nie przesunął, zakołysał się tylko mocno. Jest stary i koło na pewno już dawno się zepsuło, pomyślał Nick.

Zawrócił do furki i wtedy nagle okna zabłysły światłem, najpierw w małej sypialni na samej górze, potem na schodach i podeście. Chłopiec, którego Nick widział już wcześniej, stał przy oknie i wpatrywał się w ogród z tym samym chłodnym wyrazem twarzy. Obok niego stała wysoka, bardzo szczupła kobieta z krótkimi czarnymi włosami. Na rękach trzymała drugie, mniejsze dziecko, chyba dziewczynkę. Mała zaczęła płakać i kobieta podeszła do schodów. Zeszła do kuchni, włączyła światło i wyjęła karton mleka z lodówki. Postawiła na blacie kubek i naląła do niego trochę mleka. Dziewczynka wisiała uczepiona biodra matki jak małpka. Chłopiec zbliżył się do matki i wyciągnął rękę. Kubek wymknął mu się z palców, mleko chlusnęło na podłogę. Kobieta odwróciła się do syna, na jej pełnej napięcia twarzy odmalowała się wściekłość. Odepchnęła chłopca na tyle mocno, że się przewrócił. Zaczęła znowu nalewać mleko, teraz trzymając kubek poza zasięgiem rąk małego. Usiadła na krześle i próbowała napić córeczkę, ale chłopak nie rezygnował. Wdrapał się na stół i gwałtownym ruchem sięgnął do twarzy matki, która pchnęła go znowu, mocniej niż poprzednio. Upadł do tyłu i uderzył tyłem głowy o podłogę. Nick skrzywił się, czując ból we własnej czaszce, wyobrażając sobie trzask, z jakim głowa dziecka zderzyła się z kafelkami. Powinien coś zrobić, nie mógł biernie patrzeć na coś takiego... Nie zdążył jednak zrobić kroku w kierunku domu Gouldingów, kiedy do kuchni wszedł młody mężczyzna. Nick poznał go od razu, bez najmniejszego trudu, bo tamten prawie nie zmienił się od czasu, kiedy Marianne była w nim zakochana. Wtedy prawie codziennie zaglądał do Cassidych. Po jego wizytach zawsze znajdowali kubki z fusami po kawie i pełno niedopałków na kuchennym stole i na podłodze w salonie, i oczywiście radio przestrojone na najpopularniejszą stację, bez przerwy nadającą muzykę rockową. A Marianne zaczynała każde zdanie od „Chris mówi”, „Chris uważa”, albo „Chris chce”.

- Dobrze by jej zrobiło, gdyby trochę uniezależniła się od Chrisa Gouldinga - powiedział kiedyś do żony.

Susan wzruszyła ramionami i powiedziała, że nie należy się dziwić, iż Marianne wciąż szuka poczucia bezpieczeństwa.

- W ciągu tak krótkiego życia doznała więcej cierpienia i niepewności niż większość ludzi przez kilkadziesiąt lat - dodała. - Nie zapominaj też, że rodzice rozpieszczali ją i chronili przed kontaktem ze światem, odkąd na dobre wyszła ze szpitala. Trochę to potrwa, zanim Marianne nauczy się stać na własnych nogach. Cierpliwości.

Niezbyt wysoka, szczupła sylwetka. Brązowe włosy, opadające na czoło, dotykające oprawek okularów, usta, które rozciągnęły się w uśmiechu, kiedy Chris pochylił się, żeby podnieść chłopca z podłogi. Podnieść go i pocieszyć, zakręcić nim w powietrzu, posadzić sobie na kolanach i pieszczotliwie potargać mu włosy...

Chris wyciągnął rękę nad stołem, ujął dłoń kobiety, podsunął jej papierosy i ogień. Napełnił małą szklaneczkę jakimś przezroczystym płynem z butelki, pewnie wódką, napił się. Potem wstał, podrzucił chłopca, który uczepił się jego ramion, i razem z kobietą i dziewczynką wyszli z kuchni, gasząc za sobą światło. Nick widział, jak wszyscy czworo powoli idą po schodach, potem lampa na klatce schodowej także zgasła. Wydawało się, że cały dom pogrążył się nagle w ciemności. Nick stał przy furtce i czuł, jak chłód wsącza się w jego ciało, przenika je do szpiku kości.

Później długo siedział przy piecyku, ze szklaneczką whisky w rękę. Butelka stała u jego stóp. Nasłuchiwał, lecz na górze panowała całkowita cisza, na ulicy także. Tylko z daleka dobiegał cichy pomruk tłoczących się w centrum miasta samochodów.

- Owen... - szepnął Nick, czując ruch ciepłego powietrza na wargach. - Owen... - powtórzył trochę głośniej. - Gdzie jesteś, moje dziecko? Odpowiedz mi, odpowiedz teraz...

W pokoju trwała cisza. Znajoma, martwa cisza.

Rozdział jedenasty

Praca w policji nie była fajerwerkiem dramatycznych wydarzeń, wręcz przeciwnie, dochodzenie przebiegało zawsze powoli i wymagało wysiłku. Dramatyczny, poruszający, czasami nawet przerażający był tylko przedmiot śledztwa, lecz w miarę upływu lat nawet podejście do przestępstwa stawało się rutyną. Właśnie tak Min myślała o swojej pracy.

Na początku była podniecona, pełna oczekiwań i nadziei, ale z czasem zaczęła patrzeć na wszystko inaczej.

Andy wytłumaczył jej, dlaczego tak się dzieje.

- To dlatego, że musisz bez przerwy zwracać uwagę na detale. Przebiegasz zeznania wzrokiem, ale jednocześnie czytasz między wierszami, prawda? Potrafisz wyłowić z tekstu zadania, które masz wykonać, a z tych jeszcze drobniejsze zadania. I wiesz, że ostatecznym rezultatem tej całej pracy będzie schwytanie w sieć nie krabów, wodorostów i drobnych rybek, ale wielkiej, solidnej ryby, którą należy obejrzeć, oczyścić z ości i skóry, i usmażyć...

Zadzwonili do niej z biura głównego nadkomisarza. Stołówkowe plotki okazały się prawdą. Naczelny wyraził życzenie, żeby oderwała się od nudnej biurowej pracy, przeniosła się do kwatery głównej i znowu zanurzyła ręce w błocie. Mieli dla niej konkretne zadanie i uważali, że świetnie nada się do tej roboty.

- Jesteś nam potrzebna - usłyszała. - Potrzebujemy policjantek na pierwszej linii. Nie masz pojęcia, jak bardzo zmienił się świat w ciągu ostatnich kilku lat. Teraz wszystkim rządzi pieprzony Internet. Sytuacja wymyka się spod kontroli i wyniknie się zupełnie, jeżeli szybko jej nie opanujemy.

Min milczała. Wcale nie miała ochoty nigdzie się przenieść.

- Jesteś nam potrzebna, poza tym najwyższy czas, żebyś się stąd ruszyła.

- Ale dlaczego tam? Dlaczego nie mogę wrócić do patrolowania ulic? Nie miałabym nic przeciwko temu, naprawdę. Dlaczego coś takiego?

- Och, daj że spokój, Min! - obruszył się Matt O'Dwyer. - Gdzie się podziała twoja ambicja, twój zapał do pracy? Przed śmiercią Andy'ego byłaś detektywem, zapomniałaś? Powinnaś wykorzystywać swoje zdolności.

Nie było o czym dłużej rozmawiać. Szef kazał jej się zgłosić na szkolenie.

- Musisz jak najszybciej podciągnąć się w pracy z komputerem. Przyda ci się to.

- Przecież potrafię posługiwać się komputerem, na miłość boską! Wiem, jak poruszać się po Internecie. Czy szefostwo wyobraża sobie, że do tej pory tylko polerowałam paznokietki i przymierałam nowe kiecki?

Instruktor okazał się młodym, przystojnym facetem. Przedstawił się uprzejmie. Conor Hickey, detektyw. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy, szare oczy o ciężkich powiekach i złoty kolczyk w jednym uchu. Zauważyła, że skórę miał gładką, nieco śniadą, wysokie, wydatne kości policzkowe i głęboki dołek w brodzie. Wskazał jej krzesło. Jego długie nogi sterczały spod biurka, Min nie mogła się oprzeć wrażeniu, że przy komputerze nie ma dla niej miejsca. Usiadła ostrożnie i rozejrzała się dookoła.

- Gdzie się wszyscy podziali? - zapytała. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Są zajęci, wyszli, prowadzą dochodzenie. Min wskazała głową komputer.

- Co robisz? Opowiedz mi.

Przesunął krzesło na kółkach kilka centymetrów w prawo, potem w lewo.

- To sprawa, nad którą pracuję. Szef powiedział mi, żebym jak najszybciej cię podciągnął. Podobno nie jesteś zbyt dobrze zorientowana, ale bez trudu łapiesz, o co chodzi.

- Zobaczymy. - Min usiadła prosto. - Jestem gotowa. Słucham. Na co czekamy?

Starła się tego nie okazywać, ale szybko się pogubiła. Mówił językiem, który wydawał jej się kompletnie niezrozumiały. Znała reguły swojej pracy - upór w dążeniu do celu, wytrwałość, ostrożność. Opisać przestępstwo, znaleźć sprawcę - to było proste i klarowne, ale tu chodziło o realia, w jakich popełniano zbrodnie, i właśnie na tym polegał problem.

- Musisz? - zapytała, kiedy zapalił piątego papierosa z rzędu.

- Tak, bo co? - Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek, przez chmurkę dymu.

- Masz... - Chwilę pogrzebała w torbie, wyjęła paczkę gumy do żucia i rzuciła ją na klawiaturę. - Spróbuj tego, zanim zdecyduję się wytoczyć ci sprawę o narażenie zdrowia na szwank w rezultacie biernego palenia...

Nie był to dobry początek.

- Powoli, powoli! - krzyczała na niego, nie nadążając za tempem, w jakim jego palce śmigały po klawiszach. Grupy plików. Tablice, ikony. Czaty internetowe. Serwery. Listy. Protokoły przekazu danych. - Wyjaśnij mi to, wytłumacz!

Roześmiał się tylko i poklepał ją po plecach, potem zaś wetknął sobie do ust listek gumy i jednocześnie zapalił papierosa.

Wróciła do domu z włosami i ubraniem przesiąkniętymi dymem. Zrobiła sobie duży dzin z tonikiem, sekundę odpoczęła i zabrała się do przygotowywania kolacji. Pieprzony mały gnojek, za kogo on się ma?

Zjedli posiłek przy stole w kuchni, jak zwykle. Chłopcy zawsze starali się ją podejść, żeby pozwoliła im jeść przed telewizorem, ale ona nie ustępowała. Uważała, że przynajmniej raz dziennie powinni razem usiąść do stołu i nie zamierzała z tego rezygnować. Często się zastanawiała, co Andy zrobiłby w tej sytuacji. Czy próbowałby zaprowadzić jakiś porządek w ich życiu, narzucić chłopcom choćby minimum dyscypliny? Cóż, gdyby Andy był przy niej, nie zadawałaby sobie takich pytań, nie musiałaby tego robić.

Opiekunka chłopców poszła na wieczorne zajęcia. Miła dziewczyna, Rosjanka, Vika Pietrowna. Drobna, chudziutka, z tlenionymi włosami i skórą koloru rozwodnionego mleka. Przyjechała z Sankt Petersburga, w każdym razie tak mówiła... Min czasami miała pewne wątpliwości, ale nie zadawała zbyt wielu pytań. Nie mogłaby poradzić sobie z dziećmi sama, a znalezienie względnie niedrogiej i dobrej opiekunki graniczyło z cudem.

Chłopcy mieli doskonały apetyt. Min podała im baranie kotlety i purée z ziemniaków, szpinak z marchewką, a na deser banany i lody. Jak zwykle kłócili się do upadłego, o wszystko. Nie była to normalna rywalizacja, ale wojna.

- Dostyc tego! - rzuciła ostro, kiedy Jim ukradł Joemu ostatnią łyżeczkę lodów, po czym dostał pięścią w nos i wybuchnął płaczem. - Jazda na górę, rozbierajcie się! Czas na kąpiel.

Musisz przestać ciągle zadrećcać się pytaniem: „Co by było, gdyby...”, powiedziała sobie. Nikomu nic to nie da, musisz wychować ich sama, trudno. Jakoś to będzie. Nalała sobie drugiego dużego drinka i poszła z chłopcami do łazienki. Dobrze chociaż, że wciąż sprawia im to radość, pomyślała, siadając na klapie sedesu. Niedługo nie będą mogli pomieścić się w wannie. Puściła gorącą wodę, zimną, wyrównała temperaturę. Jim i Joe nadal mieli swoje ulubione zabawki - żabkę, która pływała, kiedy pociągnęło się za sznurek tkwiący w jej buzi, pohukujący holownik, starą gumową kaczkę, która dawno temu miała stadko małych kaczuszek w brzuchu.

- Nie zapomnijcie, po co jest mydło, dobrze? - Podniosła się. - I spróbujcie się dokładnie umyć. Zaraz wracam.

Dwie mokre buzie zwróciły się ku niej, obie uśmiechnięte, z otwartymi ustami, w których błyskały krzywe mleczaiki.

Wtedy pamięć podsunęła jej to, co po południu widziała na ekranie komputera Conora. Był to chłopiec, mniej więcej w wieku jej synków. Siedział w wannie, w łazience całkiem podobnej do jej własnej. Jego usta były otwarte, ale nie w uśmiechu. Twarzą zwrócony był do nagiego mężczyzny, który klęczał w wannie obok niego, Dłoń mężczyzny podtrzymywała podbródek chłopca, prowadziła jego głowę w pożądanym kierunku. Prerażone oczy dziecka patrzyły prosto w kamerę. Mały na pewno nie zdawał sobie sprawy, że nie ma ucieczki, nie ma wyjścia. Conor poruszył myszką, kliknął klawiszem, zmienił klatkę i Min zobaczyła, co działo się później, i jeszcze później, i jeszcze... Widziała wszystko, do samego końca.

Wyszli z budynku na lunch. Conor chciał iść do stołówki. Z namysłem poklepał się po brzuchu, gasząc papierosa w popielnicze.

- Masz rację - powiedział, sięgając po dzinsową kurtkę. - Myślę o frytkach...

Ale Min nalegała, żeby poszli gdzieś indziej.

- Tylko nie do baru kanapkowego! - jęknął, kiedy ruszyła w kierunku Stephen's Green. - Jezu Chryste, ratunku!

Zignorowała go i skręciła w jedną z alejek, łączących Harcourt Street i Camden. Przypomniała sobie, że jest tam kafejka, którą prowadzi dwóch gejów z hrabstwa Cork. Włoska kuchnia z kilkoma ustępstwami na rzecz kuchni lokalnej. Zamówiła zupę minestrone ze świeżym chlebem i sałatkę z mozzarellą. Conor zdecydował się na lasagne i dużą porcję frytek. Min miała ochotę na pół karafki czerwonego wina, ale myśl o długim popołudniu szybko zniechęciła ją do tego pomysłu.

- No, a teraz opowiedz mi to wszystko jeszcze raz, tylko po angielsku - powiedziała, przełykając ser i pomidory. - Ewentualnie po irlandzku, w każdym razie w jakimś zrozumiałym języku...

Nie odpowiedział od razu. Dłuższą chwilę pakował sobie jedzenie do ust ze skupieniem godnym zagłodzonej sierotki. Min ostrożnie sączyła gorącą zupę. Conor nabił na widelec okazałą frytkę i podsunął jej. Potrząsnęła głową i w rewanżu zaproponowała mu kawałek mozzarelli. Wstrząsnął się z obrzydzeniem.

- Nienawidzę tego czegoś - wyznał. - To nie ser, ale jakaś gumowata substancja, którą trzeba połknąć, chociaż najlepiej byłoby ją wypluć. - Odłożył widelec i spojrzał na nią. - Byłaś żoną Andy'ego Carolana, prawda?

Kiwnęła głową.

- Znałeś go?

- Nie, nie osobiście, ale wiem, kim był. Wszyscy wiedzieliśmy. - Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała uśmiechem. - Było nam strasznie przykro, kiedy... Kiedy umarł. To okropne, że ktoś taki odszedł tak szybko.

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu, gardło ścisnęło się boleśnie. Jak dobrze знаła to uczucie...

- Krąży o nim mnóstwo historii - ciągnął Conor. - Myślę, że brał udział chyba w każdym dochodzeniu w sprawie zabójstwa przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Trzydzieści.

- No, właśnie. Był świetnym gliniarzem, takim przykładem z podręcznika, wszyscy to mówią. - Skończył frytki i wytarł palce w dużą białą chustkę do nosa, którą wyciągnął z kieszeni spodni. - Wiedziałem, że był żonaty z policjantką, słyszałem o tobie, ale trochę inaczej sobie ciebie wyobrażałem...

- Myślałeś, że jestem starsza, tak?

- No, tak... - Sięgnął po papierosa, lecz jej spojrzenie powstrzymało go. - On musiał być, czy ja wiem, co najmniej... - przerwał.

Przestań mnie podpuszczać, Conor, pomyślała, patrząc mu prosto w oczy. Nie pogarszaj sytuacji.

- Co najmniej dwadzieścia lat starszy ode mnie? To chciałeś powiedzieć?

Wzruszył ramionami. Jego palce pracowicie składały brzeg serwety.

Był ode mnie starszy dokładnie o dziewiętnaście lat i sześć miesięcy. Kiedy umarł, miałam trzydzieści trzy lata, a jemu zabrakło dwóch miesięcy do pięćdziesiątych trzecich urodzin. Taka to była różnica wieku...

- W porządku - kiwnął głową. - Cieszę się, że wyjaśniliśmy sobie to drobne nieporozumienie. - Odchylił się do tyłu w krześle i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. - Co do jednego na pewno mieli rację...

- Mieli rację? - przerwała mu, nie chcąc słuchać dalej. - O co ci chodzi?

- Gdy dowiedzieliśmy się, że przenoszą cię do nas, ostrzegano mnie, że jesteś bardzo bezpośrednia i nie znosisz gównianych gadek. I że twoje duże brązowe oczy i słodki uśmiech to tylko zmyłka, bo tak naprawdę jesteś twardą kobietą.

- Naprawdę? - Odsunęła miseczkę. - Co za pomówienie... Sama nigdy nie użyłabym takiego określenia. Trudna, nerwowa, porywczą - o, raczej coś takiego. Niecierpliwa, tak... No, dobra, zamówmy kawę i wreszcie mi wytłumacz, o co chodzi z tymi komputerami. Czym różni się to wszystko od każdej innej formy przestępczej działalności?

- Opowiedz mi o swoich synach - powiedział, nie odrywając wzroku od jej twarzy. - W jakim są wieku, czym się interesują, do jakiej chodzą szkoły, jak wygląda ich normalny dzień. Opowiedz mi o ich nauczycielach, o sprzedawcy lizaków, który ma stoisko przed szkołą, o ich przyjaciółach, ojcach ich przyjaciół, starszych braciach ich przyjaciół, znajomych starszych braci ich przyjaciół. O wujach i stryjach twoich dzieci, ich kuzynach i dziadkach. O właścicielu sklepu na rogu, roznosicielu mleka, śmieciarzu, staruszku, który mieszka w sąsiednim domu. Opowiedz mi o nich wszystkich, a wtedy ja powiem ci, jakie znaczenie mają te informacje.

Min słuchała uważnie, w milczeniu.

- Masz w domu zdjęcia? Zdjęcia dzieciaków na plaży albo na boisku do piłki nożnej? Na huśtawkach w parku, w kąpielni, na przyjęciu urodzinowym kolegi albo na wycieczce w zoo? Masz takie fotografie? Skinęła głową.

- Widzisz, gdzie tam są ludzie, zazwyczaj mężczyźni, którzy kolekcjonują takie zdjęcia. - Machnął ręką w kierunku zaporowanego okna. - Mają ich setki tysięcy. Zbierają je i przechowują, wymieniają się z innymi kolekcjonerami. W twoich oczach są to niewinne fotki, wspomnienia, które należy pielęgnować, ale dla tych ludzi przedstawiają one zupełnie inną wartość. To są fotografie erotyczne, które zapewniają im najwyższą satysfakcję seksualną. Pomagają w masturbacji, służą jako swoiste stymulatory. Takie zdjęcia są dla nich na wagę złota.

Conor wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął plastikowy album.

- Przedwczoraj przeprowadziliśmy rewizję w pewnym domu w Galway. Właściciel puścił niektóre z tych zdjęć w obieg, oczywiście w Internecie. Zauważył je policjant z Oklahomy, mój kumpel, podczas rutynowego przeglądu stron, na których porozumiewają się pedofile. Nie wiedział, jakie jest pochodzenie fotografii, ale rozpracował całą grę i przysłał mi materiały. Dzięki temu zdobyliśmy adres elektroniczny niejakiego pana Connemary. Popatrz, co znaleźliśmy u niego na strychu...

Sięgnęła po album i otworzyła go. Wewnątrz były zdjęcia chłopców ćwiczących rzut kulą, dalej tych samych chłopców w szatni. Dwunastoletnich, może trzynastoletnich, nie była pewna. Bardziej i mniej rozebranych. W slipkach, bokserkach, koszulkach gimnastycznych, skarpetkach, T-shirtach. Żaden nie był nagi, znalazła jednak kilka fotografii chłopców owiniętych ręcznikiem. Byli to zwyczajni chłopcy, młodzi Irlandczycy o białej skórze, usianej piegami i wypryskami. Z brązowymi, zwyczajnymi włosami. Nie byli piękni, ot, naprawdę przeciętni chłopcy...

- No i co? - Wzruszyła ramionami. - Na czym polega to przestępstwo? Mam w domu mnóstwo takich zdjęć, większość moich znajomych także...

- Naprawdę? Całe pudła zdjęć, przedstawiających chłopców między dziesiątym i czternastym rokiem życia? I całe pudła czasopism, takich jak te wydawane w Szwecji i Danii w latach sześćdziesiątych, zanim zaczęto na serio walczyć z dziecięcą pornografią i wydawcy uznali, że nie warto ryzykować? Masz także i takie czasopisma?

Min milczała.

- Pan Connemara miał też stopy dyskiety komputerowych. Po powrocie do biura pokażę ci, co na nich znaleźliśmy. Nie robimy z nich wydruków, nie kopiujemy ich ani dla siebie, ani dla innych departamentów policyjnych, bo czujemy, że byłoby to wykorzystywanie, a my nie chcemy mieć z tym nic wspólnego...

Podniosła wzrok znad fotografii.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Nie rozumiem, o co chodzi. Chcesz powiedzieć, że te zwyczajne zdjęcia, które przechowuje się w każdej rodzinie, są sprzedawane? Tak? Bo jeżeli tak, to kto jest dystrybutorem? Kto dostawcą? Kto robi na tym pieniądze? Z jakim zyskiem?

Conor się uśmiechnął.

- Zabawne, że o to zapytałaś... Jeszcze do niedawna powiedziałbym, że pieniądze nie mają w tych sprawach znaczenia, że raczej się nie liczą, że większość pedofilów robi to z innych względów, na przykład dla uczucia, które oni nazywają miłością, ale ostatnio wszystko się zmieniło, i dobrze. Dobrze, bo teraz mamy inny sposób śledzenia tych ludzi. Widzisz, faceci, którzy się tym trudnią, mają doskonałe zabezpieczenia, używają zastępczych serwerów, posługują się skomplikowanymi systemami logowania. Jeżeli je pokonasz, to na pewno nie tylko dzięki umiejętnościom, ale również dzięki szczęściu. Oni używają kart kredytowych, ponieważ przedstawia to niewielkie ryzyko, w przeciwieństwie do zapłaty gotówką. Biorąc pod uwagę, o jakie pieniądze tu chodzi, wiemy, że mamy do czynienia nie tylko z wielkim biznesem, ale także z niebezpiecznymi przestępcami, takimi, którzy czerpią korzyści z rozmaitych przedsięwzięć. To zła wiadomość. Dziecięca pornografia nigdy nie przynosiła takich zysków jak pornografia dorosłych, ale wiele wskazuje, że wkrótce się to zmieni.

Min siedziała nieruchomo, wpatrzona w serwetę. Zmiotła okruszki na dłoń i przesyłała je na swój talerz.

- Miłość, mówisz? - odezwała się. - Co przez to rozumiesz?

Conor wzruszył ramionami.

- Jeżeli wolisz, możemy nazwać to obsesją albo chorobą umysłową. Albo złem. Tak czy inaczej, oni nazywają to miłością. I obawiam się, że czasami trzeba spojrzeć na to wszystko ich oczami, żeby zrozumieć, z czym walczymy, i walczyć skutecznie.

Jej chłopcy przestrzegali w kąpieli pewnego regulaminu. Joe wychodził z wanny pierwszy, ponieważ był młodszy, o całe sześć minut. Siadał na kolanach Min, która wycierała go miękkim ręcznikiem, tuliła i szepotała mu do ucha różne zabawne czułości. Potem wysyłała go do pokoju po piżamę. W tym czasie Jim nadal siedział w ciepłej wodzie i delektował się statusem starszego syna. Robił nożyce w wodzie i próbował sięgnąć do kurków palcami stóp. I rozmawiał z matką o poważnych sprawach. Lubił wiedzieć, co robiła przez cały dzień i czy złapała jakiegoś przestępcę.

- Złapałaś jakiegoś drania, Min? - pytał. - Zarobiłaś na swój chleb z masłem?

Zupełnie jak Andy.

- Nie wiem - odpowiadała. - Raczej nie. Wiesz przecież, że mnie przenieśli i że pracuję teraz w innym dziale. To ważne miejsce.

- Och, tak... - Jim prawie całkowicie zanurzył się w letniej wodzie. Plaster, który od poprzedniego dnia nosił na dużym palcu stopy, odkleił się i teraz falował tuż pod powierzchnią wody, jak kawałek różowego wodorostu. - I jak tam jest? Dobrze czy okropnie?

- Oczywiście że nie okropnie. - Nachyliła się nad wanną i zjrzała w jego okrągłe, niebieskie oczy. - Jest tam bardzo bezpiecznie, całkiem jak w domu. No, mój duży chłopcze, czas wyleźć z wody. - Zanurzyła rękę, chwyciła jego dłonie i powoli wyciągnęła go nad powierzchnię. - Najwyższy czas, chyba że bardzo chcesz zmarznąć...

Wrócili do biura. Min słuchała, Conor mówił. Miała wrażenie, że już nigdy się nie zamknie. Opowiedział jej o wszystkich swoich poufnych akcjach.

- Wchodzę do Internetu, nie wystaję na rogach ulic i nie moknę na deszczu, jak zwyczajni gliniarze. Mam wejście na czaty, na strony informacyjne... To jest mój świat.

- Zaczekaj chwilę... - powiedziała. - Przecież to nic nowego, dziecięca pornografia istniała zawsze. Kiedy pracowałam tutaj parę lat temu, także wpadaliśmy na trop takich spraw.

Conor pokiwał głową.

- O ile pamiętam, już wtedy większość państw miała w prawodawstwie zapisy o zakazie publikowania i propagowania pornografii dziecięcej, w Danii i Holandii wprowadzili to prawo pod koniec lat siedemdziesiątych...

Przytaknął. Miała rację, to wszystko prawda. Najbardziej interesujące jest jednak to, co działo się z materiałami zawartymi w tego rodzaju książkach i czasopismach.

- Tak mówisz? - uniosła brwi.

- Tak. Przysuń sobie krzesło, pokażę ci... Spojrzała na zegarek. Robiło się późno. Jeżeli zostanie jeszcze trochę, trafi na najgorsze korki...

Conor powiedział, że w policyjnej bazie danych mają już ponad osiemdziesiąt tysięcy takich zdjęć.

- Popatrz... - Jego dłonie znowu śmignęły po klawiszach.

Ekran zaczął wypełniać się małutkimi klateczkami zdjęć chłopców i dziewczynek w różnym wieku. Niemowlęta, raczkujące maluchy, dzieci w wieku wczesnoszkolnym, tuż przed okresem dojrzewania, nastolatki, których ciała zaczynały już zdradzać oznaki dojrzałości płciowej... Min patrzyła na ekran. Dłonie miała mokre, w ustach jej zaschło.

- To nie są zdjęcia różnych dzieci, w każdym razie nie wszystkie - odezwała się po chwili. - O, tu mamy kilka zdjęć tego samego dziecka...

- Bingo! - ucieszył się. - To jest seria, tak to nazywają. Lubią je zbierać, jak karty z piłkarzami albo znaczki. Widzisz tego chłopca? - Zjechał kursorem na twarz mniej więcej czteroletniego dziecka.

Chłopczyk miał króciutko ostrzyżone jasne włosy i uśmiechał się szeroko. Siedział ze skrzyżowanymi nóżkami na futrzaku przed kominkiem, w którym płonął ogień.

- A teraz spójrz na te zdjęcia... - Conor szybko poruszył dłonią.

Ekran wypełniły fotografie tego samego chłopca. Z ust Min wyrwał się zduszony jęk. Odsunęła się od biurka i ukryła twarz w dłoniach.

- Mamy ich pięćset, chociaż najprawdopodobniej na rynku jest dużo więcej. - Conor przerwał na chwilę.

- No, przyjrzyjmy im się trochę dokładniej...

Znowu poruszył ręką i cały ekran zajęło pojedyncze zdjęcie. W powiększeniu błękitne oczy chłopca wydawały się zamglone, rysy jakby lekko rozmazane.

- Popatrz... - Przesunął kursor na tło. - Co widzisz?

Min przeniosła spojrzenie z twarzy chłopca na ścianę za jego plecami, pokrytą tapetą w wypukły wzór.

- Nie wiem... - mruknęła. - To zwyczajna tapeta... Naprawdę nie wiem.

- Co jeszcze widzisz?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem... Co jeszcze miałabym widzieć?

Lekko odwrócił się w jej stronę.

- Zaskakujesz mnie... Myślałem, że jesteś dobra w ćwiczeniach na obserwację...

Min milczała.

- Pośpiesz się, nie będziemy tu siedzieć cały dzień! Popatrz uważnie, na miłość boską! Co widzisz?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Tapetę, gniazdka w ścianie, dywan, obraz... To krajobraz - góry, morze...

- Dobrze, dziewczyno. Góry, morze, bagnisty teren. I gniazdka, tak? Jakie są te gniazdka? Dalej, dalej, tempo! - Ze zniecierpliwieniem strzelił palcami.

- Z trzema otworami.

- Brawo, gratulacje! Rozbiłaś bank. Wreszcie coś zauważyłaś, popracowałaś jak policjantka...

- No i co z tego, że to gniazdka na wtyczkę z trzema bolcami?

- Nawet nie masz pojęcia, jakie to ważne. Musimy wyłowić wszystko, co jest na zdjęciu. Gniazdka na wtyczkę z trzema bolcami, więc jesteśmy w Wielkiej Brytanii albo w Irlandii. Obraz na ścianie wygląda mi na krajobraz z Connemara. Tapeta, dywan - na pierwszy rzut oka wszystko w stylu lat siedemdziesiątych. I popatrz na zabawkę, którą bawi się ten dzieciak... Założę się, że twoi chłopcy nigdy nie bawili się takim Action Manem, prawda? Za to całkiem możliwe, że twój brat albo kuzyn mieli hopla na jego punkcie w latach, kiedy wykonano tę serię zdjęć, zwanych serią Billy'ego.

- Billy'ego? Dlaczego serią Billy'ego?

- Zaraz ci pokażę, sekundę...

Obraz znowu się zmienił. Kolejne zdjęcie zrobiono na przyjęciu urodzinowym. Na stole widać było tort z sześcioma świeczkami i imieniem, starannie wypisanym różowym lukrem. „Wszystkiego najlepszego, Billy!”... Tym razem chłopiec był nagi. Tym razem nie był sam na futrzaku przed kominkiem. I tym razem po jego buzi płynęły łzy.

Min patrzyła na ekran, starając się odzyskać głos. Z trudem przełknęła ślinę.

- Krótko mówiąc, każda fotografia uwiecznia miejsce dokonania przestępstwa i pod tym kątem trzeba ją zanalizować - powiedziała. - Na przykład gniazdka na trzy bolce oznaczają Wielką Brytanię lub Irlandię. Kra-

jobraz z hrabstwa Connemara na ścianie prawdopodobnie zawęza wybór miejsc jeszcze bardziej. Warto też pamiętać, że takich zabawek sprzedano tylko kilkaset tysięcy, prawda? Każda taka informacja to skarb. Założę się, że po odpowiednim zestawieniu danych otrzymamy identyfikację, co? No, kliknij myszką...

Gdy na nią spojrział, światło z ekranu odbiło się w jego głębokich szarych oczach.

- Rzeczywiście, zidentyfikowaliśmy to dziecko. Przeprowadziliśmy rutynowy przegląd nazwisk dzieci z grupy ryzyka, w wieku między czwartym i dziesiątym rokiem życia, a także dzieci, które zmarły z przyczyn nienaturalnych, tutaj i w Brytanii. I trafiliśmy w dziesiątkę. Wyskoczył nam Billy O'Reilly, Irlandczyk, którego rodzina pochodziła z Mayo, ale w latach sześćdziesiątych przeniosła się do Manchesteru. Rodzice się rozstali. Matka była alkoholiczką, więc dzieci - Billy'ego, jego starszą siostrę i młodszego brata - dostał ojciec.

- Złapaliście tego drania? - Ruchem głowy wskazała zdjęcie na ekranie. - Kto to był? Ojciec, wuj, ksiądz z parafialnego kościoła?

- Nie, nie złapaliśmy go. Dlaczego? Bo nie mogliśmy porozmawiać z Billym. Billy nie żyje, zginął w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, kilka miesięcy po tym przyjęciu z okazji jego szóstych urodzin. Zabił go pijany kierowca. Billy przechodził właśnie na drugą stronę ulicy, żeby kupić sobie frytki. Bez Billy'ego nie mamy nic - ani świadka, ani oskarżyciela. Same zdjęcia nie wystarczą. Więc co mamy? Nie mamy żywej ofiary, a to znaczy, że nie mamy też sprawcy. Mamy tylko zdjęcia. Te fotografie pozostaną, będą krążyły w sieci, dopóki komputery nie przestaną istnieć. I tacy dranie jak ten, który robił te rzeczy małemu chłopcu, nadal będą czerpali przyjemność z ich oglądania...

Zaczął zamykać plik, jego ręce szybko tańczyły między myszką i klawiaturą.

- To sławne zdjęcia - dodał. - Coś jakby Mona Liza czy Kaplica Sykstyńska w świecie dziecięcej pornografii. Są poszukiwane, upragnione... Ten, kto chciałby je skopiować, musiałby przekazać klubowi tysiące innych zdjęć. A wiesz, dlaczego?

Min potrząsnęła głową. Nie mogła wydobyć głosu z gardła.

- Dlatego, że Billy nie żyje, już go nie ma. Nigdy nie dorośnie. Nigdy nie przeistoczy się ze ślicznego, wyjątkowego małego chłopca w wielkiego, brzydkiego, owłosionego, pryszczatego i śmierdzącego nastolatka. W oczach pedofila, kogoś, kto ma obsesję na punkcie ciała na etapie przed dojrzewaniem, właśnie to czyni go najbardziej pożądanym. Pedofil gotowy jest na wszystko, byle tylko dostać zdjęcia Billy'ego.

Siedziała w ciemności i przyglądała się śpiącym bliźniakom. Wciąż jeszcze woleli, żeby w nocy mała lampka paliła się w ich pokoju.

- Żebym mógł po przebudzeniu się zobaczyć tatusia, siedzącego w nogach łóżka i czuwającego nade mną - wytłumaczył jej Jim, kiedy zaproponowała, żeby wyłączać lampkę na noc. - Gdyby lampka się nie paliła, może mu się nie uda nas znaleźć. Przecież mógł zapomnieć, w którym pokoju śpimy.

- Masz rację - przytaknęła. - To rozsądny argument. Możecie ją zapalać, jak długo chcecie.

Wyciągnęła się na łóżku obok Joego i ujęła jego dłoń. Na zewnątrz, za zasłonami i drzewami przy końcu ogrodu, szumiała wielkowiejska ulica. Podmuch wiatru poruszał okiennicą. Ulice były pełne złocistych spirali opadających liści. Wkrótce kolory znikną i nastanie zima. Podniosła głowę i spojrzała na nocną lampkę, której abażur obracał się powoli, rzucając ładne cienie na sufit. Cienie dzieci, bawiących się kijami do baseballa

i piłkami. Cień kota w skoku, psa w biegu, z rozwianym, płynącym za ciałem ogonem. Joe poruszył się i zamamrotał coś niespokojnie, zaciskając dłonie w pięści. Min pogłaskała go po głowie i pocałowała w czoło.

- Ciiii... - szepnęła, przyciskając wargi do jedwabistej skóry synka.

Bezgłośnie poruszając wargami, powtórzyła słowa piosenki, którą zawsze śpiewała jej matka. Uspokajała ją w ten sposób nocami, kiedy wiatr z hukiem pędził od morza i pod jego uderzeniami cały dom dygotał tak mocno, jakby lada chwila miał oderwać się od fundamentów i ulecieć ku gwiazdom.

V'la l'bon vent,

V'la l'jolie vent,

V'la l'bon vent,

Ma mie m'apelle.

Głos Min ucichł całkowicie dopiero wtedy, gdy Joe przewrócił się na bok, podkładając sobie małą dłoń pod policzek, i westchnął głęboko, z wyraźną ulgą. Powoli, ostrożnie podniosła się z łóżka i na palcach wyszła na korytarz. Zamknęła za sobą drzwi pokoju chłopców. Jej sypialnia znajdowała się tuż obok, za ścianą. Min była zmęczona, czuła, że musi się przespać, ale nie mogła znieść myśli o pustym miejscu obok siebie. Oparła się o ścianę i zamknęła oczy.

- Wróć, Andy, proszę cię... - wyszeptwała. - Wróć i zaopiekuj się nami. Jesteś nam potrzebny, właśnie teraz bardziej niż kiedykolwiek...

Rozdział dwunasty

Drobna, tak blada, że prawie biała twarz patrzyła na niego przez oszklone drzwi od ogrodu. Twarz chłopca, którego Nick widział w oknie sąsiedniego domu, domu Gouldingów. Chłopiec chwilę wpatrywał się w Nicka, a potem otworzył usta i chuchnął. Biała mgiełka pokryła szkło i prawie zupełnie go przesłoniła.

Nick wstał od deski i podszedł do drzwi. Przykucnął, chcąc patrzeć na dziecko z mniej więcej takiej samej wysokości i też chuchnął na szybę. Cofnął się lekko i palcom narysował na zaparowanej powierzchni uśmiechniętą buzię. Dwoje oczu, perkaty nos i usta. Potem opuścił rękę i czekał. Minęło parę sekund, zanim chłopiec poruszył się i wskazującym palcem nakreślił dwoje oczu, perkaty nos i usta, o kącikach nie uniesionych, lecz opuszczonych. Na Nicka patrzyła smutna, wcale nie dziecinna twarz.

Podniósł się i otworzył drzwi. Na dworze było pogodnie, lecz zimno. Chłopiec miał na sobie spraną czerwona piżamę z prawie już niewidoczną figurką Myszki Miki na piersi. Jego małe białe stopy były bose. W nocy nad miastem przeszła ulewa i trawa była jeszcze mokra. Chłopiec zamoczył spodnie aż do kolan i wyglądał na przemarzniętego do kości; jego drobne ciało dygotało z zimna.

- Wejdz, proszę... - Nick odsunął się na bok i wskazał pokój za sobą. - No, wejdz do środka. Tu jest dużo cieplej niż na zewnątrz.

Czekał chwilę, lecz mały wciąż stał, przyglądając mu się uważnie i na zmianę to splatając, to rozplatając dłonie dziwnie dorosłym gestem.

- No, chodźże... - Nick z uśmiechem wykonał niski ukłon. - Wejdz do pokoju, bardzo proszę...

Dziecko nawet nie drgnęło.

- W takim razie rób, co chcesz. Wejdiesz, kiedy się namyślisz.

Wrócił do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął karton z mlekiem. Nalał trochę do rondelka i postawił na kuchence, włączył elektryczny czajnik i sięgnął po leżącą na półce paczkę mielonej kawy. Wsypał trzy łyżeczki do szklanego dzbanka, otworzył szafkę i wyjął paczkę herbatników. Rozdarł folię i ułożył ciasteczka na talerzu. Miały czekoladową polewę, która zachęcająco połyskiwała w świetle. Nucąc jakąś melodię, przygotował dwa kubki, zalał kawę wrzątkiem i z demonstracyjnym uznaniem pociągnął nosem, wdychając aromatyczną parę.

- Ależ pachnie! - powiedział, przygniatając fusy sitkiem.

Zdjął z kuchenki rondel z mlekiem i postawił go na blacie.

- Jaką lubisz kawę? Dużo mleka, czy tylko kropelkę? - zagadnął, ale zaraz postukał się palcem w skroń.

- Zaraz, przecież ty chyba jesteś za mały na kawę, prawda? Więc może napiłbyś się czekolady, co ty na to?

Znowu otworzył szafkę i wyjął puszkę rozpuszczalnej czekolady. Kupił ją poprzedniego dnia, głównie ze względu na przyjemne wspomnienia. Napełnił kubki mlekiem i wsypał do jednego dwie łyżeczki czekoladowego proszku.

- Pamiętam, że kiedy mój syn był w twoim wieku, uwielbiał kawę - odezwał się, wciąż nie patrząc na chłopca. - Ale jego mama mówiła, że kawa nie jest dobra dla dzieci, więc robiłem mu czekoladę, którą nazwaliśmy „specjalną kawą”, kawą Owena. Oczywiście słodziliśmy ją, chociaż mama Owena powtarzała nam, że cukier także nie jest dobry dla dzieci, zresztą czekolada również, ale kto by tam zwracał na to uwagę... Mama Owena zawsze próbowała zepsuć nam zabawę... - Znowu pociągnął nosem. - No, muszę przyznać, że czekolada też wspaniale pachnie. Spróbujesz?

Chwycił oba kubki za uszka, oparł na nich talerz z herbatnikami i ostrożnie wrócił do deski. Usiadł na swoim wysokim stołku i postawił kubek z czekoladą i herbatniki na podłodze. Wziął jedno ciastko, umoczył w kawie i z rozkoszą przymykając oczy, wsunął do ust. Oblizął palce, pociągnął łyk kawy. Potem odstawił kubek i zabrał się do rysowania. Nie było to nic konkretnego, na razie tylko się zastanawiał nad pomysłem na książkę. Zrobił kilka wstępnych szkiców, węglem na kartkach zwykłego papieru. Szybkie pociągnięcia ręką, bez dbałości o detale. Mały lisek i kociak, wychowane razem, bawiące się w norze usłanej sianem i liśćmi pod starym letnim domkiem z drewna, stojącym w ogrodzie. I mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, który znajduje je i zaprzyjaźnia się z nimi. Nick rysował z prawdziwą przyjemnością, spokojnie czekając, aż szczegóły i dalszy ciąg historii same rozwiną się w jego wyobraźni. Po raz pierwszy od bardzo dawna miał ochotę opowiadać, słowem i kreską.

Sięgnął po kubek z kawą i drugiego herbatnika. Czekoladowa polewa już zmiękła i kleiła się do palców. Oblizął je, czując na języku charakterystyczny, lekko słonawy posmak. Spojrzał na rysunek. Wygładził grubą, czarną kreskę, rozcierając węgiel szmatką, żeby nadać mu różne odcienie. Wtedy usłyszał ciche kroki, plaśnięcia bosych stóp, zmierzających w jego kierunku. Odłożył szmatkę i wziął do ręki węgiel. Zaczął rysować chłopca z krótkimi, tu i ówdzie sterczącymi włosami, z długimi, chudymi nogami i ramionami, i rękami wyciągniętymi w kierunku liska. Węgiel skrzypiał, ślizgając się po papierze, a kiedy Nick mocniej nacisnął, sztyft złamał się i jedna połowa potoczyła się po podłodze. Zatrzymała się u nóg chłopca, który właśnie przykucnął obok talerza, podniósł kubek i napił się czekolady, następnie chwycił dwa ciastka i wepchnął je sobie do ust.

Nick znowu zaczął rysować, teraz chłopca, siedzącego po turecku na ziemi i delikatnie trzymającego liska. Ręce dziecka gładziły głowę zwierzęcia, usta szeptały coś z uśmiechem do kudłatego, spiczastego ucha. Gość Nicka zamruczał coś, głośno przełykając herbatniki. Przód jego pizamy był oblepiony słodkimi okruszkami, po brodzie spływała struzka czekolady. Dłoń Nicka szybko przesuwiała się po papierze, wypełniając białą, pustą przestrzeń figurkami chłopca i zwierząt. Gdy kończył jeden rysunek, rzucał kartkę na podłogę i brał następną. Chłopiec przysiadł na piętach, wytarł usta rękawem, rozmazując czekoladę na policzkach. Oderwał wzrok od pustego talerza i przeniósł go na rysunki Nicka. Małymi rękami rozłożył kartki dookoła siebie. Nick obserwował go spod oka. Palce chłopca dotykały grubych linii i sunęły po nich, na jego twarzy odmalował się wyraz pełnego zachwyty podniecenia.

- Proszę bardzo... - Nick wziął kilka kartek ze stosu, dwa węglowe sztyfty z pudełka i położył je na podłodze.

Odwrócił się i zabrał do pracy. Chłopiec zaczął rysować, rysunki dosłownie wypływały spod jego palców. Złożone z kresek postacie maszerowały po papierze. Mężczyźni i kobiety, dzieci, zwierzęta... Były tam także samochody i rowery, domy o pochyłych dachach, z okienkami na poddaszu, z kominami, z których dym unosił się w niebo, ku ptakom o wydłużonych szyjach. Nick patrzył uważnie, z zaciekawieniem. Chłopiec klękał na podłodze, kuczał, kładł się, podnosił. Ciągłe zmieniał pozycję, usiłując znaleźć jak najwygodniejszą do rysowania. Z węgla szybko zostały tylko okruszki. Chłopiec wytarł ręce w pizamę na piersi i wstał z podłogi.

- Doskonale, naprawdę świetnie! - Nick podniósł się ze stołka i pochylił nad rysunkami.

Wyciągnął po nie rękę, ale wtedy chłopiec błyskawicznie zebrał je i przycisnął do piersi. Jego twarz wykrzywił grymas lęku, oczy patrzyły dziko.

- W porządku, rozumiem... - Nick się cofnął. - Nie zabiorę ci ich, spokojnie... Połóż je, nie wezmę, przyrzekam.

Jednak mały już odwrócił się i biegiem ruszył do oszklonych drzwi. Jego bose stopy zaplaskały o podłogę. Szarpnął klamkę, lecz nie udało mu się otworzyć drzwi, ponieważ miał zajęte ręce, więc kopnął w szybę i z całej siły napał barkiem na framugę.

- Dobrze, idź już, skoro tak chcesz. Poczekaj, poczekaj, otworzę ci... Nie chcesz się chyba pokaleczyć, prawda?

Nick nacisnął klamkę i drzwi stanęły otworem. Chłopiec przebiegł koło niego i popędził po trawie w kierunku gęstych krzewów pod murem. Nick wyszedł na dwór, zaciekawiony. Chciał zobaczyć, dokąd pójdzie. Gałęzie krzaków zakołysały się, kiedy mały przedzierał się między nimi. Zaraz potem Nick zobaczył chłopca po drugiej stronie muru. Wciąż przyciskał do piersi kartki, teraz poszarpane i zabłocone. Wbiegł po schodkach prowadzących do kuchni Gouldingów, pośliznął się na drewnianym stopniu, zachwiał się i o mało nie runął do tyłu. Kiedy odzyskał równowagę, kuchenne drzwi otworzyły się i w progu stanęła chuda, ciemnowłosa kobieta, którą Nick widział poprzedniego dnia. Wrzasnęła na chłopca, bluznęła niezrozumiałymi słowami, chwyciła go za ramię i potrząsając nim mocno, wyrwała mu kartki z rąk i popchnęła go do domu. Na moment odwróciła się twarzą do ogrodu i wtedy zobaczyła Nicka. Szybko skinęła mu głową i weszła za chłopcem do kuchni. Drzwi zatrzasnęły się za nimi i w ogrodzie zapanowała cisza.

Nick podszedł do zbitej kępy krzaków, schylił się i zajrzał pod gałęzie. Sam zasadził tę budleję, która wtedy miała jakieś trzydzieści centymetrów wysokości. Kupił ją w najbliższym supermarkecie, w plastikowej doniczce, niedługo po przeprowadzce. Krzew wybujał na wysokość dwóch metrów i bardzo się rozrósł. Paskudztwo, pomyślał Nick. No, może z wyjątkiem lata, kiedy pokryte fioletowymi kwiatkami gałęzie pachniały miodem i przyciągały motyle, które siadały na nich niczym żywe ozdoby, powoli rozkładając i składając skrzydła, i zapuszczając długie, podobne do trąbek języki do wnętrza kwiatów. Opadł na czworaki i zaczął posuwać się pod nisko zwisającymi gałązkami. Było tu ciemno. Idealne miejsce na kryjówkę, pomyślał. Tuż przed sobą, w miejscu, gdzie mur stykał się z drewnianym płotem, zobaczył niewielki otwór, przez który z łatwością mógł przecisnąć się kot, pies albo lis, a nawet dziecko. Otwór z jednej strony zasłonięty był krzewem budlei, z drugiej dużą fuksją. Dawniej przechodziły tędy dzieci Gouldingów, no i oczywiście Owen, a także jego najlepszy przyjaciel Luke oraz inne dzieci z sąsiedztwa, które przychodziły bawić się z nimi. Nick przesunął ręką po konturze dziury. Teraz odkrył ją również ten chłopiec i na pewno często korzystał z tajemnego przejścia z ogrodu do ogrodu, podobnie jak tamte dzieci.

Powoli wyczołgał się na ścieżkę i wstał, mokry, umazany błotem i zmarznięty. Wrócił do domu i zamknął za sobą drzwi. Na podłodze leżały drobne kawałki węgla. Wziął szczotkę, podmiótł je na szufelkę i wyrzucił do kosza na śmieci. Owen bardzo lubił węgiel i zawsze niecierpliwie czekał na otwarcie nowego pudełka. Podnosił wtedy szeleszczącą bibułkę i z wielką przyjemnością patrzył na świeże, jeszcze nietknięte sztyfty, ułożone w dwa równe rzędy. Największą radość sprawiało mu rysowanie węglem i białą kredą. Nick namawiał go, aby używał także kolorowej kredy albo miękkich pastelowych kredek, lecz Owen nie chciał. Nie lubię kolorowanek, mówił. Kolorowanki są dobre dla dziewczyn. Ja chcę rysować, tato, tak jak ty, a to coś zupełnie innego...

Nick odwrócił się i popatrzył na ustawione pod ścianą tekturowe pudła. Były oklejone szeroką taśmą i obwiązane grubym sznurkiem. Pakowanie pudeł było specjalnością Susan. Kiedy przeprowadzali się tu z mieszkania, w którym spędzili pierwsze lata małżeństwa, to właśnie Susan zajęła się pakowaniem.

- Idź sobie gdzieś, zmiataj stąd - powiedziała, kiedy bezradnie przyglądał się stosowi pustych kartonów na środku ich malutkiego salonu. - Pograj w nogę albo idź z kolegami na piwo, dobrze? Zajmij się czymś, co robisz wtedy, gdy mnie nie ma w domu. Wolę sama spakować rzeczy, tak będzie łatwiej.

Przyciągnął ją do siebie i objął, ale ona parsknęła śmiechem i oderwała jego ręce od swojej talii.

- Zabieraj się stąd, staruszk. - Wskazała palcem drzwi.

A kiedy wrócił, lekko się zataczając i śpiewając popularne piosenki, znalazł ją śpiącą na sofie. Wszystkie rzeczy były spakowane, ich nowe życie uporządkowane. Nagle przypomniał sobie, że poczuł wtedy nie wdzięczność, lecz zniecierpliwienie. Wcale nie był zadowolony, tylko rozdrażniony. Poszedł do kuchni, rozdarł taśmę na kartonie z napisem ALKOHOL, wyjął butelkę whisky i nalał sobie całkiem sporą porcję do kubka z ułamanym uchem, jedyne, jaki zostawiła na suszarce, bo najwyraźniej doszła do wniosku, że nie warto go zabierać do nowego domu. Potem usiadł i utkwiał wzrok w jej uśpionej twarzy. I zaczął się zastanawiać. Czy będzie w stanie wpędzić resztę życia z kobietą, która ma obsesję na punkcie porządku? Myślał o tym, paląc papierosa i brudząc sobie koszulę popiołem. Susan poruszyła się we śnie i westchnęła, jej powieki zdrząły. Wtedy natychmiast pożałował, że takie pytanie w ogóle przyszło mu do głowy. Ogarnęła go fala miłości i

wdzięczności, wdzięczności za wszystko, co różniło Susan od niego, wdzięczności za to, jak opiekowała się nim i dbała o niego, jak myślała o wszystkim, rozważnie i spokojnie, podczas gdy on chodził z głową w obłokach. Kiedy skończył papierosa i whisky, obudził ją delikatnie, trochę zaniósł, a trochę zaprowadził do sypialni, ułożył wygodnie, otoczył ramionami i zasnął obok niej, wdychając jej zapach, zapach mydła i czystości.

Teraz widział, że równie dokładnie i porządnie spakowała rzeczy Owena. Jego ubrania, książki i zabawki. Gdy Nick wyjeżdżał, pokój ich syna wciąż wyglądał tak samo jak przed jego zniknięciem. Nic się nie zmieniło - okna umyte, wykładzina odkurzona, pościel świeża, regularnie zmieniana. Teraz wszystko znajdowało się w starannie opisanych pudłach. Podeszedł jeszcze bliżej i wzrokiem poszukał tego, na którym mu najbardziej zależało. I zaraz je znalazł. OBRAZKI, RYSUNKI, MATERIAŁY PLASTYCZNE. Zdjął karton z niewielkiego stosu i przyciągnął na środek pokoju. Małym scyzorykiem do strugania ołówków i kredek przeciął taśmę i szarpnął tekturowe skrzydełka. Potem poszedł do kuchni, wyjął z szafki butelkę whisky i nalał do kawy, nawet nie patrząc. Usiadł na podłodze obok pudła i zanurzył w nim ręce z takim zapałem, jakby czuł, że czeka tam na niego bezcenny skarb. Zaczął wyciągać kartki zwykłego papieru, grube arkusze i książeczki do kolorowania. Rozłożył je dookoła siebie i ukląkł, żeby zajrzeć głębiej do pudła i zobaczyć, co jeszcze w nim znajdzie. Zdał sobie sprawę, że było w nim wszystko - od pierwszych rysunków, które malutki Owen kreślił niepewną ręką, trzymając ołówek między pulchnymi palcami, nie wiedząc jeszcze, jak ustawić grafit, aby uzyskać kreskę pożądanego grubości, aż po ostatnie. Każdy kawałek papieru miał na odwrotnej stronie datę. Dzieło Susan, jakżeby inaczej... Obsesja na punkcie porządku, cholerna dbałość o szczegóły.

- Zaprowadźmy w tym wszystkim porządek - mówiła często.

I wyliczała jego niedociągnięcia i porażki. Odgarniała włosy do tyłu i wskazującym palcem prawej ręki punktowała jego błędy na palcach lewej. A on wzruszał ramionami, parskał śmiechem i próbował zmienić temat.

Tak czy inaczej, był dobrym ojcem, temu nikt nie mógł zaprzeczyć. Dowodem na to były także prace Owena. Nick zdążył już zapomnieć, jak bardzo uzdolniony był jego syn. Niektóre rysunki świadczyły o prawdziwym, dojrzałym talencie. Dzieciak umiał patrzeć, obserwować i rysować. Już w wieku pięciu lat wykazywał się oryginalnością. Lubił zbliżenia, z wielu kartek patrzyły duże twarze, których rysy były łatwe do rozpoznania. Nick zobaczył swój portret, z ciemnymi, wzburzonymi włosami, cieniem zarostu na policzkach i brodzie, i papierosem w ustach. Susan, z dwiema pionowymi zmarszczkami między brwiami i z telefonem w rękę. Luke'a Reynoldsa, „mojego przyjaciela od serca”, jak mówił Owen, o okrągłej, pulchnej twarzy, z cukierkiem wypychającym jeden policzek. I Marianne. Duże, brązowe oczy, szeroki uśmiech i mała korona na ciemnej głowie... Nick roześmiał się cicho. Byli tu też inni ludzie, którzy odegrali znaczącą rolę w krótkim życiu Owena. Jego ulubiona nauczycielka, panna Murphy, z dużymi, różowymi piegami na guziczkowatym nosie. Kilkoro dzieci z klasy, których imion Nick nie potrafił sobie przypomnieć. I Chris Goulding. Okulary w grubych czarnych oprawkach, trójkąt brązowych włosów, schodzący nisko na czoło, aparat fotograficzny na piersi. Obok Chrisa stała Róisín, chociaż tu Nick miał pewne wątpliwości. Tak, chyba jednak była to Róisín. Szczupła postać w czerni miała takie same rysy twarzy jak Chris, ale ciało kobiety, z wyraźnie zaznaczonymi piersiami i wąską talią. Nick przysiadł na piętach i uważnie spojrzął na rysunek. Dziwne, pomyślał. Sam nigdy nie zwracał uwa-

gi na Róisín, nigdy nie widział jej jako kobiety, aż do tamtej nocy w barze w Nowym Orleanie. Tymczasem Owen dostrzegł w niej istotę innego rodzaju, innej płci i taką ją naszkicował...

Wstał i dołał sobie whisky do kubka. Nagle pod jego stopą coś zgrzytnęło. Jeszcze jeden kawałek węgla. Schylił się, żeby zebrać drobne okruchy. Czubki jego palców natychmiast pokryły się czernią, ślimacze zwoje odcisków wyraźnie wystąpiły spod ciemnego pyłu... Podeszedł do deski i po kolei odcisnął palce na białej kartce. Przyciskał je starannie, mocno, dokładnie, patrząc, jak niepowtarzalny wzór, utrwalony na jego skórze, przenosi się na gładką powierzchnię czystego papieru. W początkowej fazie śledztwa policja pobrała jego odciski palców. Zapewnili go, że to rutynowa procedura. Pobrali też odciski palców Susan. Nie protestowała, w ogóle nic nie mówiła, ogłuszona i całkowicie bierna. Policjanci poprosili też o jakiś przedmiot, którego dotykał Owen, żeby ściągnąć i jego odciski. Nick dał im gameboya syna. Plastikowa powierzchnia zabawki musiała być usiana śladami nie zawsze czystych dłoni chłopca. Poprosili również o kartę zdrowia Owena, z zapisem liczby zębów mlecznych i stałych oraz ich stanu, z odnotowanymi prześwietleniami kości i organów wewnętrznych, jeśli takie były robione, blizn i znaków szczególnych. Nick pamiętał wszystko bardzo dokładnie. Kiedy Owen miał cztery lata, w przedszkolu spadł mu na nogę duży drewniany domek dla lalek. Miał kilka siniaków i skarżył się, że trochę go boli, ale wydawało się, że nic mu się nie stało. Parę dni później Susan zauważyła, że Owen kuleje. Prześwietlenie wykazało pęknięcie kości dużego palca u lewej nogi. Nick miał straszne wyrzuty sumienia, że sam nie zwrócił na to uwagi. Parę dni po zniknięciu Owena zapytał Susan, czy ślad tego pęknięcia pozostał na kości. Kiwnęła głową. Co poza tym? Właściwie nic. Kilka blizn na kolanach, po upadkach z pierwszego roweru. Ciało Owena było doskonałe, nieskalane. Rozpoznałbym go mimo wszystko, pomyślał Nick. Nawet gdyby jego twarz była zmasakrowana, i tak bym go rozpoznał, jestem tego pewny. Po gładkości skóry, po kształcie stóp, linii żeber i łopatek, rozpychających się coraz szerzej, stopniowo budujących solidne barki. Rozpoznałbym go.

Tatusiu, opowiedz mi o Synu gwiazd, opowiedz jeszcze raz. O tym, jak ludzie znaleźli małego chłopca w lesie i jak jego mama przyszła go szukać, ale była żebraczką i miała na sobie brudne szmaty. I jak Syn gwiazd powiedział, że jej nie zna, bo był niedobry. Jak powiedział, że ona nie może być jego matką, bo przecież to jakaś żebraczka. Jak on mógł coś takiego zrobić, ten chłopiec? Opowiedz mi, jak odwrócił się od niej i powiedział, że wolałby pocałować węża albo żabę niż ją. Co się wtedy stało, tatusiu? Zamienił się w jakieś paskudne stworzenie z łuską, prawda? W coś pomiędzy wężem i żabą, tak? I dobrze, bo był strasznie złym dzieckiem! A potem stał się dobry i znowu zmienił się w chłopca. Narysuj tę historię, tato. I daj Synowi gwiazd moją buzię, dobrze? Proszę cię, proszę...

Wszystko to było w tym pudle. Rysunki i szkice ilustracji do książki. Nick nie mógł się zmusić, żeby teraz je przeglądać, wołał przekartkować kilka książek, do których wciąż wracał w dzieciństwie swoim i później Owena. Egzemplarz *Wyspy skarbów*, kiedyś należący do jego ojca, książki Williama, które dostał od wuja Johna, *Trzydzieści dziewięć kroków*, seria opowieści o koniach, które matka często czytała mu wieczorami. *Moja przyjaciółka Flicka*, *Błyskawica*, *Zielone pastwiska Wyoming* - wszystkie ilustrowane, wszystkie dobre, ciekawe, książki-pocieszycielki... Były też i inne, ale teraz nie chciało mu się ich szukać. Susan musiała zapakować je do innego pudła.

Usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. Nad jego głową rozległy się kroki. Skrzypnęły deski podłogi, otworzyły się i zamknęły drzwi. Spojrzał w wychodzące na ogród okno i zobaczył Susan. Wyszła z domu, niosąc wiklinowy kosz, i powoli podeszła do sznura do suszenia bielizny. Patrzył, jak zdejmuje prześcieradła i poszwy, składa je na pół, jeszcze raz i jeszcze, i układa na dnie kosza. Podniósł się, otworzył oszklone drzwi i wyszedł na zewnątrz. Nie odwróciła głowy, spokojnie dalej składała pościel, metodycznie i porządnie. Miała na sobie stary, robiony na drutach sweter z irlandzkim motywem, rozciągnięty i luźno układający się wokół bioder. Nick znał ten sweter. Dawno temu matka zrobiła mu go na Boże Narodzenie, a później zaczęła go nosić Susan, kiedy była w ciąży. Sweter dostosowywał się do kształtów jej zmieniającego się ciała. Teraz, gdy schylała się i podnosiła rękę, Nick wciąż widział wznórek jej brzucha w miękkich fałdach białoszarej wełny.

Słońce wyszło zza chmur i ogród wypełnił się jasnym światłem. Stado pliszek pomknęło do karmnika, zawieszzonego na końcu gałęzi starej jabłoni, rosnącej pośrodku trawnika. Do pojemnika w karmniku ktoś nasypał orzechów ziemnych. Nick przystanął i chwilę obserwował ptaki, które krążyły nad karmnikiem niczym podchodzące do lądowania samoloty. Kiedy jeden ptak skończył się pożywiać i odfrunął, na krawędzi deseczki natychmiast już lądował inny. Nie tłoczyły się, nie przepychały. Uprzejme, uważne, ostrożne, świetnie zorganizowane. Przypomniał sobie, jak pewnego wiosennego dnia razem z Owenem przyglądał się wróblom. Na gałęziach jabłoni siedziały pisklęta, a rodzice podlatywali do nich i karmili je. Daleko jeszcze do wiosny, pomyślał teraz, gdy wielka szara chmura zakryła słońce i ogród znowu pograżył się w ponurym cieniu.

- Susan... - odezwał się.

Milczenie. Susan nadal składała pościel.

- Susan...

Brak jakiegokolwiek reakcji, zupełnie jakby go nie słyszała.

- Susan, proszę cię... Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Naprawdę? A o czym, jeśli łaska? Nawet nie odwróciła głowy.

- Posłuchaj, nie jest mi łatwo. Wróciłem tu po wielu latach, to trudne przeżycie. Czuję się jakoś dziwnie, jak w obcym miejscu...

- Co ty powiesz? Jeżeli tak, to dlaczego nie wrócisz tam, skąd przyjechałeś? Nikt cię nie prosił, żebyś wrócił do domu. Nikt tu za tobą nie tęsknił.

Wreszcie odwróciła się twarzą do niego, ale tylko po to, żeby oprzeć kosz w zgięciu ramienia i ruszyć do domu. Wyglądała na zmęczoną, gorzej, na wyczerpaną. Pod oczami miała ciemne, duże cienie, ramiona przygarbione.

- Daj mi to... - Zrobił kilka kroków w jej kierunku. - Pomogę ci...

Wyciągnął rękę, ale ona się cofnęła.

- Teraz ty mnie posłuchaj - powiedziała głośno i dobitnie. - Mam nadzieję, że mówię jasno. Nie chcę z tobą rozmawiać, nie mam ochoty na żadne pogaduszki, żadne seanse wspomnień. Daj mi spokój, pozwól mi żyć własnym życiem, bo ja ci na to pozwoliłam, prawda? - Postawiła kosz na ziemi między nimi i wyprostowała się. Jej spojrzenie było zimne i twarde. - Zdumiewasz mnie, słowo daję... Pisziesz do mnie list i mówisz, że chcesz wrócić. A dlaczego? Bredzisz coś o rocznicy, o spotkaniu z Róisín Goulding w jakimś barze. Wszystko to pełne podtekstów na temat jej pracy, tego, co robi w Nowym Orleanie, tylko że mnie nic to nie obchodzi.

Guzik mnie obchodzi, co robi Róisín i co ty tam robiłeś. I teraz siedzisz w tej piwnicy, zupełnie jakbyś nigdy nie wyjeżdżał. Dlaczego? No, dlaczego? Z jakiego powodu? Bo uwielbiasz uważać się nad sobą. Uwielbiasz biczować się za to, co się stało, tak jest. To zadawała twoje groteskowe poczucie własnej ważności, prawda? Nie mam racji?

Nick milczał. Pliszki krzyczały głośno, ostrzegawczo. W kierunku jabłoni skradał się po trawie kot. Czołgał się z brzuchem tuż przy ziemi, zamiatając ogonem. W głosie Susan brzmiała nuta, od której Nickowi włosy jeżyły się na karku. Nagle drgnął, przekonany, że ktoś mu się przygląda. Podniósł wzrok, spojrzął na dom. Ktoś stał przy oknie sypialni.

- Och, to o to chodzi... - odezwał się. - Kochaś się denerwuje, tak? - Oстрыm szarpnięciem głowy wskazał postać za szybą. - Zazdrosny, co?

Susan głośno wciągnęła powietrze. Jej twarz pobieliała.

- Ty draniu! - powiedziała. - Jak śmiesz?! Nie wiesz, co to znaczy być zazdrosnym. Ty naprawdę nie masz zielonego pojęcia, co mi zrobiłeś... Nie wiem, dlaczego się zgodziłam, żebyś tutaj wrócił, słowo daję! Musiałam być szalona albo pijana, nie wiem... Tak czy inaczej, wyciągnę z tego jakąś korzyść. Teraz już wiem, że chcę wziąć z tobą rozwód. Wcześniej nie chciałam, Bóg wie, dlaczego. Może dlatego, że długo cię nie było i mogłam sobie wyobrazić, że zniknąłeś, trochę tak jak Owen. Zniknąłeś, rozwiałeś się i tyle. Ale ty nie zniknąłeś, o, nie. Żyjesz, masz się nieźle i jesteś wciąż takim samym skurwysynem. Teraz wyraźnie widzę, jaki jesteś, i chcę to skończyć. Powiem ci coś - żałuję, że cię w ogóle poznałam. Żałuję, że za ciebie wyszłam. A najbardziej żałuję tego, że miałam z tobą dziecko. Bo gdybym go nie urodziła, nie przeżyłabym tego piekła...

Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz, zrobiło mu się niedobrze. Znowu postąpił krok w jej kierunku.

- Nie, nie wierzę, żebyś tak myślała! Nie wierzę... Na pewno nie żałujesz, że urodziłaś Owena, że mieliśmy go przez te osiem lat... Nie chciałaś tego powiedzieć, prawda?

- Chciałam. Gdybym za ciebie nie wyszła, spotkałabym jakiegoś porządnego człowieka, w każdym razie porządniejszego od ciebie. Kogoś, kto by mnie nie zdradził. I miałabym dziecko z kimś, kto stawiałby je na pierwszym miejscu, nie na ostatnim, tak jak ty. I nie spotkałaby mnie żadna z tych strasznych rzeczy...

Kuchenne drzwi się otworzyły. Nick podniósł wzrok. U szczytu schodów stał Paul.

- Mówię poważnie, Nick. Trzymaj się ode mnie z daleka. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Myślałam, że jakoś sobie poradzę z twoim powrotem, że rany już się zabiżyły, ale okazało się, że bardzo się myliłam. Moje rany nadal bolą tak, że nie mogę tego znieść...

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć żadnych słów. Susan odwróciła się, dźwignęła z ziemi kosz. Jej stopy zatupały na drewnianych schodach, trzasnęły drzwi. Kot skoczył, wbijając pazury w korę drzewa. Ptaki poderwały się w powietrze. Ćwierkając głośno, z wyraźnym niezadowoleniem, kilka razy okrążyły jabłoń, zanim w końcu usadowiły się na najwyższych gałęziach. Nick spojrzął w niebo. Chmury zwiślały ciężko, jedna na drugiej, warstwami. Ich brzegi były posrebrzone światłem. Tu i ówdzie widać było błękitne niebo, lecz zaraz chmury skupiły się, ścięły, pokryły wszystko ciemną szarością. Popatrzył w okna, mroczne, prawie nieprzeźrocyste. Przeniósł wzrok na sąsiedni dom i znowu zobaczył twarz chłopca. Uśmiechnął się do niego, potem zrobił zeza i wystawił język. Chłopiec patrzył na niego długą chwilę. Nachylił

się i chuchnął na szybę. Zaczął rysować. Dwoje oczu, nos jak kartofelek, wygięta kreska uśmiechniętych ust. Nick uniósł dłoń w geście pozdrowienia, odwrócił się i wszedł do domu.

Rozdział trzynasty

Książka była tam, gdzie zawsze, na szerokiej półce, gdzie znajdowały się wszystkie książki Nicka z okresu dzieciństwa. Susan pozbyła się ich po jego wyjeździe, zostawiła tylko *Syna gwiazd*. Teraz książka stała w otoczeniu medycznych podręczników i periodyków. Przed zniknięciem Owena zawodowe książki Susan znajdowały się gdzie indziej, poza zasięgiem ciekawych oczu i palców, przede wszystkim z powodu ilustracji i fotografii. Susan uważała je za fascynujące, pouczające, nawet piękne, ale Nick nie ustępował.

- Robi mi się zimno, kiedy na nie patrzę - powtarzał. - Aż strach myśleć, jak mogłoby zareagować na nie dziecko...

Susan upierała się, że wcale nie są bardziej przerażające niż ilustracje baśni Hansa Christiana Andersena i braci Grimm czy malowany intensywnie kolorowymi farbami komiks *Strewelpeter*, na którego kartkach krew tryskała strumieniami z kikutów palców dziecka o dziko splątanych włosach, amputowanych olbrzymimi, lśniąco od krwi nożycami, lecz punkt widzenia Nicka zwyciężył, jak zwykle w sytuacjach, gdy chodziło o dobro Owena.

Teraz Susan stała przy oknie salonu, z *Synem gwiazd* w rękach, i powoli przewracała kartki. Prawie z każdej patrzyła na nią twarz Owena. Był tu, owinięty w płaszcz ze złocistego materiału w gwiazdy... Promień słońca przedarł się przez wiszące nisko chmury i padł na jej dłonie, ogrzewając je trochę. Podniosła wzrok znad książki. Dwóch chłopców ciągnęło przez placyk taczki, wypełnione kawałkami desek, najwyraźniej zebranych pod sklepem z materiałami budowlanymi dwie ulice dalej. Śmiali się i pokrzykiwali, podskakiwali i przedrzeźniali się nawzajem. Drzwi na dole trzasnęły cicho. Susan spojrzała w dół i zobaczyła czubek ciemnej głowy Nicka, idącego ścieżką w kierunku drogi. Przystanął na chwilę, chowając klucze i sprawdzając kieszenie skórzanej kurtki. Pośpiesznie cofnęła się w głąb pokoju, ale on nie patrzył w górę. Zamknęła książkę i odłożyła ją na półkę. Kiedy znowu wyjrzała, Nicka już nie było.

Nie spodziewał się, że odnalezienie Luke'a Reynoldsa zajmie mu tyle czasu. Rodzina Luke'a już dawno wyprowadziła się z domu przy Victoria Square i parę lat temu w ogóle przestała istnieć. Rodzice chłopca zdecydowali się na separację, a potem na rozwód. Matka Luke'a, Bridget, ponownie wyszła za mąż i przeniósła się do Londynu z drugim mężem i jego synem oraz własną córką z pierwszego małżeństwa, siostrą Luke'a. Luke zaczynał wtedy studia, wolał zostać w Dublinie razem z ojcem i jego przyjaciółką, w mieszkaniu w dzielnicy Temple Bar.

Nick pamiętał, że oboje Reynoldsowie byli adwokatami. Pracowali razem - on jako specjalista od spraw ubezpieczeniowych i odszkodowań powypadkowych, ona jako doradca w kwestiach prawa rodzinnego oraz separacji w okresie przed legalizacją rozwodów, walki o opiekę nad dziećmi i we wszystkich bolesnych problemach, towarzyszących rozpadowi rodziny. Nick przejrzał książkę telefoniczną, szukając ich firmy, ale dopiero po rozmowie z przedstawicielem Towarzystwa Prawniczego dowiedział się, że spółka Reynoldsów została

rozwiązana, podobnie jak ich małżeństwo, i Pat Reynolds pracował teraz dla jednej z największych kancelarii adwokackich w mieście, jako wspólnik.

- Zgarniam kupę forsy - pochwalił się, kiedy Nickowi w końcu udało się do niego dodzwonić. - Nigdy nie powodziło mi się tak dobrze jak teraz, stary. Trzeba było zrobić ten krok dawno temu...

Nick nie był pewny, jaki to krok Pat miał na myśli, ale wszelkie niejasności rozwiąły się, gdy prosto z windy trafił do holu apartamentu Reynoldsa na najwyższym piętrze nowoczesnego budynku. Podłogi z drzewa klonowego nadawały delikatny odcień białym ścianom ogromnego salonu, którego wielkie okna wychodziły na rzekę, doki i dalej na morze. Na sofie z białej skóry leżała ze szklanką w ręku kobieta, czy raczej dziewczyna z kręconymi jasnymi włosami i odsłoniętym brzuchem, która nawet na chwilę nie oderwała oczu od ustawionego w rogu telewizora z panoramicznym ekranem. Nick doskonale pamiętał Bridget, nie przypominał sobie jednak, aby biegła po domu z gołym brzuchem czy oglądała MTV.

- Jan, poznaj Nicka, mojego dawnego kumpla. Nick, to jest Jan, nowa pani mojego życia. - Pat, promieniejący zadowoleniem, wskazał Nickowi fotel i zaproponował mu drinka.

Jan przewróciła się na brzuch i zmieniła kanał. Luke'a nigdzie nie było widać.

- Och, jest w domu, oczywiście. - Pat machnął ręką w kierunku spiralnych schodów. - Tam, na górze. Tkwi przed komputerem, jak zwykle. Jak nie gry, to ten pieprzony Internet, tak to już teraz jest. Naturalnie ja nie rozumiem ani słowa z tego, co on gada - czasami mam wrażenie, że posługuje się jakimś obcym językiem. Jan znacznie lepiej rozumie, o co mu chodzi.

Nick z trudem powstrzymał się od komentarza.

- A co się dzieje z jego matką? - zapytał. Temperatura nastroju panującego w eleganckim salonie natychmiast spadła, i to wyraźnie.

- Jezu, nie wspominaj przy mnie o tej suce! Wydusiła ze mnie wszystko, do ostatniego grosza. Przestała pracować i uparła się, żebym płacił jej alimenty. Dostała dom, samochód, wszystko, co było na koncie w banku, no i dzieciaki. Potem przeprowadziła rozwód i nagle, ciach, prach, okazało się, że ma nowego faceta, wychodzi za niego i spieprza do Londynu, a mnie zostawia na głowie Luke'a, po tym, jak przez tyle lat ze wszystkich sił utrudniała mi z nim jakikolwiek kontakt... - Przerwał i rzucił Nickowi niepewne spojrzenie. - Nie zrozum mnie źle, stary, kocham gówniarza, ale po prostu go nie znam. - Pociągnął duży łyk ze szklanki. - Wszystkie te sobotnie spotkania na parę godzin, kiedy chodzi się z dzieciakiem na pizzę i do kina na jakiś gówniany film, nie przygotowują ludzi do normalnego życia, chyba nie muszę ci tego tłumaczyć... Staram się z nim rozmawiać, ale nie bardzo mi to wychodzi - Pat teatralnym gestem uniósł ręce w górę. - Robię, co w mojej mocy, prawda, skarbenku?

Jan najwyraźniej nie znalazła właściwych słów, aby odpowiedzieć na jego apel, bo tylko przewróciła się na bok i znowu zmieniła program.

- Wiesz, jak to jest z nastolatkami - podjął Pat. - Niełatwo jest z nimi wytrzymać. Kiedy matka Luke'a wyjechała do Londynu, myślałem, że może chłopak zechce zostać w domu przy Victoria Square, zamieszkać tam z jakimś kumplem czy coś takiego, ale on nawet nie chciał o tym słyszeć. Uparł się, żeby zamieszkać ze mną, z nami, no i teraz... Cóż...

Krępującą ciszę, która na parę chwil zapanowała w pokoju, przerwał dopiero sam Pat. Z pewnym trudem dźwignął się na nogi i zawołał Luke'a. Nick spojrział w okno. Strumienie światła przecinały rzekę z północy i południa, tworząc ciągłe linie wzdłuż obu brzegów. Nad miastem górowały rzeźbiście oświetlone sylwety potężnych dźwigów, podobne do przedwczesnych dekoracji gwiazdkowych.

- Luke! - W głosie Pata brzmiała prawdziwa bezradność. - Podnieście tyłek i zejź tutaj! Ktoś chce się z tobą zobaczyć!

- Spokojnie, Pat. - Nick lekko uniósł się z fotela. - Nie chcę sprawiać ci kłopotu, naprawdę... Może będzie lepiej, jeśli wpadnę innego dnia...

- To żaden kłopot, siedź, stary. Zaraz pójde tam i wykopię go z tej jego nory. Zawsze to samo, kurwa mać! Chłopak wraca ze szkoły, wchodzi na górę i zamyka się w swoim pokoju! Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje!

Nick usłyszał, jak pięść Pata łomocze w zamknięte drzwi, potem dobiegł go szmer rozmowy. Jan przewróciła się na plecy i założyła ramiona za głowę.

- Luke tęskni za domem, nic więcej. Brakuje mu matki. Co w tym dziwnego, na miłość boską?

Nick spojrział na dziewczynę, zaskoczony łagodnym brzmieniem jej głosu.

- Pat stara się z nim porozumieć, ale nie ma pojęcia, jak to zrobić. A mnie chłopak nienawidzi i nic nie mogę na to poradzić. Nawet mu się nie dziwię. Nie da się zaprzeczyć, że zafundowali sobie straszny bałagan...

- Jaki bałagan? Na co tam narzekasz, kotku? - Kroki Pata groźnie zadudniły na schodach, lecz jego ton był jowialny. - Jak chcesz zobaczyć prawdziwy bałagan, idź do pokoju Luke'a. Słowo daję, że zawsze wygląda tak, jakby ten chłopak zbierał śmieci. - Odwrócił się i machnął ręką do chłopca, który powoli szedł za nim. - Zobacz, kto do ciebie przyszedł, Luke! Pamiętasz pana Cassidy'ego, Nicka z Victoria Square?

Chłopak milczał. Stał ze wzrokiem wbitym w podłogę, z rękami w kieszeniach torbiastych spodni, nadepty i ponury. Pat podał dziewczynie obie ręce i ściągnął ją z sofy.

- Chodź, skarbie, zostawmy ich, żeby mogli sobie spokojnie pogadać o przeszłości. - Lekko popchnął Jan w kierunku windy, opierając dłoń tuż nad jej pośladkami. - Chyba naszała mnie ochota na piwko... Weź sobie coś do picia z lodówki, Nicky, i nie daj się zagadać mojemu synowi. Luke jest do twojej dyspozycji, stary.

Drzwi windy zamknęły się za nimi z metalicznym szelestem, odgłosy z telewizora zabrzmiały nagle głośniejsz niż przed chwilą. Nick podniósł się, sięgnął po pilota i wyłączył głos.

- Znacznie lepiej - odezwał się.

Usiadł na sofie, którą wcześniej zajmowała Jan, i spojrział na Luke'a. Chłopak wciąż stał przy schodach, wpatrzony w duży ślad po sęku na gładkiej, lśniącej podłodze.

- Jak się masz, Luke? Cieszę się, że cię widzę, i to po tylu latach... Wyrosłeś na przystojnego chłopaka. Może usiadłbyś tutaj, obok mnie, co? Chciałbym zapytać cię o kilka rzeczy. Nic trudnego, nic skomplikowanego... Chcę tylko porozmawiać o Owenie, o tamtym ostatnim dniu. Nie masz chyba nic przeciwko temu, prawda? Na pewno nie...

Jak zapamiętał Luke'a z tamtego okresu? Wiedział, że był o półtora roku starszy od Owena i miał wtedy prawie dziesięć lat. Pamiętał pulchnego chłopca o jasnorudawych włosach, ostrzyżonych na pazia. Pamiętał, że Luke lubił zbierać ślinę w ustach i wypuszczać jej strumyczek na podłogę, że był nieuprzejmy, czasami bez-

czelny i podkradał pieniądze z portmonetki matki. I że próbował namawiać Owena do tego samego, tyle że z portfela Nicka. Przede wszystkim pamiętał jednak, że Owen uwielbiał Luke'a, popisy złego zachowania w wykonaniu starszego chłopca trochę go bawiły, a trochę napełniały podziwem, i chciał być dokładnie taki jak Luke.

Teraz tłuszcz zniknął, pracowicie przerobiony na mięśnie. Bicepsy rozpychały krótkie rękawy koszulki Luke'a, jego nogi przypominały solidne, mocne słupy i chociaż stał przygarbiony, widać było, że jest bardzo wysoki. Musi mieć ponad metr osiemdziesiąt, pomyślał Nick. Odziedziczył wzrost po matce, która także była wysoka i dość masywna, nie otyła, ale silna, mocno zbudowana. Fryzura na pazia także zniknęła. Teraz Luke ściągał włosy, nadal lekko rudawe, w kitkę na karku, a jego policzki, broda i górna część szyi pokryte były czerwonym zarostem. Więc aż tak się zmieniają, pomyślał Nick, zerkając na stopy Luke'a, uwięzione w adidasach godnych giganta.

- Masz rozwiązane sznurowadła - zauważył. - Potkniesz się, jeśli ich nie poprawisz...

Podniósł wzrok na twarz chłopca i dostrzegł wyraz pogardy, który zastąpił całkowitą obojętność.

- Jasne... - wymamrotał Luke.

Z jego ust wydobyło się nie tyle słowo, ile raczej chrząknięcie. Zwrócił głowę w kierunku telewizora. Ściągnął wystąpiły mu na szyi, po pokoju rozszedł się kwaśny zapach potu.

Nick usadowił się wygodnie. Milczał i czekał. Chłopak przestąpił z nogi na nogę. Nick odwrócił wzrok i dopiero po dłuższej chwili znowu spojrzął na przyjaciela swojego syna.

- Owen cię kochał - odezwał się. - Podziwiał się, chciał być taki jak ty. Wiedziałeś o tym?

Milczenie. Luke wziął do ręki pilota i włączył dźwięk. Głośniki ryknęły odgłosami rozmowy, muzyki, strzałów, pisku opon ścigających się samochodów, grzmotem oklasków z trybun nad boiskiem. Luke zmieniał programy jak automat. Obrazy i hałas wypełniły przestrzeń do tego stopnia, że nie było już miejsca na nic innego. Ani na smutek, ani na żal, na nic, co mogłoby tłumaczyć łzy, które zaczęły powoli płynąć z oczu Luke'a, toczyć się po jego policzkach i kapać na podłogę u jego stóp.

Nadszedł dzień Halloween. Od wielu tygodni czekali na chwilę, kiedy będą mogli rozpalić ognisko na placu. Ale ognisko miało być ukoronowaniem wieczoru, wcześniej planowali obejść wszystkie okoliczne domy i zebrać trochę słodczy, a może nawet pieniędzy. Owen był lisem, Luke koniem. Luke oświadczył, że wszyscy lubią Owena, więc kiedy zobaczą lisa i konia, na pewno nie pożałują datków.

To wszystko mieściło się jednak w sferze planów i marzeń, które nigdy nie zostały zrealizowane. Los chciał inaczej.

- Więc co się stało? Co stało się tamtego dnia? Powiedz mi. Jesteś ostatnią osobą, która go widziała, w każdym razie ostatnią, o której wiemy... Musisz opowiedzieć mi, co się zdarzyło.

- Wszystko już opowiedziałem, naprawdę. Opowiedziałem policji i moim rodzicom, każdemu, kto mnie pytał. Nie chcę więcej o tym rozmawiać.

Kiedy łzy obeschły, wyszli z mieszkania na spacer. Przeszli na drugą stronę rzeki i ruszyli w dół O'Connell Street, do McDonalda. Nick obserwował jedzącego Luke'a. Big Mac z serem. Podwójne frytki. Truskawkowy shake z szarlotką. Nick zamówił kawę, słabą, gorzkawą i zdecydowanie za gorącą. Przełykając, czuł, jak

skóra piecze na poparzonym podniebieniu. Luke pochłonał wszystko, wyczerpany płaczem. Jego szerokimi ramionami od czasu do czasu wstrząsał cichy, suchy pół szloch, pół westchnienie.

Poszli dalej wzdłuż O'Connell Street, jak zwykle potwornie zatłoczoną. Przechodnie potrącali ich i popychali. Na rogach ulic żebrały Rumunki z zawiniętymi w szale niemowlętami na plecach, przy wejściach do dużych sklepów stali mężczyźni o mocno śniadych twarzach, rozmawiający ze sobą w językach, których Nick nigdy wcześniej nie słyszał. Na kamiennym piedestale, z którego kiedyś wznosiła się Kolumna Nelsona, tkwiła znajoma postać. Kobieta wyśpiewująca hymny do Niepokalanej Dziewicy, o twarzy rozjaśnionej ekstatyczną radością. Przystanęli, żeby na nią popatrzeć, a ona szeroko rozpostarła ramiona, włączając ich do swoich błagań o łaskę i błogosławieństwo.

- Ojciec uważa, że powinni ją zamknąć w zakładzie dla psycholi - rzekł Luke, kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy. - Mówi, że to relikwinię minionej epoki.

- A ty co o tym myślisz? Luke wzruszył ramionami.

- Myślę, że gdyby Fellini robił filmy o Irlandii, ona zostałaby jedną z jego gwiazd...

Nick uśmiechnął się i lekko szturchnął chłopaka w plecy. Jakiś autobus skręcił w prawo, żeby ich wyminąć.

- Mam nadzieję, że jesteś już pełnoletni - rzucił Nick. - Chyba mogę zaprosić cię na drinka, co?

Luke parsknął śmiechem.

- W porządku. - Nick chwycił go za ramię i pociągnął w głąb Parnell Street. - Nie zaglądałem tu od studenckich czasów, ale kiedyś było to ulubione miejsce mamy Owena i moje. Było tu tanio, a przede wszystkim nigdzie nie kręciły się tłumy studentów.

Przytrzymał drzwi pubu Pod Błękitnym Lwem i wpuścił Luke'a do środka.

- Byle tylko się nie okazało, że sprowadziłem nieletniego na złą drogę... - mruknął.

Kiedy jednak Luke jednym łykiem opróżnił połowę kufła, Nick przestał się martwić. Zaczekał, aż barman postawił przed nimi drugi raz to samo i dopiero wtedy zaczął jeszcze raz.

- Opowiedz mi, co się wtedy zdarzyło.

- Muszę? Przecież powiedziałem już panu i innym wszystko, co zapamiętałem. To było dziesięć lat temu, byłem wtedy dzieckiem.

Nick obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Bardzo bystrym dzieckiem, o ile sobie przypominam. Dzieckiem pełnym najrozmaitszych pomysłów, nie zawsze zgodnych z zasadami dobrego zachowania, prawda? Nie mylę się, co?

- Nigdy mnie pan nie lubił. - Duże palce Luke'a zabębniły po stole. - Pamiętam, że zawsze patrzył pan na mnie z dezaprobatą. Nie pan jeden, wszyscy mieli o mnie raczej nie najlepsze zdanie, za to uwielbiali Owena. Owen był ulubieńcem całej okolicy, czasami aż mnie mdliło, kiedy na niego patrzyłem...

- Naprawdę?

- Tak. - Luke znowu napił się piwa. - W szkole był pupilkiem nauczycieli, zawsze zlecali mu specjalne zadania, takie, dzięki którym mógł wyjść z klasy. Znosił wiadomości innym nauczycielom, dyrektorowi, biegał do magazynu po różne rzeczy, farby, kredki, takie tam głupstwa...

- Grał ci na nerwach, tak?

- Nie, nie on, tylko sposób, w jaki traktowali go inni. Moja matka stawiała mi go za przykład i ciągle nudziła, żebym wreszcie czegoś się od niego nauczył. - Podniósł głos, w którym nagle zabrzmiała piskliwa, natrętna nuta. - „Dlaczego nie jesteś taki jak Owen Cassidy? Dlaczego nie odrabiasz pracy domowej tak porządnie jak on? Dlaczego nie jesteś taki uprzejmy? Nie stać cię nawet na to, żeby nauczyć się od niego mówić «proszę» i «dziękuję»?”. Czasami marzyłem, żeby ktoś strzelił palcami i sprawił, aby pieprzony Owen Cassidy nagle zniknął...

Policzki Luke'a oblał krwawy rumieniec.

- Przepraszam, przepraszam... Nie to miałem na myśli, naprawdę. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem...

- Wszystko w porządku. - Nick uśmiechnął się lekko.

- Wcale nie w porządku. Przecież to nie była wina Owena, prawda? Mogłem być dla niego lepszym przyjacielem, ale tamtego dnia po prostu go zawiodłem...

W barze panowała cisza. Telewizor był nastawiony na wiadomości, lecz barman wyłączył dźwięk. Przy wygiętym w podkowę stole siedziało kilku mężczyzn w ciemnych garniturach, zwróconych twarzami do kobiety o prostych, jasnych włosach i ciemnobłękitnych oczach.

Nick patrzył na twarze mężczyzn, raz w odległym planie, to znów w zbliżeniu, szukając na nich śladów zdradzających napięcie - zaciśniętych ust, gestu podniesienia ręki do karku, poruszeń jabłka Adama. - Opowiedz mi - powiedział.

Wyjął z kieszeni ołówek i zaczął szkicować nim drobne kształty na podstawce pod kufel. Słuchał.

Zaczęło padać, kiedy byli jeszcze w pubie. Ulice opustoszały i na miasto opadła wilgotna, zimna mgła. Nick odprowadził Luke'a do Temple Bar i zaczekał, aż chłopiec zamknie za sobą ciężkie drzwi budynku od strony ulicy. Potem odwrócił się, postawił kołnierz skórzanej kurtki i wsunął ręce głęboko do kieszeni. Rozejrzał się dookoła. Tyle zmieniło się w czasie jego nieobecności... Wszędzie widać było nowe bary i restauracje, z których co jakiś czas wysypywały się grupki nienaturalnie rozweselonych ludzi. Niektórzy z nich ściskali w rękach plastikowe kubeczki z alkoholem. Nick poczuł się samotny i zagubiony, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nie ma tu dla niego miejsca. Jakąś częścią serca wyczuwał jednak także, że pod lśniąca, lakierowaną powierzchnią świeżej zamożności kryje się miasto, które zawsze kochał, znane tak dobrze jak rysy jego własnej twarzy.

On i Susan zawsze dobrze czuli się w Dublinie. W czasie studiów często spacerowali ulicami, trzymając się za ręce i rozmawiając. Ich miłość narodziła się właśnie tutaj, w pubach i małych barach, na ulicach, zaniebanych placykach i wśród zniszczonych doków. Dzielili ciasne mieszkanie w dziewiętnastowiecznych kamienicach, gdzie nie było ogrzewania, a odpływ w łazience ciągle się zatykał. W nocy leżeli ciasno przytuleni, bezpieczni w skromnym królestwie swojej miłości, słuchając wycia karettek pogotowia i policyjnych samochodów, krzyków, przekleństw i dzikiego śmiechu pijaków.

Teraz Nick uświadomił sobie nagle, że tylko krótki spacer dzieli go od szpitala, w którym nadal pracowała Susan. Postanowił pójść tam i zobaczyć się z nią, tak jak dawniej miał to w zwyczaju. Napije się herbaty w dyżurce pielęgniarek z nocnej zmiany i zaczeka, aż Susan będzie już mogła iść do domu. Poniesie lekarską

torbę i pozwoli, aby jej zmęczone ciało poszukało oparcia w jego ciele, jak zwykle, jak dawniej, kiedy życie było pełne nadziei i cudownego oczekiwania.

Szybkim krokiem ruszył przed siebie wąskimi uliczkami, ślizgając się na wilgotnych, wygładzonych przez czas kocich łbach. Dzielnica Stephen's Green była cicha i spokojna, drzewa ciasno otaczały placówki i skwery, a szerokie chodniki były puste. Nick przebiegł na drugą stronę ulicy, w kierunku jasno oświetlonego napisu nad kamiennym portykiem i rzeźbionym w marmurze aniołem, który osłaniał ulicę opiekuńczo rozpostartymi skrzydłami. Przystanął na chwilę, żeby złapać oddech i spojrzął w rząd oświetlonych okien nad jego głową. Szpitalny budynek ani trochę się nie zmienił, w przeciwieństwie do tylu innych w tym mieście. Nadal wymagał remontu, którego nie przeprowadzono tu chyba od czasu, gdy pod koniec dziewiętnastego wieku natchniony dobroczynną myślą właściciel przekazał go na szpital. Nick pchnął ciężkie skrzydło drzwi i wszedł do środka. Siedzący za starannie wypolerowanym mahoniowym biurkiem portier podniósł wzrok znad wieczorne-go wydania gazety.

- Kogóż to ja widzę? - Uśmiechnął się ciepło, bez chwili wahania. - No, no, tak dawno się nie widzieliśmy, tak dawno... - Wyciągnął nad blatem rękę i mocno uściśnął dłoń Nicka. - Szuka pan pani doktor? Jest w izolacie, pamięta pan drogę? Jasne, że tak, prawda? A tutaj nic się nie zmieniło, nic, nawet ja sam...

Portier miał rację. Nick pobiegł na górę, pokonując po dwa schodki naraz. Ściany wciąż pomalowane były brunatną farbą, linoleum na podłodze pokrywała skomplikowana mapa plam i pęknięć. No i ten zapach... Tak, oczywiście, tego nic nie mogło zmienić - środek dezynfekcyjny i chemikalia, z domieszką lęku i nigdy niegasnących obaw.

Na półpiętrze stała duża figura Najświętszej Maryi Panny. U Jej stóp paliła się czerwona lampka, wokół głowy aureola z gwiazd. Obok, na twardej drewnianej ławce, tuliła się do siebie para młodych ludzi o zmęczonych, wystraszonych twarzach. Dziewczyna przyciskała do brzucha dużego pluszowego misia i kołysała się w przód i w tył, chłopak podtrzymywał jej głowę na swoim ramieniu. Pocałował ją w policzek i jedną ręką pogłaskał po włosach, drugą bawiąc się paczką papierosów. Nick przystanął na sekundę i popatrzył na nich, potem odwrócił się i ruszył przed siebie długim korytarzem, na którego końcu znajdowały się oszklone drzwi. Podeszwy jego butów cicho skrzypiały na lśniącej podłodze.

Na oddziale panowała teraz cisza, lecz w ciągu dnia było to gwarne, pełne hałasu miejsce. Wszędzie kręciły się dzieci, które nie potrafiły długo wytrzymać w łózkach i łódeczkach. Raczkujące niemowlęta bawiły się w kojcach, starsze dzieci spacerowały po korytarzu, ciągnąc za sobą stojaki z kropłówkami. Nawet najbardziej chore dzieci miały dość energii, aby rozmawiać i się bawić. Nick zawsze się dziwił, że tak dobrze radzą sobie z bólem i strachem.

- Są wobec siebie szczerze - powiedziała mu kiedyś Susan. - I my także staramy się zawsze mówić prawdę im i ich rodzicom. Dzieci o wiele lepiej znoszą nawet najgorszą wiedzę niż stan niepewności. Wszyscy moglibyśmy się od nich dużo nauczyć.

Ale teraz wszystkie oddziały pogrążone były w półmroku. Przyćmione światła rzucały niebieskawy blask na śpiące dzieci oraz ich matki i ojców, leżących obok chorych na składanych łózkach. Na końcu korytarza drogę zagroziły ciężkie drzwi. Próbował je otworzyć, lecz były zamknięte. Przytknął twarz do zimnego szkła i z obu stron osłonił ją dłońmi, usiłując zajrzeć do środka. I wtedy ją zobaczył. Stała przy wysokim meta-

lowym łóżku, ubrana w zielony fartuch, z włosami ukrytymi pod czepkiem i w masce na twarzy. Pochyliła się, żeby sprawdzić, czy lekarstwo w przezroczystej torebce z grubej folii, zawieszanej na stojaku, spływa tak, jak powinno. Krople gęstego, czerwonego płynu powoli przedostawały się do wąskiej rurki, a stamtąd do organizmu chorego. Nick wiedział, że jest to szpik kostny. Dziecko leżało na boku i chyba spało. Trudno było powiedzieć, czy jest to chłopiec, czy dziewczynka, bo jego głowa była łysa i błyszcząca, a skóra bielsza od prześcieradła, którym przykryte było drobne ciało. Susan przysunęła sobie krzesło i usiadła. Ostrożnie rozchyliła zieloną koszulę dziecka, odsłaniając rurkę dostarczającą szpik do białej w pierś małego pacjenta igły. Dziecko otworzyło oczy i wyciągnęło rękę do Susan, która szybko podniosła z podłogi plastikową figurkę. Włosy lalki były jasne, sztywne i gęste jak lwia grzywa. Dziecko wzięło ją od Susan, pocałowało martwą, ozdobioną nigdy niegasnącym uśmiechem buzię i położyło na poduszce, tuż obok swojej łysej głowy. Susan siedziała nieruchomo. Potem położyła rękę na czole dziewczynki. Nick widział, jak jej ukryte za maską wargi poruszyły się, ale nie słyszał słów. Pokój był prawie pusty, sterylny - musiał taki być. Nick wiedział, przez co przeszła mała dziewczynka. Jej ciało zostało zbombardowane promieniami, które niszczyły komórki szpiku kostnego, pozabawiając chorych prawidłowo działającego systemu immunologicznego i wystawiając ich na ataki wszystkich możliwych infekcji. Gęsty płyn w torebce miał zastąpić pierwotny szpik i przywrócić małej zdrowie. Przez siedem dni dziecko, jego rodzina, lekarze i pielęgniarki czekali z zapartym tchem. W tym czasie mali pacjenci pozostawali w całkowitej izolacji. Do końca nie można było mieć pewności, czy dzięki pomocy nowoczesnej medycyny i dużej dozy szczęścia organizm chorego zacznie produkować nowe, nieskażone chorobą komórki szpiku kostnego.

- Czasami szpik się przyjmuje, a czasami nie - próbowała mu wyjaśnić Susan. - Często nie wiemy, dlaczego. I często możemy tylko bezsilnie patrzeć, jak wymykają nam się z rąk...

Nick cofnął się od drzwi. Jego odbicie wisiało przed nim w szklanej tafli, za którą Susan podniosła się, sięgnęła po tabliczkę i zaczęła robić notatki w karcie chorej. Zarys jej ciała, obleczonego w szpitalny fartuch, pojawiał się i znikał za szybą. Odłożyła tabliczkę, odwróciła się do drzwi i zrobiła krok w ich stronę. Nick szybko wycofał się do małego korytarzyka po prawej stronie, nagle przestraszony, że mogłaby go zobaczyć. Po lewej stronie miał małą kuchenkę, obok, na ścianie, pokrytą fotografiami korkową tablicę. „Wolny weekend 15-18 sierpnia 2000 roku, Roku Milenijnego”, przeczytał. Najwyraźniej urządzono wtedy piknik. Dzieci w letnich ubraniach siedziały na kocach, jedząc hamburgery i kielbaski. Za dużym metalowym grillem stała grupa dorosłych, których twarze przesłonił dym, dalej kilka grupki pielęgniarek i lekarzy. Wśród nich stała roześmiana Susan. Obejmowała ramieniem dziewczynę, której twarz nagle wydała się Nickowi znajoma. Brązowe oczy ocienione gęstymi czarnymi rzęsami, szerokie usta z wygiętą w łuk górną wargą. Ciemne włosy ostrzyżone tak krótko, że przeświecała spod nich biała skóra. Wszyscy się uśmiechali, ale ona jedna nie. Jej twarz była smutna, zamyślona, oczy mroczne. Nick przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz ją zobaczył. Była pacjentką tego szpitala. Przeszła przez to samo, co tamta mała dziewczynka w izolatce, nad którą teraz czuwała Susan. I miała wielkie szczęście, bo przeżyła. Życie ocalił jej szpik kostny jej brata. Dostała drugą szansę, a kiedy miała osiemnaście lat, zamieszkała w ich domu.

- Zrobimy jej rodzicom dużą uprzejmość - powiedziała Susan. - Nie chcą, żeby była zdana sama na siebie w wielkim mieście. Pragną, by miała przyjaciół i spokojne, bezpieczne miejsce, gdzie mogłaby zamieszkać.

Tobie też dobrze to zrobi, Nicky. Zyskasz trochę wolnego czasu, tylko dla siebie, bo Marianne codziennie po południu zajmie się Owenem. Będziesz mógł sobie poszaleć, co?

I chociaż Nick powtarzał, że nie chce, aby ktoś obcy kręcił się po ich domu, że nie potrzebuje pomocy, że przecież nie narzeka, Susan w końcu go przekonała, a raczej zmusiła do kapitulacji. Pomalował ściany nieużywanego pokoju na poddaszu, powiesił tam półki na książki, wstawił łóżko i szafę. Postarał się nawet o mały przenośny telewizor, odtwarzacz CD i radio, a wszystko to po to, żeby Marianne dobrze się czuła. I niedługo potem zauważył, że wtopiła się w ich życie i dom tak, jakby zawsze była wśród nich. Sześć miesięcy później nie musiał już wstawać rano z łóżka i przez mgłę nie do końca przerwano snu słyszał kroki Marianne na schodach oraz jej głos, zachęcający Owena, żeby włożył już kurtkę, poszukał tornistra i butów do gry w piłkę nożną. Kiedy w końcu wstawał, kuchnia była posprzątana, a na stole stygł świeżo upieczony bochenek ciemnego chleba. Wieczorami, gdy zamykał za sobą drzwi studia w piwnicy, w piecyku czekała ciepła kolacja, Owen miał odrobione lekcje, w kominku w salonie wesoło trzaskał ogień, a na stoliku stała otwarta butelka wina i kieliszek.

- Miałam rację, prawda? - odezwała się Susan pewnego letniego wieczoru, kiedy siedzieli w ogrodzie i patrzyli na Marianne i Owena, którzy leżeli na kocu i szeptali coś do siebie.

Marianne czytała Owenowi na głos, ale co chwilę przerywała lekturę, mówiła coś do chłopca i oboje wybuchali śmiechem.

Nick wyciągnął rękę i zdjął fotografię z tablicy. Winił Marianne za to, co się stało, a ona winiła jego. Pokłócili się potwornie, w obecności Susan, oboje szarpani wyrzutami sumienia. Każde z nich chciało zrzucić z siebie ten straszny ciężar. Nick pamiętał, co powiedziała wtedy Susan.

- Myślałam, że chodzi o ciebie, Marianne. Byłam pewna, że Nick zakochał się w tobie, że to z tobą uprawia seks. Nie chciałam w to wierzyć, nie chciałam wierzyć, że mogłabyś być taka okrutna, ale naprawdę myślałam, że to ty. Przepraszam cię. Jediną dobrą rzeczą, jaka wynikła z tego koszmaru, jest to, iż nie mam już cienia wątpliwości, że to nie byłaś ty. I cieszę się z tego, możesz być pewna.

To nie Nick był zakochany w Marianne, ale Owen. Właśnie to Luke powiedział Nickowi w pubie.

- To była miłość. Nie zauroczenie, nie cieleca miłość, czy jak tam ludzie to nazywają. Owen miał świra na jej punkcie, chciał ciągle z nią być, a ona wysłała go, żeby bawił się ze mną, bo miała randkę z tym facetem, z tym Chrisem z domu obok. Owen nie chciał być ze mną, więc wściekłem się na niego i powiedziałem mu...

Przerwał i pociągnął duży łyk piwa. Nick czekał.

- Co mu powiedziałeś?

Oczy Luke'a znowu napełniły się łzami. Nick czekał.

- Poszliśmy do centrum handlowego. Marianne dała nam pieniądze. Chciałem kupić jeszcze trochę fajerwerków od faceta, który zwykle sprzedawał je na najniższym poziomie, w garażu, ale nie mogliśmy go znaleźć. Kręciliśmy się tam parę minut, a potem Owen wpadł na pomysł, żeby zrobić sobie zdjęcie w automacie. Poszliśmy na parter i wtedy okazało się, że on potraktował to strasznie poważnie. Poszedł do toalety i zmoczył sobie włosy, żeby nie sterczały, a kiedy automat wyrzucił zdjęcia, kazał mi wybrać najlepsze. Powiedział, że chce je dać Marianne, kazał mi równo odedrzeć to najładniejsze. Wyśmiałem go, powiedziałem, że jest idiotą. Potem powiedziałem mu, że ona ma dużą cipę. Słyszałem, jak starsze dzieciaki rozmawiały o dziewczynach i

cipach, ale tak naprawdę wcale nie wiedziałem, co to takiego, myślałem, że ma to coś wspólnego z cyckami. Ja nie wiedziałem, lecz Owen wiedział doskonale... Zabawne, prawda? Wrzasnął, że nie wolno mi tak mówić, że nic o niej nie wiem. Na to ja, że wiem aż za dużo, że pokazała mi swoją cipę i pozwoliła jej dotknąć. Wtedy Owen wpadł w szal, zaczął mnie kopać i okładać pięściami. Wiesz, co zrobiłem? Uciekłem od niego. Przestraszyłem się i uciekłem. Myślałem, że pobiegnie za mną, że wybaczy mi i znajdzie mnie, ale kiedy się obejrzałem, jego już nie było. Nie było nam wolno wychodzić poza Victoria Square bez dorosłych, lecz oczywiście zrobiliśmy to tamtego dnia, ciągle łamaliśmy ten zakaz. Uciekłem, a gdy się obejrzałem, Owena nie było... Wróciłem do domu, stanąłem na szczycie schodów przed naszymi drzwiami i długo się rozglądałem, ale nigdzie go nie było. Właśnie wtedy widziałem go ostatni raz. Taka była nasza ostatnia rozmowa... Okłamałem go, ale on mi uwierzył.

Nick znowu spojrzął na fotografię. Owen narysował Marianne jako piękną księżniczkę w złotej koronie. Na tym zdjęciu wciąż była piękna, lecz jej oczy były pełne cierpienia.

Tuż przed nim przemknęła Susan w zielonym fartuchu. Szybkim krokiem podeszła do pary młodych ludzi na drewnianej ławce i przykucnęła przed nimi, pochylając głowę ku ich głowom. Nick wyczuł napięcie w jej głosie. Po chwili podniosła się i gestem poleciła tamtym, aby poszli za nią. Cofnął się głębiej, żeby go nie zobaczyli. Nagle zrozumiał, że jest tu intruzem, że naprawdę nie ma tu dla niego miejsca. Pośpiesznie zawrócił w kierunku schodów.

- Nie powiedziałaś o tym policji, prawda, Luke?

- Nie, nie mogłem się na to zdobyć. Czuję się strasznie winny. Powiedziałem im, że Owen poszedł poszukać więcej drewna na ognisko, ale ja musiałem wrócić do domu. W pewnym sensie była to prawda, bo rzeczywiście mieliśmy zebrać więcej gałęzi, a ja naprawdę musiałem wracać do domu. Więc właściwie wcale nie skłamałem...

Ale też nie powiedziałaś całej prawdy, pomyślał Nick. Podobnie jak ja, gdy podałem swoją pierwszą wersję wydarzeń tamtego dnia.

Portiera nie było przy biurku, kiedy Nick przemknął przez hol i wyszedł na ciemną ulicę. Deszcz przestał padać, ale było bardzo zimno i ponuro. Spojrzął na zdjęcie, które wciąż trzymał w ręku. Wsunął je do wewnętrznej kieszeni kurtki i musnął palcami inną fotografię. Luke dał mu ją, kiedy się żegnali. Wyjął ją z portfela.

- Zawsze miałem to zdjęcie przy sobie, ale teraz może pan je wziąć - powiedział, wciskając je Nickowi do ręki.

Spojrzała na niego twarz ośmioletniego Owena, szeroko uśmiechnięta. Nick wyjął fotografię z kieszeni i długo się w nią wpatrywał. Potem znowu ją schował i spojrzął na zegarek. Parę minut po jedenastej. Jeżeli się pośpieszę, na pewno znajdę jeszcze jakiś otwarty pub, pomyślał. Musiał się napić. Popęłnił błąd, przychodząc tutaj. Wszędzie był obcy, nigdzie nie było dla niego miejsca. Postawił kołnierz kurtki, odwrócił się i ruszył w kierunku jasno oświetlonej ulicy.

Rozdział czternasty

Obudził się w całkowitej ciemności. Ciało miał tak zeszywniałe, że w pierwszej chwili w ogóle nie mógł się poruszyć. Jego policzek spoczywał na wytartym, miękkim welwecie starej poduszki, powietrze pachniało wilgocią. Leżał rozciągnięty na podłodze przed piecykiem. Skórę na kościach biodrowych miał obolałą i otartą od kontaktu z deskami podłogi, stopy zziębnięte. Poruszył się ostrożnie i uniósł głowę. Jego uszy wypełnił nagle odgłos głośnego stukania do drzwi, krew zaczęła pulsować w skroniach. Powoli dźwignął się do pozycji siedzącej. Hałas nie cichł. Nick ujął głowę w dłonie i zatkał sobie uszy palcami, ale nawet to nie odgrodziło go od potwornego łomotania. W ustach zupełnie mu zaschło, język miał obłożony, czuł gorzki, nieprzyjemny smak whisky.

Spróbował wstać, ale osłabłe, zdrewniałe nogi ugięły się pod nim. Zakołysał się niepewnie. Łomot wciąż trwał, teraz dołączył się do niego jakiś głos, nawołujący go donośnie i brzęk skrzynki na listy, którą ktoś stukał o drzwi.

- Panie Cassidy, jest pan tam? To ja, Min Sweeney! Z policji, panie Cassidy!

Znowu podniósł się, lecz tym razem oparł się o ścianę, żeby nie upaść. Jego żołądek ścisnął spazm, schylił się i wymiotował.

Jak przez gęstą mgłę dotarły do niego fale cichnącego i narastającego dźwięku - stukanie do drzwi, wołanie, potem odgłos kroków, cichnących na wybetonowanej ścieżce.

- Zaraz, zaraz, już idę! Chwileczkę, na miłość boską! Proszę poczekać!

Usiłował przypomnieć sobie kilka najprostszych rzeczy. O której godzinie wrócił do domu? Jaki był dziś dzień? Która godzina? Zataczając się, dopadł do drzwi i otworzył. Poryw wiatru wyrwał mu je z dłoni i uderzył nimi o framugę, przytrząskując mu dwa palce.

- Cholera jasna!

Ból szarpnął całym ramieniem, dotarł do barku i do mostka, można by pomyśleć, że poruszył coś w okolicy serca. Wyszarpnął palce spomiędzy drzwi i zgiął się wpół, przytrzymując stłuczoną dłoń drugą, zdrową. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- Masz ci los, to chyba boli...

Podniósł wzrok. Przed nim stała Min Sweeney.

- Proszę pokazać... - Postawiła dużą plastikową torbę na ziemi i pociągnęła go w stronę światła. - Pa-skudne, bardzo bolesne, wiem coś o tym. Sama kilka razy w życiu przycięłam sobie w ten sposób palce i o mało nie wyskoczyłam wtedy ze skóry. Musi pan potrzytać je pod bardzo zimną wodą. Raczej nie są złamane, chociaż nigdy nie wiadomo... Może warto byłoby wybrać się na pogotowie.

Ani słowem nie skomentowała jego wyglądu ani stanu, w jakim znajdował się pokój. Puściła wodę nad kuchennym zlewem i mimo protestów długo trzymała jego palce pod lodowatym strumieniem. Uwolniła go dopiero wtedy, gdy palce zrobiły się prawie przezroczyste, a siniaki ostro wystąpiły na tle białej skóry. Potem włączyła czajnik i włożyła torebki z ekspresową herbatą do dwóch kubków, wyjęła karton mleka z lodówki i czujnie obwąchała je przed nalaniem. Podała jeden kubek Nickowi, który skrzywił się lekko, chwytając ucho.

Pili w milczeniu. Min przyglądała mu się spod oka.

Był blady, oczy miał zaczerwienione, policzki pokryte zarostem, z porów skóry sączył się ostry zapach alkoholu. Był bardzo szczupły, wręcz chudy. Wyglądał tak jak dziesięć lat temu, pomyślała. Jakby ktoś go pobił i rzucił na kolana.

Dopił herbatę i wstawił kubek do zlewozmywaka, potem poszedł w drugi koniec pokoju. Na podłodze, obok welwetowej poduszki, leżało pudełko papierosów. Przykucnął, podniósł je, wytrząsnął jednego papierosa na dłoń i natychmiast z wyrazem obrzydzenia na twarzy wrzucił do popielniczki. Gdy przeniósł się na sofę, Min usiadła obok niego. Wyprostował się i spojrzał na nią, wciąż podtrzymując stłuczoną dłoń.

- Nie pali pani, prawda?

Potrząsnęła głową. Podłoga zasłana była kartkami papieru. Schyliła się, żeby im się przyjrzeć. Na kilku znajdowały się rysunki przedstawiające małego chłopca i liska. Były piękne. Postaci tchnęły życiem, Min nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że mogłyby zejść z papieru i przemaszerować przez pokój. Inne rysunki niewątpliwie wyszły spod ręki dziecka, ale one także były piękne.

- Wspaniale - powiedziała, zerkając na niego przez ramię. - To pan je narysował, tak?

Nie odpowiedział.

- Mam kilka pańskich książek w domu. Moi chłopcy je uwielbiają.

Wzruszył ramionami.

- Byli pod wrażeniem, kiedy powiedziałam, że pana znam.

- Naprawdę?

- Mówiłam im o panu i pańskim synu...

- Tak?

- Powiedzieli mi, że powinnam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc. Że mam poruszyć niebo i ziemię, aby go znaleźć.

- Poruszyć niebo i ziemię... - powtórzył z namysłem. - To mocny zwrot...

- Prawda? Jeden z ulubionych mojego ojca. Moi synowie są znakomitymi naśladowcami, podobnie jak wszystkie dzieci w ich wieku. Chłoną wszystko jak gąbka, słowa, wyrażenia, manieryzmy, tiki... Kiedy na nich patrzę, zawsze dostrzegam w ich zachowaniu, twarzach i gestach ludzi, których znamy... Hmm... Ale pan przecież wie, o czym mówię... Na pewno pamięta pan, jaki był pana synek...

- Proszę mówić do mnie Nick. Wydaje mi się, że wcześniej obywaliśmy się bez tych formalności.

Uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramionami.

- Nie chciałam, by pan pomyślał, że za dużo sobie pozwalam...

- Naprawdę? Dziwne, jakoś nie przypominam sobie, żeby policjanci charakteryzowali się szczególną delikatnością... Pamiętam, że raczej bez wahania deptaliście mi po palcach, zresztą na pewno nie tylko mnie. Zaraz, jak to nazwał mnie pani szef? Chyba babiarzem, najgorszym mężem, jakiego widział, tak, właśnie tak... I oczywiście podejrzanym o zabójstwo własnego syna. Krótko mówiąc, z moich wspomnień wynika, że policja zwykle za dużo sobie pozwala...

Podniosła się i w milczeniu podeszła do drzwi wejściowych. Usłyszał, jak je otworzyła, potem zapanaowała cisza. Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Jego palce i cała dłoń pulsowały boleśnie. Było mu niedobrze.

Drzwi zamknęły się i wtedy znowu rozległy się jej kroki. Podniósł powieki i spojrzał na nią. Przyniosła dużą plastikową torbę, która objęła się o jej nogi. Nagle wydała mu się podobna do dziecka z za dużym tornistrem. Oparła ciężar na podłodze i odsunęła stopę, kiedy torba przewróciła się na bok.

- Posłuchaj, Nick... - zaczęła. - Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale staraliśmy się wtedy jak najlepiej wykonać swoją pracę, to wszystko. Może się zdziwisz, lecz w całym kraju do dziś jest sporo mężczyzn i kobiet, którzy nigdy nie przestali myśleć o twoim synu, wciąż się zastanawiając, co się z nim stało. I ciągle wyrzucają sobie, że nie zrobili wszystkiego, co mogli, że czegoś zaniedbali. Tak, podejrzewaliśmy cię, to prawda. - Pokiwała głową, znowu przypominając mu dziecko, zdolną uczennicę, która stara się zasłużyć na dobrą opinię. - Podejrzewaliśmy także twoją żonę, waszych sąsiadów, opiekunkę chłopca, waszych przyjaciół, twoją kochankę i jej męża. Wszyscy byliście podejrzanymi, ja też bym była, gdybym znalazła się na waszym miejscu. Wiem, że nie było to przyjemne ani wygodne, ale nie dało się tego uniknąć.

W pokoju znowu zapanowała cisza.

- W porządku. - Uniósł obie dłonie w pojedynczym geście. - Przyjmuję to do wiadomości. I przepraszam cię, wybac mi nieuprzejmość. Nie jestem dziś w najlepszej formie.

- Tak... - Uśmiechnęła się kątem warg. - Zdążyłam to zauważyć. Co się tu w ogóle dzieje? Ten pokój cuchnie jak pub tuż przed zamknięciem w sobotni wieczór...

- Cóż... - Wzruszył ramionami. - Niektórzy mówią w takiej sytuacji, że stare nawyki nigdy nie umierają. Mógłbym też dodać, że próbuję stawić czoło przeszłości, ale szczególnie podobają mi się rzeczy, które w niej odnajduję...

- Ach, tak? Chcesz o tym pogadać?

Pokręcił głową i posłał jej ostrożny uśmiech. Nie chciał o tym rozmawiać. Nie chciał wracać do poprzedniego wieczoru, zresztą, chyba nawet nie bardzo mógł sobie przypomnieć, co robił. Po wyjściu ze szpitala skierował się do najbliższego baru. Wdał się w pogawędkę z dwoma facetami, którzy przedstawili się jako sprzedawcy samochodów i zabrali go do jakiegoś klubu. Tam zgubił ich w hałasie, oparach dymu i alkoholu, wśród głębokich, mrocznych cieni. Poznał jakąś kobietę i postawił jej drinka. Wysłuchiła go, pozwoliła mu oprzeć głowę na swoim ramieniu i podtrzymywała go, kiedy oboje wytoczyli się na spowitą szarym światłem świtu ulicę. Zawołała taksówkę i zabrała go do swojego mieszkania. Nick zamknął oczy. Nie chciał sobie przypominać, co było dalej. Kiedy od niej wyszedł, na dworze było pogodnie, ale zimno. Pod wpływem chłodnego, ostrego wiatru łzy nabiegły mu do oczu, z nosa pociekła woda. Po drodze do domu wstąpił do sklepu i kupił butelkę whisky. Wypił prawie całą, zanim stracił przytomność na podłodze.

- Proszę... - Min popchnęła foliową torbę w jego stronę. W środku znajdowało się mnóstwo beżowych teczek.

Usiadła obok niego na sofie, wyjęła kilka folderów i rzuciła mu na kolana.

- W tej chwili pracuję w komendzie głównej policji - powiedziała. - Miałam okazję zajrzeć do archiwum i kiedy byłam tam dzisiaj, natknęłam się na te dokumenty. Przyszło mi do głowy, że może masz trochę wolnego czasu i chciałbyś go wykorzystać na ich przejrzanie...

Nick wyprostował się gwałtownie.

- Pozwolili ci wynieść to wszystko z archiwum?

Min wzruszyła ramionami.

- No, nie powiedziałabym, że „pozwolili” jest w tym wypadku właściwym określeniem, ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Tak czy inaczej, wiem, że mogę ci zaufać. - Podniosła wskazujący palec prawej ręki i pogroziła nim z udawaną surowością. - Na pewno nie uszkodzisz tych materiałów, nie pogubisz ich i nie powierzysz nikomu innemu, prawda?

Nick skinął głową.

- Oczywiście, że nie... - Położył otwartą dłoń na gładkiej okładce. - Są tu zeznania, tak?

- Fotokopie zeznań, raporty z rewizji, zapis rozmów ze wszystkimi ludźmi, którzy jakoby widzieli Owena po zniknięciu, opinie jasnowidzów, lista wariatów, którzy zgłosili się na policję, bo mieli coś niezwykle ważnego do powiedzenia i tak dalej, i tak dalej... Kwestionariusze, które wypełnili wasi sąsiedzi. Są tu chyba wszystkie istotne rzeczy, zresztą, więcej nie dałabym rady wynieść. W archiwum zostało jeszcze mnóstwo papierów, ale wybrałam te, które mogą ci się przydać. Szczerze mówiąc, nie sądzę, byś znalazł coś, czego nie zauważyliśmy, ale kto wie? - Uśmiechnęła się do niego. - Świeże spojrzenie i tak dalej, wiesz, jak to jest...

- Fantastycznie!

Kiedy odwzajemnił jej uśmiech, dostrzegła to znowu, jakby po raz pierwszy - urok, ciepło, szczerość malującą się w jego oczach.

- Wiesz co? - Zepchnął teczki z kolan na sofę. - Musimy to jakoś uczcić! Powinienem okazać ci wdzięczność i porządnie przeprosić za swoje zachowanie. Nie mam tu kwiatów ani czekoladek, ale co byś powiedziała na coś dobrego do picia? Coś pysznego, świątecznego? Może whisky na gorąco albo kawę po irlandzku?

- No tak, teraz chcesz się podlizać... - Zrobiła śmieszny minę.

- Tak jest, popisz się swoim zawodowym cynizmem! Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, nie słyszałaś takiego powiedzenia? - Nick wstał. - Chcesz czy nie, ja biorę się do roboty!

- Dobrze, dobrze, nie obrażaj się! Chętnie napiję się grzanej whisky, ale koniecznie z goździkami i trzciniowym cukrem, inaczej nie chcę...

- Skoro jesteś taka wybredna, to musisz mi pomóc. - Chwycił ją za rękę, pomógł wstać, zaprowadził do kuchni i otworzył szafkę nad zlewozmywakiem. - No, zobaczmy, co tu mamy... Jest cukier, są goździki... I spójrz tutaj... - Wyjął cytrynę z miski, w której leżał także bardzo czarny banan i pomarszczone jabłko. - Możesz nawet powtykać goździki w plasterki cytryny, w stylu drinków z lat siedemdziesiątych, bardzo elegancko...

Min parsknęła śmiechem.

- Zamknij się! - powiedziała. - Nalej lepiej wody do czajnika, dobrze? A gdzie jest alkohol, składnik podstawowy, co? Nie mów mi tylko, że wszystko wypiełeś!

Usiedli przy kuchennym stole i postawili przed sobą parujące szklanki.

- Dobre... - mruknęła, ostrożnie pociągając mały łyk, żeby się nie oparzyć. - O tej porze dnia zwykle obieram ziemniaki na kolację, piję herbatę, która dawno wystygła albo staram się rozdzielić dzieci, które szarpiają się tak, jakby zamierzały się pozabijać.

- Ile mają lat?

- Sześć. To bliźniaki, chłopcy.

- A więc przez ten czas wyszłaś za męż... - Zerknął na jej lewą dłoń. - Ach, jest obrączka! Nie zauważyłem wcześniej...

- Owszem, wyszłam. Siedem lat temu. - Łyzeczką wyłowiła goździk ze szklanki.

Na błyszczącej metalowej powierzchni wyglądał jak malutka czarna kostka.

- Czym zajmuje się twój mąż?

- Zajmował się. Nie żyje, umarł trzy lata temu.

- Mój Boże, strasznie mi przykro... Nie przypuszczałem...

Potrząsnęła głową, mieszając cukier w szklance.

- Skąd miałaś wiedzieć?

Na chwilę umilkli. Nick upił mały łyk gorącej whisky.

- Zachorował? - zapytał. - Czy zginął w wypadku?

- Nie w wypadku, ale nagle. Wylew krwi do mózgu, zupełnie niespodziewany. Był bardzo sprawny, zdrowy, nigdy nie chorował i nagle umarł, tak po prostu...

W milczeniu pili alkohol. Nick pomyślał, że Min wygląda na zmęczoną. Zmęczoną i młodszą, bezbronną. Odśloniła swoje blizny, chyba nieświadomie, a może zupełnie świadomie.

- Na pewno ciężko ci jest pracować w takich okolicznościach...

Wzruszyła ramionami.

- Trzeba pracować, i tyle. Staram się niczego nie zaniedbywać, ale nie mam zbyt dużo czasu dla siebie. Wczoraj przyjechała na tydzień moja matka. Ma hopla na punkcie chłopców, więc w czasie każdej wizyty nieomal wypycha mnie z domu. Nie może się doczekać, żeby porwać ich w babcine objęcia... - Uśmiechnęła się. - Bóg wie, jak chłopcy dochodzą z nią do porozumienia, ale jakoś to robią. Moja mama obsesyjnie uwielbia porządek i jest bardzo religijna.

- Tradycyjna irlandzka mama, co? Stara dobra szkoła...

- Nie, nic z tych rzeczy, mama jest Francuzką. Stąd moje imię - Min, skrót od Mignonne.

- Och, a ja sądziłem, że od Minnie, jak...

- Wiem, lepiej mi nie przypominaj. Cholerna Myszka Minnie, przekleństwo mojego dzieciństwa! - Roześmiała się. - Na szczęście nie mam z nią nic wspólnego.

- Na szczęście. - Pokiwał głową. - Mignonne... To piękne imię.

Wstał od stołu i podszedł do lodówki. Przysiadł na piętach, otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. W zimnym, czystym świetle jarzeniówki wyglądał na śmiertelnie zmęczonego, wyczerpanego. Pod oczami miał prawie czarne cienie, policzki pociemniałe od zarostu. Odwrócił się do niej.

- Jesteś głodna? Bo ja tak... - Chwilę robił wzrokiem przegląd półek, potem się podniósł. - Mam trochę sera brie, kawałek koziego i ementalera. I jeszcze całkiem dobre czarne oliwki. I krakersy...

Wysypał krakersy na talerz, a Min pokroiła sery i podsunęła mu deseczkę.

- Moja matka byłaby zde gustowana - powiedziała, przetykając kawałek krakersa.

- Dlaczego? - zapytał niewyraźnie, z pełnymi ustami.

- U nas w domu nie trzyma się sera w lodówce i nie je się go z czymś takim. - Machnęła ręką w kierunku talerza z krakersami. - Ser z takim ohydztwem? Nigdy w życiu! Ser jada się wyłącznie z domowym chlebem, pieczonym według przepisu, który prababcia przekazała babci, babcia mamie, a mama mnie...

- Rozumiem. I żadnych zapiekaneek z topionym serkiem, tak?

- Po określeniu „topiony ser” należy starannie wypłukać usta, nie wiedziałeś?

- Więc twoja mama nie jest tradycyjną Irlandką, ale bardzo tradycyjną Francuzką, taką z różowymi policzkami i w fartuszkach w kratkę, z bagietkami i pięćdziesięcioma rodzajami pasztetu z gęsich wątróbek w koszyku na zakupy, prawda? Min się roześmiała.

- Znowu błąd, ale przyznaję ci punkt za wysiłek i entuzjazm!

- Dobrze, pozwól mi spróbować jeszcze raz... To najprawdziwsza paryżanka. Drobniotka, elegancka, odrobinę zblazowana, zawsze w kostiumie w stylu Coco Chanel, z białymi obszyciami mankietów i dekoltem, *n'est-ce-pas?*

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, tym razem głośnym.

- Coco Chanel, rzeczywiście! Skąd ci się to wzięło? Nie wyglądasz na konesera mody!

- Serdeczne dzięki za komplement. - Rzucił jej zranione spojrzenie. - Dzięki, dzięki... Czyżbyś zapomniała, ty, która tyle o mnie wiesz, że jestem ilustratorem? Wiele lat temu, jeszcze na studiach, uczyłem się rysować, kopiując szkice wielkich projektantów mody, więc potrafię odróżnić styl Chanel od Givenchy'ego, Schiaparelli albo Saint Laurenta.

- Naprawdę? Coś takiego... Więc skąd masz te spodnie, co? Kupiłeś je z tegorocznej kolekcji w Mediolanie, Paryżu czy Nowym Jorku? - Nożem do sera wskazała jego poplamione farbą dżinsy.

- W porządku, w porządku, punkt dla ciebie! To moja matka zawsze mówiła, że białe obszycia kostiumów Chanel są znakomitym pomysłem, wiesz? I chyba miała rację... Podkreślona bielą skóra rzeczywiście wygląda lepiej, niezależnie od wieku, więc coś w tym jest...

Nagle przerwał. Kąciki jego ust lekko opadły.

- Twoja matka... - odezwała się Min. - Słyszałam, że umarła. Kilka lat temu, tak?

Kiwnął głową.

- Pamiętam ją, była piękną kobietą. Pamiętam też twój rodzinny dom i ogród... Oszalamiający... Nigdy takiego nie widziałam.

Znowu przytaknął.

- Co stało się z tym wszystkim po jej śmierci?

- Moje starsze siostry zajęły się sprzedażą domu, mebli i całej reszty. Nie wtrącałem się.

- Nie wróciłeś? Nie chciałeś żadnych pamiątek? Nie zależało ci?

Wzruszył ramionami i utkwiał wzrok w podłogę.

- Sam nie wiem, jakoś nie mogłem... Zrobiłem to, co zwykle w skomplikowanych sytuacjach rodzinnych - zachowałem się jak rozpieszczony młodszy braciszek, rozpuszczony bachor. Przysłały mi duży czek i uwolniły od wszelkiej odpowiedzialności...

Zamieszał łyżeczką w szklance i spojrzał na Min.

- Jeszcze raz to samo? - zapytał, wyciągając rękę po jej szklankę.

Grzana whisky z goździkami była pyszna. Min czuła ciepło rumieńca na policzkach, słyszała wesoły ton swojego głosu. Skinęła głową.

Kiedy postawił przed nią parującą szklanę, podniosła ją w geście toastu.

- Staraleś się, ale jednak nie rozpracowałeś mojej matki, prawda? - zagadnęła.

- Dobra, poddaję się. Oszczędź mi wstydu, niewiasto. - Odchylił się do tyłu, skrzyżował nogi.

- Posłuchaj, było to tak... Mama pracowała jako kucharka na dużym kutrze, który pewnego dnia zawinął do malutkiego portu Slievemore, na zachodnim wybrzeżu Cork. Mieli kłopoty z silnikiem, pogoda była fatalna, więc utknęli tam na parę tygodni, *et voilà*, mama poznała mojego ojca, zakochała się w nim do szaleństwa i kiedy kuter był znowu gotowy do wyjścia w morze, postanowiła, że zostanie i wyjdzie za niego. Tata też był rybakiem, jego rodzina miała pub. Mama zaczęła tam gotować i całkowicie odmieniła ich podejście do żywności. Po pewnym czasie otworzyła restaurację, gdzie podawano głównie potrawy rybne - warto zaznaczyć, że wtedy było to coś nowego. Doprowadzała wszystkich do szału swoim perfekcjonizmem, ale odniosła wielki sukces. Moja mama to naprawdę osoba w wielkim stylu...

- Jesteś z nią w dobrych stosunkach? Lekko wzruszyła ramionami.

- Raczej tak, chociaż ona ma potwornie dominującą osobowość i niesamowicie dogmatyczny sposób myślenia. Mówi, że gardzi Irlandczykami, mimo że mieszka tu od blisko czterdziestu lat. Nikt nie dorasta do jej standardów, chyba o to chodzi, ale ma złote serce. Jestem jedyną córką i jedyną z rodzeństwa, która nie mieszka w pobliżu, więc ma do mnie trochę inny stosunek niż do reszty. W dodatku, jej zdaniem, mam zupełnie zwa-riowaną pracę i jako jedyna obdarzyłam ją wnukami...

- Krótko mówiąc, jesteś ukochaną córeczką mamusi. Min uśmiechnęła się, dopiła drinka i spojrzała na zegarek.

- Ale stracę tę uprzywilejowaną pozycję, jeżeli zaraz nie wrócę do domu. Mama pomyśli, że robiłam nie wiadomo co...

- Często robisz nie wiadomo co? Zachichotała.

- Ostatnio nie, bo ciągle jestem piekielnie zajęta, ale dawno temu, kiedy byłam młoda i piękna...

- Daj spokój, dobrze? Co ty gadasz, dziewczyno? Jeżeli teraz nie jesteś młoda i piękna, to kiedy będziesz?

Roześmiała się głośno.

- Pochlebstwem daleko się nie zajdzie, powinienes o tym wiedzieć! - Znowu spojrzała na zegarek. - Cóż, chyba mogę zostać jeszcze chwilę...

Nick osuszył szklanę.

- No, nie wiem, nie chcę, żebyś przeze mnie wpadła w kłopoty. Może lepiej innym razem... - Podniósł się i wyciągnął do niej rękę. - Słuchaj, przykro mi, że na posterunku powiedziałem ci te wszystkie rzeczy, naprawdę. Nie chciałem wyładowywać na tobie swoich frustracji. Doceniam to, co zrobiłaś, możesz mi wierzyć. Mam nadzieję, że nie ryzykowałeś niepotrzebnie, wynosząc te dokumenty.

Min poczuła, jak uśmiech nieco sztywnieje na jej twarzy. Wstała szybko, chociaż trochę kręciło jej się w głowie i sięgnęła po płaszcz i torbę.

- Ryzykowałam, ale może nie bez powodu... - Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. - Może na dłuższą metę wyniknie z tego coś dobrego. Zadzwoń do ciebie za dwa, trzy dni... - Przystanęła i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. - Dużo zrobiłeś od powrotu do domu?

- Czy dużo zrobiłem? To znaczy...

- Chodzi mi o to, czy rozmawiałeś z kimś, zadawałeś jakieś pytania, i tak dalej. To, co twoim zdaniem my powinniśmy byli zrobić.

Nick schylił się i podniósł z podłogi jeden z naszkicowanych przez Owena portretów.

- Wczoraj poszedłem się z nim zobaczyć. Poznajesz tę twarz?

Wyjęła kartkę z jego ręki i chwilę wpatrywała się w szkic.

- To chłopiec, który był jego najlepszym przyjacielem, prawda? Ten, który był z nim tamtego dnia... :

- Tak. Odbylem z nim interesującą rozmowę o Owenie. Powiedział mi coś, o czym nie wiedziałem.

- Co takiego?

- Że Owen był zakochany w Marianne O'Neill. Nie jestem pewny, czy powinienem mu wierzyć, czy nie... Nie wiem, czy ośmioletni chłopiec może się zakochać.

Oddała mu portret Luke'a.

- Moi chłopcy czasami się zakochują, w nauczycielach, w różnych ludziach. Zdarza się, że takie uczucie jest bliskie obsesji.

- Ale miłość to coś innego, nie wydaje ci się?

- Nie wiem... Może to my, dorośli, nie chcemy dostrzec, że to, co odczuwają dzieci, także bywa prawdziwą miłością. Nazywamy to „zauroczeniem” albo „cielęcą miłością”, bo nie jesteśmy gotowi przyznać, że uczucia dzieci mogą być nie mniej intensywne od naszych. Bo gdybyśmy to przyznali, mogłoby się okazać, że często nasze zachowanie i sposób myślenia o dzieciach są złe i nacechowane okrucieństwem...

Otworzyła drzwi i wyszła na schody, w ciemność.

- Tak czy inaczej, to interesujące, że po tylu latach nadal określił uczucie Owena jako miłość. To, co przeżywał twój syn, musiało zrobić na nim bardzo silne wrażenie, skoro takie wspomnienie właśnie w nim pozostało.

- Tak... - Nick wyszedł za nią. - Ale czy to ma jakieś znaczenie? Czy to istotne?

- Może nie, ale jednak jest to coś, o czym nie wiedzieliśmy, coś nowego. Pamiętaj o tym, kiedy weźmiesz się do tych dokumentów, dobrze?

Otworzyła drzwiczki samochodu, którego wewnętrzne oświetlenie nadało mu ciepły, zachęcający wygląd. Wsiadła i zatrzasnęła drzwi, pozostawiając Nicka w ciemności. Wyszedł na ścieżkę i patrzył, jak odjeżdża, mrugając czerwonymi tylnymi światłami. Kiedy skręciła na główną drogę, odwrócił się i spojrzał na dom. Okna salonu były jasno oświetlone, nawet stąd widział płonący w kominku ogień i słyszał muzykę. Bez trudu rozpoznał melodię *My Funny Valentine*. Postąpił krok do przodu i pochylił głowę. Słuchał. Miles Davis grał na trąbce, Bill Evans na fortepianie, a Paul Chambers na gitarze basowej. Jego CD, a może jego stara płyta analogowa... Szybko wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy wyjeżdżała z Victoria Square w kierunku centrum, zaczęło padać. Wycieraczki sprawnie usuwały wodę z przedniej szyby, wydając znajomy, pocieszający szmer. Pomyślała, że nie potrafi nawet określić, jak

wielką litość czuje dla Nicka Cassidy. Miała nadzieję, że nie będzie musiała żałować swojego kroku. Wynoszenie akt z archiwum było surowo zabronione, postąpiła więc nierozważnie i porywczo, ale zgodnie z tym, co wypowiedziało jej serce. Chwilę zastanawiała się, co powiedziałyby na to Andy. Od czasu do czasu rozmawiali o Nicku i jego żonie, i pewnego razu Min zadała Andy'emu dręczące ją pytanie.

- Czy kiedykolwiek poważnie myślałeś, że mógł mieć z tym coś wspólnego?

- Nie, raczej nie. Jego problem polegał na tym, że miał pewną tajemnicę, która powoli zżerała go od środka. Ciągłe starał się znaleźć sposób, aby jej nie ujawnić, i to ze zrozumiałych przyczyn, nie chciał zranić żony i powiększyć jej bólu, ale, koniec końców, wszystko musiało wyjść na jaw.

- A co myślisz o Susan?

- To prawdziwa zagadka. Gdyby nie miała tak mocnego alibi na cały dzień, niewykluczone, że obudziłyby się we mnie pewne wątpliwości...

- Naprawdę? Dlaczego?

- Właściwie to nie wiem... Jest nienaturalnie chłodna i zdystansowana. On płakał o wiele więcej niż ona, nawet wiadomość o jego romansie przyjęła zupełnie spokojnie. Pamiętam, kiedy jej o tym powiedziałem. Pamiętam też, że sposób, w jaki to zrobiłem, nie był szczególnie delikatny, wręcz odwrotnie, dosłownie spoliczkowałem ją tą informacją. Odczytałem jej zeznania Cassidy'ego, wszystkie detale, które z niego wydusiliśmy - daty spotkań z Giną Harkin, okoliczności, emocje. Mocno go nacisnąłem i w końcu się ugiał, a kiedy raz zaczął, nie mógł się już powstrzymać, mówił i mówił. O tym, jak łącząca go z żoną więź rozluźniła się na przestrzeni lat, jak coraz bardziej pochłaniała ją praca, jaką przyjemność sprawiał mu fakt, że potrafi zdobyć przyjaźń innych kobiet, sąsiadek z Victoria Square i jak ostatecznie z wieloma przeszedł drogę od przyjaźni do romansu.

- Naprawdę tłumaczył się w ten sposób? Że to po części wina jego żony?

- Tak. Przykro mi, wiem, że go lubisz, ale właśnie tak to przedstawił.

- A ta ostatnia, Gina? To też był przelotny romans czy coś więcej?

- Sądzę, że w jego oczach była taka jak wszystkie, lecz usiłował mi zasugerować, że była inna, chyba dlatego, że bardzo nie chciał przyznać się, jaki z niego skurwiol. Kiedy jednak powiedziałem Susan Cassidy o jego zdradzie, kiedy przeczytałem jej, co zeznał, spojrzała tylko na mnie chłodno, spod lekko uniesionych brwi. „Znowu?”, rzuciła ironicznym tonem.

- Ale chyba nie podejrzewałeś, że maczała palce w zniknięciu Owena, co?

- Nie, to byłoby bardzo nietypowe, chociaż takie rzeczy czasami się zdarzają, nie myśl, że nie. Kobiety także zabijają czasami swoje dzieci, nie tylko mężczyźni.

- Może tak, ale to jednak dużo mniej prawdopodobne.

- Cóż, pod względem statystycznym na pewno masz rację, lecz nigdy nie należy wykluczać takiej możliwości.

- Nie do końca, w porządku. Tak czy inaczej, taką teorię lepiej trzymać w ostatecznej rezerwie, nie sądzisz? Pracujesz nad tą sprawą tak długo, że na pewno masz jakieś inne uzasadnione podejrzenia. Nie wierzę, byś nie miał żadnego pomysłu, koniec końców, tyle lat rozgrzebujesz sekrety innych ludzi...

Co miał jej powiedzieć? Dziecko nie żyło, to jedno było dla niego oczywiste, no, w każdym razie prawie oczywiste. Najprawdopodobniej chłopiec został zabity przez kogoś, kogo dobrze znał, w przeciwnym razie znalazłby się ktoś, kto by coś zauważył, jakąś szarpaninę, nietypowe zachowanie, krzyki, cokolwiek. A nic takiego nie miało miejsca. Tamtego popołudnia nikt nie zwrócił uwagi na cokolwiek, co mogłoby być powodem komentarzy czy rozmów, co mogłoby wydać się niepokojące. Był to zupełnie zwyczajny jesienny dzień w zwyczajnej dzielnicy wielkiego miasta.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że nikt nic nie widział - powtarzała Min. - Strasznie mnie to męczy. Po prostu nie jestem w stanie przyjąć do wiadomości, że ani jedna osoba z setek przesłuchanych nie widziała tego dziecka, nie zauważyła, dokąd chłopiec poszedł po rozstaniu z przyjacielem. To bez sensu...

Więc co pomyślałby Andy o jej wyprawie do archiwum po stosie akt, który zostawiła na kuchennym stole u Nicka Cassidy?

- No, Andy, powiedz mi... - poprosiła głośno.

W samochodzie panowała cisza. Czyżby pełna dezaprobaty? Min nadstawiła uszu. Nagle usłyszała trzask odpalanych fajerwerków i barwne kreski, strzelające na pół nieba. To znowu ta pora roku, pomyślała. Musi pamiętać, żeby kupić dynię, kilka opakowań orzeszków i słodyczy i jeszcze coś dla Joego... Zaraz, zaraz, co to miało być... Ach, maskę czarownicy, taką z twardego plastiku...

Zwolniła i wjechała w ślepą ulicę, przy której znajdował się jej dom. Zaparkowała, wyłączyła silnik. Duże okna na dole były już zasłonięte. Mocny powiew wiatru poruszył japońskim gongiem, który powiesiła obok drzwi wejściowych, wydobywając z metalu melodyjny dźwięk. Spojrzała na zegarek. Chłopcy na pewno leżą już w łózkach, otuleni kołderkami, czekają na pocałunek na dobranoc. Zawsze na nią czekali, nie pozwalając, aby ogarnął ich sen. Podeszła do drzwi i wsunęła klucz do zamka. Wiedziona dziwnym pragnieniem, odwróciła się jeszcze na moment i objęła wzrokiem nocne niebo. Czerwone światła podchodzącego do lądowania samolotu kilka razy błysnęły nad dublińskim lotniskiem i zaraz znikły, przesłonięte chmurą. Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi, odgradzając swoich najbliższych i siebie od zewnętrznego świata.

Nick podniósł wzrok znad laptopa. Przed godziną zaczął przeglądać akta i robić notatki. W domu panowała cisza. Deszcz przestał padać, wiatr złagodniał. Nick wstał i przeciągnął się. Przydałoby mi się trochę ruchu, pomyślał. W Ameryce podobało mu się przede wszystkim to, że wszędzie były ścieżki do joggingu. To tam przyzwyczał się do codziennego biegania, sportu, który pomagał mu uwolnić się od złych nawyków.

Zebrał szklanki i talerze, i zaniósł je do zlewozmywaka. Umył je i dokładnie wypłukał. Pił zdecydowanie za dużo, nie miał co do tego cienia wątpliwości. Doszedł do wniosku, że musi uważać. Pamiętał, jak rozpił się w roku między zniknięciem Owena i swoim wyjazdem z Dublina. Pamiętał głównie to, że z tamtego okresu niewiele pamiętał.

Włożył kurtkę i podszedł do drzwi. Na dworze panował wilgotny ziąb, ścieżka lśniła w świetle latarni. Pchnął furtkę i pobiegł przed siebie, po trawniku, dysząc głośno, wymijając stosy drewna, zgromadzonego na Halloween. Biegł do końca placu i zawracał. Czuł, jak strużka potu spływa mu po plecach i po piersi. Obok jednej z drewnianych ławek ktoś zostawił dziecianną piłkę. Kopnął ją, dobiegł, kopnął znowu, potem kilka razy podrzucił na podbiciu i zaczął prowadzić czubkiem buta, starając się utrzymać równe tempo biegu. W pewnej chwili zorientował się, że nie jest sam. Ktoś jeszcze biegł w kierunku piłki. Nick kopnął mocno i patrzył, jak

nieoczekiwany partner przytrzymuje ją nogą, blokuje i kopie w jego kierunku. Dopadł do piłki, zatrzymał pod butem, podbił wysoko, w bok. Tamten rzucił się naprzód, wygiął ciało w łuk, wyciągnął szyję i wykonał podanie główką. Kiedy odwrócił się, światło ulicznej latarni wydobyło z mroku jego twarz i Nick bez trudu rozpoznał ostre rysy, ciemne, opadające na czoło włosy, krzywy uśmiech, który sprawiał, że rysunek warg wydawał się dziwnie niesymetryczny. Tamten podniósł rękę w geście pozdrowienia.

- Wróciłeś! - zawołał z drugiej strony placu. - Słyszałem, że wracasz! Widzę, że nie wyszedłeś z formy! Założę się, że nie strzelisz mi gola! Założę się, o co chcesz! Nie dasz rady, zobaczysz!

Pamięć natychmiast podsunęła Nickowi obraz Owena, pędzącego ku niemu z piłką.

- Założę się, że nie strzelisz mi gola, tato! O co chcesz się założyć?

Pognał naprzód, uderzył piłkę bokiem buta. Usłyszał charakterystyczny odgłos uderzenia gumy o moką skórę. Piłka wzbija się w powietrze i huknęła o ogrodzenie.

- Drużyna Cassidych jeden, Gouldingów zero! - krzyknął Nick.

Chris wybuchnął śmiechem i pobiegł ku niemu z szeroko rozłożonymi ramionami.

Rozdział piętnasty

Susan stała przy oknie i obserwowała ich uważnie. Słyszała ich śmiech, słyszała głuche uderzenia piłki. Widziała ich lekkie, płynne ruchy, kiedy atakowali piłkę, gonili ją i kopali. Z tej odległości trudno byłoby zgadnąć, że Nick jest dużo starszy od Chrisa, a ściślej byłoby trudno, gdyby była przypadkową obserwatorką - wtedy nie widziałaby pewnej sztywności jego kolan i krótkich przerw między kolejnymi haustami powietrza, które chwycił w biegu. Ona wiedziała, że pot spływa mu po plecach i po skroniach. Wiedziała o tym wszystkim i nie tylko o tym.

Patrzyła na nich, kiedy opuszczali zabłocony trawnik na środku placu i przechodzili przez ulicę, wciąż kopiąc przed sobą piłkę. Gdy zniknęli z jej pola widzenia i weszli do mieszkania na dole, stanęła przy drzwiach w holu, które kiedyś łączyły obie części domu. Od lat były zamknięte, lecz kiedy przyłożyła do nich ucho, wyraźnie słyszała ich głosy. Słyszała śmiech, muzykę.

Przeszła do kuchni i nalała sobie wina z do połowy opróżnionej butelki. Zaczęła sprzątać po kolacji, którą przygotował Paul. Befsztyki z polędwicy z ziemniakami i sałatą. Paul zjadł wszystko, lecz ona prawie nie tknęła mięsa. Postanowiła wynieść je lisowi, oczywiście później, kiedy wszędzie księżyc i w okolicy zrobi się cicho i spokojnie.

Włożyła talerze i sztućce do zmywarki, a potem usiadła i utkwiała wzrok w oszklonych drzwiach do ogrodu. Dom oddychał dookoła niej. Wychodząc, Paul trzasnął drzwiami tak mocno, aż zabrzęczały szyby, wciąż słyszała echo jego słów. Krzyknął, że więcej nie wróci, żeby nawet o tym nie myślała. Jeszcze teraz mdliło ją ze zdenerwowania, czuła, że wewnątrz jest dziwnie pusta, jakby wydrążona. Powijana zadzwonić do niego, przeprosić go, przyznać mu rację, ale jakoś nie mogła się zmusić, żeby wstać i podejść do telefonu.

Miał słuszość, oczywiście. Rozsądek kazał uznać jego argumenty, lecz serce nie potrafiło tego zrobić. Uniosła kieliszek, a kobieta w szklanej tafli powtórzyła jej gest. Pozdrowiły się nawzajem.

- Jesteś wszystkim, co mam - powiedziała głośno. - Tylko na tobie mogę polegać...

Napiła się jeszcze. Była zmęczona, gdyby oparła głowę na stole, na pewno zaraz by zasnęła. Wróciła ze szpitala z bólem głowy, znużona długim dyżurem. Z dzieckiem w izolatce nie było dobrze, Susan nie umiała powiedzieć, czy mała przeżyje. Zwlekała z wyjściem z pracy, więc wróciła późno i w pośpiechu wpadła do holu po świeczkę i zapalniczkę. Właśnie wychodziła z kuchni, gdy w głębi rozległ się głos Paula.

- Sue, jesteś tam? Mam coś dla ciebie...

Stanął w drzwiach z dużym bukietem lilii w ramionach, z butelką wina w ozdobnej bibułce i z foliową torbą z supermarketu.

- Jak to dobrze, że jesteś! Siadaj, zrobię ci drinka i przygotuję kolację, co ty na to?

Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy ujrzał ją, stojącą przy tylnych drzwiach ze świecą w rękę.

- Nie, tylko nie to... - powiedział. - Nie możesz ciągle tam chodzić, to szaleństwo! Jaki to ma sens, na miłość boską? Zadręczasz się tylko, musisz przestać...

Cofnęła się bez słowa i położyła dłoń na klamce.

- Posłuchaj mnie, Susan... Straciłaś dziecko, wiem, ale opłakiwanie tej dziewczyny, której przecież nawet nie znałaś, jest bezsensowne! W ten sposób rozbudzasz uczucia, które już dawno powinnaś zostawić za sobą. Po co ten śmieszny rytuał, który odprawiasz co roku w październiku? Posłuchaj mnie, proszę... Wiem, co mówię, wiem, że mam rację...

Ale ona odwróciła się, zamknęła za sobą drzwi i zeszła po schodach do ogrodu. Wybiegła na dróżkę i nawet się nie obejrzała, nie chciała się obejrzeć ani zastanowić nad jego słowami. Biegła ciemnymi ulicami, dopóki nie dotarła na miejsce. Uklękła, żeby zapalić świecę i zobaczyła kwiaty i kartkę, które zostawił ktoś inny. Poznała charakter pisma. Podniosła się i zamknęła oczy. Przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy przed pięciu laty poszła na spotkanie do sali parafialnej miejscowego kościoła. Pewien duchowny, który przyszedł ją odwiedzić, zasugerował, że powinna to zrobić. Potraktowała go nieuprzejmie, wręcz opryskliwie, ale on okazał jej wielką cierpliwość. Powiedział, że znał jej ojca, pamiętał nawet jego kazanie o wybaczeniu, wygłoszone dawno temu, w pewną niedzielę Wielkanocną.

- Twój ojciec był wspaniałym, dobrym człowiekiem, prawdziwym sługą Boga i wierzył w przebaczenie.

- Ja nie wierzę - odparła ostro. - I nie wierzę w Boga, straciłam wiarę, kiedy miałam dwanaście lat. Po śmierci jest tylko ciemność, nic więcej.

Pulchne policzki młodego człowieka pokrył rumieniec.

- Wolno ci tak myśleć, naturalnie... - powiedział. - Ale jak poradzisz sobie z życiem? Potrzebna ci pomoc, powinnaś podzielić się z kimś swoim smutkiem. Nie jesteś sama, nie ty jedna doświadczyłaś straty dziecka. Zajrzyj do nas któregoś wieczoru, poznaj innych, którzy też mają za sobą takie przeżycia, niewykluczone, że trochę ci to pomoże...

Więc poszła tam. Usiadła na twardym krześle i potoczyła wzrokiem po twarzach, na których malowało się cierpienie, zuchwale nagie w ostrym świetle jarzeniówek. Właśnie tam spotkała Catherine Matthews.

- Jestem tutaj z powodu śmierci mojej przyjaciółki - powiedziała. - Była najlepszą przyjaciółką, taką od serca. Ładna, zabawna i utalentowana. Ufałam jej całkowicie, ale nie znałam jej. Zdradziła moje zaufanie. Zakochoła się w moim ojcu, a on zawiódł mnie, moją matkę i całą rodzinę. Kiedy Lizzie była ze mną, tak napraw-

dę chciała być z moim ojcem. Kiedy przyjechała do nas na wakacje, on pragnął być z nią, tylko z nią. I wtedy to się stało. Pewnej nocy umówili się w szopie w pobliżu domu, gdzie mieszkała, i Lizzie zginęła. Ktoś ją zabił. Ktoś otoczył jej szyję dłońmi i zacisnął je tak mocno, że przestała oddychać. Policja sądziła, że był to mój ojciec. Aresztowali go i oskarżyli o morderstwo, lecz został uniewinniony, ponieważ okazało się, że w tamtą noc Lizzie spotkała się z kimś jeszcze, z kimś, kto pozostawił swoje nasienie na jej swetrze. Badania wykazały, że nie była to sperma mojego ojca. Powiedzieli, że jest niewinny, ale co to właściwie znaczy? Że to nie on ją zadusił, że nie on własnymi rękami powstrzymał dopływ powietrza do jej płuc, prawda? Był jednak winny zdrady, uwiedzenia niewinnej, winny zdeprawowania dziewczyny, która mogłaby być jego córką, zniszczenia życia mojej matki i naszego, jego dzieci. Był winny tego wszystkiego i jeszcze wielu innych rzeczy...

Tamtego wieczoru, kiedy wszyscy opuścili parafialną salę, Susan poszła za Catherine Matthews i położyła rękę na jej ramieniu. Popatrzyły sobie w oczy i zrozumiały się bez słów. Catherine zaprowadziła Susan na miejsce śmierci Lizzie. Było to przed pięciu laty. Od tamtej pory Susan od pierwszego do ostatniego dnia października zapalała świece przed szopą i wspominała.

Kiedy wróciła, Paul był w kuchni. Twarz miał zaczerwienioną, od razu odgadła, że pił. W powietrzu wisiała aura dezaprobaty. Nakrył stół, ugotował ziemniaki i przyrządził sałatę. Tłuszcz skwierczał i dymił, gdy z rozmachem rzucił befsztyki na patelnię.

- Wiem, że pod wieloma względami masz rację, ale... - zaczęła.

- Oczywiście, „ale“! - przerwał jej. - Ty zawsze masz jakieś „ale“, co? Nigdy mnie nie słuchasz. Nigdy nie bierzesz pod uwagę, że naprawdę mogę mieć słuszość. Zawsze mówisz: „Tak, ale...“. Mówiłem ci, co myślałem o tym jego powrocie, a ty na to: „Tak, zgadzam się z tobą, ale połowa domu nadal należy do niego. Był moim mężem, ojcem Owena, ma do tego prawo!“ - Odwrócił się do niej. - Ma do tego prawo? A co ze mną? Co z nami? Co z naszym związkiem, z naszą przyszłością? No, słucham!

Usiłowała jeść, ale jedzenie przywierało jej do podniebienia. Starła się coś powiedzieć, ale brakowało jej słów. Wyciągnęła rękę po jego dłoń, lecz on zerwał się na równe nogi, z brzękiem rzucając nóż i widelec na talerz.

- Mam tego dosyć. Nie mogę tak dłużej żyć. Teraz wybór należy do ciebie.

Odwrócił się, wytarł ręce w ścierekę i rzucił ją na podłogę. Spuściła wzrok, porażona wściekłością w jego oczach. Słyszała jego kroki, cichnące w głębi holu i trzaśnięcie drzwiami, aż zadygotały szyby w oknach. Potem zapadła cisza.

Kiedy księżyc wznosił się ponad dach, wzięła talerz z mięsem i po schodkach zeszła do ogrodu. Postanowiła zostawić resztki pod krzakiem w rogu, tam, gdzie najczęściej podrzucała coś lisowi. Schyliła się i położyła swój dar na ziemi, potem zawróciła do domu. W pokoju na dole płonęły światła. Nick i Chris siedzieli przy stole. Rozmawiali, śmiali się, ich twarze były ożywione i pełne wyrazu. Przystanęła i długo im się przyglądała. Po paru minutach wstali i wyszli. Susan powoli wspięła się po schodach. Usiadła na najwyższym stopniu i oparła się o zimną szybę. Czekwała. W końcu dostrzegła drżenie dolnych gałęzi krzewu, usłyszała ciche prychnięcie i dostrzegła szybki ruch rudej kity. Dopiero wtedy wstała i weszła do domu. Była zziębnięta i śmiertelnie zmęczona. Poszła do sypialni, zrzuciła ubranie, zostawiając je na podłodze i wsunęła się pod kołdrę. Podcią-

gnęła kolana pod brodę i mocno objęła je ramionami. Blask księżyca kładł się na podłodze zimnymi, jasnymi kwadratami. Z westchnieniem zamknęła oczy i zaczęła czekać na sen.

Rozdział szesnasty

- Widujesz ją jeszcze?

- Kogo?

- Marianne, oczywiście.

Usiedli przy tym samym stole, przy którym wcześniej Nick siedział z Min. zaproponował Chrisowi whisky, lecz ten potrząsnął głową.

- To nie moja działka - powiedział. - Już nie...

Nick nalał sobie szklaneczkę.

- Ach, tak, pamiętam... Wolisz inne środki pobudzające, prawda? Mało brakowało, a wpakowałbyś się przez to w poważne kłopoty... Po zniknięciu Owena nie wszystko chciałeś powiedzieć policji, o ile sobie przypominam...

Chris chwilę wpatrywał się w blat stołu.

- Cóż, wszyscy mamy swoje małe sekrety... - westchnął.

Z kieszeni kurtki wyjął pudełeczko bibulek do skrętów i mały prostokąt w srebrzystej folii.

- Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Wolę to niż alkohol...

Rozwinął folię i zaczął odłamywać drobne kawałki haszyszu z kleistego czarnego bloku. Schylił się i z uznaniem powąchał narkotyki. Złączył dwie bibułki, ułożył na nich tytoń i posypał go haszem.

Nick wychylił się do przodu, żeby lepiej widzieć.

- Od lat nie widziałem prawdziwego haszu - powiedział. - W Stanach pali się teraz tylko trawę...

Chris ostrożnie podwinął bibułkę, przeciągnął językiem po powleczonych klejem brzegach, skręcił koniec i zapalił. Zaciągnął się głęboko i podał jointa Nickowi, który odniósł wrażenie, że dym uderza w niego od środka, pogrążając całego w dziwnym ciepłe. Wydawało mu się, że głowę ma lekką jak piórko, w czubkach palców czuł dziwne mrowienie.

- Mocne... - odezwał się. - Skąd to masz?

Chris wzruszył ramionami. Wziął jointa od Nicka, zaciągnął się mocno i zmrużył oczy przed dymem.

- No, mam swoje źródła... Kupić ci trochę tego towarku?

Nick kiwnął głową. Minuty mijały powoli.

- Co teraz robisz? - zapytał. - Przypominam sobie, że gdzieś uczyłeś, chyba Susan pisała mi o tym kilka lat temu. Szkolna tablica i hasz raczej do siebie nie pasują, nie sądzisz? W każdym razie za moich czasów nauczyciele byli trochę inni...

- Jasne! Wszyscy pili i pielęgowali słabość do małych chłopców, ale w tajemnicy, prawda? Pieprzone Towarzystwo Braci Chrześcijan, którzy podniecali się widokiem ładnych uczniów, no i te rozmodlone siostrzyczki zakonne, z rozkoszą walące dzieci paciorkami różańca po łapkach... - Chris powoli wypuścił powie-

trze z płuc. - Cóż, czasy się zmieniły. Teraz uczę w fantastycznej szkole dla dziewcząt, ślicznych dziewcząt... Laurel Park, pamiętasz? Piękny, duży stary dom na wzgórzu, otoczony zadbanymi ogrodami, z kortami tenisowymi i krytym basenem. Mają tam wszystko, co można kupić za pieniądze. - Podniósł się i podszedł do deski, obok której stał laptop Nicka.

Jego palce spoczęły na klawiaturze.

- Ładny. Prawie tak ładny jak mój... Kocham laptopy, a ty?

Nick wzruszył ramionami.

- Nie powiedziałbym, że je kocham, nie mam do nich aż tak osobistego stosunku. Są użyteczne, to wszystko. Przydają się, kiedy chcesz przekazać coś e-mailem albo szybko opracować jakiś projekt, ale nie dają mi takiej przyjemności, jaką czerpię z ołówków, papieru, węgla, tuszu czy farby, o, nie... - Wyciągnął rękę nad stołem. - Hej, co ty wyprawiasz z tym jointem? Chcesz go sam wypalić, w pojedynkę? To nieładnie! Zachowanie niegodne prawdziwego hipisa...

Chris podał mu jointa i Nick zaciągnął się mocno. Powietrze wypełnił zapach palącego się haszu. Nick wstrzymał oddech i dopiero po długiej chwili uwolnił cienką strużkę dymu z ust.

- Tak... - odezwał się, kiedy znowu mógł mówić. - Tak, szkoła... Pamiętam Laurel Park... I pamiętam, że obok Laurel Park mieszkała twoja babka...

- Tak jest! Kiedy umarła, szkoła kupiła jej dom. Teraz są tam sypialnie dla uczennic i sale zajęciowe, a w piwnicy mój mały gabinetek, bardzo przytulny...

W pokoju zapanowała cisza. Nick oparł się wygodnie i zamknął oczy. Wyraźnie słyszał, jak Chris wdycha i wydycha narkotyczny dym. Jego własne ciało było ociężałe i rozleniwione. Kusiło go, żeby położyć głowę na stole i zasnąć. Był strasznie zmęczony. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego nogi i ramiona należą do kogoś innego. Ostrożnie poruszył stopami, krzyżując i prostując nogi w kostkach. Impulsy nerwowe docierały do jego kończyn powoli, jak z bardzo dużej odległości. Nagle zaburczało mu w brzuchu. Uświadomił sobie, że jest głodny.

- Hej... - Otworzył oczy. - To ci dopiero joint, stary... Coś niesamowitego... Dawno nie miałem takiego odlotu... Chodź, kupimy sobie dobre frytki i może jakiegoś cheeseburgera...

Na głównej ulicy było pusto i cicho. Nick pomyślał, że dopiero za jakieś pół godziny, w porze zamykania barów i pubów, na chodnikach zaroi się od niepewnie zmierzających do domu pijaków, a powietrze zgęstnieje od głośnych rozmów i wykrzykiwanych obelg. Przystanęli przed najbliższym barem. Chris pchnął szklane drzwi i wykonał formalny ukłon w progu. Podeszli do wysokiej lady, zza której sączył się obezwładniający zapach. Ślina napłynęła Nickowi do ust. Szybko złożyli zamówienie.

- Owen uwielbiał ten bar - odezwał się Nick. - Pamiętasz? Marianne często przyprawiała go tutaj w nagrodę za dobre zachowanie. Susan nie podobało się, że Owen jadał takie śmieci, jak mówiła, ale Marianne przepadała za frytkami. Przypominam sobie, że szczególnie smakowały jej z sosem curry, który tutaj podają...

- Ja bardzo lubiłem także ostre burgery, a Owen kielbaski smażone w cieście. - Chris pokiwał głową. - Ciągle tu z nim przychodziliśmy. Kiedy ty i Susan wychodziliście gdzieś wieczorem, wpadaliśmy z nim do tego baru na podwieczorek albo kolację. Siadał przy stoliku i prosił o dużą szklankę mleka, jako ukłon w stronę zdrowej żywności... Zawsze powtarzał, że tutaj mleko smakuje inaczej...

Nick obserwował mocno zbudowaną ciemnoskórą kobietę, durszlakową łyżką mieszającą frytki we frytownicy. Kawalki ziemniaków obracały się w oleju, podobne do złocistych gałązek. Był taki głodny, że z trudem powstrzymywał się, aby nie włożyć palców do wrzącego oleju i nie wyciągnąć z niego frytek. Wydawało mu się, że jeśli będzie musiał długo czekać, nogi załamią się pod nim jak zbutwiałe pniaki.

- Marianne... - wymamrotał, szukając w głowie jakiegoś detalu, na którym mógłby się skupić, przynajmniej przez chwilę. - Marianne... Co się z nią dzieje? Widujesz się z nią?

Chris nie odpowiedział. Odwrócił się i podszedł do grającej szafy w kącie. Wygrzebał z kieszeni kilka monet, wrzucił je do otworu i nacisnął kilka guzików.

- Owen bardzo lubił tę piosenkę... - mruknął. - Pamiętasz?

Salę wypełnił głos Johna Lennona. Nick zaczął śpiewać, postukując czubkiem buta o podłogę w rytm prostej, chwytliwej melodii. Statki, rzeki, marmoladowe niebo, brylanty, cały kalejdoskop obrazów...

I nagle w myśli zobaczył dziecko, dziewczynę i chłopaka, siedzących przy stole z plastikowym blatem. Mniejszy chłopiec sięgnął po dzbanek z mlekiem i zaczął pić prosto z niego. Biała piana osiadła na jego górnej wardze, na talerzu, na złocistych frytkach i palcach małego czerwieńił się keczup... Nick zobaczył, jak dziecko podnosi widelec i wymachuje nim w powietrzu, dyrygując niewidzialnym zespołem piosenkarzy i muzyków.

- Marianne? Chcesz wiedzieć, co dzieje się z Marianne?

Frytki wirowały we wrzącym oleju. Kobieta zaczerpnęła je wielką łyżką i przesyłała zgrabny stożek do torebki z brązowego papieru. Nick ujrzał swoją twarz, odbitą w powleczonej warstewką tłuszczu lustrze na ścianie. Wyglądał staro, musiał być bardziej zmęczony, niż przypuszczał. W kącikach ust zebrały się lśniąco krople śliny.

- Z solą i octem? - Jej głos zabrzmiał donośnie, prawie go ogłuszył.

Skinął głową, nie mogąc się odezwać. Na kawalki usmażonych ziemniaków posypał się deszcz drobniutkich białych kryształków, zapach octu podrażnił nozdrza. Wziął torebkę od kobiety, czując, jak gorący tłuszcz przesiąka przez gruby papier. Odliczył kilka monet i wyszedł na dwór, w chłodną, wilgotną noc. Ręce mu drżały, tłuszcz oblepił czubki palców. Zaczął jeść. Frytki były zaskakująco smaczne. Zabrał całą garść i wepchnął sobie do ust. Przełknął.

- Marianne... - powtórzył. - Tak, opowiedz mi o niej. Bardzo chciałbym ją znów zobaczyć.

Po wyjeździe Nicka do Ameryki zrobiło się fatalnie. Wcześniej było niedobrze, ale jakimś cudem Marianne trzymała się, dopóki otaczający ją świat przynajmniej z grubsza przypominał ten, w którym tak dobrze się czuła. Ale po wyjeździe Nicka tamten świat definitywnie przestał istnieć i Marianne wróciła do rodziców, do Galway.

- Prawie codziennie dzwonił mi do siebie, a co drugi tydzień jeździłem do niej. Nie chciała przyjechać do Dublina. Namawiała mnie, żebym przeprowadził się do Galway i przeniósł na uczelnię gdzieś bliżej, ale ja nie mogłem się na to zdecydować. Tutaj jest mój dom, chyba rozumiesz...

Szli wzdłuż nabrzeża. Daleko, na środku zatoki, zakotwiczone były duże kontenerowce. Ich światła poruszały się w górę i w dół, w rytm wznoszącej się i opadającej fali. Nick miał wrażenie, że czuje ruch wody we własnym ciele. Zamknął oczy i poddał się falom.

- Więc co się stało?

- Istnieje wiele wymyślnych nazw tego stanu, najczęściej określa się go mianem „schizofrenii paranoidalnej”, ja wolę jednak myśleć, że Marianne oszalała, odeszła w szaleństwo. Odeszła w szaleństwo. Tak, ten zwrot dużo bardziej mi się podoba... Co się stało z Marianne O'Neill? Odeszła. Gdzie? W szaleństwo. Gdzie jest szaleństwo? Co to takiego? Szaleństwo to królestwo tego, co nieznanne i tych, co nie odróżniają rzeczywistości od nierzeczywistości. Szaleństwo to także bezpieczne schronienie...

- Chcesz powiedzieć, że przeżyła załamanie nerwowe, tak?

- Nie! - Chris zwrócił ku niemu pobielałą ze złości twarz. - Nie, nie przeżyła załamania, nie załamała się, nie rozpadła na kawałki. Nie zrobiła nic patetycznego, żalospnego czy negatywnego, wręcz przeciwnie, zrobiła coś pozytywnego. Oszalała, kurwa mać, przeistoczyła się w inną osobę. W wariatkę. Bez przerwy mówiła, pisała, malowała, śpiewała, układała piosenki i wiersze. Nie spała i nie jadła. Nie była już po prostu ładna, stała się piękna, ale im się to nie podobało. Nie chcieli zostawić jej w spokoju, mówię o jej rodzicach. Oddali Marianne do szpitala dla umysłowo chorych, a tam lekarze uspokoili ją lekami, napchali różnymi paskudztwami, aż w końcu przeistoczyli w rzecz, przedmiot, nie-kobietę, nie-człowieka. Utuczili, pozbawili urody, ogłupili. Odebrali mi ją, bo to, co zostało, w niczym nie przypominało Marianne.

Statki wznosiły się i opadały. Nick w skupieniu obserwował ich światła. Nie był już w stanie określić, gdzie kończy się morze i zaczyna niebo. Jasne igiełki czy może gwiazdki ułożyły się we wzory. Nick podniósł głowę i utkwiał wzrok w odległych konstelacjach.

- To dziwne, że jednocześnie jesteśmy wewnątrz Mlecznej Drogi i patrzymy na nią jakby z zewnątrz, nie sądzisz? - odezwał się. - Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak to możliwe...

Oparli się o portowy mur. Milczeli. Zegar na wieży miejskiego ratusza wybił pierwszą w nocy. Nick odwrócił się i powoli ruszył w stronę domu. Nagle przystanął i obejrzał się na Chrisa.

- I gdzie ona teraz jest? Widujesz ją?

- Co cię to właściwie obchodzi? Dlaczego chcesz wiedzieć? Kogo jak kogo, ale ciebie Marianne na pewno nie potrzebuje. Nie po tym, co jej zrobiłeś...

- To nie fair, Chris. Niezależnie od tego, co się stało, nie zrobiłem tego specjalnie. Nie zamierzałem nikogo zranić.

- Nie, skądże znowu! Jesteś taki sam jak wszyscy, nie zamierzasz nikogo ranić, ale ranisz! - Stopy Chrisa szurały po betonie. - Tak czy inaczej, nie mnie powinieneś pytać, co dzieje się z Marianne. Nie widuję się z nią, chociaż ona czasami odwiedza twoją żonę. Są w kontakcie, choć nie wiem, czy można to tak nazwać, bo z Marianne raczej nie da się nawiązać prawdziwego kontaktu. Kiedy z nią rozmawiasz, wydaje ci się, że jej wrażliwość, uczuciowość została pokryta grubą warstwą jakiegoś materiału izolacyjnego, przez który nic się nie przedostaje. Nic, zupełnie nic - ani głos, ani słowa, ani litery, muzyka czy piosenki. Żadna z tych rzeczy, które kiedyś rozpałały końcówki jej nerwów. Nic. Teraz Marianne co jakiś czas trafia do szpitala i znowu z niego wychodzi. Gdy jest poza szpitalem, czasami wszystko jest z nią w porządku, a czasami sypia na ulicy lub w parku. Kiedy indziej mieszka w miejskim schronisku. Zapytaj swoją żonę, ona wie, co się z nią dzieje.

- Więc leki nie skutkują?

- Nie, nie działają tak, jak wszyscy by chcieli. Nie przywracają dawnej Marianne i nie pozwalają na narodziny jej nowej osobowości. Zatrzymują ją w stanie zawieszenia, gdzie nic nie jest ani rzeczywiste, ani nierzeczywiste, gdzie nic nie istnieje i nie dzieje się naprawdę...

W gęstniejącej ciemności szli ramię w ramię przez plac. Pod granitowymi murami, którymi otoczone były ogrody, leżały wzgórki zeschniętych liści, miejscami połyskujących w świetle latarni jak wypolerowane przez morską wodę kamienie.

- Zapomniałem, jak bardzo kocham to miejsce - odezwał się Nick.

Przystanęli pod domem Gouldingów.

- Wejdz - powiedział Chris. - Poznasz Amrę, bo Emira już chyba spotkałeś...

- Tak ma na imię, Emir? To twój syn? Chris potrząsnął głową.

- Nie, Emir ma dziewięć lat, a ja poznałem Amrę dużo później. Amra ma jeszcze córeczkę, Sanełę. Parę tygodni temu miała skończyła pięć lat. - Szybko wszedł po schodach i kluczem otworzył frontowe drzwi. - Wejdz, robi się bardzo zimno...

Na podłodze w holu stał rząd równo ustawionych kapci. Chris zdjął buty i gestem poprosił Nicka, żeby zrobił to samo.

- Amra bardzo dba o porządek. Nie podoba jej się, że my, Irlandczycy, wnosimy brud i kurz do domu, zamiast zostawiać go na dworze, gdzie jego miejsce...

W skarpetkach weszli do pokoju po lewej stronie. W środku panował półmrok. Przed kominkiem, w którym dogasał ogień, z pochyloną głową siedziała kobieta, trzymając złączone dłonie między kolanami. Nie podniosła oczu.

- Amro, przyprowadziłem gościa... - Chris przykucnął przed nią i delikatnie pocałował w policzek.

Gdy nie zareagowała, podniósł się i zwichrzył jej krótkie czarne włosy, a potem odgarnął je palcami do tyłu, lekko podnosząc jej głowę. Wciąż nie dawała po sobie poznać, że go widzi.

- O, mój Boże... - Puścił jej włosy i spojrzał na Nicka, który niepewnie stał w progu. - Znowu ma nie najlepszy nastrój... Trzeba będzie zostawić ją teraz w spokoju chodźmy do kuchni.

W kuchni panował nieprzyjemny chłód. W zlewie piętrzyły się naczynia, na stole leżały resztki posiłku - na niedojedzonych kawałkach grzanek zastygała fasola w sosie pomidorowym. W kącie stało wiadro z brudnymi ścierkami, których kwaśny zapach rozchodził się na całe pomieszczenie.

- Co dzieje się z twoimi rodzicami? - zapytał Nick.

- Nie słyszałeś? Plotki nie dotarły aż tak daleko, nie aż tam, gdzie wtedy byłeś?

Nick pokręcił głową. Był śmiertelnie zmęczony. Miał ochotę zaszyć się pod kołdrą i już nigdy nie wstać.

- Siadaj - powiedział Chris. - Zaraz zrobię herbatę, oczywiście pod warunkiem, że znajdę jakieś czyste kubki...

- Nie, nie rób sobie kłopotu, nie warto...

- Och, rozumiem... - Chris zacisnął wargi, w jego głosie zabrzmiała nuta irytacji. - Przeszkadza nam odrobina bałaganu, tak? Nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni, co?

Nick wzruszył ramionami.

- Nie o to chodzi. Mam jutro sporo do zrobienia, więc...

- Co ty powiesz? Co takiego masz do zrobienia, na przykład? Będziesz bawił się w detektywa-amatora, prawda? Po to tu przyjechałeś? Żeby odegrać rolę panny Marple i Herculesa Poirot, nie? Trochę tego i trochę tego, dwa w jednym... - Uśmiechnął się krzywo, z wyraźnym sarkazmem. - Trzeba korzystać z naszych małych szarych komórek, co? Poszukać wskazówek i dowodów, które sprowadzą chłopca z powrotem...

Nick gwałtownym ruchem włożył ręce do kieszeni kurtki i odwrócił się ku drzwiom.

- Przepraszam, przepraszam cię! - Chris zacisnął lewą dłoń w pięść i z rozmachem uderzył się w czoło. - Nie chciałem cię urazić. Zachowuję się jak idiota, wiem. To przez ten pieprzony narkotyk, wierz mi. Nie powinienem palić tyle tego gówna, ale czasami po prostu nie potrafię tego wszystkiego znieść. Nie mogę przestać myśleć o Owenie i to mnie zabija... Proszę cię... - Wyciągnął rękę w kierunku Nicka. - Zostań, naprawdę strasznie cię przepraszam... Zostań, zaraz zaparzę herbatę...

Usiedli przy stole, chociaż obaj czuli się wyraźnie nieswojo. Herbata była mocna i czarna. Chris nie znalazł w lodówce mleka.

- Zapomniała kupić, zresztą, ja także. Będę musiał wyskoczyć rano do sklepu, zanim dzieci się obudzą.

- Kim ona jest i co tutaj robi? - zapytał Nick. - Jesteście razem? To znaczy, czy jesteście parą, czy...

- Tak, jesteśmy ze sobą, chociaż może się to wydawać mało prawdopodobne. Amra jest Bośniaczką, przyjechała tu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Chłopiec odniósł ciężkie obrażenia w czasie jednego z tych potwornych ataków mózdzierzowych na Sarajewo. Irlandzki rząd zachował się wtedy po ludzku i zaproponował, że przyjmie pewną liczbę rodzin. Amra miała szczęście - wydostała się stamtąd prawie w ostatniej chwili...

- Jak ją poznałeś?

- Poproszono mnie, żebym uczył ich angielskiego. Zaprzyjaźniłem się z nią i z dziećmi, chociaż jeśli chodzi o Emira, to sprawa nie jest taka prosta... Zorientowałeś się chyba, że on nie mówi.

- Ach, rozumiem... Myślałem, że nie chce się odezwać, bo mnie nie zna.

- Nie, nie w tym rzecz. Emir nie rozmawia z nikim, jest niemy, choć nie jest to upośledzenie fizyczne. Jego struny głosowe są w porządku. Chłopiec jest wyjątkowo bystry, ma bardzo wysoki IQ i kompletnego kręcka na punkcie komputera, ale z jakiegoś powodu postanowił nie porozumiewać się ze światem werbalnie. Jego matka ciężko to znosi.

- Nie dziwię się. - Nick pociągnął łyk herbaty. - Zaglądał do mnie, wiesz? Dałem mu papier i ołówki, a wtedy zaczął rysować. Nie zrozumiałem, o co mu chodziło, ale teraz wydaje mi się to bardziej sensowne.

- Co narysował?

- Dużo zrujnowanych budynków, domów, wieżowców. Tłumy ludzi z karabinami, także wybuchy. Jego rysunki są pełne ekspresji.

Chris znowu wyjął z kieszeni pakiecik w błyszczącej folii.

- Ja pasuję! - Nick podniósł dłoń. - Mam dosyć. Chris zaczął przygotowywać sobie jointa.

- Musisz mi powiedzieć, jeżeli zaczniesz rysować matkę...

- Dlaczego?

Chris nie odrywał wzroku od brunatnej substancji, którą posypał tytoń.

- Amra została zgwałcona, rozumiesz? Emir był wtedy małym dzieckiem. Mieszkali w niewielkim miasteczku pod Sarajewem. Pewnego dnia pojawili się tam serbscy żołnierze i zabrali jej męża. I zgwałcili ją. Wszystko to stało się na oczach Emira. Amra uciekła do Sarajewa i po pewnym czasie odkryła, że jest w ciąży. Nie wie, kto jest ojcem jej córki. Mogła przeprowadzić aborcję, ale do końca nie była zdecydowana, czy tego właśnie chce, więc urodziła. A teraz codziennie patrzy na dziewczynkę i zastanawia się...

- Chłopiec nie wie o tym, prawda? Na pewno nie pamięta tamtych zdarzeń...

Chris wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć? Wtedy był jeszcze za mały, żeby wyrazić swoje przeżycia słowami. Tak czy inaczej, psychologowie, którzy go widzieli, mówią, że te uczucia tkwią w nim gdzieś głęboko, na razie uwięzione, bo Emir nie znalazł sposobu, aby je przekazać. Dlatego będę ci wdzięczny, jeżeli dasz mi znać, gdyby jego rysunki nabrały cech seksualnych. Może się to okazać pomocne.

Zdjął okulary i położył je na stole. Potarł oczy i rozmasował mostek nosa, nagle bardzo podobny do nastoletniego Chrisa, jakiego Nick zapamiętał. Jego spojrzenie było dziwnie roztargnione, kiedy przypalał jointa zapalką i głęboko wciągał dym.

- Kochasz ją? - zapytał Nick. - Najwyraźniej tak, skoro jesteś gotowy znosić kłopoty, jakie sprawiają dzieci innych ludzi...

Chris wypuścił z ust długą strużkę szarego dymu.

- Potrzebowała pomocy, była bardzo samotna i zniszczona tym, co ją spotkało. Chciałem zrobić coś, co stanowiłoby przynajmniej pewną rekompensatę za... - Przerwał i zdjął sobie drobinę tytoniu z górnej wargi. - Za Owena.

W holu, za ich plecami, rozległ się jakiś dźwięk. Nick odwrócił się i spojrzał przez ramię. Kobieta stała nieruchomo i przyglądała się im.

- Idę do łóżka - oznajmiła pozbawionym wyrazu głosem.

- Bardzo dobrze, kochanie. Niedługo do ciebie przyjdę. - Chris pomachał jej jointem.

- Będę się już zbierał... - Nick podniósł się powoli. Chris z szerokim uśmiechem odchylił się do tyłu.

- Miło jest być panem domu i głową rodziny, prawda? Nigdy nie sądziłem, że ta rola przypadnie mi do gustu, ale właśnie tak się stało...

Nick nie odpowiedział. Ruszył w kierunku drzwi, lecz nagle zatrzymał się i zawrócił do kuchni.

- Nie powiedziałaś mi, co dzieje się z twoimi rodzicami. Gdzie teraz są?

- Oboje nie żyją. Pojechali na wakacje do Hiszpanii i wynajęli tam samochód. Jechali z Malagi do Seville, kiedy zderzyli się z ciężarówką. Zginęli na miejscu. Matka prowadziła. Policjanci sądzili, że prawdopodobnie zapomniała, którą stroną szosy powinna była jechać...

- Dobry Boże... Nic nie wiedziałem. Bardzo mi przykro...

Przez twarz Chrisa przemknął cień ironicznego uśmiechu. Włożył okulary.

- Nie udawaj! - rzucił. - Bez hipokryzji, dobrze? Pamiętam, że ich nie lubieś. Pokłóciliście się kiedyś na temat zbyt głośno puszczanej muzyki czy czegoś takiego...

Konfrontacja w drzwiach domu Nicka i Susan. Nick w szlafroku, z potwornym kacem, w kuchni i salonie pełno pustych butelek i brudnych szklanek, Owen wrzeszczący na całe gardło w łóżeczku na górze, purpurowa z gniewu twarz Briana Gouldinga...

- Ja też ich nie lubiłem - ciągnął Chris. - Zginęli i zostawili mi ten dom. Teraz mam Amrę i dzieci, a oni są wszystkim, czego pragnę i potrzebuję. Mam własny dom i własną rodzinę.

- A twoja siostra? Co z nią? Odwiedza cię czasami?

Chris mocno zaciągnął się jointem i spojrzął na Nicka.

- No, tak, moja siostra... Mówiła mi, że spotkaliście się przelotnie. I że nie aprobujesz jej pracy...

Nick wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że szkoda, iż robi to, co robi, to wszystko. Byłem zaskoczony, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogłaby...

- Jasne! - prychnął Chris. - Ale przyglądałeś się jej, prawda? Razem z innymi facetami. Nie mogłeś odebrać od niej oczu, mówiła mi. Zauważyła cię od razu i widziała, że nie mogłeś się napatrzeć. Podchodziłeś coraz bliżej do sceny, powiedziała, że się śliniłeś, umierałeś z pragnienia, żeby dotknąć jej ciała... - Zachichotał głośno, jego ramiona zadygotały. - Ślina ciekła ci z ust, kurwa mać... Zadzwoiła do mnie i wszystko mi opowiedziała. Śmiała się i śmiała, a ja razem z nią. Ten skurwysyn nigdy nie ma dosyć ładnych babek, powiedziałem jej. On się nigdy nie zmieni... - Chris wstał, nogi krzesła zgrzytnęły o podłogę. Minął Nicka i odwrócił się, żeby rzucić mu rozbawione spojrzenie spod zmrużonych powiek. - Czasami myślę sobie, że miałeś naprawdę wszystko, wiesz, stary? Żonę, dziecko, dom, kochankę, czy jak tam ją nazywałeś... Robiłeś karierę, miałeś dobrą opinię i wspaniałe perspektywy. A co masz teraz, Nick? No, powiedz... Co teraz masz? Potem myślę o sobie, o tym, że dawniej, wtedy, kiedy ty miałeś wszystko, ja nie miałem nic. Ale teraz to ja mam wszystko... Niezły numer, co? Naprawdę niezły...

Otworzył frontowe drzwi i oparł się o ścianę.

- Czas się pożegnać, mój drogi... - Chris oderwał się od muru i położył rękę na ramieniu Nicka. - Och, jeszcze coś... Nie zapomnij o butach. Jest strasznie zimno i mokro, a ja w żadnym razie nie chciałbym, żebyś się przeziębził.

Rysunki Owena wciąż leżały rozrzucone na podłodze, tak jak Nick je zostawił. Teraz schylił się i zaczął je zbierać. Dzieciak potrafił posługiwać się kreską, bez dwóch zdań. Kto nauczył go takiego postrzegania rzeczywistości? Nick często przechwalał się przed Susan, że Owen odziedziczył zdolności Cassidych.

- To rodzinne - mówił. - Wszyscy w tej rodzinie umieją rysować i malować!

Zwykle parskała wtedy śmiechem.

- Jasne, wszyscy w tej rodzinie świetnie zmyślają, prawda? Wszyscy są marzycielami, fantastami i działają pod wpływem instynktu!

- Nie chciałaś przypadkiem powiedzieć, że jesteśmy kreatywni? - pytał w odpowiedzi, mocno urażony. - Dynamiczni, zmienni, ekspresyjni, impulsywni i niezwiązani łańcuchami empiryzmu, w przeciwieństwie do ciebie...

Podniósł nakreślony ręką Owena portret Marianne. Usiadł i poszukał w wewnętrznej kieszeni fotografii, którą zdjął z tablicy w szpitalu. Uważnie przyjrzał się zdjęciu i rysunkowi. Owen widział Marianne jako księż-

niczke z malutką koroną na głowie, szeroko uśmiechniętą. Jej rozchylone usta miały kształt odwróconej ku górze podkowy, oczy były okrągłe i brązowe, a rozdzielone pośrodku głowy włosy opadały na ramiona, zaplecione w dwa grube warkocze. Owen namalował duże czerwone kokardy na ich końcach. Ubrał Marianne w srebrzystą suknię, spod jej rąbka wystawały stopy. Z błyszczącej odbitki patrzyła na Nicka zupełnie inna istota. Ta Marianne miała obcięte na króciutkiego jeża włosy, na drobnej twarzy nie malował się nawet cień uśmiechu. Kiedyś by powiedziano, że jest to twarz w kształcie serca, pomyślał Nick. Zawsze uważał, że to określenie nie odpowiada prawdzie. Twarz Marianne przywodziła na myśl raczej trójkąt równoramienny - kości policzkowe wyraźnie zaznaczone, ostry podbródek, czoło całkowicie pozbawione zasłony włosów... Odłożył rysunek i fotografię, i podszedł do krzesła, na którym leżała torba z przyniesionymi przez Min dokumentami. Przeglądał je cierpliwie, dopóki nie natknął się na teczkę zatytułowaną: MARIANNE O'NEILL. Usiadł na sofie, otworzył i zaczął czytać.

Zeznanie złożone w obecności sierżanta Jamesa Fitzgibbona, w dniu 2 listopada 1991 roku.

Nazywam się Marianne Gemma O'Neill. Mieszkam pod adresem Victoria Square 26, Dun Laoghaire, Co. Dublin. Mam dziewiętnaście lat. Jestem opiekunką do dziecka, zatrudnioną przez Nicka i Susan Cassidych. W środę trzydziestego pierwszego października przebywałam w domu razem z Owenem Cassidym do 12.30 po południu. Nicka i Susan nie było w domu. Susan była w pracy, w Szpitalu Pediatrycznym w Południowym Dublinie. Nick powiedział mi, że umówił się w Ranelagh na spotkanie z wydawcą, mieli omawiać projekt nowej książki. Susan pojechała do pracy o 7 rano, jak zwykle. Nie widziałyśmy się rano, ale słyszałam ją w łazience, która sąsiaduje z moim pokojem. Wstałam o 9 rano. Normalnie wstaję wcześniej, ale ponieważ Owen miał przerwę semestralną i nie musiał być w szkole na 8.30, mogłam sobie poleżeć. Owen przyszedł do mojego pokoju koło 8.30, położył się koło mnie i poprosił, żebym mu poczytała. Odmówiłam, ponieważ wiem, że umie już czytać, lecz w końcu poddałam się i przeczytałam mu dwa rozdziały książki, którą teraz czyta. Słyszałam, że Nick kręci się w kuchni. Kiedy razem z Owenem zeszłam na dół, Nick zrobił dla nas trojga śniadanie. Zjedliśmy jajecznicę i grzanki. Napiliśmy się kawy, a Owen soku pomarańczowego. Po śniadaniu pozmywałam i włączyłam pralkę. Wróciłam do siebie, wykapałam się, ubrałam i znowu zeszłam do kuchni. Owen i Nick właśnie się kłócili. Nick powiedział Owenowi, że musi wyjść, a Owen był zły, bo chciał, żeby ojciec poszukał z nim drewna na ognisko i pomógł mu wykończyć kostium. Był to kostium lisa i Owenowi nie podobał się kolor. Uważał, że lis powinien mieć bardziej pomarańczowe futro i zapytał Nicka, czy może pożyczyć sobie jego farby. Nick zdenerwował się i powiedział, że takie farby są bardzo drogie i on nie ma zamiaru marnować ich na jakiś głupi kostium na Halloween. Wreszcie powiedział, że musi już lecieć i że ja mam pomóc Owenowi. Przypomniałam Nickowi, że zgodził się, bym wzięła sobie dzień wolny. Chciałam spędzić trochę czasu z moim chłopakiem, Chrisem Gouldingiem, który mieszka w domu obok. Ale Nick powiedział, że nie ma mowy, bo moja praca polega na tym, że mam zajmować się Owenem, kiedy on i Susan nie są w stanie tego robić, przecież wyjaśnili mi to, kiedy mnie przyjmowali. Że w gruncie rzeczy robią mi dużą grzeczność, bo mieszkam u nich za darmo, więc chyba przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić. Zaprotestowałam, powiedziałam, że umówiłam się już na spotkanie, ale Nick wściekł się i zaczął krzyczeć. Potem chwycił torbę i powiedział, że nie wie, o której wróci. Kazał mi ugotować Owenowi jakiś lunch i w żadnym razie nie zabierać go do baru na frytki. I wyszedł. Było około jedenastej - nie jestem pewna, która dokładnie, ale coś koło tego. Byłam wściekła na Nic-

ka. Powiesiłam pranie, wyprasowałam parę rzeczy i koło dwunastej dałam Owenowi spaghetti z puszki, takie, które on bardzo lubi, i zadzwoniłam do matki jego przyjaciela, do pani Reynolds. Reynoldsowie mieszkają po drugiej stronie placu i Luke jest najlepszym przyjacielem Owena. Zapytałam, czy Luke nie miałby ochoty wpaść do nas i trochę się pobawić. Kiedy przyszedł, jakieś piętnaście minut później, powiedziałam im, że mogą wyjść i poszukać drewna na ognisko, a potem wyprawić się do miasta i kupić trochę fajerwerków w centrum handlowym. Wiem, że nie powinnam była, bo handel fajerwerkami jest nielegalny, a poza tym są one bardzo niebezpieczne, ale chciałam, by Owen sobie poszedł i zostawił mnie w spokoju. Poszłam do gabinetu Nicka i zajrzałam do dzbanka, w którym trzyma drobne. Zwykle ma tam koło pięćdziesięciu funtów. Wysypałam monety, odliczyłam dziesięć funtów, dałam Owenowi i powiedziałam, że może wszystko wydać. Ale on wcale się nie ucieszył. Był na mnie zły, powiedział, że chciał spędzić dzień ze mną, a poza tym obiecałam, że pomogę mu z kostiumem. Zaczął wrzeszczeć, że nie dotrzymuję słowa. Wtedy wpadłam we wściekłość i strasznie na niego nakrzyczałam. I uderzyłam go. Wiem, że nie powinnam, ale on okropnie mnie wkurzył, i to celowo. Zachowywał się jak dzieciak, kleił się do mnie i nie chciał mnie puścić. Obejmował mnie i próbował wpakować mi się na kolana, więc krzyknęłam, że nie jest już malutkim dzieckiem i ma dać mi spokój. Zaczął się dopytywać, dlaczego nie może pójść ze mną do Gouldingów, że zwykle pozwalam mu tam chodzić, więc dlaczego nie tym razem, skoro on tak lubi z nami wszystkimi przebywać. Nie zamierzałam pozwolić mu, żeby wszedł mi na głowę, dlatego powiedziałam, że idę sama i koło pierwszej rzeczywiście wyszłam. Owen i Luke Reynolds wyszli razem ze mną. Powiedziałam, że wrócę koło piątej, a jeśli wcześniej będą zmęczeni albo głodni, to mają pójść do Reynoldsów. Poszłam do Gouldingów i spędziłam tam resztę dnia. Była tam Róisín, siostra Chrisa, i jej chłopak, Eddie Fallon. Chris zdobył gdzieś trochę prochów i wszyscy je zażyliśmy. To był mój pierwszy raz, byłam zaskoczona przeżyciami po narkotyku. Czułam się jak mała dziewczynka, którą byłam przed chorobą, zupełnie jakbym wróciła do tamtego okresu. Chciałam tam zostać, nigdy nie wracać do rzeczywistości, było mi naprawdę dobrze, ale zasnęłam i kiedy się obudziłam, nie wiedziałam, która jest godzina. Zdawałam sobie jednak sprawę, że muszę wrócić do Cassidych. Susan Cassidy była już w domu. Wróciła trochę wcześniej niż zwykle, bo był to dzień Halloween. Zapytała mnie, gdzie jest Owen, lecz ja nie umiałam odpowiedzieć. Ciągle byłam na haju i nie bardzo kontaktowałam. Powiedziałam, że powinien być u Reynoldsów, chociaż nie byłam tego pewna. Susan zadzwoniła do pani Reynolds, która jej powiedziała, że tego dnia w ogóle nie widziała Owena, a Luke wrócił do domu koło trzeciej i na razie nie wychodzi. Zaczekałyśmy jeszcze trochę i zaraz przyszedł Nick. Na dworze zrobiło się już ciemno, Susan i Nick zaczęli się niepokoić, więc wyszłam i obeszłam plac dookoła, zaglądając do wszystkich bocznych alejek, gdzie dzieci mają zwyczaj się bawić. Pytałam napotkanych ludzi, czy nie widzieli Owena, bo wszyscy mieszkający przy placu i w okolicy dobrze go znali i bardzo lubili, ale nikt nie miał pojęcia, dokąd mógł pójść. Potem wróciłam do domu, było to koło siódmej, Nick i Susan zdecydowali się zadzwonić na policję, bo bardzo się już martwili.

Podpis był wyraźny, złożony z niezgrabnie skreślonych, dużych liter. Nick przypomniał sobie, że przez chorobę Marianne bardzo długo nie chodziła do szkoły i w liceum miała poważne problemy z nadrobieniem zaległości. Zawsze trochę odstawała poziomem od innych uczniów. Jej rodzice bardzo się niepokoiли, że może nie zdoła dopasować się do swoich rówieśników, a nawet normalnie funkcjonować w świecie dorosłych, ale Susan cierpliwie dodawała im otuchy. Pamiętał, że często rozmawiała z nimi przez telefon, zawsze serdeczna i

pełna zrozumienia. Wszystko będzie w porządku, zapewniała. Marianne jest inteligentną dziewczyną, brakuje jej tylko odrobiny pewności siebie...

Dobrze pamiętał także tamtą kłótnię. Marianne nie ustępowała, powtarzała, że przecież już wcześniej obiecali jej wolny dzień. Był na nią wściekły, bo wszystko dokładnie sobie zaplanował. Faktycznie miał spotkanie z wydawcą, ale to spotkanie mogło potrwać najwyżej pół godziny. Później chciał wpaść do delikatesów i kupić trochę przysmaków - butelkę dobrego wina, bochenek świeżego ciemnego chleba, kilka gatunków sera. I zabrać to wszystko do Giny, rzecz jasna...

Podszedł do deski i położył na niej czysty arkusz. Chwilę grzebał w pudełku z pędzlami, wreszcie znalazł ten najdelikatniejszy, z sobolowego włosia i odkręcił buteleczkę tuszu. Historia Marianne pojawiła się przed nim czarno na białym. Cały fryz obrazów z tamtego dnia, tak, jak je opisała. Na podłogę opadały kartki papieru, jedna za drugą. Kiedy skończył, schylił się i pozbierał je, potem zaś taśmą klejącą przymocował do ściany nad kominkiem, w odpowiedniej kolejności. Cofnął się, żeby objąć wszystkie wzrokiem. Potem położył się na sofie i przykrył kocem. Zamknął oczy. Po chwili zapadł w sen.

Rozdział siedemnasty

Czy ją poznał? Czy poznał dziewczynę, która zatrzymała się przed nim na molo i głośno wypowiedziała jego imię? Na głowie miała robioną na drutach czapkę w tęczowe paski, nasuniętą tak nisko na czoło, że prawie zasłaniała brwi. I chociaż był to jeszcze jeden ciepły, pogodny dzień, ubrana była w długie szare palto, sięgające ciężkich, sznurowanych czarnych butów.

Obudziło go słońce, padające prosto na twarz. Wziął prysznic i zjadł późne śniadanie. Było parę minut po dwunastej w południe. Kiedy wyszedł na dwór, niebo było jasnobłękitne, do czysta wymyte deszczem, który padał w nocy. Na schodkach przed wejściem do domu obok siedział chłopiec. Nick przystanął i wyciągnął do niego rękę. Chłopiec bez słowa ujął jego dłoń.

- Zapytamy twoją mamę, dobrze? - odezwał się Nick. - Zapytamy, czy pozwoli ci pójść ze mną nad morze.

Podniósł wzrok. Amra stała w drzwiach.

- Nie masz nic przeciwko temu? Zaopiekuję się nim. Potrzebna mu tylko kurtka...

Skinęła głową i zniknęła wewnątrz domu. Kiedy parę minut później wyszła znowu, podała Nickowi spraną czerwoną nieprzemakalną kurtkę.

- Będzie grzeczny - powiedziała. - Będzie grzeczny z tobą...

Powoli poszli na molo. Emir puścił rękę Nicka i biegł przodem, podskakując. Na brzegach granitowego pomostu stały grupki mężczyzn, którzy łowili ryby. Emir przykucnął, zaglądając do puszki z przynętą jednego z wędkarzy, a Nick usiadł na kamiennym słupku i wystawił twarz do słońca.

Właśnie wtedy usłyszał jej głos i zobaczył jej twarz.

- Nick, Nick, Nick, Nicky, Nicky, Nicky!

Dziewczyna raz po raz powtarzała jego imię, jakby smakowała ten dźwięk. Leżący u jej stóp mały czarny psiak podniósł głowę i utkwił w nim intensywnie brązowe spojrzenie.

- Nick, słyszałam, że wróciłeś, Susan mi mówiła! Chciałam cię zobaczyć, przysłałam cię szukać! Byłam w domu, ale nikogo tam nie było. Nikogo, nikogusieńko. Nikogo, nikogo. I wtedy zaczęłam myśleć, zastanawiać się. Gdybym była Nickiem i gdybym chciała popatrzeć na piękny świat i nacieszyć się nim, tak jak kiedyś, to gdzie bym poszła? Gdzie bym poszła, gdybym chciała znaleźć mojego syneczka i być z nim tak jak dawniej? I wszystko wydało mi się bardzo proste i jasne. Wystarczyło, że weszłam do twojej głowy i już wiedziałam, dokąd pójść - właśnie tutaj...

Rozpostarła ramiona i zawirowała, a molo, błękitne niebo, potężny biały prom, mewy, kołysząca się przy nabrzeżu łódź ratunkowa i kobiety pchające wózki z malutkimi dziećmi, wszystko to zawirowało razem z nią. Kalejdoskop barw, pragnień, ciepła, jasności i szczęścia poruszał się i zmieniał kształty z każdym jej ruchem. Pies skakał obok niej, szczekając natarczywie, z długim różowym językiem zwisającym z boku wilgotnego, czarnego pyszczka. Emir podbiegł do Nicka i przywarł do jego nóg. Otwierał i zamykał usta, z których nie wydobywał się żaden dźwięk, powieki miał mocno zaciśnięte, a małe, szczupłe palce wczepione w materiał dzinsów Nicka.

Marianne spojrzała na jasną czuprynę chłopca, potem na twarz Nicka i osunęła się na kolana. Wyciągnęła ręce do dziecka gestem, w którym rozpacz mieszała się z tęsknotą i nadzieją.

- To ty, mój skarbie? - wymamrotała tak cicho, że Nick z trudem wychwytywał jej słowa. - To ty, mój malutki? To ty, mój złoty książę? Czy to ty, Owenie, światło mojego życia, moje marzenie, moje oczko w głowie, muzyko mojego serca?

Ale chłopiec sięgnął do jej twarzy zakrzywionymi w szpony palcami i przeciągnął nimi po jej policzkach, znacząc je czerwonymi pręgami. Marianne z krzykiem upadła do tyłu, straciła równowagę i rozciągnęła się na nagranych słońcem granitowych płytach.

- Ciiicho, Emir, uspokój się, przestań! Wszystko w porządku, nikt cię nie skrzywdzi, nie bój się! - Nick szybko podniósł dziecko z ziemi, niezgrabnie tuląc je do siebie, usiłując unieruchomić jego nogi i ramiona.

Przestraszył się, że mały mógłby kopnąć Marianne, jeszcze mocniej podrapać albo ugryźć.

- Wszystko w porządku, to moja przyjaciółka, miła, dobra osoba... Nie zrobi ci nic złego, uspokój się...

Zaczekał, aż serce przestało galopować jak szalone w piersi chłopca, zupełnie jak u przerażonego ptaka, i ostrożnie postawił go na ziemi. Potem przysiadł na piętach obok czegoś, co wyglądało na kupkę starych szmat, odszukał małą dłoń Marianne, ujął ją w swoją i zaczął mrużyć słowa pocieszenia i uspokojenia.

- Nic się nie stało, Marianne, chłopiec po prostu trochę się przestraszył. Nie mówi po angielsku, w ogóle nie mówi. Pochodzi z Bośni, przeżył straszne chwile. Kiedy był mały, widział przerażające rzeczy. Potrzebuje dużo miłości i czułości, potrzebuje pomocy...

Uniosła twarz, na której wystąpiły głębokie zadrapania. Małe kropelki krwi sączyły się z nich przerywanymi liniami.

- No, już, spokojnie... Chciałabyś pójść ze mną do domu? Trzeba przemyć te rany, bo Emir na pewno nie ma zbyt czystych paznokci, sama wiesz, jacy są chłopcy...

Pogłaskał ją po głowie, potem opuścił rękę na drobne, wychudzone ramię. Zaczekał, aż pozbiera się z ziemi i powoli, jakby z namysłem otuli grubym paltem. Kiedy w końcu wyprostowała się, zobaczył, że z jej oczu wciąż płyną łzy.

- Gdzie Timmy? - zapytała, wyciągając z kieszeni kawałek sznurka. - Powinien być na smyczy. Ludzie nie lubią psów, które biegają tutaj same, bo płaczą im się pod nogami. Ludzie bardzo się złością na psy, które im przeszkadzają, często zabierają je gdzieś i wtedy trzeba zapłacić dużo pieniędzy, żeby je odzyskać, a ja nie mam pieniędzy, w każdym razie nie tyle... Widzisz go?

Timmy nie oddalił się na niebezpieczną odległość. Zaprzyjaźnił się z czarnym labradorem i biegał za nim dookoła kamiennego słupa. Nick złapał go za obrozę i przywiązał do niej koniec sznurka. Emir przyglądał się temu z kciukiem w ustach.

- Chodź! - Nick wyciągnął do niego rękę. - Idziemy do domu, wszyscy razem.

Rozpalili ogień w piecyku i wkrótce małą przestrzeń za szklanymi drzwiczkami wypełnił ciemnoczerwony blask. Potem zabrał się do gotowania. Postanowił zrobić swój ulubiony sos do makaronu. Marianne i Emir usiedli przy kuchennym stole i obserwowali go. Dwie pary oczu, ciemnobrązowe i jasnozielone, śledziły każdy jego ruch. Pies zwinął się w kłębek w kącie i tylko co jakiś czas strzygł jednym uchem.

Nick pokroił bekon w cienkie paski i przysmażył na oliwie. Dodał czosnek, potem pomidory z puszki i drobno krojoną czerwoną paprykę chilli. Podlał wszystko jeszcze odrobiną oliwy i zostawił na niewielkim ogniu. Pokroił długą bagietkę w małe kromeczki, zagotował wodę w czajniku, napełnił rondel wrzątkiem i wrzucił do niego sporo makaronu penne, rurek o ostro przyciętych końcach. Okna w kuchni pobieleły od pary, zapach jedzenia sprawił, że ślina nabiegła wszystkim do ust, a z brzuchów wydobyło się zachęcające burczenie.

Nick gotował i śpiewał.

Jesteś moim słońcem, moim jedynym słońcem, Cieszę się nim, chociaż na niebie wiszą chmury.

Głos Marianne podjął piosenkę:

Nigdy nie zgadniesz, jak bardzo cię kocham, Proszę, nie zabieraj mi słońca.

Nick zamieszał gotujący się makaron i spojrzał na Marianne. Zdjęła włóczkową czapkę i teraz dokładnie widział, jak jej biała skóra prześwieca przez ciemną szczecinę ogolonej głowy.

- Możesz zdjąć palto. Jest bardzo ciepło.

Pokręciła głową i ciałniej otuliła szczupłe ramiona, ale na twarzy pojawił się pierwszy uśmiech. Słowa piosenki wypływały pomiędzy jej dużych, miękkich warg, jednym butem wystukiwała rytm pod stołem. Obok niej Emir stukał drewnianą łyżką w blat. Nie spuszczał wzroku z Marianne, otwierając i zamykając usta w identyczny sposób jak ona.

Nick wykonał płynny obrót na pięcie i wyciągnął rękę do Marianne. Kiedy wstała, pociągnął ją do tańca, cały czas śpiewając.

Wczoraj śniłem, że trzymam cię w ramionach, I był to słodki sen,

Ale kiedy się obudziłem, nie było cię przy mnie, Więc ukryłem twarz i zapłakałem.

Śmiała się głośno, kiedy wirowali po pokoju, omijając sofę, deskę do rysowania, stół i krzesła. Śpiewali razem.

Zawsze będę cię kochał i dbał o ciebie, I pragnę tylko usłyszeć te same słowa, Lecz jeśli mnie rzucisz i pokochasz innego, Kiedyś na pewno pożałujesz tego.

Czuł, jak jej palce zaciskają się na jego przedramionach, i wirował coraz szybciej, powtarzając słowa piosenki. Pokój kręcił się dookoła nich - chłopiec, pies, przyjemnie bulgoczące naczynia na kuchence, szkarłatny blask ognia w piecyku. Wszystko było ciepłe i jasne, ich głosy melodyjne i dobrze zespolone. Kiedy po raz trzeci zaśpiewali piosenkę do końca, Nick uwolnił Marianne i cofnął się z głębokim ukłonem, następnie zaprowadził ją na jej miejsce przy stole i podsunął krzesło. Wrócił do kuchni, nabił na widelec kawałek makaronu i wbił zęby w miękkie pszenne ciasto, czując, jak gorąco rozchodzi mu się po języku i delikatnej różowej skórze wnętrza ust. Pies usiadł, wyprostowany jak struna, całkowicie pochłonięty zapachem jedzenia. Nick rzucił mu kawałek makaronu, a Timmy podskoczył, z kłapnięciem zębów chwycił w locie i przełknął pośpiesznie.

- Tak, dobry makaron! - zawołał Nick.

Marianne klasnęła w dłonie i przez moment Nick czuł znajomy, pełen zadowolenia spokój. Zaraz potem usłyszał odgłos kroków w pokoju nad głową. Zerknął na sufit. Marianne podążyła za jego wzrokiem i uśmiech zniknął z jej twarzy. Oczy wezbrały łzami, pochyliła głowę i powoli pogłaskała psa, który znowu skulił się tuż obok jej stóp. Nick odwrócił się w stronę kuchenki, podniósł rondel i odsączył makaron. Za jego plecami Emir wstał od stołu. Nick spojrział przez ramię i zobaczył, że chłopiec rysuje palcem na zaparowanej szybie. Dwa kółka zamiast oczu, owalny kleks w miejsce nosa i zwrócona końcami do dołu podkowa zamiast ust. Mały skończył rysunek, podszedł do Marianne, położył rękę na jej ramieniu i zbliżył twarz do twarzy. Rozchylił wargi, wysunął język i zaczął zlizywać jej łzy.

Zjedli makaron z sosem i bardzo im to smakowało. Nick otworzył butelkę czerwonego wina i gdy zaproponował szklaneczkę Marianne, dziewczyna ochoczo skinęła głową. Wypili i Nick znowu nalał. Polany intensywnie pomarańczowym sosem makaron szybko zniknął z ich talerzy. Popołudniowe słońce nieśmiało zajrzało przez szklane drzwi. Para powoli spełzła z szyb, a wraz z nią narysowana przez Emira smutna buzia. Marianne zachichotała, uśmiechnęła się. Nick zaczął opowiadać o swoich podróżach po Ameryce, o miejscach, które odwiedził, poznanych tam ludziach, zajęciach i namalowanych obrazach.

- Ale jednak wróciłeś - odezwała się. - Zawsze wierzyłam, że wrócisz. Wiedziałam, że nie zostawisz Owena samego...

Nick nie odpowiedział. Odsunął talerz i dolał sobie wina. Podniósł się.

- Podejdz tu, Marianne. - Wyciągnął rękę. Jej twarz przybrała wyraz zaniepokojenia.

- Nie bój się, chcę ci tylko coś pokazać... Razem podeszli do ściany nad kominkiem.

- Popatrz... Co tu widzisz?

- To ja - odparła, wskazując palcem. - A to mój chłopiec. A to ten z domu obok i ona z domu obok ze swoim chłopakiem, tym Fallonem. A to Susan, mój anioł i ty, i ta zła kobieta, z którą byłeś...

- A to? - Nick postukał palcem w papier tuż nad głową Luke'a Reynoldsa. - Poznajesz go?

- On też jest zły. Kłamał, był niedobry. Niedobry dla Owena, uczył go złych rzeczy. Namawiał go do złych rzeczy. Owen był zawsze dobry i grzeczny, ale zmienił się, kiedy poznał Luke'a Reynoldsa. Luke nie był dobry... - Zaczęła pojękiwać, mocniej otuliła się paltem i zakotyssała. - Niedobry, niedobry, to był zły chłopak! Niedobry, niedobry...

Jej głos z każdym słowem przybierał na sile. Emir podniósł się od stołu i zbliżył się do niej powoli, na palcach. Pies także wstał, podkulił ogon i przylgnął chudym bokiem do nogi chłopca.

- Dlaczego on nie mówi? - Marianne odwróciła się do dziecka. - Odezwij się do mnie, chłopcze, opowiedz mi swoją historię. Opowiedz mi o swojej przeszłości, powiedz, skąd się wzięłeś, skąd pochodzisz i kim są twoi rodzice... Powiedz mi, kim jesteś.

Uklękła przed Emirem i położyła dłonie na jego ramionach. Przysunęła twarz do jego twarzy i przytknęła nos do jego nosa.

- Wlej we mnie swój oddech, chłopczyku, a ja obronię cię przed złem. Popatrz, masz tu coś, co będzie cię chronić...

Wsunęła rękę pod palto i wyjęła dysk wykonany z zielonego kamienia. Podniosła go i pokazała chłopcu.

- Widzisz?

Emir nie zareagował.

- Ten krążek pochodzi z krańca ziemi. Ogrzewało go moje ciało i kiedy zawieszę ci go na szyi, przekaże ci moje ciepło i rozgrzeje cię. Da ci mojego ducha, moją duszę i krew, i uratuje cię, tak jak mnie uratowała kiedyś czyjaś krew. Masz, proszę...

Włożyła mu zielony dysk na szyję i schowała rzemyk pod kołnierzyk spranego swetra. Przycisnęła otwartą dłoń do piersi Emira.

- Czujesz go? Jest ciepły i przyjemny, prawda? Chwilę patrzył na nią oczami równie zielonymi jak kamień, a potem się cofnął i usiadł na podłodze. Oparł się o ścianę i wyjął dysk spod swetra. Przycisnął go do warg, a potem zaczął pocierać nim policzki i czoło.

- Masz tu czyste kartki, Emir. - Nick wziął blok grubszego papieru i popchnął go po podłodze do chłopca. - I ołówek... Narysuj mi coś, dobrze? Coś, co lubisz...

Usiadł na sofie i gestem przywołał Marianne, lecz ona potrząsnęła głową, wciąż stojąc przed wiszącymi na ścianie rysunkami.

- Widzę tamten dzień - powiedziała. - Widzę wszystko...

- Co widzisz?

- Tamten ranek. Widzę, jak żegnam się z chłopcem. Jak stoję przed drzwiami i pukam. I jak Chris zaprasza mnie do środka... - Przerwała, podniosła ramiona i oparła otwarte dłonie o ścianę, tuż obok portretów. - Gdzie jest to, co wydarzyło się później?

Nick nalał sobie wina.

- Będziesz musiała mi o tym opowiedzieć. Ty wiesz, co się wydarzyło, a ja nie...

Podał jej swoją szklankę i patrzył, jak pije, chciwie i szybko. Strużka wina spłynęła po podbródku prosto na podłogę. Marianne postawiła szklankę na parapecie nad kominkiem i zdjęła palto. Pod nim miała na sobie pikowany jedwabny żakiet. Kiedyś był w mocnym turkusowym kolorze, z tyłu zdobił go czerwony haftowany smok. Nick znał ten żakiet. Kupił go dla Susan na pchlim targu w Londynie, na Portobello Road, jeszcze przed ślubem. Teraz jedwab był wyblakły i poprzecierany, pokryty łatami. Na rękawach ktoś naszył kryształowe paciorki, na wysokim kołnierzu wyhaftowano gwiazdy i koła. Marianne nosiła do niego obcisłe dżinsy, tak-

że połatanie - długie języki barwnych plam z różnych materiałów przywodziły na myśl strój arlekina. Znowu podsunęła Nickowi szklanę, a gdy ją napelnił, wypila. Potem zaczęła mówić.

- Tak, to było tamtego dnia, kiedy liście opadały z drzew złocistymi kaskadami... Wysłałam mojego chłopca z tym Luke'em, dałam im pieniądze na fajerwerki. Mój chłopiec płakał. Uderzyłam go. Rozpłakał się jeszcze bardziej. Powiedział, że mnie nienawidzi. Roześmiałam się i powiedziałam, że ja też go nienawidzę. Poszłam do domu obok, zapukałam. Chris otworzył mi, weszłam do holu i zbiegłam schodami do piwnicy. Było tam ciemno, ale ciepło, bo Chris rozpałił wielki ogień. W pokoju zrobiło się gorąco, ogień był bardzo czerwony. Rozebrałam się, on także. Była z nami Róisín i ten jej chłopak, Eddie. Oni również zdjęli ubranie. Piliśmy wódkę. Chris zrobił dużo jointów, paliliśmy i piliśmy. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Chris puścił muzykę, śmialiśmy się i tańczyliśmy. Śmiesznie wyglądaliśmy bez ubrań, śmiesznie i pięknie, szczególnie Chris. Miał taką gładką, bielutką skórę... Chciałam go całować i żeby on całował mnie. Potem powiedział, że ma dla nas coś specjalnego. Otworzył dłoń i pokazał nam te pigułki. Nie ma się czego bać, powiedział, bo to najlepsze ze wszystkiego. Wzięłam pigułkę, inni także...

Przerwała. Nick czekał. Zerknął na Emira, który siedział spokojnie, z głową pochyloną nad blokiem. Jedną ręką rysował coś na papierze, drugą zanurzył we włosach.

Marianne znowu zaczęła mówić. Chodziła teraz po pokoju, z jednego kąta w drugi. Ostrożnie stawiała stopy, jedną przed drugą, w równej linii.

- Moje ciało obmyła rozkosz, obmyła je całe... Jestem taka szczęśliwa, taka radosna... Chris zabrał ode mnie blizny tego świata i sprawił, że stałam się czysta, wolna od ran. Nie boję się już. Nie czuję lęku, że rak wróci i mnie pochłonie. Nie boję się, że magiczny szpik przestanie działać i znowu stanę się słaba i bezbronna. Nie boję się, że nie czeka mnie już nic, tylko ciemność, noc, ziąb i ból. Kładziemy się na podłodze przed ogniem. Chris jest częścią mojego ciała. Zrastamy się w jedną istotę o dwóch głowach, czterech ramionach i czterech nogach. Będziemy jak syjamskie bliźnięta, nierozdzielne, zawsze razem. Za drzwiami tego pokoju nic nie ma i nigdy nie będzie... I nagle coś się dzieje. Nie jestem pewna, co. Otwieram oczy. Leżę na materacu, jest mi zimno, widzę brud i kurz. Słońce nie może przedostać się przez okna, bo są okropnie brudne. Siadam i widzę Chrisa. Stoi nade mną z aparatem fotograficznym w ręku. Fotografuje moje ciało. Popycha mnie, szturcha, tu i tam...

Wyciągnęła się na podłodze, rozłożyła nogi. Potem przewróciła się na brzuch i chwilę leżała płasko, zanim podniosła się i stanęła na czworakach. Przysiadła na piętach, kucnęła, zwinęła się w kulę, osłoniła pochyloną głowę ramieniem, wystawiając otwartą dłoń na zewnątrz, ku górze.

- Nie, Chris, nie! Nie podoba mi się to, nie chcę! Nie teraz! Nie tak... Wiem, że przez to zimne oko obiektywu widzisz mnie całą na wskroś... Patrzysz na moją krew, widzisz ją od środka, widzisz wszystko, co się tam dzieje, ale ja nie chcę wiedzieć. Nie chcę, nie chcę... Nie rób tego, proszę cię, nie chcę, nie tak...

Podniosła się z podłogi, wyprostowała i zasłoniła oczy rękami.

- Chris, przestań! Nie rób tego! Zimno mi... Rozgrzej mnie swoim ciepłem. Obejmij mnie! - Wyciągnęła ramiona. - Połóż się obok mnie, Chris. Przytul mnie... - Znowu położyła się na boku. - Bądź ze mną... Bądź ze mną, ukochany, skarbie mojego serca... Tak się boję... Na ścianach jest krew, na podłodze także... Ktoś krzyczy. Słyszę krzyk, głośno, coraz głośniejsze... Ktoś wzywa pomocy. Ktoś się boi. I nagle wydaje mi się, że mam

przed sobą zawieszono u sufitu lustro i widzę, nagle widzę, że to ja... Słyszę, że to ja, że to mój głos. Mój krzyk, mój wrzask, mój strach. To ja!

Usiadła i zaczęła krzyczeć.

- Pomocy, pomocy! Niech ktoś mi pomoże, proszę! Umieram! Nie chcę umierać! Boję się, jestem bezradna! Ratunku, niech ktoś mnie uratuje! Niech ktoś to zabierze...

Jej oczy były szeroko otwarte, ale patrzyły poprzez Nicka, nie na niego. Mimo woli odwrócił się i spojrzął przez ramię, podążył za jej wzrokiem. Potem znowu popatrzył na Marianne. Łzy strumieniem płynęły jej po twarzy.

- Więc co stało się z Owenem? - odezwał się. - Byłaś z Chrisem, Róisín i Eddiem. Ja byłem z Giną, Susan w pracy. Luke w domu, z matką. Dokąd poszedł Owen i co się z nim stało?

Lecz Marianne pochyliła głowę i kilka razy powoli nią potrząsnęła. Emir uklęknął obok niej, objął ją i przytulił mocno, najmocniej, jak umiał. Zakołysał się razem z nią. Pies przysiadł obok nich, oparł jedną łapę na udzie dziewczyny. Nick patrzył na nich w milczeniu. Czekał. Krzyki Marianne stopniowo ucichły. Jej powieki opadły, zaczęła głęboko oddychać.

Nick wstał. Przyklęknął, delikatnie wyjął dziewczynę z ramion dziecka i ostrożnie położył na podłodze, na boku. Koił ją i pocieszał, przemawiając łagodnie i lekko głaszcząc po policzku. Po chwili ściągnął narzutę z sofy i starannie otulił Marianne aż po same stopy. Zadrżała, jej usta otworzyły się i znowu zamknęły, z kącika spłynęła kropla śliny.

- Szszsz... - szepnął Nick. Chłopiec położył palec na wargach.

- Szszsz... Ciiicho... - powtórzył Nick.

Emir kiwnął głową. Nick podniósł się i podszedł do stosu dokumentów dotyczących zniknięcia Owena. Wyjął jedną z teczek i szybko ją przekartkował. Potem usiadł w rogu sofy i zaczął czytać.

Zeznanie złożone w obecności detektywa dochodzeniowego Jamesa Fitzgibbona w dniu 4 listopada 1991 roku.

Nazywam się Christopher Andrew Goulding. Mieszkam przy Victoria Square, pod numerem 27, w Dun Laoghaire. Mam 21 lat. Studiuję na Wydziale Filologii Angielskiej i Filozofii Uniwersytetu w Dublinie. Trzydziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku zrobiłem sobie wolne, ponieważ wieczorem mieliśmy obchodzić Halloween. Wyszedłem z domu koło 10.30 rano i poszedłem spotkać się z kolegą, Dermotem O'Dwyerem, w jego domu przy Belgrave Square w Monkstown. Dermot zdobył dla mnie kilka pigułek LSD i trochę haszyszu. Wróciłem do domu pieszo, brzegiem morza i po drodze wstąpiłem do supermarketu w centrum handlowym, gdzie kupiłem litrową butelkę wódki, dwa kartony soku pomarańczowego i parę puszek piwa Heineken, a także tytoń i bibułki do papierosów. Do domu dotarłem koło 12.30. Moi rodzice wyjechali na urlop do Hiszpanii, więc w domu byłem tylko ja i moja siostra Róisín. Zszedłem do piwnicy i napaliłem w piecu. Niedługo potem dołączyła do mnie siostra, a po pół godzinie jej chłopak Eddie i moja dziewczyna, Marianne O'Neill. Marianne była zdenerwowana, bo pokłóciła się z Owenem Cassidy, małym chłopcem, którym się opiekuje. Poprzedniego dnia poprosiła o wolny dzień, ale rano trzydziestego pierwszego października Nick Cassidy, jej pracodawca, powiedział, że ma ważne spotkanie, więc ona musi zostać z dzieckiem. Marianne wściekła się, głównie dlatego, że wiedziała o związku łączącym Nicka z kobie-

tą mieszkającą kilka domów dalej i podejrzewała, że spotkanie, o którym mówił, to randka z kochanką. Czuła, że Nick Cassidy naraża na szwank jej poczucie lojalności względem jego żony, Susan, i powiedziała, że nie będzie przed nią dłużej tego ukrywać. Tak czy inaczej, w końcu poszliśmy do piwnicy, wypaliliśmy parę jointów i wypiliśmy trochę wódki. Potem zażyliśmy LSD. Sam brałem już nieraz, ale Marianne jeszcze nigdy, więc niepokoiłem się, jak zareaguje, bo wiedziałem, że po przebytej w dzieciństwie chorobie jest bardzo wrażliwa. Myślałem, że może się przestraszy, lecz nic takiego się nie stało. Powiedziała, że wszystko z nią w porządku, więc przesiedzieliśmy w piwnicy całe popołudnie. Kochaliśmy się i w pewnym momencie Marianne się zdenrowowała, ale zdołałem ją uspokoić. Martwiłem się o nią. Słyszałem, że czasami ludzie przeżywają fatalne odloty i pomyślałem, że może trzeba by ją zawieźć do szpitala, lecz kiedy posiedziałem przy niej, jakoś doszła do siebie. Koło piątej powiedziała, że powinna już wracać do domu. Zaproponowałem, że pójdę z nią, ale oświadczyła, że nic jej nie jest, po prostu musi pójść po Owena. Myślała, że był ze swoim przyjacielem, Luke'em Reynoldsem, który mieszka po drugiej stronie placu. Po godzinie Marianne zadzwoniła, że strasznie się denerwują, bo nie mają pojęcia, gdzie jest Owen. Zapytała, czy mógłbym przyjść i pomóc go szukać. Poszedłem do Cassidych, porozmawiałem z nimi, potem obszedłem cały plac i boczne alejki. Na tyłach placu jest dużo starych szop, pozostałości po stajniach i garaży, niektóre naprawdę w okropnym stanie. Kiedy byłem dzieckiem, często się w nich bawiłem i wiedziałem, że Owen także ciągle tam chodzi. Przyszło mi do głowy, że może upadł i coś sobie zrobił, więc przeszukałem te budy, ale go nie znalazłem. Po powrocie dowiedziałem się, że rodzice Owena wezwali policję. W czasie pierwszego przesłuchania nie byłem całkowicie uczciwy, bo nie chciałem przyznać się do posiadania marihuany i LSD, ale teraz mówię prawdę. Tak spędziliśmy tamten dzień.

Nick podniósł głowę znad kartki. Chłopiec pełził po podłodze w kierunku śpiącej Marianne. Odwinął koc i wślizgnął się pod przykrycie, wtulając się w zakątek pod piersiami dziewczyny. Spojrzał na Nicka, przyłożył palec do ust i zamknął oczy.

Nick wstał i nalał sobie wina. Podszedł do deski, przypiął czysty arkusz, otworzył drewnianą szkatułkę i wyjął pędzel. Przejechał palcem po miękkich czarnych włoskach i zdjął z półki dwa słoiczki z tuszem. Zanurzył pędzelek w czarnym płynie i narysował cienką linię na papierze. Odsunął się na odległość ramienia i przyjrzał się jej uważnie, potem pochylił się i zaczął rysować.

Czas mijał. Światło powoli odpływało z nieba. Nick zapalił lampę nad deską. Uśpione na podłodze ciała poruszyły się, zamamrotały, przewróciły na drugi bok. Pies szarpnął się niespokojnie, z jego gardła wydobył się cichy warkot, ciemne wargi uniosły się, odsłaniając ostre białe zęby. Na podłogę u stóp Nicka spływały kartki papieru, pokryte rysunkami postaci. Kiedy tusz zupełnie wysechł, Nick przypiął je go ściany i cofnął się parę kroków, żeby popatrzeć na swoje dzieło z odpowiedniej odległości.

- Co stało się później? - zapytał głośno.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek. Pod drzwiami stała Amra, trzymając za rękę małą dziewczynkę. Nick zaprosił je do środka i wskazał śpiących na podłodze.

- Jeżeli chcesz, możesz zostawić go tutaj jeszcze trochę - powiedział. - Moja dawna znajoma, Marianne O'Neill, przyszła mnie odwiedzić i źle się poczuła. Położyła się, żeby odpocząć i Emir zdrzemnął się razem z nią. Chyba jest im wygodnie, nie sądzisz?

Amra potrzęsła głową.

- Jest późno. Chris wrócił do domu i czeka na obiad. Emir też powinien wrócić, już czas na niego... Za długo przebywa z tobą w twoim domu...

Podeszła do chłopca i potrzęsła jego ramieniem. Podniósł się. Jego buzia była poznaczona ciemnoróżowymi odciskami w miejscach, gdzie opierał ją na narzucie. Spojrzał na matkę i rozplakał się. Jednym szarpnięciem postawiła go na nogi, chwyciła jego kurtkę i zaczęła go ubierać. Próbował protestować, ale powiedziała mu coś ostrym tonem. Przygarbił się i pozwolił, żeby zapięła kurtkę i wciągnęła kalosze na nogi.

- Idziemy. Dziękujemy bardzo i żegnamy się z miłym panem Nickiem. Mówimy do zobaczenia.

- Dziękuję bardzo i żegnam się z miłym panem Emirem. I mówię do zobaczenia. Może niedługo znowu wybierzemy się razem na molo. Może nawet pójdziemy na ryby, kto wie? - Nick przykucnął przed chłopcem i podciągnął wyżej suwak jego kurtki. - Może złapiemy wieloryba, co ty na to, Emir?

Wstał i lekko zwichrzył chłopcu włosy.

Potem długo siedział w ciemności. Pomędzy gałęziami drzew widział wschodzący księżyc i czekał na chwilę, kiedy ogród zaleje srebrzysty blask. Nad jego głową co jakiś czas skrzypiały deski w podłodze na górze. Uśmiechnął się, kiedy usłyszał pierwsze dźwięki muzyki. Rozpoznał ten utwór, jedną z symfonii Mozarta, czterdziestą lub czterdziestą pierwszą. Nigdy nie mógł zapamiętać, która to z nich. Dziewczyna wciąż spała. Samochody przejeżdżały, zwalniając na placu i omiatając światłami ściany pokoju, wydobywając z mroku prace Nicka i zarysy postaci, narysowanych czarnym tuszem na białym tle. Zastanawiał się, co narysowałby w następnej kolejności. Czego by się dowiedział?

W ogrodzie jakiś cień przemknął wśród krzewów. Nick cicho podszedł do drzwi. Mały pies stanął obok niego, wciągnął nosem powietrze i zaskomlał. Potem stanął na tylnych łapach i sięgnął przednią łapą do klamki.

- Nie! - ostro powiedział Nick. - To nie dla ciebie...

Psiak szczechnął. Nick odepchnął go nogą. Pies usiadł i przycisnął nos do szyby. Na zewnątrz lisica pewnym krokiem szła przez trawnik. Przystanąła, podniosła głowę, rozejrzała się dookoła, podbiegła do muru i przesadziła go jednym szybkim poruszeniem idealnie sprawnych mięśni. I już jej nie było. Nick otworzył drzwi. Pies popędził przed siebie i zniknął w usianej plamami światła ciemności. Wysoko na niebie wisiał księżyc.

- Idź za mną, księżycu... - mruknął Nick, oddalając się od domu.

Gdy się obejrzał, zobaczył, że księżyc wędruje razem z nim. Ujrzał też Susan, stojącą przy oknie sypialni i patrzącą na ogród. Podniósł rękę i pomachał. Chwilę czekał na jej reakcję, ale ona po prostu odwróciła się i opuściła żaluzje. Nick zagwizdał raz, potem drugi i ruszył z powrotem w stronę domu. Pies wypadł z kępy krzaków i pobiegł przed nim, machając ogonem, z nosem przy trawie. Nick cmoknął, wpuścił psa do środka i zamknął za sobą drzwi.

Co takiego go obudziło? Chyba nagły kontakt z zimnym powietrzem przy poruszeniu kołdrą i muśnięcie miękkiej skóry, dotyk warg na karku i dłoni, sunącej w dół po płaskim brzuchu. Westchnął i odwrócił się w stronę ciepła, czując wzniesienie piersi pod dłonią i gładkość uda pod własną nogą. I usłyszał głos dziewczyny,

szepeczący jego imię, jej oddech na swoich wargach. Obudził się i usiadł, odepchnął ją szybko, tak gwałtownie, że krzyknęła, spadając na podłogę.

- Nie! - zawołał. - Nie, tylko nie to! Nie z tobą, Marianne! Nigdy, nie z tobą!

- Ale ja proszę, proszę cię... - podczołgała się ku niemu z wyciągniętymi rękami.

Podciągnęła się wyżej, wspięła po jego ciele, wbijając palce w jego pierś, ale kiedy próbował ją od siebie oderwać, przejechała paznokciami po jego skórze.

- Proszę cię, Nick, sam mówiłeś, że czujesz się samotny i zagubiony! - krzyknęła. - Proszę, zawsze cię pragnęłam! Nie wiedziałeś o tym? Nie widziałeś tego? Nie rozumiałeś? Przecież ty także mnie pragnąłeś, może nie?

Ale Nick zerwał się już na równe nogi i odsunął od niej. Wciąż powtarzał to samo, za każdym razem coraz głośniej.

- Nie, Marianne, nie ciebie, nigdy cię nie pożądałem! Byłaś dla mnie jak córka! Wtedy traktowałem cię jak własne dziecko i teraz też tak jest. Kochał cię Owen, nie ja! To wszystko jest nie tak, nie tak... Nie rób tego!

Stała bez ruchu, z ramionami skrzyżowanymi na nagich piersiach i krótko ostrzyżoną głową, pochyloną nisko. Przykucnęła, pobierała swoje rzeczy i szybko się ubrała. Potem chwyciła palto, czapkę i torbę, przywołała psa okrzykiem i krótkim gwizdnięciem. Łzy płynęły jej z oczu. Drzwi zatrzęsły się głośno i już jej nie było. Została tylko twarz, patrząca na niego z przypiętego do ściany szkicu. Pytające spojrzenie, półuśmiech i oczy, które patrzyły przez niego, na coś czy na kogoś daleko za jego plecami.

Rozdział osiemnasty

- Więc co się stało? Czego ode mnie chcesz?

Nick niepewnie zatrzymał się u szczytu schodów, prowadzących do kuchni Susan. Stała przy kuchence, w kimonie, ciasno związanym w talii, boso, z rozpuszczonymi włosami, opadającymi zwichrzonymi falami na ramiona.

- Mogę wejść? Tylko na parę minut, dobrze?

Wzruszyła ramionami i sięgnęła po kubek z kawą.

- Skoro musisz...

- Nie jesteś dziś w pracy? To do ciebie zupełnie niepodobne... Wolny dzień w środku tygodnia?

- Źle się czuję. Od paru dni boli mnie gardło, więc nie mogę ryzykować, że zawlokę do szpitala jakąś infekcję.

- No, tak, pamiętam... Masz przecież pracę, która wymaga idealnej sprawności fizycznej, nie tylko intelektualnej, prawda?

Ale jej problem polegał na czym innym i obydwójce dobrze o tym wiedzieli. Długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Słońce zajrzało przez okna i rzuciło blask na jej twarz. Popatrzył na nią uważnie. Dopiero teraz spostrzegł, jak postarzała się w ciągu dziesięciu lat jego nieobecności. Skóra na szyi była mniej jędrna i trochę pomarszczona, kości policzkowe nie tak zaznaczone jak dawniej, powieki cięższe, zmarszczki między

brwiami głębsze. Pomyślał, że wygląda na kompletnie wyczerpaną. Była blada i mizerna. Wyobraził sobie, co powiedziała, kiedy z samego rana zadzwoniła do szpitala. Jej sekretarka na pewno natychmiast przekazała wiadomość siostrze oddziałowej i obsłudze rejestracji.

- To znowu ta nieszczęsna pora roku... Mamy październik. Założę się, że przed Halloween niewiele razy do nas zajrzy...

Pełne szczerego smutku westchnienie oddziałowej.

- Biedactwo... Dzięki Bogu, że mamy e-mail. Będziemy jej przysyłać wszystko do domu...

- Przepraszam - powiedział Nick. - Nie chciałem wyciągać cię z łóżka, ale jest coś, o co muszę cię zapytać.

- Tak?

- Tak. Chodzi o Marianne. Zastanawiałem się, czy wiesz, gdzie można ją znaleźć.

Obudził się wcześniej, z poczuciem dojmującej straty. Chwilę leżał na brzuchu i próbował uświadomić sobie, co je spowodowało. Nagle promień światła, odbity od jakiegoś przedmiotu, padł prosto na jego twarz. Na podłodze dostrzegł mały szklany koralik i wtedy wszystko sobie przypomniał. Koralik był przyszyty do pikowanego żakietu Marianne, gdzieś w okolicy pasa.

Podniósł się z pościeli. Był nagi. Spojrzał na siebie i poczuł wstyd na myśl o tym, co prawie się zdarzyło. Pragnął tego. Pragnął Marianne. Przez jakieś pół minuty, może nawet dłużej, pożałował jej bardziej niż cokolwiek innego. Przed dziesięciu laty wzięłyby ją bez wahania, bez zastanowienia. Pamiętał, że kiedy z nimi mieszkała, kilka razy przyszło mu to do głowy. Tak łatwo było wzbudzić w niej podziw i uwielbienie... Przez pewien czas flirtował z nią żartobliwie, lekko, ot, tak sobie. Gdyby nie zaangażował się w romans z Giną, sprawy między nim i dziewczyną mogłyby zajść znacznie dalej, chociaż oczywiście byłoby to piekielnie ryzykowne, niebezpieczne i głupie.

Poszedł do kuchni. Było jeszcze ciemno, ogród drzemał w mroku, na niebie świeciła garść gwiazd. Zrozumiał, że będzie musiał odnaleźć ją i przeprosić. I upewnić się, że nic jej nie jest. Nie mógł tego tak zostawić. Owen nigdy by mu nie wybaczył, gdyby skrzywdził Marianne. Wszedł pod prysznic i włączył gorącą wodę. Czuł, jak fala ciepła splywa po jego ciele. Przypomniał sobie dotyk jej gładkiej skóry i skrzywił się. Przygryzł dolną wargę, kiedy strupki na drobnych zadrapaniach, które pozostawiła na jego piersi i brzuchu, zmiękły i znowu zaczęły krwawić. Puścił zimną wodę i ostro wciągnął powietrze. Skóra zmarszczyła się i pokryła gęsią skórką pod wpływem chłodu.

Co takiego powiedział o niej Chris Goulding? Że czasami sypia na ulicy albo w parkach, a kiedy indziej w schronisku? Zapyta go o to później, kiedy Chris wróci z pracy. Zaraz, powiedział chyba coś jeszcze... Tak. Chris powiedział, że Marianne utrzymuje kontakt tylko z Susan, z nikim więcej. Susan powinna wiedzieć, gdzie znaleźć Marianne.

- Wiesz, gdzie może być? Muszę się z nią zobaczyć.

Siedzieli przy kuchennym stole. Susan oparła głowę na dłoni i słuchała uważnie, gdy opowiadał jej, co się zdarzyło. Potem zapadła cisza.

- Zdumiewasz mnie - odezwała się w końcu. - Nigdy bym nie pomyślała, że będziesz w stanie oprzeć się ciepłemu, chętnemu ciału... Co ci się stało?

- Och, dajże spokój, na miłość boską! - Wstał i odwrócił się w stronę drzwi.

- Dobrze, już dobrze... - Wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię. - Przepraszam, nie powinnam była tak mówić... Siadaj, napij się kawy. Dzbanek stoi na kuchence.

Nick wyjął kubki z szafki. Susan kiwnęła głową, patrząc, jak dolewa mleko do jej kawy.

- Tyle, prawda? Zawsze lubiłaś nie kawę z mlekiem, tylko mleko z kawą.

Uśmiechnęła się lekko.

- Nadal lubię mleko z kawą. Ty na pewno wciąż pijesz czarną, tak?

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- A inne wręcz przeciwnie, prawda, Nicky? - Jej dłoń spoczywała tuż obok jego ręki. - Dam ci listę miejsc, w których możesz zapytać o Marianne. Dobrze ją znają na ulicach...

- Naprawdę? Biedne dziecko... Co za ponury koniec...

- Nie, nie rozumiesz... Marianne wcale nie jest tak bezradna, jakby mogło się wydawać, ani tak szalona. Ma całą sieć osób i instytucji, które udzielają jej wsparcia.

- Chcesz powiedzieć, że ma przyjaciół?

- Przyjaciół, opiekunów, domy na terenie całego miasta, gdzie jest częstym i mile widzianym gościem. Kiedyś wciąż się o nią martwiłam, czułam się odpowiedzialna za to, co się z nią dzieje...

Przegub jej dłoni znajdował się tak blisko, że Nick czuł bijące z niego ciepło.

- Cóż, ostatecznie to ty przywróciłaś jej zdrowie i podarowałaś drugą szansę...

- Bawiąc się w Boga, prawda? Zawsze tak mówiłaś... Wzruszył ramionami i pociągnął łyk kawy.

- Byłem niesprawiedliwy, czy to chciałaś powiedzieć?

- Sama nie wiem... Im więcej o tym myślę, tym bardziej przyznaję ci rację. Tak czy inaczej, naprawdę czułam się za nią odpowiedzialna, a później, po zniknięciu Owena, sytuacja jeszcze się skomplikowała. Dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, że Marianne, podobnie jak my wszyscy, dokonała wyboru, postanowiła żyć właśnie tak, jak żyje...

- To chyba dość ekstremalny punkt widzenia. Wydaje mi się, że ktoś taki jak ona ma raczej ograniczoną świadomość wolnej woli.

- Nie taką, jak ty czy ja, to oczywiste, ale jednak ją ma. Poza tym, wiele razy tłumaczono jej, że u niej procesy myślowe przebiegają inaczej, a sposób, w jaki przetwarza informacje, nie przystaje do naszego. Wie, że jeśli chce myśleć podobnie jak my, musi przyjmować leki i żyć z ich efektami ubocznymi. Krótko mówiąc, musi dokonać wyboru.

Nick upił łyk kawy.

- Myślę, że wszystko to razem nie jest szczególnym pocieszeniem dla jej rodziców. Pamiętam, przez co przeszli, kiedy chorowała. Powrót do zdrowia musiał rozbudzić w nich rozmaite nadzieje co do jej przyszłości, więc wyobrażam sobie, co czują, wiedząc, że ich ukochana córka błąka się po ulicach w towarzystwie zapchłego kundla...

Susan rzuciła mu uważne spojrzenie.

- Tak, masz rację. Jednak z drugiej strony, czy rodzice nie powinni przyjąć do wiadomości, że ich dziecko jest inne, niż sobie wyobrażali, i pozwolić mu żyć tak, jak chce? Czy nie jest to pierwsza i podstawowa zasada, jaką powinni się kierować?

Nick chwilę wpatrywał się w okno. Potem przeniósł wzrok na jej twarz.

- Nie udało nam się dotrzeć aż tak daleko, prawda? Nie mieliśmy okazji przejść od teorii do praktyki...

Susan z westchnieniem poruszyła dłonią, przelotnie muskając jego rękę.

- Nie wiem, chyba jednak przeszliśmy do praktyki. Owen wiedział o życiu znacznie więcej, niż przypuszczaliśmy, podobnie jak Marianne. Naprawdę w to wierzę. Już jakiś czas temu przestałam postrzegać go jako ofiarę. Teraz widzę go jako kogoś, kto tamtego dnia podjął pewną decyzję. Nie wiem, jaka była - może postanowił wsiąść do samochodu człowieka, którego nie znał, może nie wołać o pomoc, może iść przed siebie, zamiast zawrócić do domu, kiedy zaczęło robić się ciemno. Niezależnie od tego, jaka to była decyzja, nie wierzę, że Owen był bezbronny i bezradny. Już nie.

Błękitna sikorka przysiadła na oknie i szybkimi dziobnięciami wyszarpnęła insekty, które uwięzły w pajęczej sieci.

- Nie, niemożliwe, żebyś tak myślała...

- Nie? - Susan pociągnęła łyk kawy. - Niemożliwe? Dlaczego?

- Bo nie chcesz chyba powiedzieć, że ośmioletnie dziecko ma jakąkolwiek kontrolę nad tym, co robi mu ktoś dorosły, i że Owen nie miał nic przeciwko temu, żeby coś takiego przydarzyło się jemu lub nam...

W kuchni znowu zapadła cisza, przerwał ją dopiero cichy, wibrujący warkot lodówki.

- Pamiętasz, jak Owen przechodził przez fazę ciągłego grożenia nam, że ucieknie z domu? - odezwała się Susan. - Pamiętasz? Wystarczyło zwrócić mu uwagę, ukarać go albo czegoś mu zabronić, a już pędził do swojego pokoju i zaraz potem schodził na dół z foliową torbą z piżamą i misiem. Pamiętasz, jak któregoś dnia kupiłeś mu małą walizeczkę z grubej tektury, bardzo ładną i kolorową? I kiedy następnym razem znowu postraszył nas ucieczką, powiedziałeś mu, że może sobie iść. W porządku, powiedziałeś, idź i baw się dobrze. Owen wpadł w furję. Spakował walizkę, trzasnął drzwiami i zbiegł po schodach, głośno tupiąc. A my czekaliśmy, co będzie. Jak długo go nie było?

- Co najmniej godzinę. Chciałaś, żebym zaczął go szukać, powiedziałaś, że postąpiłem głupio i źle, ale ja się uparłem. Uważałem, że kiedyś musi nauczyć się odpowiedzialności za własne słowa. I nauczył się. Wrócił do domu. Był przemoczony i głodny, ale coś się w nim zmieniło. Nigdy więcej nie groził, że ucieknie. Nigdy więcej tak się nie zachował... - Nick wstał i oparł się o lodówkę, która zadygotała gwałtownie i przestała warczeć. - Ale czego to właściwie dowodzi?

- Niczego, poza tym, że nawet małe dziecko jest w stanie podejmować decyzje i wybierać. Nie mam pojęcia, co Owen zrobił tamtego dnia albo czego nie zrobił, wiem tylko, że dla mnie ogromne znacznie ma to, że nie postrzegam go już wyłącznie jako ofiarę. Nie mogłam tego znieść...

- Więc gdzie jest? Dlaczego nie wrócił do nas, do domu?

Jej palce poruszyły się lekko, powoli, dotykając go delikatnie. Wstrzymał oddech. Susan mocniej oparła się o stół i fałdy jej kimona rozchyliły się odrobinę.

- Chyba oboje wiemy, gdzie jest Owen. Nasz synek odpoczywa w pokoju. Jest spokojny, bezpieczny i kochany przez nas wszystkich. Kochany przez Boga, Jego Syna i Jego aniołów.

Skrzyżowała nogi, zakładając jedną szczupłą i długą łydkę na drugą, opierając jedną bosą, pięknie wyklepioną stopę o kafelki podłogi.

Nick nachylił się w stronę Susan. Rozpostarł palce jednej dłoni na blacie stołu w taki sposób, że prawie dotykały jej ręki.

- Nie wierzysz w to, prawda? Przecież nigdy nie wierzyłaś w Boga, zawsze twardo obstawałaś przy swoim wyznaniu niewiary. Nie chciałaś wziąć ślubu kościelnego nie zgodziłaś się, żeby Owen został ochrzczony. Nie mogłaś pogodzić się z moim agnostycyzmem, powtarzałaś, że nie ma żadnego dowodu na istnienie Boga. Nie pamiętasz, jak pokłóciłaś się o to z moją matką?

- Pamiętam, i to bardzo dokładnie. Pamiętam też, że wzięłaś jej stronę. Tak czy inaczej, nie bądź taki naiwny. Przypomnij sobie, co mówiłam - nie chciałam wziąć ślubu w kościele, bo byłam przekonana, że wszyscy robią to wyłącznie na pokaz, dla ceremonii, dla wielkich kapeluszy, pięknych strojów, prezentów, białej sukni, druchen i innych takich śmieci...

- Czy ktoś namawiał cię, żebyśmy wzięli ślub w kościele katolickim? Nie. Twój ojciec chciał dać nam ślub, nie pamiętasz? Był bardzo urażony, kiedy odrzuciłaś jego propozycję. Lubilem go. Był dobrym, miłym, uczciwym człowiekiem, dałby wszystko, żeby udzielić nam ślubu, ale ty nie chciałaś, co to, to nie... Ty i te twoje cholerne zasady...

- Od kiedy to zacząłeś się tym tak przejmować, co? Jeśli dobrze pamiętam, liczyła się dla nas przysięga, a tę złożyliśmy sobie nawzajem, prawda? I to ty ją złamałaś, nie ja. Mnie nigdy nie interesowała forma, tylko treść, znaczenie. I okazało się, że miałam rację.

- W porządku, w porządku, nie rozdrapujmy tego od nowa... - Nick wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy. - To cała ty, koniecznie musisz zmanifestować, że masz słuszość, raz na zawsze udowodnić, że ty byłaś dobra, a ja zły. Ogłoś to ze szczytu góry, jeżeli masz ochotę, albo z dachu najwyższego wieżowca. I nigdy, nigdy nawet na ułamek sekundy nie daj mi zapomnieć, że popełniłem błąd!

Jego głos urósł do krzyku, uderzył otwartą dłonią w stół tak mocno, że kubki podskoczyły. W kuchni zapanowała zimna cisza. Susan podniosła ręce i gwałtownie odgarnęła włosy do tyłu. Zwinęła je w węzeł na karku, ścisnęła mocno i zaraz puściła, pozwalając im znowu opaść na ramiona. Przez otwór w szerokim rękawie Nick dostrzegł białą skórę po wewnętrznej stronie jej ramienia, pachę i miękki ciężar piersi. W ustach nagle mu zaschło. Przełknął resztkę śliny, ale gardło miał boleśnie ściśnięte.

Susan zakasłała i skrzyżowała ręce na piersi.

- Powinnaś leżeć w łóżku - odezwał się - a nie siedzieć w takim chłodzie. Idź na górę, przyniosę ci kawę, herbatę albo może coś do jedzenia. Masz na coś ochotę? Jesteś głodna?

Uśmiechnęła się do niego i znowu wyciągnęła rękę, opierając wierzch dłoni o jego przegub.

- Zawsze byłeś dobrą pielęgniarką, wiesz? To była jedna z twoich cudownych cech... Kiedy byliśmy chorzy, ja albo Owen, stawałaś na głowie, żeby jakoś nam pomóc, wykorzystywałaś swoje najlepsze, najbardziej niezwykle umiejętności. Pamiętasz, jak w ciąży prawie bez przerwy męczyły mnie mdłości? Ciągłe otaczał mnie zapach wymiotów, ale w tobie nie budziło to obrzydzenia...

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Jak mogłoby być inaczej? Byłaś piękna, kiedy nosiłaś Owena, duża i ociążała, podobna do aniołów Stanleya Spencera. Nie mogłem się na ciebie napatrzeć.

- Więc co ci ostatecznie zniechęciło? To, że wróciłam do pracy? Że nie chciałam dłużej być prywatną wytwórnią mleka? Wylegiwać się i czekać, kiedy pokarm zacznie mi płynąć z piersi? O co ci chodziło?

- Przestań, Susan, nie rób tego... Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem.

- Nie potrafisz czy nie chcesz, Nicky?

Położyła dłoń na jego ręce. Poruszyła się, kimono znowu trochę się rozchyliło.

- Kiedy byłeś młody, byłeś piękny - powiedziała. - Nie przystojny, ale naprawdę piękny. Miałeś takie gęste, wijące się, czarne jak noc włosy i taką gładką skórę... Twoja matka także miała taką cerę, ona i cała twoja rodzina, mężczyźni i kobiety. Owen jej nie odziedziczył, miał moją skórę, skłonną do podrażnień, zaczerwienień od zimna i gorąca. Nigdy nie byłby aż tak przystojny jak ty, myślę, że byłby raczej podobny do mnie, jasnowłosa i pulchny, chociaż przed zniknięciem był chudy jak zapalka... Nie miałby twoich długich nóg i wąskich bioder. Miałeś biodra rockmana, wiesz? Takie, które idealnie pasują do obcisłych dżinsów i rozpiętych aż do pępka koszul, skórzanych pasów i butów z wąskimi czubami. Pamiętam, że kiedy zaczęliśmy się spotykać, moje koleżanki ze studiów nie mogły oprzytomnieć z wrażenia. W jaki sposób go poderwałaś, wciąż pytały. Dobrze wiedziały, co wyprawiały za moimi plecami. Próbowaly cię uwieść, prawda? - Uśmiechnęła się. - Ciągle musiałam toczyć walkę z przyczajonymi kobietami i w pewnej chwili się poddałam. Postanowiłam dać ci wolną rękę. Miałam pracę i syna, i to musiało mi wystarczyć. Pogodziłam się ze świadomością, że nie jesteś mi wierny...

Nick utkwiał spojrzenie w jej stopach. Były szerokie, o silnych, dobrze rozwiniętych i sprawnych palcach. Jeszcze teraz, w październiku, nosiły ślady opalenizny, a paski na podbiciu świadczyły, że w lecie często nosiła sandały.

- Nie masz nic do powiedzenia? Żadnego gotowego wyjaśnienia albo usprawiedliwienia?

Potrząsnął głową.

- Jest mi wstyd, Susan. Wstydzę się już od dawna. Miałem mnóstwo możliwości, żeby zastanowić się nad sobą i swoimi czynami, i nie doszedłem do przyjemnych wniosków. Jednak w przeciwieństwie do ciebie nie potrafię przyjąć, że Owen nie był ofiarą i że odpoczywa w pokoju. Nasz syn nie zazna spokoju, dopóki nie powie nam, co się z nim stało. Ja także muszę wiedzieć, czy Owen żyje, czy nie. Chcę go zobaczyć i przytulić. I dowiedzieć się, jak to było.

Jej dłoń znowu poruszyła się nad jego ręką. Czuł każdy ruch jej kości, widział grube, nieustępliwe złote kółko, które nadal nosiła na palcu. Zegar w holu wybił pełną godzinę.

- Gdzie twój zegarek? - Objęła palcami jego przegub.

- Ten, który dałam ci na urodziny... Zgubiłeś go?

- Nie, zdjąłem go kilka dni temu. Pasek bardzo się przetarł, bałem się, że się zerwie. Nie mogłem znieść myśli, że zegarek spadnie i się zepsuje, albo po prostu będzie leżał gdzieś na ulicy. - Lekko musnął palcem jej

dłoń. - Po wszystkim, co razem przeżyliśmy, za żadne skarby świata nie chciałem go stracić, więc odłożyłem go w bezpieczne miejsce. Poczekaj tam, aż wybiorę się do zegarmistrza po nowy pasek.

Uśmiechnęła się.

- Chodź ze mną - powiedziała, podnosząc się od stołu.

- Przygotuję ci tę listę.

Poszedł za nią korytarzem do małego pokoiku tuż obok salonu. Usiadła przy biurku, wzięła pióro i zaczęła pisać. Kiedy pochylała się nad blatem, Nick widział kręgi, wyraźnie rysujące się pod tkaniną kimona. Włosy opadły na jedno ramię. Przypomniawszy sobie, że tuż nad pierwszym kręgiem ma czarne znamię, a pod lewą łopatką małą bliznę po upadku z drzewa w dzieciństwie. Wiedział, że jako nastolatka złamała prawą rękę, a na brzuchu ma równą, jakby nakreśloną linijką bliznę po wycięciu wyrostka robaczkowego w wieku dwunastu lat. I że po urodzeniu Owena skóra na brzuchu trochę jej obwisła, a na piersiach wystąpiły srebrzyste rozstępy.

- Znasz wszystkie moje sekrety... - rzuciła kiedyś. - Cała historia mojego życia jest wypisana na moim ciele i nikt inny nie zna jej szczegółów.

Przysunął się bliżej. Jedną ręką odgarnęła do tyłu włosy, ukazując krótko przycięte paznokcie, których nigdy nie malowała. Słyszał, jak wciąga powietrze nosem i wypuszcza je. Chciał także nim odetchnąć, powąchać jej włosy, polizać skórę, oprzeć podeszwy jej stóp o swoje kolana, poczuć, jak jej kości biodrowe napierają na niego lekko. Zamknął oczy, czując pot występujący pod pachami i na czole.

Ze zgrzytem przesunęła krzesło po podłodze.

- Proszę... - Podniosła się i podała mu listę. - Na dobry początek...

Zerknął na kartkę. Były na niej nazwiska, nazwy organizacji i numery telefonów.

- Dziękuję! - Złożył ją na pół i schował do kieszeni koszuli. - Dać ci znać, jak mi idzie?

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz... Marianne prawdopodobnie wkrótce pokaże się w szpitalu. Pozwalamy jej wchodzić z psem, a ona chętnie zagląda z nim do starszych dzieci.

- Powiesz mi, jeżeli ją zobaczysz?

- Cóż, zapytam, czy chce, żebym to zrobiła. Ostatecznie jest dorosła...

- Ale... - zaczął Nick i zaraz umilkł, ponieważ telefon na biurku rozdzwonił się głośno.

Gdy podniosła słuchawkę, odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Słyszał nutę przyjemnego zaskoczenia i zadowolenia w jej głosie. Wyszła za nim do korytarza, trzymając słuchawkę przy twarzy.

- Dziękuję... - powiedziała. - Dziękuję, że dzwonisz. Naprawdę to doceniam, zwłaszcza po... No, sam wiesz, po czym... - Zawiesiła głos i długą chwilę słuchała. - U mnie wszystko w porządku. Bardzo chętnie się z tobą zobaczę, tak... Może wpadniesz trochę później? Świetnie! Ugotujesz coś do jedzenia? Strasznie się cieszę... Chwileczkę, zaraz zajrzę do lodówki i zobaczę, co tam jest...

Oparła słuchawkę na ramieniu. Nick otworzył tylne drzwi i wyszedł. Uniósł rękę i pomachał jej. Odpowiedziała tym samym gestem, odwróciła się i schyliła, żeby otworzyć lodówkę. Jeszcze w ogrodzie słyszał jej głos. Przystanął, z ręką opartą na słupku podpierającym ostatni fragment drewnianej poręczy schodów. Kos przysiadł na ogniku, roślinie pnącej się po tylnej ścianie domu, i zerknął na niego czarną źrenicą obramowaną żółtawą spojówką. Nick znieruchomiał. Czekał i obserwował, jak ptak pochyła głowę i zaczyna wyciągać

szkarłatne jagody spomiędzy ciemnozielonych liści. Nagle przypomniała mu się ilustracja ze średniowiecznego egzemplarza *Liturgii Godzin*, który dostał od matki w czasie studiów. Tam także kolory były równie czyste i żywe, nieprzyćmione przez mijające lata. Kolory są jak uczucia, pomyślał. Czas nie może ich dotknąć.

Na dole czekał na niego czysty arkusz papieru. Wziął do ręki ołówek i zaczął rysować proste figurki, złożone z kresek. Samochód na ulicy, drzewa, z których opadły liście, układając się w miękkie piramidy. Mężczyzna wychyla się przez okno. Chłopiec opiera się o drzwiczki.

Samochód z mężczyzną za kierownicą i chłopcem na siedzeniu pasażera jedzie autostradą. Zatrzymuje się. Chłopiec próbuje wysiąść. Mężczyzna podnosi pięść.

Chłopiec idzie alejką między szeregowymi domami. Zapada ciemność. Pałają się latarnie. Na niebie księżyc. Z kominów wydobywa się dym.

Chłopiec wchodzi do sklepu. Staje przy ladzie. Wyciąga rękę, w której trzyma parę monet. Bierze opakowanie słodczy.

Chłopiec stoi na ulicy obok mężczyzny z torbą pełną fajerwerków. Chłopiec patrzy na wystające z torby fajerwerki. Wyciąga rękę z pieniędzmi, tym razem są to banknoty. Mężczyzna bierze je i podaje mu kilka fajerwerków.

Mężczyzna stoi, oparty na łopacie. W tle za jego plecami piętrzą się góry. Niebo jest ciemne. Widać spory kopiec świeżej ziemi i grudki sypiące się z łopaty. Chłopiec leży w wykopanej dziurze. Ramiona ma skrzyżowane na piersi, oczy zamknięte. U jego stóp leżą fajerwerki.

Widać dziurę, ale nie chłopca, ponieważ jest już przykryty ziemią. Nad ziemią unosi się anioł. Usta ma otwarte do śpiewu i rozciągnięte w uśmiechu.

Chmury rozstały się i chłopiec szybuje w kierunku całego zgromadzenia aniołów. On także pogodnie się uśmiecha, może nawet śmieje się głośno. Tak, Nick słyszy jego śmiech. Widzi, że chłopiec jest szczęśliwy i spokojny...

Odchylił się do tyłu i spojrzał na ostatni rysunek. Pozbierał z podłogi pozostałe i przypiął je do ściany. Potem usiadł i znowu zaczął rysować. Teraz ołówek już trochę wolniej wędrował po papierze.

Twarz mężczyzny. Jego twarz. Płacze. Obok niego kobieta. To Susan. On wyciąga do niej rękę, ale ona odwróciła się do niego plecami. Patrzy na kobietę, która przykucnęła w kącie. Kobieta ma czarne jak noc, gęste włosy, opadające na plecy w długim, nieporządnie zaplecionym warkoczu. Jej suknia jest rozchylona i odsłania ciężkie piersi. Jedną dłonią kobieta podnosi pierś ku niemu, gestem matki, która chce nakarmić niemowlę, ale z sutka tryska ciemny, groźnie wyglądający płyn. Nie mleko. To krew.

Z gardła Nicka wyrwał się szloch. Płacz dławił go, zbierało mu się na wymioty. Z trudem łapał oddech, jego pierś unosiła się ciężko i opadała. Nagle rzucił ołówek, zataczając się dopadł drzwi i wybiegł do ogrodu. I zobaczył, jak przez krzaki przedziera się chłopiec, Emir, z futbolową piłką w rękę. Mężczyzna i chłopiec stanęli naprzeciwko siebie. Emir położył piłkę na ziemi i podbiegł do Nicka. Objął go za kolana i przywarł do niego tak mocno, że Nick o mało nie stracił równowagi.

- Hej, mały, spokojnie, wszystko jest w porządku! No, spokojnie... Wejdźmy do środka, może znajdziemy coś dobrego do jedzenia. Jesteś głodny?

Odchylił do tyłu głowę chłopca i zjrzał mu w twarz. Emir wyciągnął do niego ręce, wspierał się na palce. Nick przykucnął. Mały naciągnął na dłoń postrzępiony rękaw swetra i otarł nim łzy z policzków Nicka. Zbliżył twarz do twarzy mężczyzny, potarł nosem o jego nos. Sięgnął do wiszącego na szyi rzemienia i zdjął dysk z zielonego kamienia, który dostał od Marianne. Nick powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie, nie! - zaprotestował. - Dała tobie, właśnie tobie, chciała, żebyś to nosił. Uważała, że jest to talizman, który będzie cię chronił, więc nie powinieneś się go pozbywać, naprawdę... - Zawiesił zielony krążek na szyi dziecka, czując pod palcami ciepłą, pulsującą życiem skórę. - Więc jak, masz ochotę na lunch? Bo ja jestem strasznie głodny...

Poszedł do kuchni i zajął się przygotowywaniem kanapek. Chłopiec chwilę chodził po pokoju, potem usiadł na sofie, podniósł wieko laptopa i przycisnął guzik. Nick usłyszał szum włączającego się komputera.

- Nie, Emir, nie baw się tym... - Podeszedł do chłopca. - Podobno świetnie radzisz sobie z komputerem, ale nie rób tego, nie dzisiaj, dobrze?

Wyłączył laptop i zamknął go. Emir patrzył na niego spod ściągniętych brwi, gniewnie wysuwając do przodu brodę. Nick przysiadł na piętach i pogłaskał go po policzku.

- Masz tu mnóstwo papieru i ołówków, popatrz... Bierz, co chcesz, w porządku?

Wrócił do kuchni. Chłopiec opadł na czworaki i poczołgał się w kierunku deski do rysowania. Ściągnął ze stolika plik kartek i pudełko z ołówkami, rozłożył wszystko dookoła siebie na podłodze. Nick obserwował go spod oka. Emir zmarszczył czoło, próbował się skoncentrować. Co jakiś czas podnosił się z podłogi i spacerował po pokoju, przystawał i gestykułował, wykonywał szybkie, gwałtowne ruchy, zupełnie jakby się przygotowywał, by poszybować w powietrze. Czasami kładł się i zwijał w ciasny kłębek, dotykając głową kolan. Nick przypomniał sobie jeże, które mieszkały w ogrodzie matki. Przyglądając się chłopcu, zastanawiał się, co sprawiło, że stał się właśnie taki. Myślał o doniesieniach z wojny w dawnej Jugosławii, o zdjęciach, przedstawiających przerażonych uchodźców. Kobiety i dzieci, których mężów i ojców zabrano, aby zamordować ich w okrutny, bezduszny sposób. Nick patrzył, jak chłopiec mocno ściska ołówek szczupłymi palcami i atakuje nim papier z taką gwałtownością, że ostry koniec robi w kartce czarne dziury. Jak szybko rysuje, tworząc gęstą płataninę kresek, jak odrzuca papier, wstaje i depcze po nim, wduszając w podłogę podeszwą gumowego buta. Tu nie potrzeba słów, pomyślał Nick. Ciało Emira mówi wszystko, jest bardziej wymowne i wyraziste niż jakikolwiek dźwięk, który może się wydobyć z ust dziecka...

- Dobrze się czujesz, mały? Lunch już czeka.

Otworzył szafkę, żeby wyjąć z niej talerze i szklanki, kiedy nagle rozległ się dzwonek. Zabrzmiało głośno, całkowicie zaskakując Nicka. Drgnął i uśmiechnął się, trochę rozbawiony własną reakcją.

- To na pewno twoja mama, panie Emirze. Przyszła zabrać cię do domu.

Podeszedł do drzwi i otworzył je. Na ścieżce stało dwóch mężczyzn.

- Tak? - Nick wychylił się ku nim. - W czym mogę pomóc?

Starszy mężczyzna podniósł wzrok znad trzymanego w ręku notatnika.

- Pan Nicholas Cassidy? Nick skinął głową.

- Jesteśmy z policji, panie Cassidy. Możemy wejść? Chcielibyśmy pana o coś zapytać...

Nick odsunął się bez słowa i wpuścił ich do środka. Przedstawili się. Detektyw Sean O'Rourke i detektyw Vincent Regan. O'Rourke, ten starszy, wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął kopertę, a z niej niewielką przezroczystą torebkę.

- Może nam pan powiedzieć, czy te karty kredytowe i książeczka czekowa należą do pana?

Nick wziął torebkę z ręki policjanta, wygładził folię i odwrócił. Kiwnął głową.

- Tak, to chyba moje. Skąd je macie?

- Nie zauważył pan ich braku?

- Nie. Cały dzień spędziłem w domu, nie miałem okazji zauważyć, że ich nie mam. Chwileczkę, na wszelki wypadek jeszcze sprawdzę... - Z tylnej kieszeni dżinsów wyjął portfel, otworzył go i przejrzał zawartość. - Tak, karty zniknęły. Miałem tu także... Zaraz, chyba mniej więcej pięćdziesiąt funtów i parę dolarów...

- A książeczka czekowa?

- Zwykle noszę ją w wewnętrznej kieszeni marynarki... Proszę zaczekać... - Ściągnął marynarkę z oparcia krzesła i szybko zajrzał do kieszeni. - Książeczki też nie ma... Dziwne... Gdzie je znaleźliście?

Tym razem odezwał się młodszy policjant.

- Dziś rano na torach kolejowych tuż za Dalkey znaleziono ciało młodej kobiety. Wygląda na to, że zabił ją pociąg. Pańskie karty kredytowe i чеки były w jej torbie. Pomyśleliśmy, że może mógłby nam pan pomóc w identyfikacji zwłok?

Nick poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- Jak to, „znaleziono ciało”? Zabił ją pociąg? Nie rozumiem...

- Cóż... - Młodszy policjant przerwał i utkwiał wzrok w podłodze. - Szczerze mówiąc, sami nie mamy jeszcze pewności, jak to dokładnie wyglądało... Trzeba będzie przeprowadzić sekcję zwłok i na razie czekamy, aż patolog znajdzie wolną chwilę, bo teraz jest zawałony robotą... Nie możemy więc powiedzieć, co naprawdę się stało... - Podniósł oczy i spojrzał na Nicka. - Żeby nie tracić czasu, staramy się ustalić jej tożsamość i dowiedzieć się, co robiła w godzinach poprzedzających jej śmierć, dlatego odwiedzamy wszystkich, którzy mogli mieć z nią coś wspólnego... - Znowu popatrzył na plastikową torebkę. - Oczywiście jest możliwe, że ktoś ukradł panu te karty, ale przyszło nam do głowy, że może wie pan coś o tej dziewczynie, więc postanowiliśmy pana zapytać...

Nickowi wydawało się, że patrzy na tę scenę z dużej odległości. Żołądek skurczył mu się gwałtownie i boleśnie, ślina napłynęła do ust. Emir chwycił Nicka za rękę, wbijając paznokcie w jego dłoń. Nick spojrzał na chłopca.

- Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym odprowadzić małego do domu - odezwał się. - Mieszka tuż obok. Zaraz wrócę...

- W porządku, zaczekamy. - O'Rourke usiadł na sofie i gestem wskazał Reganowi miejsce obok siebie.

Na zewnątrz było bardzo jasno. Słońce świeciło z bezchmurnego, błękitnego nieba - delikatne kolory natychmiast skojarzyły się Nickowi z malowanym akwarelami na tekturze obrazkiem. Szybko wszedł po schodach, prowadząc chłopca za rękę. Zapukał do drzwi. Przez szybę widział, jak Chris wychodzi z kuchni.

- Do zobaczenia niedługo, mały. - Lekko popchnął Emira.

- Nie wejdiesz? - W głosie Chrisa zabrzmiała sarkastyczna nuta.

Nick nie odpowiedział. Odwrócił się i zobaczył, że jeden z policjantów wyszedł za nim i czekał w ogródku przed wejściem.

Przeskakując po dwa stopnie, wpadł do domu i zatrzasnął drzwi za sobą i nieproszonym gościem.

- No, dobrze - powiedział. - Przejdźmy do rzeczy. O co naprawdę chodzi?

TLR

Rozdział dziewiętnasty

Szli wzdłuż linii kolejowej od stacji Dalkey, potykając się i ślizgając na dużych, luźno ułożonych kamieniach, na których spoczywały tory. Po obu stronach nasypu biegła szosa, wyżej widać było domy i ich wychodzące na tory okna. Przed nimi znajdowało się wejście do tunelu, a trochę dalej ledwo widoczne w gęstym mroku sylwetki zespołu technicznego w białych strojach, które nadawały im wygląd duchów. Nad ciałem rozpięto plastikowy namiot, obok leżał mały czarny pies, zwinięty w kłębek, z głową przytuloną do boku. Tylko nastawione, sztywno sterczące i lekko drgające ucho świadczyło o tym, że psiak żyje, w przeciwieństwie do jego pani.

Zbliżyli się powoli. Plastikowa płachta była podwinięta. Schylili się i zajrzeli do środka.

- O, mój Boże... - Głos Min zabrzmiał nienaturalnie głośno, odbity od ścian i zaokrąglonego sklepienia tunelu. - Biedne dziecko... Jak to się stało, na miłość boską?

Telefon komórkowy zadzwonił, kiedy wychodziła już z domu. Conor Hickey pośpiesznie wyjaśnił jej, że ludzie z Wydziału Dochodzeniowego kazali im przyjechać do Dalkey. Wydarzył się jakiś wypadek, którego okoliczności były raczej niejasne.

- Powiedzieli, że może cię to zainteresować, Min, bo chyba chodzi o dziewczynę, którą znałaś. Tę opiekunkę chłopca Cassidych, wiesz, o której mówię, prawda? Poprosili specjalnie o ciebie. Spotkamy się na miejscu, dobrze? Za piętnaście minut... - przerwał. Min usłyszała dobiegający ze słuchawki pomruk ulicznego ruchu. - Mam nadzieję, że jesteś już po śniadaniu... Kiedy zobaczysz, jak to wygląda, na pewno nie będziesz miała apetytu...

Uderzył ją pierwszy poranny podmiejski pociąg, z Greystones do centrum. Maszynista zauważył coś, co przypominało kupę starych szmat na torach w tunelu. I psa. Mały, czarny, z nastawionymi uszami i oczami lśniąco nienaturalną czerwienią, tulił się do ściany.

Maszynista zrobił, co było w jego mocy. Błyskawicznie nacisnął hamulce oraz guzik alarmu w kabinie i cudem oparł się pokusie, żeby zasłonić oczy dłońmi. Jechał zbyt szybko, by jakiegokolwiek działanie mogło cokolwiek pomóc. Zanim pociąg zwolnił, miał wrażenie, że usłyszał lekkie uderzenie od spodu, ale poza nim raczej nikt nie zwrócił na to uwagi. Potem wyłączył wszystkie urządzenia i znieruchomiał, usiłując opanować drżenie rąk i słuchając gwałtownego łomotania serca w klatce piersiowej. Nagle poczuł, że pęcherz ma pełny po brzegi. Pomyślał, że zaraz zachowa się jak trzyletni chłopczyk i posusiał się w majtki, więc szybko wyskoczył na tory, odszedł kilkanaście kroków w bok, byle jak najdalej od tego czegoś, co leżało pod kołami pociągu, i po krótkiej szamotaninie z rozporkiem w końcu sobie ulżył. Odetchnął z ulgą, ogarnęła go fala ciepłego zadowolenia. Aż do tego ranka nie rozumiał, dlaczego niektórzy ludzie określają funkcje fizjologiczne „ulżeniem sobie”, teraz wreszcie to pojął.

Zanim przy torach zatrzymał się radiowóz, karetka pogotowia i samochód wiozący dwóch urzędników z dyrekcji, maszynista zdążył wrócić do kabiny.

- Proszę nie wychodzić! - krzyknęli do niego, gdy chciał wyskoczyć.

Usłuchał. Potem kazali mu powoli i ostrożnie cofnąć pociąg, żeby odsłonić leżące pod nim ciało. Dokonali wstępnych oględzin i przesłuchali go naprędce, prawie siłą wyciągając z niego nieliczne słowa, którymi był w stanie opisać to, co się zdarzyło.

- To bardzo ważne, by powiedział nam pan wszystko, co pan zauważył i zapamiętał. Wszystko.

Nie zaskoczyło go to. Nie po raz pierwszy przejechał człowieka. Dobrze chociaż, że nie widział twarzy tej ofiary, bo doskonale zapamiętał twarz staruszki, która wyskoczyła mu na tory mniej więcej rok wcześniej. Wtedy wszystko stało się bardzo szybko, a jednocześnie bardzo powoli. Jej twarz zawisła przed przednią szybą, wydawało mu się, że zostanie tak już na zawsze. Spojrzała mu prosto w oczy i otworzyła usta, ale nie słyszał krzyku, tylko głucho stuknięcie, z jakim pociąg uderzył w jej ciało. A potem własny głos, głośno wzywający pomocy...

Tym razem nie miał prawie nic do powiedzenia. Siedział w kabinie i krótko odpowiadał na pytania. Szybko dali mu spokój. Pies poszedł za nim torami w kierunku wyjścia z tunelu. Mężczyzna odwrócił się i próbował go odgonić, w końcu zawołał policjantów, żeby się nim zajęli. Razem z dwoma mundurowymi podeszła do niego młoda, ładna kobieta o czarnych, po chłopięcemu obciętych włosach, długich nogach i miłym uśmiechu. Pies wciąż skakał i próbował lizać po rękach. Kobieta chwyciła go za obrozę i odciągnęła.

- Tego jeszcze panu brakowało, prawda? - odezwała się spokojnie i położyła mu rękę na ramieniu. - Wiem, że to straszne, ale to nie była pana wina. Nie powinna być tam, gdzie była. Proszę się nie obwiniać, nie trzeba...

Wtedy rozplakał się jak dziecko. Jej ciepły głos roztopił zimne poczucie nierzeczywistości, w którym pogrążył się zaraz po wypadku.

- Proszę... - Podała mu garść ligninowych chusteczek i wizytówkę. - Nazywam się Min Sweeney, tu ma pan numer mojej komórki. - Postukała paznokciem w karteczkę. - Proszę zadzwonić do nas, gdyby czegoś pan potrzebował. Naprawdę, czegokolwiek... - Uśmiechnęła się, podniosła psa i przytrzymała ramieniem. - Fuj... - Spojrzała na zwierzę z udawanym oburzeniem. - Ktoś tu wymaga natychmiastowej kąpieli...

Maszynista wyciągnął rękę i pogłaskał psa po wąskim czole.

- Właściwie chyba mógłbym go wziąć, dzieciaki bardzo by się ucieszyły... Niech mi go pani da, dobrze? Jestem mu coś winien...

Min patrzyła, jak idzie w kierunku światła, wyprostowany i szczupły. Ciężka sprawa, pomyślała. Trudno jest żyć z tak okropnym poczuciem odpowiedzialności. Cóż, może poczuje się trochę lepiej, kiedy po sekcji zwłok powiedzą mu, jak to było, chociaż już teraz nikt nie miał specjalnych wątpliwości. Marianne O'Neill nie żyła, kiedy w jej ciało uderzył pociąg. Gdyby było inaczej, krew trysnęłaby na tory. Min odwróciła się i spojrzała w stronę miejsca, gdzie leżały zmiażdżone zwłoki.

- Biedaczka... - powiedziała cicho. - Niech spoczywa w pokoju...

Człowiekiem, który uznał, że obecność Min na miejscu wypadku byłaby pożądana, był jej dawny szef, Matt O'Dwyer, nadinspektor dochodzeniówki z Dun Laoghaire.

- Nie wiem, czy okaże się to istotne, Min, ale chyba będzie dobrze, jeśli włączysz się do tej sprawy. Prowadzący dochodzenie będą potrzebowali wszelkiego możliwego wsparcia. Twoja jednostka zgodziła się, abyś przeniosła się do nas na czas nieokreślony, więcej, zaproponowała również dodatkową pomoc w postaci

Conora Hickeya. Powiedziałem Jayowi O'Reilly, inspektorowi, któremu zleciłem dochodzenie, że jeżeli chcesz, ma cię przyjąć. Co ty na to?

- Świetnie, dziękuję. - Min z uśmiechem podniosła kubek z kawą w geście toastu. - Jestem panu naprawdę wdzięczna za tę propozycję, szefie.

Pamiętała O'Reilly'ego, który został awansowany dość niedawno. Kiedyś próbował nawiązać z nią bliższą znajomość - po śmierci Andy'ego kilka razy zapraszał ją do kina i do restauracji, ale odmawiała.

O'Dwyer uśmiechnął się do niej.

- Jak tam pilnowanie dzieci? - zagadnął. - Radzisz sobie jakoś?

Min parsknęła głośnym śmiechem.

- Lepiej, żeby feministki nie słyszały, że zadaje pan takie pytania, szefie. Na pewno uznałyby to za pogwałcenie prywatności...

- Naprawdę? - Spojrzał na nią z wyrazem udawanego niedowierzania. - Zabawne, co? Przecież ja tylko próbuję być miły, do diabła.

Już dawno nie była obecna przy sekcji zwłok. Od ostatniego razu upłynęło chyba kilka lat, ale w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Wszystko było tak dobrze znajome. Zapachy, widok, dźwięki... Zgrzyt piły o kości czaszki. Brzęk nierdzewnej stali o nierdzewną stal, kiedy lekarz rzucał na tacę skalpele i noże. Stukot obcasów o kafle podłogi i ciche mlaśnięcia klejących się do dłoni gumowych rękawiczek.

Gdy jechała z Conorem do kostnicy, zastanawiała się, co będzie czuła. Conor był nietypowo milczący, a kiedy stanęli przy stole, jego twarz wydała jej się przerażająco blada. Zauważyła krople potu na czole, chociaż w sali panował chłód. Lekarz zdjął zieloną płachtę z tego, co zostało z ciała Marianne O'Neill, i wtedy Conor zakrztusił się, wymamrotał jakąś wymówkę i szybko wybiegł za drzwi.

- No, dobrze, jeden trafiony, zatopiony. Ktoś jeszcze? - Johnny Harris, patolog, uniósł siwe brwi nad maską i rozejrzał się dookoła. Uśmiechnął się do Min i głębokie zmarszczki rozbiegły się od kącików jego oczu ku skroniom. - Jak się masz, Min... Dawno cię nie widziałem. *Et ta maman, ça va?*

- *Bien, toujours bien* - odparła, nagle świadoma zainteresowania pozostałych obecnych.

Na pewno zaciekawiło ich pytanie o zdrowie matki, chyba że nie rozumieli ani słowa po francusku. Nie wiedzieli, że zna Johnny'ego od dawna, niemal od dziecka. Johnny Harris przyjechał do Slievemore jako młody człowiek i zatrzymał się w pobliskim schronisku młodzieżowym. Każdy wieczór spędzał w ich pubie, prawie codziennie wypływał na ryby z ojcem Min, wymieniał się przepisami kulinarnymi z jej matką, nie bez trudu porozumiewając się przy tym szkolnym francuskim. Rozmawiał z Min o swojej pracy, o wielkiej namiętności do patologii sądowej, o sławnych lekkoatletach, bohaterach historii sportu. Był pierwszą osobą, której zwierzyła się, że pragnie wstąpić do policji. Wspierał ją, kiedy matka nie chciała pogodzić się z tą decyzją i powtarzała, że córka marnuje swoje zdolności, powinna podjąć studia na uniwersytecie i zostać prawnikiem albo nauczycielką, i ustąpiła dopiero wtedy, gdy Johnny powiedział, że to doskonały wybór, szlachetne powołanie, służba społeczeństwu.

- Sama wiesz, Noelle, że Min nie znosi siedzieć w domu. Uwielbia aktywność, pracę na dworze, więc pozwól jej zrealizować ten plan. Będzie w tym dobra, zobaczysz.

Pocieszał ją po śmierci Andy'ego, tłumaczył, w jaki sposób umarł jej mąż i dlaczego nic nie można było na to poradzić. Wyjaśniał, że nikt nie jest w stanie określić przyczyny wylewu krwi do mózgu. Że nie zdarzyło się to ani z powodu jego wieku, ani czterdziestu papierosów wypalanych każdego dnia, ani też dwóch butelek guinnessa, które wypijał codziennie wieczorem. Powtarzał, że Andy nie cierpiał, na pewno nie wiedział, co mu grozi z pewnością nawet nie poczuł zimnego powiewu zbliżającej się śmierci.

Teraz spojrzał na leżące przed nim ciało i odchrząknął.

- Interesujące, bardzo interesujące... Pociąg odciął nogi na wysokości stawów kolanowych, mamy tu więc kompletny korpus i głowę. Na podstawie badania wstępnego mogę stwierdzić z całą pewnością, że ta młoda kobieta już nie żyła, kiedy została uderzona przez pociąg. Zgon nastąpił z powodu pęknięcia czaszki, po którym nastąpiło wewnętrzne krwawienie - najpierw utraciła przytomność, a mniej więcej trzydzieści minut później umarła. Spójrzcie tutaj... - Czubkiem skalpela wskazał odsłonięty mózg. - Oto przyczyna śmierci... - Na tle szarej tkanki mózgowej dość wyraźnie rysował się mały czarny skrzep. - Tutaj zaś widać rozległe zasinienia, otarcia i rany na skórze czaszki. - Uniósł głowę ofiary i odwrócił. - Sądzę, że powstały na skutek kilkakrotnego uderzenia głową o coś twardego. Czy to słuszne podejrzenie?

Min z trudem przełknęła ślinę. Na ścianie tunelu była krew, ciemna plama, która zabłysła czerwienią, kiedy oświetlili ją latarkami.

- Poza tym zmarła odniosła jeszcze inne obrażenia. Na przegubach dłoni ma siniaki, co wskazuje na to, że ktoś trzymał ją mocno, wbrew jej woli, gdy próbowała się uwolnić. Widoczne siniaki na szyi świadczą o sposobie, w jaki trzymał ją zabójca, kiedy uderzał jej głową. Siniaki na skórze dolnej części ciała, w okolicy brzucha, prawdopodobnie spowodowane zostały uderzeniami pięścią. Można również przypuszczać, że w okresie pomiędzy utratą przytomności a śmiercią padła ofiarą gwałtu...

W sali zapadła cisza.

Min patrzyła na Marianne i usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz z nią rozmawiała. Nie było to zbyt dawno temu, najwyżej parę tygodni, w każdym razie pod koniec lata. Marianne nocowała na jednym z parkingów nad morzem. Zrobiła sobie coś w rodzaju namiotu z plastikowej płachty, którą rozpięła na gałęziach i przycisnęła do ziemi cegłami i dużymi kamieniami. Pogoda była piękna i do Marianne wkrótce dołączyła grupa innych obozowiczów, wyznawców New Age i temu podobnych teorii. Co jakiś czas odwiedzało ich kilku miejscowych pijaczków. Pewnej gorącej, księżycowej nocy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Kilku mieszkańców drogiego kondominium, niedawno wybudowanego w pobliżu, zadzwoniło na policję, skarżąc się na pijackie krzyki, narkomanów i pary, uprawiające seks na oczach porządnych ludzi. Z najbliższego posterunku wysłano samochód, policjanci kazali biesiadującym zakończyć imprezę, ale tamci zareagowali w sposób zdecydowanie wrogi i w rezultacie Marianne oraz jej znajomi zostali aresztowani, przewiezieni na posterunek i zatrzymani na noc, żeby wytrzeźwiali. Rano Min zaniósła Marianne filiżankę herbaty i grzanek. Rozmawiały dłuższą chwilę, głównie o dawnych czasach. Min poradziła jej, żeby pojechała do domu, przynajmniej na krótko, i znowu zaczęła brać leki. Żeby spróbowała normalnie żyć.

- Mówię ci, jeśli nadal będziesz tak egzystowała, wpadniesz w poważne kłopoty - powiedziała. - Może też spotkać cię coś naprawdę złego...

Dziewczyna pokornie kiwała głową i płakała. Zadzwoiła do Susan, która przyjechała i zabrała ją do domu. Niestety, gotowość poprawy nie trwała długo. Tydzień później znowu widziano Marianne na ulicy. Min słyszała, że prostytutuje się w okolicach kanału i w dzielnicach okalających centrum miasta.

- Jakież pytania? - przemówił Johnny Harris, przerywając ponure milczenie.

Min odchrząknęła.

- Tak, Min? Co chciałabyś wiedzieć?

- Zastanawiałam się, czy istnieje możliwość zbadania DNA... Czy na ciele było coś, co nadawałoby się na próbkę?

Harris podniósł w górę foliową torebkę.

- Znaleźliśmy kilka włosów, które na pewno nie należą do ofiary, mamy też naskórek spod jej paznokci. Zleciłem badanie na obecność obcych substancji, ale trochę potrwa, zanim dostaniemy wyniki... - Lekarz potarł czoło wierzchem gumowej rękawiczki. Spojrzał na Marianne i zaraz przeniósł wzrok na twarz Min. - Jedna rzecz nie pozostawia cienia wątpliwości, dziewczyna została zamordowana. Nie mam pojęcia, czy morderca umieścił jej ciało na torach, żeby ukryć ten fakt, czy też zabił ją właśnie tam, ponieważ liczył, że w takim miejscu nikt mu nie przeszkodzi, i jeśli mam być szczery, to nie bardzo mnie to interesuje. Zależy mi wyłącznie na tym, żeby morderca został ukarany za to, co zrobił tej biedaczce. Już dawno nie widziałem podobnego bestialstwa...

Westchnął głęboko. Jego maska wydeła się i opadła, przywierając do szerokich, miękkich warg. Na moment położył rękę na ramieniu zabitej dziewczyny, potem odwrócił się i wyszedł z sali.

Conor czekał na nią na zewnątrz. Nie był już taki blady i sprawiał wrażenie spokojnego. Stał oparty o samochód, z papierosem w jednej ręce i egzemplarzem gazety „Sun” w drugiej.

- Spójrz na nią tylko... - machnął pierwszą stroną przed nosem Min. - Niezła sztuka, co?

- Niezła sztuka, to prawda. - Wzięła gazetę i spojrzała uważnie. - Dziewięćdziesiąt procent silikonu, dziesięć procent marzeń - niezbyt przyjemne połączenie... Wygląda o wiele bardziej obrzydliwie niż ta biedna dziewczyna, którą przejechał pociąg. - Złożyła gazetę na pół i jeszcze raz na pół. - Ale właśnie na tym polega różnica między tobą a mną, prawda?

Uśmiechnęła się do niego i wcisnęła mu gazetę do ręki.

Pojechali nadmorską drogą w kierunku komisariatu policji w Dun Laoghaire, gdzie znajdowały się dotychczas zebrane dowody. Conor powiedział Min, że jeden z mieszkańców domów z oknami wychodzącymi na tory kolejowe widział Marianne. Było to koło trzeciej nad ranem. Śpiewała głośno, najprawdopodobniej była pijana. Jakies dziesięć minut później w tym samym miejscu pojawił się mężczyzna, ciemnowłosy, średniego wzrostu, średniej budowy, chyba w dżinsach i kurtce. Żadnych znaków rozpoznawczych.

- Cudownie... - mruknęła Min. - Ten opis zdecydowanie zawęży grupę ewentualnych podejrzanych, co?

- Okazuje się, że tak.

- Słucham?

- W torbie dziewczyny znaleziono karty kredytowe i książeczkę czekową. Są własnością Nicka Cassidy, twojego starego znajomego. Najwyraźniej spędziła z nim prawie cały wczorajszy dzień i część nocy. Cassidy twierdzi, że wyszła nad ranem. Podobno pokłócili się, bo ona chciała pójść z nim do łóżka, a on nie. Mówi, że

wypadła od niego w furii, a on od rana starał się ją odnaleźć. No i że nie wie, co robiła po wyjściu z jego mieszkania. Co ty na to?

Nie odpowiedziała. Odwróciła głowę w kierunku morza i popatrzyła na pasma ciemnego błękitu i zieleni, ciągnące się przez całą zatokę, aż do Howth. Panował tam duży ruch - kilka kontenerowców czekało w kolejce na wejście do portu, a wśród nich przemykał charakterystyczny czerwony żagiel jachtu z Galway. Min zaczęła się zastanawiać, kto stoi za sterem. Za czasów dzieciństwa spędzonego w Slievemore poznała prawie wszystkie załogi jachtów. Jej ojciec był prawdziwym ekspertem, jeśli chodzi o tradycyjne żaglowce i podzielał te zainteresowania z Johnnym Harrisem. Kilka lat wcześniej Harris kupił stary dziesięciometrowy kuter, który przerobił na jacht. Jako zatwardziały tradycjonalista dopiero niedawno dał się przekonać, że przydałby mu się silnik diesla.

- Na pewno uda się pobrać próbki i określić DNA, prawda? - odezwał się Conor. - To pokaże nam, co się zdarzyło. Trudno mi uwierzyć w to, co mówi Cassidy, że niby dziewczyna przyszła do niego, a on nie okazał zainteresowania... Co o tym myślisz? - Jego palce nerwowo wybijały jakiś rytm na kierownicy.

Wiele razy pływała z Harrisem po zatoce Roaring Water i dalej, za Cape Clear, aż do skały Fastnet. Wiedziała, że Johnny ma koło pięćdziesiątki, ale wciąż był w doskonałej formie. Szczupły, silny, sprawny, potrafił zrobić wszystko. Biegał od rufy na dziób i z powrotem, bez trudu utrzymując równowagę na długich, mocnych nogach w dżinsowych szortach. Naciągał żagle, kiedy ona stawała za sterem, i potrafił wykonać jachtem zwrot nieomal w miejscu, perfekcyjnie ustawiając rdzawy główny żagiel, który wydawał się wchłaniać promienie słońca, jednocześnie rzucając gęsty, chłodny cień na pokład. Świetnie radził sobie ze wszystkimi manewrami i niczym wytrawny żeglarz stawiał czoło potężnym falom Atlantyku.

- Harris to wspomniał człowiek - powiedziała. - Bardzo go lubię.

- Długo go znasz?

- Dość długo.

- Więc na pewno dużo o nim wiesz?

- Dość dużo.

- Także i to, że wszyscy uważają go za geja?

- Naprawdę? - Zerknęła na niego spod oka.

Conor sięgnął po papierosa wystającego z paczki leżącej na skrzyni biegów, wsunął go między wargi i pstryknął zapalniczką.

- Naprawdę - odparł. Min wzruszyła ramionami.

- Cóż, to jego sprawa, nie twoja i nie moja. Wyłącznie jego.

Conor przytknął ciemnopomarańczowy płomyk do papierosa i zaciągnął się.

- Tak sądzisz? - zagadnął.

Z kącika jego ust wypłynęła ku górze cienka smużka dymu.

- A ty nie? - Min przycisnęła guzik po wewnętrznej stronie i uchyliła okno. Do samochodu wdarło się zimne, wilgotne powietrze. - Nie? Uważasz, że ty i każdy inny macie prawo nie tylko znać szczegóły intymnego życia Johnny'ego Harrisa, ale także komentować je i osądzać, tak?

Conor nie odpowiedział.

- Harris jest znakomitym patologiem sądowym. Często to przede wszystkim jemu zawdzięczamy uzyskanie dowodów, które wystarczają nie tylko na podtrzymanie oskarżenia, ale także wydanie wyroku skazującego. Mógłby napisać kilka podręczników o tkankach, włosach i płynach fizjologicznych. Jest najlepszym znanym mi specjalistą od analizy obrażeń głowy. Jego upodobania seksualne nie mają z tym wszystkim nic wspólnego, zupełnie nic...

Min znowu utkwiała wzrok w zatoce. Jacht płynął szybko, zachodni wiatr niósł go w kierunku horyzontu. Samochód zwolnił. Czekał ich spory korek. Westchnęła i spojrzała na Conora.

- Skąd u ciebie ten problem z gejami? - zapytała.

Po chwili milczenia wyciągnął rękę nad jej kolanami i zamknął okno.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? - odezwał się. - Na razie chyba wystarczy nam świeżego powietrza...

Zdławił papierosa w popielniczce.

- Kto mówi, że mam jakiś problem?

- Przecież to oczywiste! Świadczy o tym choćby fakt, że poruszyłeś ten temat.

- Naprawdę? Nie wolno mówić o homoseksualizmie w taki sam sposób jak o cechach charakteru albo różnicach w budowie ciała? To typowe...

- Jak to, typowe? - Min mimo woli podniosła głos.

- Typowe dla wszystkich przestrzegających zasad poprawności politycznej. Facet jest homoseksualistą i to odróżnia go od wielu innych osób. Ma inne zainteresowania, inny styl życia, inne pragnienia... Dlaczego nie wolno o tym mówić?

- Mów, jeśli czujesz taką potrzebę, tak głośno i długo, jak masz ochotę, ale nie wyobrażaj sobie, że to daje ci prawo do osądzania Harrisa. A jeżeli chcesz wiedzieć, to Johnny ma stałego partnera i tego związku mogłyby pozazdrościć im praktycznie wszystkie pary heteroseksualne, jakie znam...

- Tak? - Conor prychnął wzgardliwym śmiechem. - Kapcie i gorące kakao na dobranoc, co? Serdeczne pogawędki i masaż pleców przed przystąpieniem do sedna sprawy... I każdy ma swoje własne skórzane gatki, tak?

Min milczała.

- Zaszokowałem cię, prawda? - Odchylił się do tyłu i oparł ramię na jej zagłówek.

Westchnęła.

- Nie, nie jestem w szoku, ale chyba rozczarowałeś mnie, i tyle. Poza tym uważam, że nie masz racji i że spędzasz za dużo czasu przy komputerze. I że to, co widzisz na monitorze, wcale cię nie uszczęśliwia.

- Ach, więc taka jest twoja opinia o mnie? Sądzisz, że powinienem czasem oderwać się od pracy i więcej przebywać z ludźmi... Pozwól, że coś ci powiem, Min. Niezależnie od tego, co łączy twojego przyjaciela doktora Harrisa i jego bratnią duszę, związki homoseksualne mają jedną cechę wspólną. Oparte są na władzy i wykorzystaniu drugiego człowieka, nie da się też zaprzeczyć, że powtarza się w nich element siły, przemocy fizycznej. Jeśli mi nie wierzysz, zajrzyj do któregośkolwiek z gejowskich barów lub klubów i sama zobacz, jak to wygląda, bo jeśli Johnny Harris rzeczywiście jest takim ideałem, to powinnaś też przyjąć do wiadomości istnienie zupełnie innych homoseksualistów...

Jego głos był zimny i bardzo wrogi. Kiedy odwrócił się i spojrzał na nią, dostrzegła, że jego oczy lśnią nienaturalnie, a policzki są mocno zaczerwienione.

Zapaliło się zielone światło i samochód powoli ruszył do przodu. Conor sięgnął po papierosy.

- Mogę zapalić? - zapytał. Min wzruszyła ramionami.

- Proszę bardzo, pracujesz na swojego własnego raka płuc.

- Skoro tak to ujęłaś, to chyba jednak się zastanowię... Masz jeszcze tę gumę?

Otworzyła torbę i w tej samej chwili odezwał się telefon komórkowy. Wyjęła go i zerknęła na ekran.

- O'Reilly - powiedziała, przyciskając guzik. Chwilę słuchała w milczeniu. - W porządku, do zobaczenia na miejscu.

Położyła telefon na kolanach i wyjęła z kieszonki paczkę miętówek. Odwinęła folię i podsunęła je Conorowi.

- Dziękuję... - Przez chwilę jedną ręką szamotał się z opakowaniem, w końcu część cukierków posypała się na jego kolana. - Cholera jasna... - mruknął, nie odrywając oczu od drogi. - Mogłabyś mi pomóc?

Min pozbierała miętówki i wsunęła mu jedną do ust. Pogryzł ją natychmiast, głośno chrzęszcząc kryształkami cukru.

- No, powiedz mi teraz, o co chodzi...

- O'Reilly chce, żebyśmy przyjechali do Cassidy'ego. Będzie tam na nas czekał.

- Nie zamierza przesłuchać go na komisariacie?

- Nie. Wydaje mu się, że wycisnie z niego więcej, jeżeli przez pewien czas będzie traktował go w nieoficjalny sposób. Chce, żebym tam przyjechała, bo znam Cassidy'ego dłużej niż oni.

- A dlaczego ja? Uśmiechnęła się.

- Posłuchaj cytatu: „Przywieź ze sobą tego Hickeya. Słyszałem o nim tyle świetnych opinii, że mam ochotę sprawdzić, czy są prawdziwe”.

- Ojej... - Conor pochylił głowę w geście udawanej pokory. - Czuję się zaszczycony. Wielkie słowa z ust takiego durnia jak O'Reilly, to ci dopiero... Co to się wyprawia na tym świecie...

- Spadaj! - Min roześmiała się głośno. - O'Reilly nie jest taki zły, to po prostu gliniarz starej daty. Mam nadzieję, że masz notatnik, notatnik, powtarzam, nie palmtop, bo to nie spodobałoby się O'Reilly'emu. Chcesz długopis? - Sięgnęła do bocznej kieszeni torby. - Mam tu kilka. Niebieski czy czarny? Wybieraj...

- Czarny, czarny! Czarny jak włosy mojej ukochanej... - zanucił. - Jak twoje włosy...

Spojrzał na nią z uśmiechem i nacisnął pedał gazu, bo stłoczone w korku samochody znowu ruszyły trochę szybciej.

Rozdział dwudziesty

Nick poszedł drogą, którą przed nim przebyła Marianne, wczesnym rankiem tamtego dnia, kiedy wszędzie było jeszcze cicho, spokojnie i zimno. Jej oddech na pewno tworzył kłaczki mgły przed twarzą, na niebie wciąż wisiał księżyc. Nick szedł ścieżką, którą musiała iść, w każdym razie tak sobie wyobrażał, po grzbiecie nasypu. Szukał wzrokiem miejsca, gdzie zeszła na tory, i znalazł je. Po obu stronach błotnistej dróżki leżały puste puszki po piwie i plastikowe butelki po cydrze, a trochę bardziej z boku widać było poczerwiałe pozostałości po ognisku.

Minał stację Dalkey i poszedł dalej, w kierunku tunelu, gdzie znaleziono jej ciało. Szybko się zorientował, jak łatwo było dotrzeć do tunelu - dziesięć betonowych schodków prowadziło do małej furtki z metalowej siatki, zamkniętej na kłódkę, lecz tak niskiej, że bez większego trudu można było przez nią przejść. Tuż obok znajdowała się stacja rozdzielcza elektryczności, niewielka metalowa skrzynka, a parę kroków dalej powiewały na wietrze pasma szerokiej żółtej taśmy, którą policja oznaczyła miejsce zbrodni.

Nick pomyślał, że na początku na pewno nie czuła lęku. Kiedy szła wzdłuż torów, nie bała się ani ciemności, ani samotności, miała zresztą przy sobie psa. I podobno śpiewała głośno, podekscytowana własnym szaleństwem. Kto pojawił się za jej plecami? Czy odwróciła się i zobaczyła go? Czy знаła mordercę? Czy powitała go z radością, czy z przerażeniem? Co mówił, podchodząc bliżej? Policjanci powiedzieli mu, że Marianne została napadnięta, zaatakowana, pobita i prawdopodobnie zgwałcona. Że nie umarła od razu, dopiero po godzinie, może nawet później. Zamknął oczy i spróbował przywołać z pamięci obraz nastoletniej Marianne, takiej, jaką była przed zniknięciem Owena, ale także takiej, jak tamtego popołudnia przed paroma dniami, kiedy tańczył z nią w pokoju, nakarmił makaronem z sosem pomidorowym, napił winem i wreszcie otulił kocem. I wyrzucił na ulicę.

Podszedł bliżej. Policjant obrzucił go czujnym spojrzeniem.

- Nie ma tu przejścia - odezwał się głośno. - Zabronione...

Nick cofnął się z uśmiechem.

- Jasne - powiedział. - Już sobie idę.

Zawrócił w kierunku drogi. Z góry wejście do tunelu wydawało się jeszcze ciemniejsze i groźniejsze. Nick przystanął, pochylił głowę.

- Przebacz mi, Marianne - rzekł cicho, prawie szeptem. - Wybacz mi to, co zrobiłem, i to, czego nie zrobiłem...

Potem odszedł.

- Po co tam poszedłeś? Zupełnie nie rozumiem, przecież to bez sensu!

Ton głosu Susan był zimny, nieprzyjazny, w jej słowach nie było cienia pociechy. Nick niepewnie stał w drzwiach. Za plecami Susan widział obserwującego go uważnie Paula O'Hare.

- Jesteś zdania, że ponoszę za to winę, prawda? - odezwał się.

- Dziwi cię to? Gdybyś nie wyrzucił jej z domu o trzeciej nad ranem, pewnie żyłaby nadal. Jak mogłeś zrobić coś takiego? Jak mogłeś pozwolić osobie tak kruchej wewnętrznie wyjść na ulicę w takim stanie?

- Chwileczkę... - Nick postąpił krok w jej kierunku. - Przecież to ty wczoraj zrobiłaś mi wykład na temat wolnej woli! Twierdziłaś, że Marianne może sama podejmować decyzje i żyć własnym życiem! Nie wydaje ci się, że teraz mówisz coś całkowicie przeciwnego?

- Wcale nie! Wydaje mi się, że zrobiłaś to, co zwykle robisz, czyli postąpiłaś tak, żeby było ci dobrze i wygodnie. Dałaś jej odczuć, że ją kochasz i chcesz o nią zadbać, a potem zawiodłaś. Nic dziwnego, że biedaczka uciekła, jakby ją diabeł gonił...

Długą chwilę w milczeniu wpatrywał się w podłogę. Z kuchni rozchodził się cudowny aromat świeżej kawy. Żołądek Nicka boleśnie ścisnął się z głodu.

- Posłuchaj mnie, Susan... Nie sądzisz, że śmierć Marianne, właśnie teraz, ma duże znaczenie? To, że zamordowano ją właśnie teraz...

- Jakie znaczenie? - przerwała mu szorstko. - Chodzi ci po głowie jakiś zwariowany kryminał w stylu Agathy Christie, jakaś teoria spiskowa? Coś w tym rodzaju, tak?

- Nie wiem, ale jej śmierć nie była dziełem przypadku. Na pewno nie.

- Może nie. Może po prostu naturalną konsekwencją życia, jakie Marianne prowadziła przez ostatnie lata... Tak czy inaczej, nie rozumiem, co to ma wspólnego z Owenem, bo przecież do tego zmierzasz, prawda? To masz na myśli...

- Sue... - O'Hara położył rękę na jej ramieniu. - Kawa jest już gotowa, chodźmy...

Odwróciła się. W oczach miała łzy. Wyciągnęła rękę, żeby zamknąć drzwi, więc Nick się cofnął. W gardle miał wielką, twardą kulę, która dławiała go i sprawiała ból. Powoli zszedł po schodach do ogrodu. Dwie godziny wcześniej zadzwonił do niego Jay O'Reilly, inspektor. Powiedział, że chcieliby zająć mu jeszcze parę chwil, zadać kilka pytań. Przyjadą do niego.

- Na pewno? - zapytał Nick. - Na pewno nie chce pan, żebyśmy przyjechali na komisariat? Nie chce mnie pan aresztować?

W odpowiedzi usłyszał jowialny śmiech. Skądże znowu! Wpadną tylko na krótką rozmowę, nic oficjalnego. Nic, co powinno go niepokoić.

Ale Nick wcale nie był przekonany, czy rzeczywiście tak jest. Pamiętał przesłuchania sprzed dziesięciu lat. Pamiętał, jak ważne było, czy dokładnie przypomina sobie, co i kiedy się zdarzyło. Każda niespójność, każda niekonsekwencja była natychmiast wychwytywana. Nie mógł się wahać, nie mógł pozwolić sobie na najmniejszą niedbałość.

Usiadł przy kuchennym stole i pomyślał, że chyba powinien wziąć kartkę, długopis i chronologicznie spisać wszystko, co wydarzyło się tamtego popołudnia i nocy. Musiał zabezpieczyć się na wypadek, gdyby zaczęli go podejrzewać.

Był zaskoczony, że przyjechali we troje. Inspektor O'Reilly, Min Sweeney i jakiś młody człowiek. Wysoki, mocno zbudowany, przystojny, w dzinsach i nieprzemakalnej kurtce z kapturem. Conor Hickey. Nick zaprosił ich do pokoju, poczęstował herbatą i ciasteczkami. Potem usiadł na sofie i czekał, kiedy skończy się wymiana grzeczności. Nie trwało to długo. Umilkli i utkwili w nim uważne spojrzenia. Min uśmiechała się, ale Nick miał wrażenie, że dostrzega w jej oczach czujność, której wcześniej z pewnością nie było. Poruszyła się i założyła nogę na nogę. Skóra długich butów zaskrzypiała. Nick miał ochotę powiedzieć jej, że cała ta sprawa

jest żałosna, nie miał absolutnie nic wspólnego ze śmiercią Marianne, a odejście dziewczyny głęboko go zasmutowało. Chciał zaproponować, by na chwilę wyszli do ogrodu i omówili to wszystko na spokojnie, ale widział, że już nie da się tak tego załatwić. Było za późno.

O'Reilly odchrząknął.

- Chcieliśmy zobaczyć się z panem, ponieważ mamy parę niejasnych punktów, jeżeli wie pan, o co mi chodzi...

- Nie wiem. - Nick spojrział na niego twardo. - Proszę mi wyjaśnić. Wydawało mi się, że powiedziałem wszystko, co wiedziałem, tym dwóm policjantom, którzy poinformowali mnie o śmierci Marianne.

- Co im powiedziałeś, Nick? - Min wychyliła się do przodu, opierając notatnik na kolanie.

- Powiedziałem, że Marianne była tu tamtego wieczoru. Zamierzała zostać na całą noc, ale doszło między nami do kłótni, Marianne wpadła w gniew i wyszła. Próbowałem ją zatrzymać, porozmawiać z nią rozsądnie i spokojnie, lecz nie muszę wam chyba tłumaczyć, że Marianne ma, to znaczy miała, poważne problemy emocjonalne i psychiczne. Nie chciała mnie słuchać. Im bardziej starałem się ją uspokoić, przemówić jej do rozsądku, tym gwałtowniej się zachowywała. W końcu musiałem pozwolić jej odejść, nie miałem wyjścia...

- Gniew, gwałtowne zachowanie... - wtrącił się Conor Hickey. - Co konkretnie ma pan na myśli?

Nick chwilę patrzył na niego w milczeniu. Kiedy się odezwał, jego słowa były starannie i precyzyjnie dobrane.

- Gniew to silne uczucie, które zwykle uzewnętrznia się poprzez krzyk i gwałtowne zachowanie. Uczucie oburzenia i wrogości. Gwałtowne zachowanie to przełożenie tego uczucia na gesty, atak fizyczny na drugą osobę, uderzenia, kopniaki. To konkretnie mam na myśli.

- Więc przyznaje pan, że pana zachowanie wobec Marianne O'Neill było gwałtowne? - zapytał Conor.

- Nie, nic z tych rzeczy. To Marianne zachowała się gwałtownie wobec mnie. Uderzyła mnie, podrapała, nawet kopnęła tymi swoimi cholernymi buciskami. Tak to wyglądało.

- Co spowodowało to zachowanie? - odezwał się O'Reilly.

Nick ujął głowę w dłonie.

- Mówiłem już o tym tamtym dwóm policjantom - rzekł ze znużeniem. - Opowiedziałem im wszystko ze szczegółami. Spędziliśmy razem dzień, potem przygotowałem coś do jedzenia. Było miło, nawet bardzo, odnosiliśmy się do siebie serdecznie, przyjaźnie. Po pewnym czasie Marianne zaczęła wspominać mojego syna i te wspomnienia okazały się bardzo bolesne. Zasnęła tutaj, przed piecykiem. Dałem jej poduszkę, okryłem kocem. Potem sam także poszedłem spać, na sofie. W środku nocy obudziłem się i poczułem ją koło siebie. Chciała się ze mną kochać, ale powiedziałem jej, że to niemożliwe. Wyjaśniłem, że nigdy nie pragnąłem uprawiać z nią seksu ani w przeszłości, ani teraz. Obudziła mnie z dość głębokiego snu i na pewno dlatego nie zachowałem się tak rozważnie i wyrozumiale, jak zrobiłbym to w innych okolicznościach...

Min podniosła wzrok znad notatnika.

- Wcześniej powiedziałeś, że wyrzuciłeś ją z łóżka. - Jej głos nie był już tak ciepły jak jeszcze przed chwilą. - Czy tak właśnie było, Nick?

Nick popatrzył na własne notatki.

- Użyłem tego określenia w sensie metaforycznym. Nie wziąłem ją za kark i nie rzuciłem na podłogę. Gdy się ocknąłem, leżała obok mnie. Natychmiast zdałem sobie sprawę, czego chce, więc się odsunąłem. Próbowałem wstać, ale ona była między mną i podłogą, toteż odepchnąłem ją. Spadła na podłogę, dość ciężko. Poczuła ból, wstrząs. Ja także byłem oszołomiony, nie zdążyłem się jeszcze do końca obudzić, niezupełnie wiedziałem, co się dzieje. Usiłowała ponownie przytulić się do mnie, a ja znowu ją odepchnąłem. Wtedy wpadła w złość i uderzyła mnie. Usiłowałem przytrzymać jej ręce... - Westchnął ciężko. - Wiem, że wszystko to razem nie stawia mnie w zbyt dobrym świetle, ale spróbujcie spojrzeć na tę sytuację z mojej perspektywy... Nie chciałem skrzywdzić Marianne, w żadnym razie...

- Więc dlaczego wybiegła? Twoja żona słyszała podniesione głosy, trzaśnięcie drzwiami, potem obezływe krzyki Marianne. Dziewczyna musiała narobić mnóstwo hałasu, skoro usłyszała ją twoja żona, śpiąca w pokoju na piętrze...

- Narobiła mnóstwo hałasu, to prawda. Dziwię się, że nie postawiła na nogi wszystkich sąsiadów.

- Kilka minut później twoja żona usłyszała coś jeszcze - znowu kroki, ale inne, cięższe. Chyba kroki mężczyzny, tak to określiła.

Nick rozłożył ręce.

- Co mogę na to powiedzieć? Możliwe, że słyszała kroki, ale nie moje. Nie poszedłem za Marianne.

- Mniej więcej pół godziny później widziano Marianne na torach tuż za stacją Glenageary. Młoda kobieta, która karmiła piersią dziecko, zobaczyła ją przez okno i dość dokładnie opisała. Po piętnastu minutach pojawił się tam mężczyzna, którego opis pasuje do ciebie. Co na to powiesz?

Nick potarł twarz dłońmi i oparł czubki palców na powiekach. Czuł krew, pulsującą pod cienką, delikatną skórą. Opuścił ręce i położył je na kolanach.

- Co mogę powiedzieć? - powtórzył. - W jaki sposób mogę was przekonać? To nie byłem ja. Nie poszedłem za Marianne. Po jej wyjściu wróciłem do łóżka i próbowałem znowu zasnąć, to wszystko...

W pokoju zapadła cisza. Min nachyliła się w stronę Nicka.

- Wiem, że kiedy patrzy się na te zdarzenia z twojego punktu widzenia, wydają się one zupełnie logiczne - powiedziała spokojnym, neutralnym tonem. - Twoja relacja świetnie wyjaśnia powstanie niektórych obrażeń na ciele Marianne, na przykład ślady wokół przegubów jej dłoni, może także część siniaków na plecach. Bardzo by nam pomogło, gdybyś zgodził się na pobranie próbek włosów, tkanki skórnej i krwi do określenia DNA. Dzięki temu moglibyśmy porównać tkanki znalezione na jej ciele z twoimi i wykluczyć cię z dalszego dochodzenia...

- Jednak pańska wersja wydarzeń nie wyjaśnia tego... - O'Reilly wyjął z kieszeni foliową torebkę. - Poznaje pan to, panie Cassidy?

Podał torebkę Nickowi, który podniósł ją do światła.

- To? - powiedział ze zdziwieniem. - Skąd się to u was wzięło, na miłość boską?

- Więc poznaje pan...

- Oczywiście! - przerwał mu Nick. - Przecież to mój zegarek! Ale skąd, na Boga?

- Twój zegarek został znaleziony w odległości kilku metrów od ciała Marianne. - Głos Min był łagodny, miękki, pełen zrozumienia. - Leżał przy torach...

- To niemożliwe! Skąd mógłby się tam wziąć? Kilka dni temu zdjąłem go, bo pasek mi się przetaił, a jeszcze nie kupiłem nowego. Mam ten zegarek od bardzo dawna, dostałem go w prezencie urodzinowym od żony...

Odwrócił torebkę i wygładził plastik. Spojrzał na wygrawerowany na spodzie koperty napis: *Dla N.P.C. od S.M.C, 30 stycznia 1985*. Podniósł wzrok na trzy twarze, trzy pary oczu, wpatrzone w niego z wyrazem czujności.

- Tak jak powiedziałem, zdjąłem go parę dni temu i włożyłem tutaj... - Wstał i podszedł do deski. - Tu, do tego pudełka. Trzymam w nim różne drobiazgi. - Podniósł drewniane pudełko na ołówki, starego typu, z wieczkiem na zawiasach.

Otworzył je i wskazującym palcem rozgarnął zawartość. Min podniosła się i stanęła u jego boku.

- Nic nie rozumiem... - Podał jej pudełko. - Przysięgam, że go tu włożyłem, nie wiem dokładnie, kiedy, parę dni temu... - Odwrócił się do O'Reilly'ego. - To musi być jakaś pomyłka... Zdjąłem zegarek, ponieważ pasek był przetaity i zamierzałem kupić nowy. Odłożyłem zegarek do pudełka, żeby go nie zgubić. Proszę spojrzeć... - Podniósł torebkę. - Pasek jest pęknięty, ale kiedy ja go zdejmowałem, był jeszcze cały, tylko uszkodzony... I jeszcze to... - Przerwał na chwilę. - Szkło pękło, połowa wypadła, ale gdy ostatni raz widziałem zegarek, było jeszcze całe...

- Zgadza się - odparł głośno O'Reilly. - Szkielek jest pęknięte, a jego drzazgi znaleźliśmy w zagłębieniach podeszwy lewego buta Marianne. Widzi pan, przedstawił nam pan swoje wyjaśnienie i nie przeczę, że jest ono przekonujące... Chciałbym jednak teraz przedstawić panu inny scenariusz. Proszę usiąść i spokojnie mnie wysłuchać, dobrze? Nie zamierzamy zająć panu dużo więcej czasu.

Po ich wyjściu Nick był w stanie tylko usiąść i wbić wzrok w podłogę. Obiecał, że następnego dnia o dziesiątej rano stawi się (ich określenie, nie jego) na komisariacie. Zgodził się na pobranie próbek włosów, tkanki skórnej, krwi, śliny. Powiedzieli mu, że może odmówić, lecz on doskonale zdawał sobie sprawę, że to bez sensu, szczególnie po wystąpieniu O'Reilly'ego.

- Naszym zdaniem wyglądało to trochę inaczej. Sądzimy, podejrzewamy, że to pan próbował odbyć stosunek seksualny z Marianne i że to ona panu odmówiła. Dlatego opuściła ten dom o trzeciej nad ranem, z krzykiem i awanturą. Wybiegła, była noc, a pan, być może, zaczął się niepokoić, co zrobi. Komu powie, co się stało. Może pańskiej żonie? Może policji? Może oskarży pana o jakieś paskudne rzeczy, zupełnie niepasujące do pana zwykłego zachowania? A może zacznie wyciągać jakieś historie z przeszłości... Może Marianne wiedziała coś, czego do tamtej nocy nie ujawniła... Teraz już się tego nie dowiemy, bo Marianne nie żyje. Mamy jednak naoczny świadka - pewna kobieta zeznała, że niedługo po przejściu Marianne widziała na torach mężczyznę. Z opisu wynika, że mógł to być pan, panie Cassidy. Poza tym, w odległości paru metrów od zwłok znaleźliśmy pański zegarek. Ktoś mógłby pomyśleć, że pasek pękł, kiedy szarpał się pan z Marianne. Zegarek upadł na ziemię, a Marianne, padając, przydeptała go i zgniotła szkło...

Nick z niedowierzaniem potrząsnął głową. Próbował pochwycić spojrzenie Min, lecz ona siedziała wpatrzone w O'Reilly'ego.

- Był pan na nią zły. Chwycił ją pan za przeguby dłoni i wepchnął do tunelu. Zgwałcił ją pan, a potem kilka razy uderzył jej głową o mur i zostawił na torach. Wrócił pan do domu i umył się, zaczekał do rana, a na-

stepnie poszedł do żony, przedstawił jej swoją wersję wydarzeń i poprosił o pomoc w odszukaniu Marianne. Oto cała historia.

Miał ochotę parsknąć śmiechem, wszystko to było śmieszne, załośnie śmieszne, ale musiał przyznać O'Reilly'emu rację. To było nie tylko śmieszne, lecz także prawdopodobne.

- Jeżeli pan chce, możemy panu załatwić adwokata. - O'Reilly wstał.

Nick wzruszył ramionami.

- Nie wiem, zastanowię się...

Otworzył drzwi. Wychodząc, Min wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego ramienia, ale się odsunął.

- Zobaczymy się rano! - zawołał O'Reilly przez ramię. - O dziesiątej, proszę nie zapomnieć!

Nick stał w progu i patrzył, jak idą do samochodów. Nagle usłyszał głos Chrisa Gouldinga. Podeszedł do furtki, żeby zobaczyć, co się dzieje. Chris zbiegał właśnie po schodach i wołał do policjantów. Nick przystanął. Nie słyszał słów Chrisa, lecz widział, jak tamci troje, O'Reilly, Min Sweeney i Hickey, odwrócili się ku niemu, a chwilę później weszli do domu Gouldingów. Ciężkie drzwi zatrzęsnęły się za nimi, mosiężna kołatka uniosła się i opadła z prawie melodyjnym brzęknięciem.

Nick przeszedł przez drogę i oparł się o ogrodzenie. Rozejrzał się po placu. Wszędzie dookoła widział jasno oświetlone okna. Zimny wiatr potargał mu włosy. Stos drewna na ognisko, ułożony pośrodku zabłoconego trawnika, powoli rósł i był już wyższy od niego. Odwrócił się twarzą w stronę domów. Przez okno domu Gouldingów widział Chrisa, rozmawiającego z policjantami. Opowiadał coś, żywo gestykulując. W pewnej chwili objął Amrę i przyciągnął ją do siebie, jakby chciał włączyć ją do rozmowy. Chłopiec też tam był, stał oparty o Chrisa. Dłonie Chrisa rozcinały włosy chłopca, potem opadły na jego szczupłe ramiona. Nick zobaczył, jak O'Reilly wychodzi z tamtego pokoju i z domu, mija go bez jednego spojrzenia, wsiada do samochodu i odjeżdża. Potem pokój opuściły obie kobiety, najpierw Min, za nią Amra. Chris i Hickey pozostali na swoich miejscach. Chłopiec stał między nimi, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Po chwili podeszedł do okna i popatrzył na Nicka, lecz Chris gwałtownie zerwał się z krzesła i zaciągnął zasłony.

Wtedy Nick zwrócił się twarzą do swojego domu. Susan i Paul byli w salonie, on stał przy kominku, z kieliszkiem wina w ręce, ona siedziała na sofie.

- Spójrz na mnie... - powiedział głośno. - Odwróć głowę i spójrz na mnie, zobacz we mnie człowieka, którym naprawdę jestem. Słabego i błędzącego, ale wciąż zakochanego w tobie... Spójrz na mnie, Susan, proszę...

Jednak Susan nie poruszyła się, nie zareagowała. Nick zadrżał. Wiatr zaszeleścił wśród liści. Zanosiło się na deszcz. Nick oderwał się od ogrodzenia, wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Usiadł na sofie i utkwiał wzrok w podłozie. Było mu zimno, kręciło mu się w głowie. Nagle zaczął się bać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Min nigdy nie podobał się dom Gouldingów. W czasie tamtego dochodzenia wiele razy była u sąsiadów Cassidych i ich dom wydał jej się bardzo czysty, ale zimny i cichy. W dużym salonie, którego okna wychodziły na plac, nie było telewizora. Hilary Goulding miała na półce w kuchni małe radio tranzystorowe, wetknięte między słoiki domowego dżemu i konfitur. Często było włączone, ale zawsze grało bardzo cicho. Dwójka nastolatków spędzała prawie cały czas w piwnicy, na górze pojawiali się niezwykle rzadko. Nawet ich sypialnie na piętrze wyglądały tak, jakby nikt nigdy nie zdejmował wzorzystych narzut z gładko posłanych łóżek i nie wyjmował żadnych ubrań z równo poukładanych stosów odzieży w dwóch identycznych komodach.

Gouldingowie też nie wzbudzili jej sympatii. Brian był niski, drobnej budowy, z wystającą kozią bródką, która nadawała jego twarzy agresywny wygląd. Hilary była jeszcze niższa od męża i wtedy wydała się Min stara, chociaż oczywiście musiała mieć najwyżej czterdzieści parę lat. Teraz, siedząc naprzeciwko jej syna, przywołała z pamięci obraz kobiety o szpakowatych, po męsku obciętych włosach. Ta fryzura nie przydawała jej wdzięku, podobnie ubrania, które wyglądały, jakby kupiła je w sklepie z używaną odzieżą - czyste, ale wyblakłe, jak po wielokrotnym praniu.

Co myślała wtedy o Chrisie i jego siostrze? Nic specjalnego, szczególnie o dziewczynie, która robiła wrażenie młodszej kopii matki, bladej, bezbarwnej postaci. Nieśmiała i nerwowa, dużo płakała i do krwi ogryzała paznokcie i skórki wokół nich. Pozwalała, aby Chris mówił za nią. Nie ulegało wątpliwości, że był w tym dobry - jako jedyny z rodziny miał silną osobowość. Nie był przystojny, ale z pewnością atrakcyjny. Czarujący, zabawny, o dużych niebieskich oczach, lśniących za szklami okularów w ciemnych oprawkach. Dzięki darowi wymowy zdołał jakoś wykręcić się z oskarżenia o „posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży lub rozprowadzania” i przekonać policję, że całkowicie wystarczy oskarżyć go o „posiadanie na własny użytek”. Sąd okręgowy rozpatrzył sprawę, wystosował ostrzeżenie i ukarał Chrisa grzywną. Pogrozili mu palcem, dali po łapach, odesłali do domu i kazali żałować za grzechy.

Teraz rodzice Chrisa nie żyli, siostra wyjechała, a on z powodzeniem grał rolę głowy rodziny i pana domu. W salonie było ciepło, na miejscami poprzecieranym, lecz czystym dywanie leżały dziecięce zabawki, z kuchni docierał aż tu przyjemny zapach. Chris trzymał w ręku szklaneczkę z przezroczystym płynem, najprawdopodobniej wódką albo dżinem.

- Chodź tutaj, Amro! - zawołał. - Ktoś chciałby z tobą porozmawiać!

Kobieta niepewnie przystanęła w progu. W jednej ręce trzymała ścierkę, w drugiej zapaloną zapalniczkę. Za nią kręcił się mały chłopiec. Chris szerokim gestem zaprosił ją do środka.

- To jest Amra - powiedział. - I jej syn, Emir.

Wziął chłopca za rękę i wciągnął do pokoju. Dziecko oparło się o niego, Chris lekko zwichrzył mu włosy.

- Córeczka Amry, Sanela, śpi na górze - dodał.

Kobieta zaproponowała gościom kawę.

- Może pani pomożę? - odezwała się Min.

Amra potrząsnęła głową, lecz Min podniosła się i poszła za nią do kuchni. Chris z uśmiechem wskazał Conorowi fotel.

- I co o nim sądzisz? - Min zadrżała i ciaśniej otuliła się kurtką.

Zrobiło się dużo chłodniej. Wiatr zmienił kierunek i teraz niósł od wschodu deszcz. Niedługo spadnie śnieg, pomyślała.

Conor jechał powoli w kierunku głównej drogi.

- Cóż, będzie z niego dobry świadek. Był dokładny, potrafił podać godziny, opisy, wszystko. A ona?

Min założyła ręce na piersi i znowu zadygotała.

- Spała, nic nie słyszała i nic nie widziała. Położyła się o jedenastej trzydzieści. Mówi, że bierze środki nasenne, bo dręczą ją kosmary. Obudziła się o siódmej trzydzieści, gdy zadzwonił budzik. I to by było tyle...

Jednak nawet teraz, siedząc w samochodzie obok Conora, Min była zdenerwowana i niespokojna. Kiedy tylko weszły do kuchni, Amra zaczęła płakać. Łzy płynęły jej po policzkach, szczupłym ciałem wstrząsała szloch. Napełniła czajnik i włączyła go, wyjęła z szafki puszkę z kawą i wysypała parę łyżeczek do dzbanka. Robiła to wszystko odwrócona plecami do Min.

Gdy kawa była już gotowa i jej aromat przesycił powietrze w kuchni, Min podeszła do Amry i delikatnie ujęła jej dłoń.

- Przykro mi... - powiedziała. - Widzę, że pani bardzo to przeżywa... Nie wiedziałam, że znała pani Marianne O'Neill...

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na nią zaczerwienionymi, zapłakanymi oczami. Wyciągnęła z rękawa kłębek ligninowych chusteczek i wytarła nos.

- Nie znałam jej - odparła z wyraźnym akcentem. - Nie znałam tej dziewczyny. Ale znam dużo dziewczyn, które umarły bardzo złą, bolesną śmiercią, samotną i smutną. Umierały bez nikogo, bez matki, męża, brata, siostry... Bez pocieszenia, w strachu i ciemności. Nie mogły nawet potrzywać kogoś za rękę.

Nalała kawę do małych filiżaneczek. Min powoli pociągnęła łyk mocnego, aromatycznego napoju.

- Smakuje? - zapytała Amra. - Bo Irlandczykom zwykle nie smakuje. Wolą taką ze słoika, rozpuszczalną. Obrzydliwe...

Min się uśmiechnęła.

- To prawda. Moja matka jest Francuzką i ciągle narzeka na tutejsze zwyczaje podawania kawy...

Twarz Amry rozjaśniła się na krótką chwilę.

- Jest Francuzką? Dobrze... Kiedyś chciałam pojechać do Francji. Uczyłam się francuskiego w szkole, ale potem przyszła wojna i nie mogliśmy już nigdzie wyjeżdżać. Gdy Emir został ranny, irlandzki rząd proponował, że przyjmie kilka rodzin z Sarajewa i przyjechalibyśmy tutaj...

- Był ranny? Jak to się stało?

- Pewnego dnia poszliśmy na targ. Musimy tam chodzić, chociaż to niebezpieczne. Nie ma nikogo, z kim mogłabym go zostawić, on nie chce zostać beze mnie. Ciągle krzyczał i płakał. Więc stoimy w kolejce, podobno po ziemniaki, a tu atak... Nic mi się nie stało. Rzuciło mnie tylko na ziemię, byłam w szoku, ale Emir był ciężko ranny w brzuch. Wszędzie było pełno krwi. Próbowałam powstrzymać krwawienie, ale rana była zbyt duża. Zawieźli go do szpitala, tylko że szpital w Sarajewie nie jest podobny do normalnych szpitali. Nie

ma tam elektryczności ani wody, ani lekarstw, nawet środków przeciwbólowych. Zrobili dla niego, co mogli, ale powiedzieli mi, że najprawdopodobniej umrze. A ja jestem w ciąży. Strasznie mało wtedy jadłam, myślałam sobie nawet, że to niemożliwe, żebym miała dziecko w brzuchu, bo przecież nie daję mu nic do jedzenia. I wtedy nagle stał się cud - siedzę przy łóżku Emira, on płacze i płacze, wchodzi lekarz i mówi, że możemy jechać na lotnisko. Karetka już czeka, możecie lecieć do Niemiec, a stamtąd do jakiegoś innego kraju. Więc jedziemy...

- W ten sposób znaleźliście się tutaj. I poznałaś Chrisa, tak?

Kobieta skinęła głową.

- Mieliśmy lekcje angielskiego i Chris nas uczył. Polubił mnie i moje dzieci. Zaprosił nas do domu, a potem powiedział, że możemy z nim zamieszkać. Że będziemy rodziną, taką, jaką mieliśmy dawno temu, w Bośni...

- I jest tak jak dawniej? - Min spojrzała na Amrę. Kobieta pochyliła głowę.

- A jak myślisz? - zapytała.

Min nie odpowiedziała. Dopiła kawę i postawiła filiżankę na blacie.

- Moglibyście wrócić - powiedziała. - Wojna już się skończyła.

Ale Amra potrząsnęła głową.

- Nie ma powrotu. Tam jest za dużo wspomnień, za dużo zdrady. Nikomu nie można już ufać.

- Zawiozę cię do domu - rzekł Conor. - Mogłabyś poczęstować mnie kolacją...

- Dobry pomysł! - Min odwróciła się ku niemu. - Naprawdę niezły... Dziś mamy na kolację paluszki rybne i frytki, a na deser lody. Jeżeli będę miała szczęście, to może między gotowaniem i jedzeniem uda mi się usiąść na chwilę, obejrzeć wiadomości i wypić kieliszek wina, oczywiście, jeśli Vika nie umówiła się na randkę...

- Vika?

- Moja opiekunka do dzieci, Rosjanka. Ma ogromne powodzenie wśród chłopców z sąsiedztwa. Mogę się założyć, że lada dzień powie mi, że właśnie się zaręczyła, no i niedługo potem urodzi dziecko. Może zresztą odbędzie się to w odwrotnym porządku - najpierw dziecko, później zaręczyny... Tak czy inaczej, na pewno dostanie wizę pobytową, a ja będę musiała szukać nowej opiekunki.

- Rozumiem, że oznacza to uprzejmą odmowę.

- Tak jest, chociaż nie wiem, czy określenie „uprzejma” jest w tym wypadku właściwe. Zapas uprzejmości skończył mi się już jakiś czas temu.

- Więc dostałem czarną polewkę?

- Otóż to... - Rzuciła mu nieco rozbawione spojrzenie. - Chyba oglądasz za dużo amerykańskich filmów. Odmowa to odmowa, kolego. Jesteś przecież młody i wolny, więc dlaczego nie pojedziesz do jakiegoś modnego lokalu, pełnego atrakcyjnych dwudziestek w powiększających piersi biustonoszach? Korzystaj z życia, dopóki możesz, na miłość boską! Któregoś dnia jakaś miła dziewczyna nauczy się na pamięć twojego PIN-u albo przekona cię, że wspólne konto to nowoczesne, najlepsze rozwiązanie...

- Nie jestem pewny, czy będę miał tyle szczęścia... - westchnął Conor.

- Och, dajże spokój, nie rób z siebie ofiary! Podwieź mnie do domu, a potem wybierz się do miasta i zabaw, ale najpierw odpowiedz na moje pytanie. Co powiedział ci Chris Goulding? Jest pewny, że rzeczywiście widział Nicka Cassidy?

Chris był absolutnie pewny. Amra poszła spać, ale on do późna czytał w łóżku i właśnie miał zgasić światło, kiedy usłyszał jakieś głosy. Krzyki Marianne, potem głos Nicka, również podniesiony. Trzaśnięcie drzwiami, szybkie kroki.

- Nie mogłem się powstrzymać i zachowałem się jak typowy wścibski sąsiad - wyznał. - Wstałem i wyjrzałem przez okno, lekko rozchylając zasłony. Widziałem, jak wychodziła. W pierwszej chwili pomyślałem, że pójde za nią i zapytam, czy nie chciałaby zostać do rana u nas, ale zaraz uświadomiłem sobie, że Amra ma dość kłopotów z Emirem i na pewno nie potrzebuje w domu jeszcze jednej osoby z zaburzeniami psychicznymi. Wróciłem do łóżka, lecz nie mogłem zasnąć i trochę sobie poczytałem. Jakies pięć minut później, może trochę więcej, usłyszałem, że ktoś znowu otwiera drzwi. Wyjrzałem jeszcze raz i zobaczyłem idącego ścieżką Nicka Cassidy. Śpieszył się, zmierzał w tym samym kierunku, co Marianne. Przypuszczałem, że idzie po nią, że chce sprowadzić ją z powrotem...

- Skąd mógłby wiedzieć, dokąd poszła? Mogła dojść do głównej ulicy i pójść gdziekolwiek, prawda? Nie mógł odgadnąć, że wybierze się akurat na tory.

- Ach, i tu nie ma pan racji! Mógł odgadnąć - oznajmił Chris z triumfalnym wyrazem twarzy. - Widzi pan, wszystkie okoliczne dzieciaki przechodzą przez fazę włóczenia się w pobliżu torów kolejowych. To szczytowa forma złego zachowania i dlatego szalenie mądra. Wszyscy to kiedyś robiliśmy. Piliśmy wino i piwo przy torach, a potem godzinami łaziliśmy po tunelach. To niebezpieczne, ale zabawne. Nick wiedział o tym, ponieważ kiedyś Marianne zabrała ze sobą Owena na tory, ktoś z sąsiadów przypadkiem ich zobaczył i powiedział Cassidym. Zdarzyło się to tylko raz, ale Nick i Susan wpadli w szał i nakrzyczeli na Marianne. Dlatego jeżeli Nick chociaż chwilę się zastanowił, na pewno pomyślał o torach i poszedł tam za nią. Jestem o tym przekonany.

- To coś nowego... - Min popukała się wskazującym palcem w czoło. - Nigdy nie słyszałam o modzie na wycieczki do kolejowego tunelu... Goulding chyba coś zmyśla.

- Nie wiem, mnie wydało się to całkiem prawdopodobne. - Conor zmienił bieg i zwolnił przed światłami. - Jeśli połączymy to z tym, co już mamy, złoży się to na wiarygodną całość, nie sądzisz?

Min nie odpowiedziała.

- Wszystko to razem jest bardzo dziwne, prawda?

Odwrócił się i spojrzał na nią, wybijając palcami nerwowy rytm na kierownicy.

- Co takiego?

- Ta dzielnica... Cudowne miejsce do mieszkania i wychowywania dzieci, tak mogłoby się wydawać. Wszędzie domy zamożnych przedstawicieli klasy średniej, spokojne, bezpieczne ulice... A jednak... - przerwał, znowu przyspieszając. - A jednak ośmioletni Owen Cassidy w środku dnia znika, jakby go nigdy nie było, rozwiewa się w powietrzu... Brak powodu ewentualnego porwania, brak poszlak, brak czegokolwiek. Dziesięć lat później dziewczyna, która się nim opiekowała, zostaje brutalnie pobita i zgwałcona, napastnik rozbija jej głowę o mur, co kończy się śmiercią ofiary... Dzieje się to w odległości kilkudziesięciu, no, może kilkuset metrów od

tych miłych, wygodnych domów i śpiących w nich sympatycznych rodzin... Właśnie tutaj, wcale nie w żadnej marnej, podejrzanej dzielnicy, zamieszkaney przez dzikich ludzi...

- Dzicy ludzie, jakie ładne określenie... - Min uśmiechnęła się w mroku. - Przypomina mi tę cudowną książkę dla dzieci, *Tam, gdzie mieszkają dzikie stworzenia*. Znasz ją?

Conor potrząsnął głową.

- Tam, gdzie się wychowywałem, nikt nie wydawał pieniędzy na książki dla dzieci.

- Tak?

- Och, nieważne... Może kiedyś ci o tym opowiem... - Samochód zwołnił i wjechał w uliczkę Min. - To tutaj, prawda? Jaki numer?

- Sześć, już tutaj. Dzięki, Conor. - Schyliła się i podniosła torbę. - Ciekawe, że opisałeś tę dzielnicę w podobny sposób jak ta Bośniaczka, Amra... - Zaczęła zapinać kurtkę, owinęła szyję szalikiem. - Wyznała mi, że wcale jej się tutaj nie podoba. „Za dnia wszystko wydaje się ładne i bezpieczne”, powiedziała. „Tak samo było w Sarajewie. Później człowiek nie był pewny dnia ani godziny, nikt nie wiedział, gdzie ukrywają się snajperzy, bo oni przechodzili z budynku do budynku. Jednego dnia można było spokojnie przejść jakąś ulicą, ale już następnego zarobić tam kulkę. Trafiali się snajperzy, którzy polowali na specjalne cele, na przykład tylko na kobiety. Zdarzało się, że strzelali kobietom w brzuch, żeby nie mogły mieć dzieci, albo celowali w pierś. Nie po to, żeby zabić, ale aby zranić, okaleczyć...”. Przecież tutaj jest całkowicie bezpiecznie, odparłam. „Nie”, powiedziała. „Niedaleko od tego placu jest miejsce, gdzie ludzie codziennie kładą świeże kwiaty i zapalają świece. Często chodzę tam z dziećmi. Kiedyś zamordowano tam młodą dziewczynę. Zatrzymujemy się i patrzymy, przynosimy kwiaty i układamy je na ziemi. Ta dziewczyna miała na imię Lizzie. Nikt nie wie, kto ją zabił, nikt nic nie widział, ale przecież ktoś musi wiedzieć, co ją spotkało. Ktoś musiał ukryć zabójcę, tak samo jak w Sarajewie ktoś zawsze wpuszcza snajpera do budynku. Ktoś udaje, że jest hydraulikiem albo elektrykiem... Więc gdzieś w tej okolicy, może całkiem niedaleko, żyje człowiek, który wie, kto zabił tę dziewczynę”.

- Och, jasne... - Conor wyjął papierosy i zapalniczkę. - To była znana sprawa. Morderstwo popełnione wiele lat temu, zanim ty i ja trafiliśmy do policji, pamiętasz?

Min siedziała z wzrokiem utkwionym w okna swojego domu. Za zaciągniętymi zasłonami poruszały się cienie.

- Tak, oczywiście. Sprawa Lizzie Anderson, pierwsza połowa lat osiemdziesiątych. Osiemdziesiąty trzeci, może czwarty. Ludzie wciąż o niej mówią. Przysięgli długo nie wracali do sali, zastanawiając się, czy oskarżony, Matthews, powinien zostać skazany. Niektórzy są przekonani, że to on zabił Lizzie Anderson, ale miał szczęście, bo policji nie udało się zgromadzić odpowiednio obciążających dowodów, lecz znam też takich, którzy nie mają cienia wątpliwości, że tamtej nocy dziewczyna spotkała się z innym mężczyzną, z mordercą.

- To było w osiemdziesiątym trzecim, jestem pewny. A wiesz, dlaczego? - Przytknął płomyk do końca papierosa i zaciągnął się głęboko. - W Internecie jest strona poświęcona Lizzie Anderson. Znajdują się tam jej najróżniejsze zdjęcia - jako niemowlęcia, małego dziecka, fotografie szkolne... Niektórzy wpisują tam swoje fantazje na temat Lizzie. Policja próbowała zlikwidować tę stronę, ale ona wciąż pojawia się od nowa. Internetu nie sposób ograniczyć ani powstrzymać...

- Nie sposób? Strasznie defetystyczne podejście...

Conor wzruszył ramionami.

- Może i tak, ale prawdziwe. Wiem coś o tym.

Min otworzyła drzwi, wysiadła i schyliła się do okna.

- W końcu to ty jesteś ekspertem w tej dziedzinie - powiedziała.

Wyprostowała się, spojrzała na dom i znowu przeniosła wzrok na Conora.

- Dziękuję...

- Za co? - zdziwił się.

- Moim zdaniem przez cały czas, który spędziliśmy dziś razem, nie wypaliłeś co najmniej piętnastu papierosów. Powinieneś wiedzieć, że zauważyłam to i doceniam...

Conor wypuścił z ust kłęb szarego dymu.

- Teraz szybko to nadrobie. Lepiej idź już, zanim zawartość tlenu w samochodzie i najbliższej okolicy spadnie poniżej bezpiecznego poziomu.

Roześmiała się i odeszła, potem jednak odwróciła się i pomachała mu na pożegnanie. Patrzył, jak otwiera drzwi. Zobaczył dwie małe figurki, które jak na zawołanie pojawiły się w progu z wyciągniętymi ramionami. Przez moment widział ich pełne miłości buzie. Min przykucnęła i mocno objęła swoich chłopców. Drzwi zamknęły się za nią, odgradzając od niego tamtych troje. Conor włączył silnik i powoli odjechał.

Rozdział dwudziesty drugi

Procedura była prosta i bolesna. Nick usiadł na taborecie, a laborantka wyrwała mu kilkanaście włosów z głowy i umieściła je w plastikowej torebce. Nie omieszkała poinformować go, że aby próbka była reprezentatywna, włosów powinno być co najmniej dziesięć, a następnie poleciła mu rozpiąć spodnie, zdjąć kalesony i pozwolić wyrwać sobie tyle samo włosów łonowych. Nick skrzywił się i utkwił wzrok w drukowanych uwagach na ścianie, nie chcąc patrzeć na jasnowłosą głowę kobiety, pochyloną nad najbardziej intymnymi częściami jego ciała. Skoncentrował się i zaczął czytać. Była to lista części ciała ofiary gwałtu, które należy poddać dokładnym oględzinom i badaniu. Wejście do pochwy, pochwa, kanał rodny, wargi sromowe, włosy łonowe, okolice łona, pośladki, kanał analny, miejsca pod paznokciami... Przyszło mu do głowy, że takie badanie niewiele różni się od gwałtu.

- Gotowe... - Laborantka się wyprostowała. - Teraz proszę otworzyć usta, dobrze?

Nick odchylił głowę do tyłu i spełnił jej polecenie. Potarła wewnętrzną stronę jego policzka wacikiem, który umieściła w następnej torebce.

- Świetnie - powiedziała. - Najprzyjemniejszą część mamy za sobą. Proszę jeszcze podwinąć rękaw, w porządku? To potrwa tylko chwileczkę...

Nie patrzył. Czuł, jak gumowy pas zaciska się wokół ramienia i jak jej dwa palce kilkakrotnie uderzają w żyłę po wewnętrznej stronie ręki.

- Wziąć głęboki oddech! - rzuciła.

Czubek igły przekłuł skórę i zanurzył się głębiej. Nick wypuścił powietrze z płuc i znowu je wciągnął, powoli licząc do dziesięciu.

- Skończyłam - oznajmiła. - Może pan się rozluźnić i otworzyć oczy.

Popatrzył na nią uważnie, zastanawiając się, co o nim myśli. Czy uważa go za mordercę i gwałciciela? Boi się go? Może już go osądziła, zaszufladkowała w pamięci jako czarny charakter, kto wie... Szare oczy kobiety były spokojne, nawet beztróskie, jej uśmiech ciepły, ale neutralny.

- Załatwione - powiedziała, odwracając się twarzą do blatu z próbkami. - Jest pan wolny...

I znowu się uśmiechnęła.

Obudził się wcześniej, przekonany, że prawie w ogóle nie spał. Chwilę leżał w ciemności, ciasno otulony kołdrą, i nasłuchiwał. Słyszał, jak ktoś włącza radio w kuchni na górze i lekkie, szybkie kroki Susan. Najwyraźniej wybiera się dzisiaj do pracy, pomyślał. Miał nadzieję, że czuje się już lepiej, ale trochę w to wątpił. Wsunął spod przykrycia lewą rękę, chcąc spojrzeć na zegarek, i wtedy przypomniał sobie, co się stało. Wokół przegubu, tam, gdzie niedawno znajdował się pasek od zegarka, widział białą skórę, odcinającą się od reszty ramienia. Utkwił w niej wzrok, usiłując dociec, kiedy i gdzie ostatni raz widział zegarek. Przez krótką, przerażającą chwilę myślał nawet, że może oni mają rację, może rzeczywiście zrobił to, o co go oskarżyli. Czy poszedł za Marianne na tory, podkraść się od tyłu, zaatakował ją, uderzył głową o ścianę tunelu i zostawił na pewną śmierć? Czy wtedy chwyciła go za przegub lewej dłoni i w czasie szamotaniny rozerwała nadwyreżony pasek, przez co zegarek upadł na ziemię? I czy później, kiedy zamknięci w śmiertelnym uścisku zataczali się raz w jedną, raz w drugą stronę, but Marianne zmiażdżył szkło, w efekcie czego małe drzazgi utkwiły w zagłębieniach podeszwy? Może właśnie teraz powinien wziąć na siebie odpowiedzialność, ponieść karę, odpokutować za wszystkie grzechy i zbrodnie przeszłości... Może teraz nadszedł właściwy moment...

Odrzucił kołdrę i wstał. Zrobił sobie herbatę i oczyścił piecyk, czerpiąc pewną pociechę ze znajomego rytuału rozpalania ognia. Ze stojących pod ścianą pudeł wyciągnął kilka garści swoich starych rysunków i podsycał nimi płomień, potem zaś patrzył, jak ogień zaczyna tańczyć, jaśniejszy i cieplejszy od wszystkich kolorów, którymi kiedyś posłużył się, tworząc ilustracje.

Usiadł na podłodze z kubkiem gorącej herbaty w ręku, zapatrzony w płomień. Dopiero po dłuższej chwili rozejrzał się, spojrzawszy na inne leżące na podłodze rysunki. Były to szkice do książki *Syn gwiazd*.

- Dlaczego zdecydowałaś się na akurat tę bajkę Wilde'a? - zapytała Susan. - Dlaczego nie wybrałaś szczęśliwego księcia albo samolubnego olbrzyma? To bajki o nich cieszą się największą popularnością...

- Tak, ale one są zbyt piękne - odparł, starając się uzasadnić swój wybór. - Syn gwiazd odrzuca własną matkę, ponieważ przychodzi ona do niego przebrana za żebraczkę. Z tego powodu Syn gwiazd traci urodę i staje się przedmiotem pogardy wszystkich. Aby odpokutować winę, musi podjąć się serii pozornie niewykonalnych zadań, a właściwie dobrych uczynków. Dopiero po ich dokonaniu znowu staje się piękny i wraca do ojca i matki.

- Którzy przypadkiem są królem i królową! - prychnęła Susan. - Ładna bajeczka, Oscarze...

- Tak jest, mówimy o bajce, gdzie wszystko dzieje się w innej rzeczywistości, ale ta ma ważne przesłanie - dobroć liczy się bardziej niż uroda...

Rzuciła mu pełnie niedowierzania spojrzenie.

- Niezwykłe stwierdzenie z ust człowieka, dla którego warstwa zewnętrzna to istota rzeczy...

- Najlepszy dowód, że nikogo nie można sądzić po pozorach, moja droga.

- No, dobrze, niech ci będzie, ale zakończenie wcale mi się nie podoba. Bo co ono właściwie mówi? Syn gwiazd nie panuje długo jako król, ponieważ za wiele wycierpiał, a ten, który obejmuje tron po nim, rządzi źle. Co to ma znaczyć, na miłość boską?

- Że każdy czyn ma swoje konsekwencje, w każdym razie tak mi się wydaje. Na tym świecie nie ma nic absolutnie nieskażonego, nawet w świecie bajek. Chyba właśnie to chce powiedzieć Wilde. I to mi się podoba. Można pokazać ludziom, czarno na białym, że nic nie uchodzi nam na sucho...

Był szczęśliwy w swoim studiu, kiedy pracował nad rysunkami, a Owen kręcił się u jego stóp. A może tylko wydawało mu się, że jest szczęśliwy? Może pamięć już dawno zaczęła go zawodzić? Czy rzeczywiście pamiętał, co wydarzyło się tamtego dnia, dziesięć lat temu? Podniósł się z podłogi i sięgnął po plik fotokopii zeznań, spoczywający w plastikowej torbie, którą przyniosła mu Min. Przerzucił kilkadziesiąt kartek, zanim znalazł swoje zeznanie. Usiadł i zaczął czytać.

Zeznanie złożone w obecności sierżanta Andy'ego Carolana, 5 listopada 1991 roku.

Nazywam się Nicholas Patrick Cassidy. Mieszkam przy Victoria Square, w domu pod numerem 26, w Dun Laoghaire. Jestem ilustratorem książek i grafikiem, pracuję na własną rękę. Trzydziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku wyszedłem z domu koło 12.30. Najpierw pojechałem do pubu Goggins w Monkstown, gdzie miałem spotkać się z moim wydawcą, Alison McHenry. Wypiliśmy drinka i wstępnie omówiliśmy nowy projekt, nad którym zamierzałem zacząć pracować. Wyszedłem z pubu o 13.30 i udałem się do supermarketu Quinsworth w Dun Laoghaire. Kupiłem tam dwie butelki wina i wróciłem na Victoria Square, ale nie do domu. Pamiętam, że kiedy koło 14.00 skręciłem z głównej ulicy na plac, zobaczyłem syna, Owena Cassidy'ego, idącego z naprzeciwka ze swoim przyjacielem, Luke'em Reynoldsem. Nie zauważyli mnie, a ja wolałem nie zwracać na siebie ich uwagi. Przypuszczałem, że opiekunka Owena, Marianne O'Neill, na pewno jest gdzieś w pobliżu i nie chciałem, by Owen mnie zobaczył, bo szedłem do Giny Harkin, mieszkającej przy Victoria Square pod numerem 23. Przez ostatnie dwa miesiące miałem z nią romans i widywałem się z nią regularnie, co najmniej trzy razy w tygodniu. Nasza znajomość miała charakter seksualny niemal od samego początku. Do domu Giny dotarłem koło 14.10, a wyszedłem od niej koło 17.20. Planowałem wyjść wcześniej, ale wypłem sporo alkoholu i koło 16.15 zasnąłem. Kiedy wróciłem do domu, moja żona, Susan, już tam była. Niepokoiliła się, ponieważ nie wiedziała, gdzie jest nasz syn. Myślałem, że Owen znajduje się pod opieką Marianne O'Neill, lecz kiedy Marianne zjawiała się w domu, powiedziała Susan, że kazała mu iść i pobawić się z Luke'em, jego przyjacielem. Marianne sądziła, że Owen i Luke pobiegają trochę po placu, a później pójdą do domu Luke'a. Gdy Susan zadzwoniła do pani Reynolds, matki Luke'a, dowiedziała się, że Luke wrócił do domu koło 14.30 i oboje także nie mieli pojęcia, gdzie podziewa się Owen. Moja żona bardzo się zdenerwowała, więc natychmiast wyszedłem szukać syna. Przeszukałem plac i okoliczne uliczki, zaglądając do wszystkich sklepów, pytając o Owena. Później wstąpiłem jeszcze do Chrisa Gouldinga, który mieszka obok, i poprosiłem go o pomoc. W poszukiwaniu poza Chrisem włączyło się kilku innych sąsiadów. Odwiedziliśmy wszystkie miejsca, w których mógł być Owen. W czasie mojej nieobecności żona doszła do wniosku, że powinna wezwać policję, ale ponieważ było to święto Halloween, radiowóz przyjechał dopiero po

godzinie. Wciąż szukałem Owena, a gdy wróciłem, na miejscu byli już policjanci, którzy zdecydowali, że trzeba przystąpić do poszukiwań na pełną skalę. Resztę wieczoru i noc spędziłem przy telefonie, bezskutecznie czekając na jakąś wiadomość o synu. Nie wiem, co przydarzyło się Owenowi tamtego dnia ani co działo się z nim w następnych dniach.

Z każdym zdaniem zalewała go coraz silniejsza fala wstydu. Chciał zapomnieć, jak tamtego dnia dopuścił się zdrady wobec Owena, jak przylgnął do ściany i z zapartym tchem obserwował obu chłopców, włączających się bez celu po placu. Dałby wszystko, żeby wymazać z pamięci, jak przystanęli, aby popatrzeć na przygotowany stos drewna, i jak Luke podniósł kilka gałęzi, które stoczyły się na bok, a potem rzucił je mocno na drugą stronę placu, Owen pobiegł po nie, pozbierał, przyniósł w ramionach troskliwie niczym małe dziecko i starannie ułożył na wierzchu. Sprawdził, czy dobrze leżą, czy znowu nie spadną i dopiero wtedy odwrócił się i poszedł za Luke'em, który już zmierzał w kierunku głównej ulicy... Nick zaczekał, aż znikli i ruszył dalej, do domu Giny. Pośpiesznie zdusił wątpliwości, czy aby na pewno dobrze postąpił, zostawiając chłopców samopas. Powtarzał sobie, że Marianne na pewno jest gdzieś blisko, a zresztą Bridget Reynolds także musi wiedzieć, gdzie są Owen i Luke. Jasne, że wie, jakże inaczej? Ileż to razy oni zajmowali się Luke'em... Zapraszali go na podwieczorek i na kolację z nocowaniem... Znosili jego fatalne maniery i opryskliwość, więc może teraz Bridget powinna włączyć się do gry...

Jednak w głębi serca przez cały czas wiedział, że zrobił źle. Że wyparł się własnego syna. Odwrócił się do niego plecami, zignorował go, poświęcił jego dobro, by dogodzić samemu sobie. Wiedział też, że wcześniej czy później zapłaci za wyrządzone Owenowi zło.

Wyszedł z komisariatu, wciąż czując ból w ramieniu. Był już na parkingu, kiedy ktoś go zawołał. Odwrócił się i zobaczył Jaya O'Reilly'ego, który szedł ku niemu z plikiem teczek w jednej ręce i telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha.

- Chwileczkę, panie Cassidy, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu... - Szerokie, pozornie przyjazne machnięcie ręką przeistoczyło się w przyzywający gest.

Nick przystanął i czekał. O'Reilly zakończył rozmowę i schował komórkę do kieszeni.

- Cieszę się, że jeszcze tu pana złapałem... Chciałem właśnie do pana dzwonić. Sytuacja trochę się zmieniła...

- Tak? - Serce Nicka podskoczyło gwałtownie. - To znaczy?

- Mamy świadka, który twierdzi, że widział, jak wychodził pan z domu kilka minut po odejściu Marianne. I że poszedł pan w tym samym kierunku co ona. Obawiam się, że musimy poprosić pana o stawienie się na komisariacie w celu dalszego przesłuchania. Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda? Trzeba to wyjaśnić, tak czy inaczej...

Nick milczał. Był zmęczony, bolała go nakłuta do pobrania krwi żyła.

- Kiedy? - zapytał. - Przed chwilą wyszedłem z laboratorium. Współpracuję z wami, zrobiłem wszystko, o co wam chodziło. Na razie.

- Oczywiście, oczywiście! Szczerze doceniamy pańskie zachowanie, może mi pan wierzyć. Trzeba jednak powiedzieć, że w tej chwili mamy już sporo dowodów przeciwko panu. Systemy prawne innych państw, na przykład Anglii, są znacznie mniej łagodne od naszego - tam najprawdopodobniej już siedziałby pan w aresz-

cie. Na szczęście my nie jesteśmy takimi formalistami, panie Cassidy. A jeśli chodzi o termin przesłuchania, to ustalimy to telefonicznie, dobrze? Będziemy z panem w kontakcie. Nie planuje pan żadnego wyjazdu, mam nadzieję? Niedługo zadzwonię i umówimy się na spotkanie w komisariacie, w porządku?

Nie miał ochoty wracać do domu. Wolał pójść gdziekolwiek, byle nie tam, poszedł więc nad morze. Od zatoki ciągnął ostry wschodni wiatr.

Skąd bierze się ten wiatr, tato?

Aż z Rosji, Owenie, a nawet z jeszcze dalej położonego regionu, zwanego Syberią. Zimą śnieg zalega tam na wysokość trzech metrów, a ziemia zamarza tak mocno, że przez kilka miesięcy po prostu nie da się wykopać w niej choćby najmniejszego dołka.

Czy ten śnieg w ogóle topnieje, tatusiu?

Oczywiście. Wiosną zmienia się w wodę i spływa zboczami wzgórz do strumieni, strumienie zasilają rzeki, które po przebyciu tysięcy kilometrów wpadają do morza. Wiesz, co wtedy się dzieje?

Co takiego, tato?

W morzu woda staje się słona. Wody wszystkich mórz i oceanów łączą się i mieszają. Rozumiesz, co to znaczy, mały?

To znaczy, że deszcz, który pada na Syberii, kończy w morzu, po którym ja mogę pływać, tak, tato? Zawsze mi o tym opowiadałeś i wreszcie zapamiętałem, jak to jest...

Ruszył pod górę, cichymi uliczkami, które tak dobrze znał. Kiedy znalazł się na placu, zobaczył, że Susan stoi przed domem z parą starszych ludzi. Wyglądali jakoś znajomo... Nagle uświadomił sobie, że patrzy na rodziców Marianne, Jacka i Marię O'Neill. Ich twarze były białe jak papier, znieruchomiałe w szoku, oczy zaczerwienione. Natychmiast domyślił się, gdzie byli. Zwolnił kroku. Odwrócili się.

- Bardzo mi przykro... - odezwał się. - Nie wiem, co powiedzieć...

Jego słowa padały ciężko, jak ołowiane odważniki.

- A co mógłbyś powiedzieć? - Z twarzy Marii O'Neill spojrzały na niego oczy jej córki. - Czy naprawdę mam uwierzyć, że ci przykro, iż tak się stało? Że nie chciałeś tego? Że żałujesz? Czy możesz szczerze powiedzieć którąś z tych rzeczy albo wszystkie naraz?

- Mario... - Jej mąż objął ją i spróbował odwrócić ku sobie.

Susan drgnęła i położyła dłoń na balustradzie schodów.

- Wiesz, gdzie przed chwilą byliśmy? - Maria O'Neill odepchnęła ramię męża. - Byliśmy w kostnicy. Zidentyfikowaliśmy ciało naszej córki, jej doczesne szczątki, jak mówią niektórzy. W tym przypadku określenie „szczątki” jest niezwykle trafne...

- Mario... - Nick postąpił krok w jej stronę.

- Nie mów do mnie: „Mario”! Jak śmiesz?! - Kobieta cofnęła się gwałtownie, z jej oczu popłynęły łzy.

- Mario... - zaczął znowu.

W tej samej chwili nad jej ramieniem zobaczył Chrisa i Emira, zmierzających w ich kierunku. Emir podskakiwał, Chris niósł torby z zakupami.

- Bardzo mi przykro - powtórzył Nick. - Wierz mi, nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Marianne. Proszę, musisz mi uwierzyć. To nie ja ją skrzywdziłem. Może okazałem się niewrażliwy na jej potrzeby, ale

błagam, błagam, żebyś mi uwierzyła. Przecież nie możesz myśleć, że po tym wszystkim, co przeżyliśmy, chciałbym zadać komukolwiek takie cierpienie, jakiegokolwiek matce czy ojcu... Wiesz o tym, prawda? Musisz to wiedzieć, musisz mi uwierzyć...

Odwróciła się do niego z twarzą zeszywniałą z wściekłości, z mocno zaciśniętymi ustami.

- Nie, nie wiem! Wiem tylko, że moja córka nie żyje! - krzyknęła. - Nie wiem nic poza tym! I w nic poza tym nie wierzę, nigdy już nie uwierzę...

Chłopiec przebiegł obok niej i zatrzymał się przed Nickiem. Wyciągnął rękę i ujął jego dłoń. Maria O'Neill obejrzała się i zobaczyła Chrisa. Gdy podszedł, objęła go, a on odwzajemnił jej uścisk. Oparła głowę na jego ramieniu i zaczęła szlochać. Chris głaskał ją po włosach, mamrotał jakieś słowa i po pewnym czasie jej płacz ucichł.

- Jakoś to będzie, jakoś będzie - powtarzał Chris. - Zobaczysz...

Delikatnie popchnął ją w stronę męża. Jack O'Neill wziął żonę za rękę i łagodnie odciągnął. Razem weszli na schody, Susan przytrzymała drzwi i zamknęła je za nimi. Zapadła cisza.

Chris podniósł z ziemi torby z zakupami.

- Chodź, Emir, na nas już czas. - Chwycił chłopca za przegub dłoni i lekko szarpnął, usiłując odsunąć małego od Nicka.

Emir szarpnął się w drugą stronę, cicho pojękując.

- Zostaw go w spokoju, Chris - rzucił Nick. - I mnie także, skoro już mamy okazję zamienić parę słów...

Chris spojrzał na niego i uśmiechnął się sztywno.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Nie wiesz, naprawdę? Myślę, że wiesz, doskonale wiesz, o czym mówię. To byłeś ty, tak?

- Ja? Co, ja?

- Ty powiedziałeś policji, że widziałeś mnie, idącego za Marianne. Widziałem, jak spieszyło ci się do nich, kiedy wyszli ode mnie, widziałem, jak zawrócili, żeby z tobą porozmawiać. Wiem, że to ty, chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego skłamałeś. Po co? Z jakiego powodu?

Nick wyciągnął palce obu dłoni i pchnął Chrisa w pierś. Poczł jego mostek, twardy i nieustępliwy, i pchnął go jeszcze raz, mocniej, tak mocno, że ten zatoczył się do tyłu.

- Hej, nie rób tego! Dosyć, zostaw mnie w spokoju! - Chris podniósł głos.

Niezgrabnie machnął ramieniem i uderzył Nicka w bark.

- Więc zrobiłeś to ot, tak sobie, co? - Nick poczuł, jak nagły gniew ogarnia go gorącą falą. - Dlaczego? Nie masz pojęcia, jak skomplikowałeś mi życie. Nie rozumiem cię, Chris. Jaką upatrujesz w tym korzyść?

Popchnął go znowu i tym razem Chris upadł do tyłu. Nick pochylił się nad nim. Chwycił go za kłapy kurtki i potrząsnął mocno, tak, że głowa Chrisa podskakiwała, o mały włos nie obijając się o kamienne stopnie.

Nagle usłyszał krzyk Susan.

- Co ty wyprawiasz, na miłość boską?! Jak śmiesz się tak zachowywać, i to właśnie tutaj, teraz! Zostaw go, draniu, puść go!

Podniósł głowę i zobaczył ją, stojącą w otwartych drzwiach domu. Z okna salonu patrzyli na niego rodzice Marianne. Dobiegł go jęk dziecka, a gdy spojrział na chłopca, ujrzał łzy, spływające po jego pobladłej, mizernej buzi.

Znowu zaczął padać deszcz.

Czekał na telefon od O'Reilly'ego, czekał całe popołudnie. Siedział przed piecykiem i wrzucał do niego swoje obrazy. Powietrze w pokoju przesiąknięte było zapachem palącego się papieru i farby. Deszcz ostro zaczął o szyby, niebo robiło się coraz ciemniejsze.

Poszedł do kuchni i zrobił sobie herbatę, potem stanął przy oknie i utkwił wzrok w ogrodzie. Nagle zobaczył, jak gałęzie krzewu budlei pod murem drżą gwałtownie i wybiega spod nich drobna, zgięta postać. Ujrzał przyciśniętą do szyby twarz, szybko otworzył drzwi i wpuścił chłopca do środka. Poczul, jak mały obejmuje go za nogi i przyciska brudną buzię do jego kolan.

Nick przysiadł na piętach, wziął Emira w ramiona, przytulił go i pocałował. Potem zaniósł na sofę i wygodnie posadził w ciepłe. Dał chłopcu kubek czekolady i herbatnika, okrył kocem i długo słuchał równomiernego oddechu. W końcu sam także usnął, z głową opartą na ramieniu dziecka.

Ocknął się nagle, gwałtownie. W pokoju było ciemno i tylko ekran laptopa świecił zimną jasnością. Chłopiec siedział nieruchomo, z jedną ręką na klawiaturze, a drugą na myszy. Nick wyprostował się, przeciągnął i ziewnął.

- Hej, Emir, co się dzieje? Co robisz?

Mały nie odpowiedział. Jego plecy były napięte, sztywne. Zdjął rękę z klawiatury i szarpnął pasek spodni. Nick podniósł się i podszedł do niego.

- Chcesz czegoś? - zapytał. - Jesteś głodny? Chcesz pójść do toalety?

Pochylił się nad Emirem i zerknął na monitor. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi. Na ekranie widać było chłopca, mniej więcej w tym samym wieku jak ten, którego dłoń poruszała komputerową myszą. Chłopiec był nagi. I nie był sam. Na oczach Nicka chwyciła go duża męska ręka, która zaczęła obmacywać drobne ciało, głaskać, ścisnąć, trącać, sięgać głębiej, manipulować, wreszcie wymierzać klapsy i uderzenia.

- Co ty robisz?! - Nick złapał Emira za ramiona i odwrócił go twarzą do siebie, ale chłopak wyśliznął się z jego uścisku.

Uśmiechał się, na jego twarzy malował się wyraz triumfu. Drobna ręka poruszała się z absolutną pewnością, przesuając mysz to w tę, to w tamtą stronę, ściągając na ekran coraz więcej ujęć. Oslupiały Nick patrzył na paradę małych chłopców, pokaz okrucieństwa, chciwości i pożądania.

- Nie, zostaw to! - krzyknął, próbując ściągnąć Emira z krzesła. - Nie rób tego, przestań!

W końcu udało mu się zepchnąć małego na podłogę. Usiadł na jego miejscu, przesunął kursor i patrzył, jak obrazki się cofają. Jak chłopiec ze zdjęć, na końcu rzucony na podłogę niczym zużyta szmata i zalany łzami, zmienia się w chłopca siedzącego na sofie i bawiącego się ciężarówką. Kiedy poczuł dłoń Emira na swoim udzie i małe palce zmierzające w kierunku jego krocza, spojrział na niego szeroko otwartymi oczami. Emir kłęczał przed nim i uśmiechał się, pokazując wszystkie zęby. Wysunął język i powoli, z rozmysłem przejechał nim po dolnej wardze. Potem wychylił się do przodu i oparł policzek o kolano Nicka, ani na chwilę nie przestając dotykać dłonią jego uda.

- Nie! - Nick zerwał się na równe nogi i odepchnął chłopca. - Nie, Emir, nie! Nie to, nie! Nigdy!

Uderzył pięścią w stół tak mocno, że zdjęcia na ekranie zadygotały i rozsypały się na mniejsze fragmenty. Wyraz twarzy Emira zmienił się w jednej chwili. Teraz Nick widział lęk, panikę, ból i całkowite niezrozumienie. Mały rzucił się do tyłu, podobny do przestraszonego zwierzątka, jak oszalały pomknął ku drzwiom do ogrodu. Sięgnął do klamki, nacisnął ją i wypadł na zewnątrz. Nick chwilę patrzył za nim, a potem odwrócił się i spojrzał na chłopca, który wpatrywał się w niego z ekranu, z niemym przerażeniem wypisanym na drobnej, bladej buzi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Cisza na górze i na dole. Kroki na piętrze, od czasu go czasu głosy. Muzyka, ale tylko przez chwilę. Potem odgłos otwieranych i zamykanych frontowych drzwi. Głosy na zewnątrz, warkot włączonego silnika, dwa pasma światła na suficie i znowu cisza. Leżał na sofie i wpatrywał się w płonące serce piecyka. Teraz już wiedział, że potrzebuje pomocy. Podniósł się i przeszedł po pokoju. Zdjął z półki książkę telefoniczną i zaczął przerzucać kartki. Ołówkiem zapisał adres na kawałku papieru, wziął płaszcz z wieszaka na drzwiach i wsunął policyjne dokumenty do torby na laptopa. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Szedł wzdłuż wybrzeża. Minął stację kolejową, skręcił w stronę starego portu, gdzie dawniej rozładowywano węgiel, na chwilę znalazł się w świetle, bijącym z okien klubu jachtowego na końcu moła, potem zanurzył się w mrocznym cieniu, tam, gdzie ścieżka biegła równoległe do morza i torów kolejowych z drugiej strony. Szedł z nisko pochyloną głową. Odgłos jego kroków na żwirze i huk bijących o falochron mas wody brzmiał w jego uszach tak głośno, że teraz wreszcie nie słyszał krzyku chłopca, wybiegającego z pokoju w ciemność. Był przytłumiony i chmury drobniutkich kropelek wody co chwilę napływały nad ścieżkę. Poliznął wargi i poczuł sól, rześki, ostry smak, który sprawił, że zadrżał i głębiej wtulił się w płaszcz. Dotarł do drogi prowadzącej do Blackrock, gdzie kończyła się nadmorska ścieżka, i ruszył wzdłuż długiego szeregu domów, zabezpieczonych przed dotkliwym zimnem blaskiem ciepłych światła. Od czasu do czasu dobiegały go dźwięki muzyki czy odgłosy filmu w telewizji. Szedł teraz w stronę miasta. Wstąpił do sklepu na rogu ulicy po papierosy. Nagle znalazł się w jasnym, ciepłym wnętrzu, wśród tłumu dzieciaków, kupujących słodycze i colę w puszkach. Przepychały się i szturchały, walcząc o miejsce przy ladzie. Na moment ich towarzystwo sprawiło mu przyjemność, zaraz odkrył jednak, że nie jest w stanie znieść gwaru i bliskości innych, i szybko wyszedł w ciemność. Szedł dalej, co jakiś czas skręcając, ulicami, które kiedyś były mu dobrze znane, lecz w czasie jego nieobecności zdążyły się zmienić. Tam, gdzie kiedyś na samej granicy miasta rozciągały się pola, na których między kępami starych, pełnych wdzięku brzoź pasły się krowy i konie, teraz stały nowe, gęsto stłoczone domy.

Przystanął pod latarnią i wyjął z kieszeni kartkę. Porównał adres z zieloną tabliczką na narożnym domu i skręcił w prawo, w ulicę zakończoną łukiem, którego wnętrze wypełniała zieleń. Po obu stronach stały ładne, jednopiętrowe domy z ogródkami i dużymi francuskimi oknami na parterze. Przy krawężniku drzemały zaparkowane samochody, z różnych stron niesło się ujadanie psów. Schylił się, podniósł leżący na boku dziecięcy

rowerek, wyprostował kierownicę i wprowadził go na najbliższy podjazd. Potem podszedł do domu, wyciągnął rękę do dzwonka, ale szybko ją opuścił. Przytknął ucho do drzwi i przez moment słuchał dobiegających z wewnątrz dorosłych głosów. Zszedł na chodnik i stanął pod drzewem wiśni po przeciwnej stronie ulicy. Czekał.

W sypialniach na górze paliły się światła, na tle zaciągniętych zasłon poruszały się cienie. Po paru minutach światła zgasły. Nick potrafił sobie wyobrazić, co teraz dzieje się w tym domu. Zęby umyte, buzie także, książeczki na dobranoc przeczytane, raz, drugi, może nawet trzeci. Małe usta, ściągnięte w dziobek do pocałunku, małe ramiona wyciągnięte do uścisku. Prośby o szklanekę wody, wycieczki do toalety, ostatnie ciasteczko, jeszcze pocałunki, jeszcze pieszczoty. Wreszcie ostatnie „dobranoc” i cisza.

Czekał. Drzwi otworzyły się i w prostokącie światła ukazała się dziewczyna. Przystanęła na progu, zjrzała do torby, pożegnała się, wypowiadając słowa starannie, z wyraźnym, ciężkim akcentem. Zobaczył stojącą w głębi Min. Podała dziewczynie klucze, roześmiała się razem z nią, musnęła jej policzek pocałunkiem, chwilę patrzyła, jak tamta idzie w kierunku wyjścia ze ślepej uliczki i zamknęła drzwi.

Nick oderwał się od pnia wiśni, przeszedł na drugą stronę i kilkoma krokami pokonał krótki podjazd. Nacisnął dzwonek, czując, jak mięśnie karku napinają mu się boleśnie. Drzwi otworzyły się i na jego twarz padło światło.

- Ach, to ty... Czego chcesz?

- Muszę z tobą porozmawiać. Szukam odpowiedzi na kilka pytań. Szczerze mówiąc, potrzebuję pomocy.

- Słuchaj, Nick, przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Sytuacja się zmieniła. Jesteś podejrzany o zamordowanie Marianne O'Neill. Nie powinieneś tu przychodzić. Muszę cię prosić, żebyś wyszedł.

Zrobiła krok do tyłu, położyła dłoń na klamce i chciała zamknąć drzwi, ale on poruszył się w tej samej chwili i napał barkiem na drewniany panel na tyle mocno, że upadła na schody, z wyrazem zaskoczenia i przestraszenia na twarzy.

- Wynoś się! - krzyknęła. - Wynoś się, bo wezwę pomoc!

Wyciągnęła rękę, sięgając po słuchawkę telefonu, stojącego na niskiej szafce.

- Nie rób tego - powiedział głośno. - Proszę cię tylko, żebyś mnie wysłuchała. Nie zrobię ci nic złego i nie chcę ci narobić kłopotów, wierz mi, ale musisz mnie wysłuchać...

Chwycił telefon i wyrwał kabel z obudowy. Przez chwilę trzymał go w ręku jak broń.

- Co ty wyprawiasz?! - W jej głosie brzmiał strach. - Co robisz, na miłość boską?! Wyjdź stąd, zostaw mnie w spokoju!

Wtedy oboje usłyszeli płacz dziecka. Pod balustradą na piętrze ukazała się mała twarz. Min wstała i odwróciła się do chłopca.

- Wszystko w porządku, Joe, wracaj do łóżka. Wszystko w porządku...

Ale teraz obok pierwszego chłopca stanęła druga drobna postać. Malec obrzucił Nicka wojowniczym spojrzeniem i wysunął palec spomiędzy szczebli balustrady.

- Idź sobie, zostaw moją mamusię w spokoju! - krzyknął. - Wynoś się, jesteś zły, wiesz?

Chłopczyk powoli ruszył w dół po schodach, trzymając przed sobą mocno sfatygowanego pluszowego misia.

- Ciiii... - Min wyciągnęła do niego ramiona. - Wszystko w porządku, Jim, nie dzieje się nic złego. Wszystko w porządku, naprawdę...

Nick cofnął się, szybko odstawił telefon na miejsce.

- Przepraszam... - wykrztusił. - Przepraszam, nie chciałem tego... Nie chciałem przestraszyć ciebie ani twoich dzieci. Ja tylko... Ja już nie wiem, co się dzieje...

Kiwnęła głową i popatrzyła na niego uważnie, jedną ręką głaszcząc ciemną głowę synka.

- Tak. Myślę, że wszyscy powinniśmy się uspokoić. Idź do salonu. Zaprowadzę ich do łóżek, a potem porozmawiamy.

W pokoju było ciepło i przytulnie. W kominku trzaskał ogień, na kracie suszyły się dziecinne ubrania, na dwóch czerwonych tornistrach leżały dwa małe stosy szkolnych książek, porządnie poukładane, a nich dwa identyczne piórniki. Nick usiadł w dużym fotelu i zamknął oczy. Nagły powiew wiatru rzucił garść kropli deszczu o szybę. Z góry dobiegały przyciszone głosy. Ktoś odkręcił kran, spuścił wodę w toalecie. Zdecydowany ton Min przeciął protesty. Głośno zawołała ostatnie „dobranoc” i zeszała na dół. Nick podniósł się z fotela.

- Nie... - machnęła ręką. - Nie ruszaj się, to wygodny fotel.

Usiadła naprzeciwko niego.

- A teraz lepiej powiedz dokładnie, o co chodzi.

Kiedy skończył, wstała i poszła do kuchni. Nick siedział z głową w dłoniach. Min wróciła z otwartą butelką wina i dwoma kieliszkami.

- Proszę... - Usiadła i naląła mu wina.

- Dziękuję. - Wypił szybko, dopiero teraz uświadamiając sobie, jaki był zmęczony i spragniony. - I co o tym myślisz?

- Myślę, że wpadłeś w poważne kłopoty. I że potrzebujesz dobrego adwokata. Conor Hickey jest ekspertem w dziedzinie pornografii internetowej, prawdopodobnie wie o tych sprawach więcej niż ktokolwiek inny w kraju. Jeżeli się dowie, zmiecie cię z powierzchni ziemi.

- Ale ja tego nie zrobiłem...

- Masz to na twardym dysku swojego komputera, już to jest przestępstwem. Nie ma znaczenia, jak te zdjęcia tam trafiły - jeżeli je znajdą, będzie po tobie. Cała ta skomplikowana konstrukcja dziecięcej pornografii jest olbrzymia, a metody śledcze, jakimi posługuje się policja do jej wykrywania, stają się coraz bardziej wyrafinowane. Mogliby postawić cię w stan oskarżenia w różnych sprawach, pod różnymi zarzutami. To gównu nie zna żadnych geograficznych granic, jest wszędzie... - Pociągnęła łyk wina. - Chcę ci wierzyć, ale to bardzo trudne. Jak można sobie wyobrazić, że takie małe dziecko, jak ten chłopiec, umie samodzielnie ściągać pliki i posługiwać się nimi? Ile on ma lat? Osiem, dziewięć?

- Dziewięć, ale jego wiek i pozorne zagubienie nie mają tu żadnego znaczenia. Emir jest bystrym chłopcem, który nauczył się wychodzić cało z rozmaitych sytuacji. Nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie, przez co on i jego matka przeszli w czasie wojny w Bośni, nikt, w każdym razie na pewno nie ja. Sądzę, że po takich przeżyciach wszystko jest możliwe.

Wypił wino do dna. Min napełniła jego kieliszek.

- Jest coś jeszcze... Tamtego popołudnia Marianne powiedziała mi coś, o czym nie mogę przestać myśleć. Powiedziała, że wtedy, dziesięć lat temu, słyszała krzyki. Nie ma tego w jej zeznaniu ani w żadnym innym. Przejrzałem wszystkie, które mi przyniosłaś. Popatrz... - Wyjął z torby kilka teczek, rozłożył je przed Min na podłodze. - Tu masz jej zeznanie, tu Chrisa, Róisín i jej chłopaka. Wszystkie brzmią tak samo, słowo w słowo, ale w żadnym nie ma wzmianki o krzykach. Tymczasem Marianne powiedziała mi, że słyszała głośny krzyk. I że widziała krew na ścianach i na podłodze...

- Marianne była pod wpływem LSD, na miłość boską! Odbiła jej ostra palma, nie wiedziała, co słyszy ani co widzi! A kiedy ci to opowiadała, była nienormalna, prawda? Była schizofreniczką, Nick, co jakiś czas przeżywała okresy prawdziwego szaleństwa! Sam nam mówiłeś, że zachowywała się bardzo dziwnie, a kiedy odmówiłeś jej seksu, wpadła w furję, co nie jest normalną reakcją, tak? Czy przypadkiem nie na tym opiera się linia twojej obrony? Czy tym chcesz tłumaczyć ślady zadrapań na swojej piersi, obecność drobinek twojej skóry pod jej paznokciami i twoich włosów na jej ciele? Przecież mówiłeś, że tamtej nocy była zupełnie szalona, prawda?

Nick milczał.

- Nie da się pogodzić obu tych punktów widzenia, przecież wiesz...

- Wiem też, że ktoś próbuje mną manipulować, ktoś mnie wrabia, celowo wpędza mnie w tę sytuację. O'Reilly chce mnie ponownie przesłuchać w związku z zeznaniem świadka, osoby, która twierdzi, że widziała, jak wychodziłem z domu parę minut po Marianne. Wiedziałas o tym? Powiedział mi prosto w oczy, że mogę uważać się za szczęściarza, iż jeszcze nie siedzę w areszcie, wyobrażasz sobie?

Min napiła się wina i skinęła głową.

- Tak, wyobrażam sobie. W czasie następnego przesłuchania O'Reilly zdejmie rękawiczki, Nick. Zaaresztuje cię i przetrzyma przez sześć godzin, a potem następne sześć. I będzie miał nadzieję, że szybko zbierze dość dowodów, by posadzić cię na dobre.

- Czyli wracamy do taktyki zastraszania, tak? Czeka mnie to samo, co wtedy? Ciekawe, czy sprowadzą tamtego gliniarza, żeby znowu trochę mnie poboksował...

Min spojrzała na fotografie nad kominkiem.

- Nie wydaje mi się... - powiedziała cicho.

Podążył za jej wzrokiem, a potem przeniósł spojrzenie na jej twarz, na odbicie płomieni w ciemnych oczach.

- Przepraszam cię... Nie wiedziałem, że był twoim mężem.

Wzruszyła ramionami.

- Skąd miałeś wiedzieć?

- Nie powinienem był źle o nim mówić. Gdybym wiedział, nie zrobiłbym tego.

Powtórzyła ten sam gest, tym razem ze zniecierpliwieniem. W jej głosie zabrzmiała nuta irytacji.

- To bez znaczenia. Nie ty jeden skarżyłeś się na Andy'ego. Miał zwyczaj zachowywać się... No, może nie źle, ale niezbyt dobrze, taki już był - gliniarz w dawnym stylu. Przez wiele lat pracy ten styl świetnie się sprawdzał i Andy nie zamierzał zmieniać go tylko dlatego, że pod koniec jego życia sposób działania policji stał się nieco inny. Nie wierzył w przejrzystość i logikę postępowania, wierzył w instynkt. W dobro i zło.

- Kochałaś go i dobrze się rozumieliście, tak? Popatrzyła na niego uważnie. Milczała.

- Przepraszam... - Wyprostował się. - Przepraszam, to nie moja sprawa. Nie powinienem zadawać ci tak osobistych pytań...

Uśmiechnęła się.

- Nic nie szkodzi. Szczerze mówiąc nawet się cieszę, że mogę o nim porozmawiać. Nieżyjący szybko stają się krępującym tematem... Ludzie zwykle boją się dotykać bolesnych miejsc, wolą udawać, że ich nie widzą, wiesz, jak to jest...

- Aż nazbyt dobrze.

- Tak... - westchnęła. - Ty naprawdę wiesz...

Chwilę wpatrywała się w podłogę, potem podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Kochałam go - powiedziała powoli. - Od pierwszej chwili, od pierwszego wejrzenia. On spojrzał na mnie, ja na niego i już było po nas...

Pociągnęła łyk wina. Bryłki węgla w kominku prychnęły ogniem, strzeliły niebieskawym płomieniem i przygasły.

- Twoi synowie są podobni do ojca? Znowu wzruszyła ramionami.

- Trudno powiedzieć... Czasami mam wrażenie, że są jego klonami, kiedy indziej nigdy byś się nie domyślił, że to jego dzieci.

- Pamiętają go?

- Nie jestem pewna, co naprawdę pamiętają, a co usłyszeli od innych. Codziennie przed snem odprawiamy małą ceremonię. Pamiętacie, kiedy tatuś zrobił to i tamto? Pamiętacie, jak wypłynął z wami na morze i schwytaliście wieloryba? Pamiętacie, co lubił jeść na śniadanie, jakie programy lubił oglądać? Pamiętacie, jak wyglądał? Ale, szczerze mówiąc, sama nie wiem, czy są to jeszcze wspomnienia, czy już legenda... - Rzuciła mu smutne spojrzenie. - Musisz czuć coś podobnego, kiedy rozmawiasz z kimś o swoim synu, prawda?

Nie odpowiedział. Dopił wino i postawił kieliszek na podłodze przed kominkiem.

- Pójdę już - rzekł. - Przepraszam cię za moje wcześniejsze zachowanie. Nie powinienem był zjawiać się tu bez uprzedzenia, ale myślałem, że jeżeli zadzwonię, nie zechcesz ze mną rozmawiać. Przepraszam cię, Min. Nie wiedziałem, co robić i do kogo się zwrócić. - Wstał i podniósł torbę. - Tu są akta. Mam wrażenie, że nie powinienem ich dłużej trzymać u siebie, zresztą znalazłem już w nich wszystko, co mogło mi się przydać...

Ona także się podniosła. Kiwnęła głową.

- Min, proszę cię, pomyśl o tym, co ci powiedziałem o Marianne, dobrze? I o tym, czego dowiedziałem się od Luke'a. Nie wiem, dlaczego, ale czuję, że ma to jakieś znaczenie. Więc proszę, przemyśl to wszystko. Ze względu na mnie, na Owena, proszę...

Skinęła głową i poszła za nim do drzwi. Wyszedł już na zewnątrz, w ciemność, lecz jeszcze odwrócił się do niej.

- I wierz mi, naprawdę szczerze ci współczuję z powodu śmierci męża. Skoro go kochałaś, musiał być dobrym człowiekiem.

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech. Zamknęła drzwi i wróciła do salonu. Wzięła puste kieliszki i zaniósła je do kuchni. Co za piekielny bałagan, pomyślała. Napełniła zlew gorącą wodą i wstawiła do

niego wszystkie brudne naczynia. Potem spojrzała w okno, na ukryty w ciemności ogród za domem i zobaczyła tylko własne odbicie.

- Kto by pomyślał? - powiedział Andy. - Miłość od pierwszego wejrzenia, coś takiego... Taka wpadka...

- Naprawdę od pierwszego wejrzenia? - zapytała. - Naprawdę tak było?

- Tak - odparł. - Tamtego dnia po zniknięciu dzieciaka Cassidych zobaczyłem cię pierwszy raz. Byłaś taka piękna... Lśniące, krótko obcięte czarne włosy, duże brązowe oczy, pełne radości życia... No i twoje ciało, cóż...

- Mów dalej! - ponagliła. - Co z moim ciałem? Mów, mów, uwielbiam pochlebstwa...

Lecz on tylko potrząsnął głową i wziął ją za rękę.

- Od razu wiedziałem, że to ty - powtórzył. - Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem.

Wino, które wypił z Min, rozbudziło w nim apetyt na więcej alkoholu. Po drodze do domu nie brakowało pubów, ale z każdą szklanką piwa, którą wlewał do gardła, czuł się coraz bardziej samotny, zrozpaczony i pokonany. Wszędzie dookoła byli mężczyźni, którzy wyglądali jak on - zdani na siebie, z nikim niezwiązani. Mężczyźni o przygarbionych ramionach i pooranych zmarszczkami twarzach, dręczeni wyrzutami sumienia, pragnący więcej wspomnień wymazać z pamięci niż zachować. Patrzył na swoje odbicia w brudnych lustrach za barowymi ladami, w szklankach ciemnego piwa, które podnosił do oczu, w metalowej zapalniczce, nad którą pochylił głowę, w mrocznych oknach, które mijał, wracając na Victoria Square. Pamiętał twarz swojego ojca z okresu, kiedy powoli umierał na raka. Wydawało się, że w czasie długich miesięcy choroby ciało stopniowo znika, odsłaniając kości. Nigdy nie był gruby, a kiedy tak leżał, początkowo we własnym łóżku, w pokoju, który należał do niego przez całe małżeńskie życie, później zaś w hospicjum, jego ciało zaczęło pożerać samo siebie, sprowadzać go z powrotem do samej esencji, do formy, którą było na samym początku istnienia. Do embrionu. Do ostrego zarysu kręgosłupa, oka, głowy, aż w końcu zostało tylko to i nic więcej.

Kształt głowy, oka, kości policzkowych, szczęki - to właśnie widział teraz, patrząc na swoje kolejne odbicia. I myślał o tym, co zobaczy, gdy znajdzie Owena. Kształt głowy, oka, kości policzkowe, szczękowe, drobne zęby, kości mostka i obojczyków, klatkę żeber, kość łokciowa i kość promieniowa, kości przegubu dłoni i rąk. Kości kręgosłupa i miednicy, kość udowa, goleniowa i strzałkowa, drobnutkie kości stopy. Przepytywał Susan, kiedy przygotowywała się do jednego z egzaminów. Powiedziała mu wtedy, że w stopie jest więcej kości niż w jakiegokolwiek innej części ciała. Wszystko zaczyna się od stopy, która fizycznie styka się z ziemią, co uświadamia człowiekowi, że nie jest wyłącznie świadomością, zbiorem informacji zmysłowych czy doznań duchowych, lecz także częścią świata fizycznego, podobnie jak wszystkie inne istoty żyjące. I że można go zmiażdżyć, zranić i zniszczyć równie łatwo jak muchę, mrówkę czy robaka.

Dzień dobiegał końca. Nick dołączył do ostatnich, zataczających się klientów pubów, którzy powoli, z wyraźnym trudem szli główną ulicą. Ich rozmowy były głośne i agresywne. Patrzył przed siebie, starannie unikając kontaktu wzrokowego, jakiegokolwiek kontaktu. Łatwo jest wdać się w bójkę, nazbyt łatwo, pomyślał. Wystarczy przypadkowa uwaga, nieprzychylna opinia na temat drużyny piłki nożnej albo kobiety. Potem następuje wybuch furii, uderzenie głową o krawężnik, kopniaki w nerki lub genitalia. Wiele razy był świadkiem podobnych zdarzeń. Z pewną ulgą skręcił w stronę placu. Pomyślał, że tu będzie przynajmniej bezpieczny, w tej przytulnej ciemności, gdzie dzieci śpią otulone ciepłymi kołdrami, a ich rodzice starannie zamykają drzwi i

okna i włączają alarmy. Zaraz będzie w domu. Wczołga się pod kołdrę na sofie, zapadnie w kamienny sen i obudzi się odświeżony, gotowy stawić czoło nowemu dniu.

Lecz kiedy wyciągnął dłoń z kluczem w kierunku zamka, zorientował się, że drzwi są otwarte. Popchnął je i zobaczył, że w pokoju są ludzie. Jay O'Reilly i Conor Hickey. Stali przy stole, pochyleni, ze zbliżonymi ku sobie głowami.

Gdy zamknął za sobą drzwi, O'Reilly odwrócił się do niego.

- Więc jednak zdecydował się pan wrócić, tak? Właśnie mieliśmy wysłać grupę poszukiwawczą.

- Czego chcecie, na miłość boską? Co tu robicie?

- Złożono na pana skargę, panie Cassidy. Bardzo poważną skargę. Mamy nakaz rewizji i przed chwilą przeszukaliśmy pańskie mieszkanie.

- I co takiego udało się wam znaleźć?

- To... - O'Reilly odsunął się.

Nick postąpił krok w stronę stołu, którego blat był zasłany fotografiami. Jego fotografiami. Zdjęciami, które robił na przestrzeni ostatnich dziewięciu lat, po wyjeździe z Dublina, zdjęciami chłopców, dzieci, w grupach i pojedynczo. Chłopców na plaży, przy zabawie, jedzących lody, dziewczynek i chłopców na placach zabaw i w parkach. Chłopców o gęstych, jasnych włosach i okrągłych niebieskich oczach, uśmiechniętych i zapłakanych. Chłopców w kąpielówkach i szortach, a także nagich chłopców, bawiących się w morzu i w piasku.

- I jeszcze to. - O'Reilly wskazał komputer. - Zabieramy pański laptop do zbadania przez biegłego sądowego. - Znowu odwrócił się twarzą do Nicka. - No i naturalnie zabieramy pana. Aresztuję pana pod zarzutem z paragrafu 5 Ustawy z 1998 roku o Prostyucji i Pornografii Dziecięcej. Proszę łaskawie wyjść na zewnątrz i skierować się do samochodu, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Cassidy...

Kiedy Nick otworzył usta, żeby zaprotestować, znowu usłyszał głos O'Reilly'ego.

- Na zewnątrz, i to natychmiast, bo inaczej mogę uznać, że zostałem zmuszony do użycia siły! Czy wyrażam się dość jasno?

Min się obudziła. Serce biło jej mocno, boleśnie tłukąc się o żebra, oddychała ciężko. Usiadła i sięgnęła po zegarek. Czwarta trzydzieści. Chwilę nasłuchiwała, potem wstała i narzuciła szlafrok na ramiona.

Na półpiętrze paliło się światło. Uchyliła drzwi sypialni chłopców i ostrożnie zajrzała do środka. Obaj mocno spali. Zamknęła drzwi i zerknęła do pokoju Viki. Dziewczyna pochrapywała cicho, jej ubrania leżały na podłodze, powietrze pachniało alkoholem i perfumami. Min podeszła do okna na półpiętrze i wyjrzała, lekko rozchylając zasłony. Deszcz wciąż padał.

Zeszła na dół i sprawdziła, czy frontowe drzwi są zamknięte. Założyła łańcuch, obejrzała okna. W kuchni spróbowała poruszyć przesuwane drzwi do ogrodu. Ani drgnęły. Wróciła do holu i zatrzymała się przed panelem alarmu. Nacisnęła guzik.

- Alarm włączony - szczęknął elektroniczny głos.

Włączony, pomyślała, wchodząc na górę. Była już trochę spokojniejsza, może właśnie dzięki tej przekazanej przez komputer wiadomości. Włączony, gotowy do obrony, do ochrony. Gotowy odeprzeć wszystkie okropne rzeczy, jakie czyhają na zewnątrz.

Położyła się i otuliła kołdrą. Zamknęła oczy, ale nie mogła zasnąć. Wymamrotała słowa modlitwy, a potem zaczęła powtarzać je raz po raz.

Gdy do snu kłaść się muszę, Proszę, Panie, chroń mą duszę.

Jeśli umrę w czasie snu, Panie, przybądź po nią tu.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Jak było?

- Źle. Przesłuchiwali mnie, długo i uparcie. Wszystko, co mówiłem, pogarszało tylko moją sytuację. Pokazali mi, co znaleźli w komputerze. To niewiarygodne... Nigdy nie wyobrażałem sobie, że ludzie są zdolni do takiego okrucieństwa. Wiesz, Susan, miałem się za obytego w świecie, nieco zblazowanego człowieka, który naprawdę dużo wie. Po tych wszystkich podróżach myślałem, że widziałem już wszystko, co można zobaczyć, ale się myliłem. Nie wiem nic, nie mam zielonego pojęcia, co dzieje się na świecie.

- Sugerowali, w jaki sposób to wszystko mogło znaleźć się na twardym dysku?

Potrząsnął głową.

- Powtarzali tylko, że ja to zrobiłem. Nawet kiedy im pokazałem, czy raczej próbowałem pokazać, że nie wiem, jak to działa, bo moje umiejętności posługiwania się komputerem ograniczają się do obsługiwania poczty. Używam laptopa wyłącznie do opracowywania niektórych rysunków i pisania listów, na Boga...

- I uwierzyli ci?

Westchnął głęboko i ukrył twarz w dłoniach.

- Na razie o nic mnie oficjalnie nie oskarżają, ale jasno dali do zrozumienia, że z pewnością to zrobią, jeżeli tylko im się uda. Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

- Powiedzieli, kto złożył skargę? Znowu potrząsnął głową.

- Nie. Pytałem, ale oświadczyli, że nie mogą mi powiedzieć. Tak czy inaczej, oboje wiemy, kto to zrobił, prawda? Pytałem, czy sprawdzili, jak wygląda domowa sytuacja dziecka, czy rozmawiali z jego matką i z Chrisem. Mówią, że tak. Że niedawno chłopca i jego siostrę odwiedzili pracownicy lokalnego wydziału socjalnego. Zebrali dużo informacji. Nie wynika z nich, aby był ofiarą przemocy seksualnej albo by mógł mieć w domu kontakt z pornografią. I tyle.

Był środek popołudnia. Siedzieli w kuchni. Susan zaparzyła herbatę, zrobiła jajecznicę i grzanki, ale Nick z trudem przełknął kilka kęsów.

- No, spróbuj, proszę cię - powiedziała. - Musisz coś zjeść, takie są zalecenia lekarza...

Wzięła jego dłoń między swoje, ciepłe i silne, i uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję. Nie wiedziałem, co pomyślisz. Nie byłem pewny, komu uwierzysz.

Z wychodzącego na plac okna zobaczyła, jak wracał po przesłuchaniu. Wyszła na schody i zawołała jego imię. W pierwszej chwili spojrzął na nią tak, jakby nie wiedział, kim jest, ale zaraz się uśmiechnął. Zeszła ku niemu, wyciągnęła rękę i wprowadziła go do domu.

Teraz siedzieli w kuchni, a deszcz zalewał okna. Czajnik zabulgotał i Susan zaparzyła świeżą herbatę.

- Opowiedz mi o rodzicach Marianne - poprosił. Westchnęła i wzięła do ręki łyżeczkę do herbaty.

- To było straszne. Nie wiem, jakim cudem przeżyli identyfikację zwłok. Zaproponowałam, że ja to zrobię, ale nie chcieli. Byli bardzo dzielni.

- Przykro mi, że tak źle zachowałem się w ich obecności. Co tam, źle - zachowałem się w sposób niewybaczalny.

- Tak. - Spojrzała na niego. - To prawda.

- Mogę im to jakoś wynagrodzić?

- Nie, raczej nie, przynajmniej na razie. Staram się przyspieszyć wydanie ciała, żeby mogli ją pochować, ale patolog nie chce się zgodzić, dopóki nie dostanie wyników badań DNA z laboratorium w Anglii. Bóg wie, jak długo to potrwa.

- Ale przecież na pewno w takim wypadku badania są traktowane priorytetowo, prawda? Więc wszystko to razem nie może ciągnąć się w nieskończoność...

- To nie takie proste, Nicky. W Irlandii nie ma laboratorium, które mogłoby przeprowadzić te testy, więc wysyłamy materiał do Anglii. Badania DNA są wyjątkowo drogie, lecz mimo to lista oczekujących jest długa, co oznacza, że policja nie dostanie wyników jutro czy pojutrze. Robię, co mogę, naprawdę. Znam tego patologa, to wspomniały facet. Na pewno pomoże.

- Pojedziesz na pogrzeb? - zapytał. Kiwnęła głową.

- A ja? Czy powinienem? Odwróciła wzrok.

- Wolałabym nie mówić ci, że to zależy od okoliczności...

Popatrzył na nią uważnie.

- Czy naprawdę masz jakiegokolwiek wątpliwości? Czy siedząc tutaj, teraz, możesz pomyśleć, ty, która znasz mnie dłużej i lepiej niż ktokolwiek inny, że to ja zgwałciłem Marianne i rozwalilem jej głowę o ścianę tunelu?

W kuchni zapadła cisza. Na zewnątrz wiatr ze świstem szarpał koronami drzew.

- Dłużej? Lepiej? - odezwała się tak cicho, że musiał nachylić się nad stołem, żeby usłyszeć, co mówi. - Naprawdę?

- Tak, dłużej niż ktokolwiek inny, poza moją starszą siostrą - odparł. - I lepiej, lepiej niż ktokolwiek, nie wyłączając moich siostr. Właśnie to najgorzej znosiłem w czasie pobytu w Ameryce. Ilekroć kogoś poznawałem, musiałem opowiadać historię swojego życia od początku, ale nawet to nie stanowiło gwarancji, że zostaną zrozumiani. Bałem się, że kiedy odpowiemy sobie na najbardziej podstawowe pytania, nie będziemy już mieli o czym rozmawiać. Wiesz, o co mi chodzi?

Pogładziła palcem błyszczącą powierzchnię kubka do herbaty. Skinęła głową.

- W końcu uświadomiłem sobie, że nigdy nie przestanę porównywać tamtych z tobą, a przeżyć z nimi z naszym życiem. Zrozumiałem, że muszę wrócić, że nie mogę żyć bez ciebie...

Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

- Więc dlaczego w ogóle wyjechałeś? Dlaczego powiedziałeś mi, że mnie nie kochasz i chcesz ode mnie uciec?

- Co takiego? - Popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Nigdy tego nie powiedziałem. Nigdy...

- Powiedziałeś. Siedząc tutaj, przy tym stole, powiedziałeś, że nie możesz tu dłużej ze mną mieszkać. Nie mogę już tego znieść, powiedziałeś. Nie mogę patrzeć, jak odsuwasz się ode mnie. Nie mogę znieść nieobecności, pustki, straty. Powiedziałeś, że jestem jak wielka ciemna dziura, pusta przestrzeń, w której zniknął Owen i w której ty też w końcu utoniesz. Że nie możesz mnie znieść, nie możesz znieść mojej bliskości. Nie zmieniaj historii, nie udawaj, że to się nigdy nie zdarzyło. Zostawiłeś mnie.

Nick zacisnął palce na krawędzi stołu.

- Nie powiedziałem tego! - rzekł głośno, z rozpaczą. - A jeżeli tak, to nie to miałem na myśli! Chodziło mi o to, że nie mogę znieść swojego wstydu i poczucia winy. Nie mogłem wytrzymać tego, że patrząc na ciebie, widziałem swoją słabość i egoizm. Widziałem nieobecność Owena, namacalną, wcieloną. Nigdy nie chciałem powiedzieć, że cię nie kocham i nie pragnę, i że nie chcę być z tobą... Chciałem, żebyś wyjechała ze mną, żebyśmy zaczęli wszystko od nowa w innym mieście, innym kraju. Mogliśmy to zrobić, prawda?

Powoli pokręciła głową.

- Nie. Mieliśmy szansę tylko tutaj, w tym domu, na tej ulicy, w miejscu, gdzie kiedyś żyło nasze dziecko. W miejscu, do którego chciałeś wrócić, w każdym razie tak napisałeś w liście...

- Czy to znaczy, że nadal mamy tę szansę, teraz także?

Przechylił się przez stół i ujął jej rękę. Podniósł do twarzy. Zwrócił usta ku otwartej dłoni i pocałował ją. Sięgnęła po jego drugą rękę i podniosła ją do swojej twarzy. Poczul jej powieki pod czubkami palców i podbródek pod przegubem dłoni.

- Ciiii... - szepnęła. Jej oddech był ciepły i wilgotny. - Ciiii...

Kiedy wyszli z domu, zapadał zmierzch. W milczeniu szli ulicami, między wzgórkami opadłych liści, przemoczonych popołudniową ulewą. Do kapliczki Lizzie Anderson dotarli już w ciemności. Susan schyliła się i podniosła resztkę zostawionej poprzedniego dnia świecy.

- Masz - podała mu nową i podsunęła zapalniczkę. - Sam ją zapal.

Oślaniał mały płomyk dłonią, dopóki nie zapłonął mocniej. Potem umieścił świeczkę w szklanym pojemniku, cofnął się i pochylił głowę. Zamknął oczy.

- Ona daje mi pewną pociechę - odezwała się cicho Susan. - Sprawia, że nie czuję się taka osamotniona. Nic o niej nie wiem. Nie wiem, jaką była osobą, wiem tylko, jak wyglądała i znam jakąś drobną cząstkę cierpienia, przez które przeszła w czasie ostatniej nocy swojego życia. Nie wiem, dlaczego, ale z jakiegoś powodu czuję się trochę lepiej, kiedy stąd odchodzę...

Odwrócili się i odeszli. Nick obejrzał się. Świeca płonęła w ciemności. Mały, jasny punkt.

- Przejdźmy się - zaproponował. - Nie wracajmy jeszcze do domu. To znaczy... - Przerwał i spojrzał na nią. - Jeżeli oczywiście nie jesteś z kimś umówiona. Na przykład z Paulem...

- Nie - uśmiechnęła się. - Nie jestem z nim umówiona na dzisiejszy wieczór.

Poszli przed siebie. Było zimno. Niebo wypogodziło się, księżyc już wzeszedł. Na południowej stronie nieba widać było szeroko rozpiętą Wielką Niedźwiedźcę.

- Czy Gina wspominała o niej? - zapytała głośno Susan.

- Gina?

- Gina Harkin, twoja Gina. - Jej głos brzmiał spokojnie.

- Czy wspominała o kim? - Nick także starał się nie okazać napięcia.

- O Lizzie Anderson.

- Nie, a powinna?

- No, chyba wiedziałeś, że Gina dawała jej lekcje?

- Nie...

- Gina uczyła w Laurel Park, kiedy Lizzie tam chodziła, to wiesz, prawda? I podobno Lizzie dwa razy w tygodniu przychodziła na dodatkowe lekcje rysunku do Giny. Gina wiedziała o jej romansie z Brianem Matthewsem i pozwoliła, by wykorzystywała te zajęcia jako przykrywkę dla ich spotkań...

Nick milczał.

- W zamian za tę przysługę Lizzie pozowała Ginie. Nie pamiętasz tego obrazu, który wisiał u Giny nad kominkiem?

Pamiętał. Wielkie płótno, dwa metry kwadratowe, którego obecność dziwnie pomniejszała pokój. Nigdy nie mógł się zdecydować, czy obraz mu się podoba, czy nie. Dziewczyna leżała ze stopami w kierunku patrzącego, z głową przewieszoną przez krawędź nieposłanego łóżka. Jej korpus wydawał się wydłużony, piersi spłaszczone, jakby przyciśnięte do żeber, kości miednicy sterczały.

- Jej twarz... - powiedział. - Pamiętam, że twarz dziewczyny była ledwie zaznaczona. Gina włożyła całą energię w namalowanie ciała, twarzy właściwie nie było. Nie podobało mi się to. Uważałem, że to alienujący zabieg, pozbawiający modelkę osobowości i czyniący z niej przedmiot...

- I Gina zgodziła się z tobą? Powiedziała ci, kim ona była?

- Nie pamiętam, czy się zgodziła, ale na pewno nie powiedziała mi, że do obrazu pozowała jej Lizzie Anderson, bo to zapadłoby mi w pamięć. Broniła sposobu przedstawienia dziewczyny, mówiła, że to abstrakcja, zwyczajny akt, i że w takim wypadku nadanie jej twarzy oznaczałoby wyposażenie jej w konkretny charakter, a tego właśnie nie chciała.

- Przekonała cię?

- Nie. Dużo pracowałem z modelami i modelkami, także w Stanach, w czasie zajęć, które tam prowadziłem. Zawsze bardzo interesowała mnie reakcja studentów na osobę pozującą. Niektórzy traktowali pozujących jak ludzi, kompletne istoty, natomiast inni jak zbiór części ciała. Modele nieomylnie to wyczuwali. Odgadywali, kto nimi gardzi, a kto ich ceni i szanuje.

Szli dalej w górę, coraz bardziej oddalając się od morza.

- Skąd wiesz o Ginie i tej dziewczynie? - Spojrzał na Susan.

- Zaprzyjaźniłam się z Catherine Matthews, córką Briana Matthewsa, która kiedyś była najlepszą przyjaciółką Lizzie. To ona mi powiedziała. Podczas procesu ojca razem z matką codziennie chodziła do sądu. Wysłuchały wszystkich zeznań.

- Czy uważała... - przerwał.

- Czy uważała, że jej ojciec to zrobił? - Susan wsunęła ręce do kieszeni, wtuliła szyję w kołnierz. - Chyba nie była pewna... Jej matka dzielnie broniła męża. Najpierw w ogóle nie chciała wierzyć w tę całą historię, a później, kiedy przyznał się, że sypiał z Lizzie, zrzuciła całą winę na nią. Jeszcze później, gdy stało się jasne, że Lizzie nie była typem lolitki i to on zaproponował jej romans, nadal twardo stała u jego boku, przypisując całą

sprawę czemuś w rodzaju męskiej menopauzy, kryzysowi wieku średniego i tak dalej. Winiła siebie, że nie dbała o swój wygląd, utyla, przestała przywiązywać wagę do ubioru. Catherine powiedziała mi, że kiedy jej ojca uwolniono, matka przywitała go z otwartymi ramionami. Przez pewien czas wydawało się, że może zostawią to za sobą i rozpoczną nowe życie, ale...

- Ale co?

- Cóż, chyba nie muszę ci tłumaczyć. Okazało się, że nie jest to takie proste. Zawsze towarzyszyły im wątpliwości, zwłaszcza że policji nie udało się zgromadzić dość dowodów, aby oskarżyć kogoś innego. Koniec końców, Matthews opuścił dom, wyjechał do Anglii i już nie wrócił.

- Kolejny mężczyzna, który uciekł od stworzonych przez siebie problemów, czy tak?

Susan nie odpowiedziała. Znowu zaczęło padać, chociaż tym razem była to drobna mżawka. Wokół ulicznych latarni wisiały miękkie aureole rozproszonego światła. Zadrzała.

- Czas wracać do domu - powiedziała. - Wystarczy tego spaceru...

Nick przystanął.

- Widzisz, gdzie jesteśmy? - Wskazał znajdujący się przed nimi duży dom w ogrodzie. - Widzisz ten znak? To szkoła, prawda?

- Tak, Laurel Park. Bardzo ekskluzywna szkoła. Uczy w niej Chris Goulding. Pamiętasz, Nicky? - Odwróciła się bokiem do niego. - Pamiętasz ten dom obok głównego budynku szkoły? Kiedyś należał do babki Chrisa. On i Róisín często przyprawdzali tu Owena. Za domem był przepiękny ogród ze strumieniem i zalesionym terenem... No i ten śliczny letni domek, który teraz stoi w ogrodzie Chrisa. Widziałeś go? Chris przeniósł go do siebie po śmierci babki i sprzedaży jej domu. Zrobił to dla dzieci Amry.

- Ach, więc to stąd pochodzi ten domek... Zastanawiałem się, skąd Chris go wzięł. To stara konstrukcja, oparta na obrotowej osi, teraz już nikt takich nie robi.

Ruszyli dalej. Po chwili przyśpieszyli kroku, ponieważ mżawka zmieniła się w gęsty deszcz.

- Zapomniałem już, jaki jest irlandzki deszcz... - Nick obszedł dużą kałużę. - W Nowym Orleanie w czasie ulewy dobrze jest mieć pod ręką kanoe, ale dziesięć minut później wychodzi słońce i ulice błyskawicznie wysychają. Tutaj nawet drobny deszcz przenika ubranie i wyiębia ciało aż do kości... - Wstrząsnął się.

- Powinieneś wziąć gorącą kąpiel - powiedziała Susan. - No, pośpiesz się, bo przeziębisz się na śmierć.

Leżał zanurzony w wodzie po brodę. Zamknął oczy, czując, jak ciepło przenika całe ciało, jak ogarnia go poczucie bezpieczeństwa i wielkiego spokoju. Wziął kostkę mydła z mydelniczki i podniósł ją do nosa. Było bezzapachowe, proste, pozbawione jakichkolwiek ozdobnych wzorków, podobnie jak większość rzeczy mających coś wspólnego z Susan. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że na półkach w łazience nie ma wielu kosmetyków. Susan nigdy nie malowała się ani nie używała perfum.

- Nie podoba ci się mój zapach? - zapytała, kiedy na któreś Boże Narodzenie kupił jej buteleczkę drogiej wody toaletowej.

Rozpięła bluzkę, ujęła jego głowę między dłonie i przyciągnęła ją do swojej szyi.

- Powąchaj - powiedziała. - Czym pachnę?

Nie odpowiedział. Głęboko odetchnął jej aromatem i pocałował zagłębienie między obojczykami.

Teraz wstał i owinął się ręcznikiem. Susan zabrała jego rzeczy, żeby je wysuszyć. Jej kimono wisiało na haczyku na drzwiach, więc włożył je i zawiązał w pasie szeroką szarfą. Spojrzał w lustro, uśmiechnął się i zszedł na dół, do kuchni.

- I jak? - zagadnął.

Odwróciła się od kuchenki, trzymając w ręku drewnianą łyżkę. Zachichotała i podała mu kieliszek z winem.

- Bardzo nowocześnie, wspaniale. W stylu Davida Beckhama, niezwykle trendy...

Ugotowała zupę z porów i ziemniaków. Zjedli ją z chlebem. Na dworze zerwał się wiatr. Siedzieli przy kuchennym stole i patrzyli, jak nagie gałęzie drzew szamoczą się w tę i z powrotem. Framugi okien grzechotały, gdzieś dalej przy placu włączył się elektroniczny alarm.

- Susan?

- Tak?

- Czy nigdy nie zastanawiałaś się nad Chrisem?

- W jakim sensie?

- Co on właściwie robi z tą kobietą i jej dziećmi? Dlaczego wybrał właśnie ich?

- A dlaczego nie ich? - Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie kogoś w swoim wieku, ze swojego środowiska? Kogoś bez tego straszego bagażu, który oni dźwigają na plecach?

- Nie, nie zastanawiałam się. Chris robi coś dobrego, dba o Amrę, próbuje zainteresować Emira otaczającym go światem, serdecznie opiekuje się matką...

- Ale jak Amra może mu ufać po tym wszystkim, co przeżyła? Co ona naprawdę o nim wie?

- No, tak, zaufanie to interesujące uczucie... - Susan odłożyła łyżkę i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. - Co ona o nim wie? Wie, że przyjął ją i jej dzieci do swojego domu, że dba, aby mieli co jeść. Wie, że kiedy kładzie się spać, on jest przy niej i kiedy się budzi, nadal tam jest. Tyle wie i to jej chyba wystarcza, żeby mu zaufać...

Nick milczał. Gardło miał obolałe, jakby poranione.

- Susan... - Wyciągnął ku niej rękę.

Odwróciła się od niego i spojrzała w wychodzące na ogród okno.

- Popatrz... - Podniosła się od stołu.

Nick także wstał. Mały, ciemny kształt był doskonale widoczny. Zwierzę przebiegło przez trawnik i zbliżyło się do muru. Susan położyła rękę na ramieniu Nicka.

- Popatrz na nią... Przychodzi tu regularnie, już trzeci rok. Każdej wiosny przyprowadza ze sobą szczenięta. Rodzi je pod letnim domkiem w ogrodzie Chrisa.

- Pamiętasz?

- Oczywiście. Jakbym mogła zapomnieć... Podniosła butelkę. Była pusta.

- Otworzyć drugą? Skinał głową.

- Tak - powiedział. - Bardzo proszę.

Rozdział dwudziesty piąty

Nigdy nie ma dramatycznych postępów w dochodzeniu, pomyślała. Ta praca zawsze jest powolna i wymagająca wielkiej cierpliwości. Męcząca, nudna, systematyczna, rutynowa. Min brała udział w przesłuchaniach mieszkańców Victoria Square, rozdawaniu kwestionariuszy do wypełnienia i ich zbieraniu. Kilka osób widziało Marianne, gdy szła wzdłuż torów, ale jak na razie jedyną, która bez wahania zidentyfikowała Nicka Cassidy'ego, był Chris Goulding. Mieli także zeznanie kobiety z Glenageary, która twierdziła, że widziała kogoś przypominającego Nicka, ale równie dobrze mógł to być ktokolwiek inny, zresztą im bardziej dociekliwe i szczegółowe zadawali jej pytania, tym mniej jasnych i jednoznacznych udzielała odpowiedzi.

Tak czy inaczej, dowody świadczące o winie Nicka były mocne. Testy wykazały, że włosy znalezione na ciele Marianne należą do niego, tkanka pobrana spod jej paznokci również. Czekali tylko na analizę DNA nasienia, pobranego z pochwy dziewczyny. Johnny Harris powiedział Min, że to jeszcze trochę potrwa, ale na razie Nick Cassidy był jedynym podejrzanym w tej sprawie.

Chodziło też o tę drugą sprawę, o pornograficzne zdjęcia dzieci z jego komputera. Min wciąż nie mogła się z tym pogodzić. Rano zadzwonił do niej Conor Hickey i powiedział, że powinna wpaść do biura, bo ma coś, co na pewno chciałyby zobaczyć. Min skwapliwie przystała na tę propozycję, gotowa skorzystać z każdej wymówki, byle tylko przełamać nużącą rutynę śledztwa.

Na dwupasmowej ulicy Stillorgan był korek - samochody stały zderzak w zderzak na długość mniej więcej dwóch kilometrów. Trochę ją to zaskoczyło, bo do godziny szczytu pozostało jeszcze trochę czasu. Dopiero po paru chwilach dostrzegła przyczynę zamieszania - wypadek na skrzyżowaniu Stillorgan i Foster Avenue. BMW, nissan micra i volkswagen golf, szczipione ze sobą na środku drogi. Wszędzie pełno kawałków szkła, z boku karetka pogotowia z otwartymi drzwiami, personel pochylony nad leżącą na noszach kobietą. I dwie grupki ciasno skupionych ludzi z wypisanym na twarzach przerażeniem i gniewem, gestykujących nerwowo i przekrzykujących się nawzajem. Stojący obok motocykla policjant z notesem i długopisem w ręku spisywał szczegóły.

Zasalutowała mu, przejeżdżając obok. Znała tego policjanta, służył w Dun Laoghaire od lat. Uśmiechnął się i na moment oparł o opuszczoną szybę w oknie jej samochodu.

- Jezusie Nazareński... - jęknął, ocierając czoło wierzchem dłoni. - Jedni są źli, drudzy dobrzy, nie ma zmiłuj... A jeśli chodzi o kobiety, to na pewno będą skarżyć mężczyzn na podstawie ustawy o równości płci. Jedna z nich uważa, że facet z bmw maltretował ją seksualnie, kiedy stali obok siebie na światłach... - Machnęła notatnikiem. - To materiał na świetny sitcom, nie sądzisz?

Roześmiała się.

- Jasne! Napisz scenariusz, a zrobisz pieniądze i wreszcie uciekniesz z tego bagna!

Cofnęła się i gestem przepuściła jej samochód. Zerknęła na niego w lusterku. Nie uległa wątpliwości, że w tej sytuacji będzie musiał zdobyć się na cierpliwość świętego i mądrość Salomona.

Kiedy weszła do biura, Conor siedział przy komputerze.

- Chodź tutaj i przysuń sobie krzesło! - zawołał. - Popatrz, co znalazłem...

Min rzuciła torbę i płaszcz na sąsiednie biurko i usiadła obok niego. Pochyliła się i utkwiała wzrok w ekranie komputera.

- Wiesz, kto to jest? - zapytała.

Conor potrząsnął głową. Nikt nie wiedział, kim jest to dziecko, chociaż jego zdjęcia krążyły po Internecie od kilku lat. Wyjaśnił jej, że były dość niezwykłe. Ukazywały chłopca z szeroko rozpostartymi ramionami i nogami, od tyłu. Oświetlenie było inne niż zwykle na tego typu zdjęciach, bardzo wyrafinowane. Chłopiec sprawiał wrażenie świetlistej istoty z jakiejś niezemskiej materii, w żadnym razie nie z krwi i kości. Wszyscy, którzy oglądali te fotografie, mówili to samo - chłopiec był tak idealnie piękny, że aż nierzeczywisty. Fotograf zawsze ustawiał go w tej samej pozycji i starannie podświetlał tak, by blask sączył się zza krawędzi jego ciała. Zdjęcia miały jeszcze jedną cechę wspólną.

- Jaką cechę? - Min starała się, aby jej głos brzmiał neutralnie.

- Na żadnym zdjęciu nie widać jego twarzy. Mężczyźni na całym świecie obejrzeni już wszystkie części jego ciała i nacieszyli się nimi, ale fotograf zadbał, aby twarz chłopca pozostała wyłącznie jego własnością...

Dłoń Conora poruszyła się na myszce i klawiaturze. Min obserwowała w milczeniu, jak przez ekran przemykają kolejne fotografie. Na niektórych chłopiec zwrócony był twarzą do widza, ale nosił maskę, na innych robioną na drutach kominiarkę albo czapkę z wysokim czubem, która upodabniała go do czarodzieja lub członka Ku-Klux-Klanu. Czasami maski były naprawdę ładne, pokryte cekinami lub piórami. Zdarzało się, że z ich otworów wyzierały oczy - martwe, puste, jakby zamazane tuszem.

- Część ekspertów graficznych, których poprosiliśmy o pomoc, uważa, że zdjęcia zostały poddane komputerowemu retuszowi, na przykład to... - Conor powiększył obraz.

Min zakryła usta dłonią i odwróciła oczy, nie chcąc patrzeć. Spojrzała w okno, za którym na horyzoncie rysowały się ciemnofioletowe sylwetki wzgórz w pobliżu Dublina. Rano chłopcy pytali ją, kiedy spadnie śnieg. Pamiętali, że kiedyś ojciec zabrał ich w góry na sanki. Było to na krótko przed śmiercią Andy'ego. Min na moment zamknęła oczy i poczuła, jak powieki pieką ją od łez.

- I spójrz na to... Tu, w rogu, na ścianie, widzisz? Zbliżyła twarz do monitora. Conor kliknął myszką i powiększył fragment obrazu. Było tam coś jakby rysunek, szkic... Kliknął jeszcze raz, i jeszcze. Min uświadomiła sobie, że zna ten rysunek. Było to dziecko z twarzą żaby i ciałem pokrytym drobną, kształtną łuską, podobną do rybiej, ale jednak inną.

- Coś takiego... - Wyciągnęła rękę i dotknęła ekranu. - Zdumiewające... Znam ten rysunek. Wiesz, co to jest?

Conor potrząsnął głową i sięgnął po papierosy, zaraz jednak przywołał się do porządku.

- Dobrze, dobrze, zrobię to dla ciebie. - Otworzył szufladę biurka i wyjął paczkę gumy do żucia. - Tak lepiej?

W jego głosie brzmiała nuta sarkazmu, ale się uśmiechał. Odwinął srebrną folię, wetknął listek gumy do ust i zaczął z zapalem żuć.

- No, powiedz mi... - wymamrotał przez zęby.

- Nie, to ty mi najpierw powiedz, skąd to masz.

Conor przeżuwał głośno, z otwartymi ustami.

- A jak myślisz? Od twojego kumpla Cassidy'ego, rzecz jasna. Miał mnóstwo ciekawych rzeczy w tym swoim pięknym laptopie...

Min się wyprostowała.

- Nie wierzę w to. Nie mogę uwierzyć. Skąd wziął się tu Syn gwiazd?

- Syn gwiazd? Dobra nazwa, także dla tych zdjęć. Seria z Synem gwiazd, nieźle to brzmi. - Dotknął ekranu czubkiem długopisu. - Nadaję ci imię „Syn gwiazd”... Na pohybel tym wszystkim, którzy będą próbowali zbić na tobie majątek...

- Nie - powiedziała pośpiesznie. - Nie rób tego. To piękna opowieść, ilustracje do książki też są znakomite. Zdobyły nagrody na całym świecie, ustaliły renomę Nicka Cassidy jako ilustratora. To jedna z ulubionych bajek moich dzieci, nie możesz obrzucać jej tym... - machnęła ręką w stronę komputera - tym brudem...

- Nie mogę, naprawdę? Może się zdziwisz, kiedy ci powiem, że to nie ja obrzuciłem brudami tę opowieść, książkę, czy o co ci tam chodzi... Zrobił to sam Cassidy, nie kto inny!

Min odsunęła się do tyłu razem z krzesłem na kółkach.

- Ale przecież fakt, że na tych zdjęciach znajduje się ilustracja z *Syna gwiazd*, nie dowodzi jeszcze, że Cassidy miał z nimi coś wspólnego! Każdy mógł zeskanować ten fragment i umieścić go tutaj! Nie jest to szczególnie skomplikowane, prawda?

- Ale też nie takie proste, jak ci się wydaje. Przede wszystkim, aby zdobyć dostęp do tych fotografii, trzeba być członkiem jednego z najbardziej elitarnych klubów pornograficznych. Poza tym człowiek, który wprowadzałby w nich jakiegokolwiek zmiany, musiałby stać bardzo wysoko w hierarchii grupy, która puściła serię w obieg. Nie każdy mógł to zrobić, możesz być tego pewna. Co jednak najważniejsze, ściągnęliśmy je z twardego dysku komputera Cassidy'ego i wszystko to razem układa się w całość. - Conor zmrzył oczy.

Min milczała.

- Wielka szkoda - odezwała się w końcu. - To naprawdę piękna książka, moi chłopcy ją uwielbiają. Zawsze, kiedy wybieram się z nimi do miasta, pokazuję im, gdzie mieszkał Oscar Wilde...

- Ach, więc to jedna z jego historyjek, tak? To wiele tłumaczy... - Conor odchylił się do tyłu i splótł ramiona za głową.

- Co masz na myśli?

- Cóż, chyba nie muszę ci mówić, kim był Oscar Wilde? - W jego głosie zabrzmiała surowa, twarda nuta.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Powiedz mi, skoro jesteś tak dobrze poinformowany.

- Wilde był pedofilem, o to mi chodzi! Wykorzystywał chłopców, których wynajmował w konkretnym celu, a także dzieci. Dziś dostałby za to co najmniej piętnaście lat.

- Och, opanuj się! - Min podniosła głos. - Chyba trochę przesadzasz, nie sądzisz? Wilde był prześladowany z powodu swojej orientacji seksualnej, cierpiał i zapłacił wysoką cenę za swoje skłonności. Stracił reputację, jego małżeństwo zostało zniszczone, pozbawiono go kontaktu z synami...

- Dobrze, dobrze, ale co z tymi dziećmi, które zmuszał do uprawiania seksu? - przerwał jej Conor. - Wyobrażasz sobie, w jakim były stanie? Jeżeli nie, to wybierz się na oddział wypadków do któregośkolwiek szpitala w tym mieście, moja droga! I nie zapominaj, że to właśnie mężczyźni tacy jak Oscar Wilde, z podob-

nego środowiska i klasy społecznej, mężczyźni, których piękne, drogie, nowoczesne samochody parkują przy Phoenix Park, czekają na następny kawałek ciepłego mięsa, jaki wpadnie im w ręce... - Twarz Conora pokryła się szkarłatnym rumieńcem. - Wszystko wskazuje na to, że Cassidy idealnie pasuje do tych standardów. Oto kolejny kulturalny, wykształcony człowiek, wielki artysta... Gwałciciel słabszych!

Zerwał się z krzesła, chwycił płaszcz i narzucił go na ramiona.

- Wychodzę, muszę odetchnąć świeżym powietrzem!

Odchodząc, wypluł gumę do kosza na śmieci i wyszarpnął z kieszeni paczkę papierosów. Zatrzymał się na chwilę, zapalił. I już go nie było.

- Conor!

Wybiegła za nim na korytarz, ale drzwi windy właśnie się zamknęły. Powoli wróciła do jego biurka i usiadła. Przejechała myszką po zdjęciach Syna gwiazd, aż do pierwszego z serii. Zaczęła im się przyglądać.

Pora lunchu. Zaczęło jej burczeć w brzuchu, chociaż wcale nie czuła głodu. Tak czy inaczej, musiała zrobić sobie przerwę. Na dworze było zimno, ale pogodnie. Wybrała numer komórki Conora, lecz po paru sygnałach zgłosiła się automatyczna sekretarka. Min zostawiła wiadomość.

- Idę na lunch do tego baru, który lubisz - powiedziała. - Tego, gdzie podają lasagne, prawie tak dobrą jak frytki. Jeżeli odsłuchasz, przyjdź tam, dobrze?

Ale kiedy siedziała nad miską zupy, sałatką i kromką świeżego chleba, przy jej stoliku zatrzymała się Susan Cassidy.

- Mogę? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, usiadła ciężko na krześle i zamówiła spaghetti po bolońsku.

- Jestem strasznie zmęczona - powiedziała cicho.

Min pomyślała, że rzeczywiście wygląda na ledwo żywą. Pod oczami miała ciemne półkola, skórę szarą jak popiół.

- To ta pora roku - westchnęła Susan. - Nienawidzę jesieni. Z każdym dniem coraz mniej światła, za to coraz więcej wspomnień. Najgorsze miesiące, jakie można sobie wyobrazić...

Kelnerka postawiła przed nią talerz ze spaghetti. Sos parował, roztaczając dookoła przyjemny zapach. Susan wzięła widelec i zaczęła nakręcać na niego makaron. Po chwili odłożyła widelec, jakby wysiłek okazał się dla niej zbyt wielki.

- Nie mogę jeść - wyznała. - Czuję głód, mam na coś ochotę, ale gdy siadam do stołu, robi mi się niedobrze. W tym roku jest chyba jeszcze gorzej niż zwykle.

- Czy to dlatego, że twój mąż wrócił do domu? Może to sprawia, że wspomnienia stają się jeszcze bardziej rzeczywiste... - Min uważnie patrzyła na Susan, czekając na odpowiedź.

- Może tak - przyznała Susan po chwili. - Może masz rację, a może dzieje się tak z powodu tych ostatnich wydarzeń. Z powodu strasznej śmierci Marianne... Byłam z jej rodzicami, kiedy poszli zidentyfikować zwłoki. Gdy matka ją zobaczyła, rozplakała się, prawie zawyla, zupełnie jak zwierzę, przerażone widokiem śmierci. Wiesz, zawsze mi się wydawało, że chciałabym zobaczyć ciało Owena. Myślałam, że skoro jestem lekarzem i tyle razy widziałam śmierć, to jakoś sobie z tym poradzę, ale teraz już nie jestem taka pewna...

Min siedziała ze wzrokiem wbitym w talerz. Starła się nie wspominać.

- Zupełnie nie rozumiem, co zdarzyło się tamtej nocy - ciągnęła Susan. - Nie wierzę, że Nick miał z tym coś wspólnego. Przez wszystkie lata naszego małżeństwa nigdy, ani razu nie dostrzegłam w nim choćby cienia skłonności do przemocy fizycznej. Z drugiej strony, wciąż zadaję sobie pytanie, kto inny chciałby ją skrzywdzić... Była nieszkodliwym, żalonym stworzeniem, niezdolnym zaszkodzić komukolwiek, jedynie samej sobie. Więc nie rozumiem...

Znowu podniosła widelec do ust i po chwili ponownie opuściła go na talerz.

- Mogę cię o coś zapytać? - Min pochyliła się nad stołem. - Na pewno wiesz o zarzutach, jakie postawiono Nickowi w związku z tym małym chłopcem z sąsiedniego domu... Co o tym sądzisz?

Susan potrząsnęła głową.

- Tego także nie jestem w stanie pojąć. Znam Nicka i wiem, że nie jest taki...

- A co ze zdjęciami, znalezionymi w jego torbie? Po co miałby zbierać te wszystkie fotografie?

- Ponieważ próbował odszukać Owena. Wiem, co robił, bo sama zachowywałam się podobnie. Nie robiłam zdjęć, ale się przyglądałam. Siedziałam na plażach w Hiszpanii i Grecji, i gapiałam się na dzieci. Chodziłam za nimi. Kusilo mnie, żeby porwać dziecko, kręcące się po parkingu przed supermarketem albo w sklepie... Nie masz pojęcia, Min, co się z tobą dzieje, gdy przeżyjesz coś takiego. Nie wiesz, nie potrafisz sobie wyobrazić, do jakiego stopnia tracisz głowę i kontakt z rzeczywistością. Nick robił to, co zwykle. Zawsze zapisywał wygląd napotkanych ludzi na papierze. Kiedy się poznaliśmy, było to jeszcze na studiach, zawsze nosił w kieszeni szkicownik i ołówek. Umiał przesiedzieć całe popołudnie na Stephen's Green, rysując jedną twarz po drugiej. Nawet gdy umawialiśmy się na randki, zabierał ze sobą ten cholerny notatnik. Wpadałam w szal, bo często przyglądał się innym dziewczynom, dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że nie robi tego z oczywistych powodów, w każdym razie nie zawsze... Nick chciał po prostu zapamiętać, jak zbudowane są ich twarze.

- Cóż, może i tak... - Min przesunęła widelcem parę kawałków pomidora na swoim talerzu. - Może dla ciebie tak to wygląda, ale faceci z kwatery głównej, którzy zajmują się takimi rzeczami na co dzień, są innego zdania. Uważają, że jest to klasyczny przypadek pornografii dziecięcej, pedofila, który podnieca się, zbierając zdjęcia dzieci. Ciągłe mają do czynienia z takimi zachowaniami i twierdzą, że pasują one do pewnego wzorca... Susan odsunęła talerz.

- Ale nie do Nicka - rzuciła ostro. - Nick jest kolekcjonerem, to prawda, lecz nie pedofilem, nie entuzjastą pornografii. Wiem, jak zachowują się tacy mężczyźni, bo co jakiś czas napotykam ich w szpitalu. I nie są tylko pacjenci albo członkowie ich rodzin, ale także pracownicy. Tak, przyznaję, że czasami trudno jest odróżnić człowieka, który szczerze kocha dzieci, od takiego, który kocha tylko siebie, lecz jestem gotowa przysiąc, że Nick nie jest pedofilem...

Powoli wytarła palce w papierową serwetkę.

- Wiesz, kiedy Nick wyjechał, często schodziłam na dół, do jego studia. Wmawiałam sobie, że muszę tam posprzątać, uporządkować wszystkie rzeczy, by później może wynająć komuś ten pokój. Próbowałam usunąć wszelkie ślady obecności Nicka, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi... Siedziałam na jego starej sofie i piłam herbatę, jedną filiżankę po drugiej, tak jak on. Nick miał kolekcję CD i niektórych płyt słuchał prawie codziennie. Była to zabawna mieszanka - Talking Heads, Little Feat, różne takie amerykańskie zespoły alternatywnego rocka z lat siedemdziesiątych. I mnóstwo jazzu. Zawsze uwielbiał Johna Coltrane'a. Włączałam odtwarzacz na

cały regulator i przeglądałam jego notesy i szkicowniki. Były tam setki, naprawdę setki szkiców przedstawiających Owena, od pierwszego dnia życia aż do tygodnia tuż przed jego zniknięciem. Bardzo mi to wtedy pomogło, zrozumiałam, że istnieje wiele sposobów na to, by zatrzymać przy sobie osobę, którą kochasz. Fizycznie może być już nieobecna, ale w strumieniu naszego życia zawsze zostaje po niej wyraźny ślad... - Susan wstała. - Muszę już iść. Na moim oddziale leży dziecko, o które bardzo się martwię. Lepiej czuję się w pracy, bo przynajmniej tam nie myślę ciągle o tym samym.

- Zaczekaj! - Min podniosła rachunek i gestem przywołała kelnerkę. - Pójdę z tobą.

Na zewnątrz zaczęło się już ściemniać. Wysokie budynki dookoła nich odpychały światło ulicznych latarni. Susan zadrżała i owinięła szyję szalem. Ruszyły razem w kierunku szpitala.

- Czas psa i wilka - odezwała się Min, wsuwając ręce do kieszeni.

- Psa i wilka?

- To określenie, którym posługują się Francuzi. *Entre chien et loup*, między psem i wilkiem... Oznacza to właśnie tę porę dnia, między dniem i nocą, światłem i ciemnością. Moja matka bardzo lubi to powiedzenie. Uważa, że irlandzkie zimy to utrwalony na dłużej czas psa i wilka...

- Rozumiem, o co jej chodzi - Susan uśmiechnęła się słabo.

Przystanąły przed wejściem do szpitala. Susan odwróciła się do Min.

- Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. Wiem, że rozumiesz... Nick powiedział mi o twoim mężu. Pamiętam go, szczerze mówiąc, nawet go polubiłam. Był ze mną całkowicie szczerzy i to mi się podobało. Ty także masz dzieci, prawda? Słyszałam, że dwóch chłopców. Masz szczęście, wierz mi...

Wyciągnęła rękę, a Min uściśnięła ją i przytrzymała. Potem uśmiechnęła się i odeszła. Ślad, który pozostaje w strumieniu naszego życia, pomyślała. Co zostało w jej życiu po Andym? Niewiele. Większość jego ubrań oddała organizacji charytatywnej, zajmującej się sprzedażą używanych rzeczy. Miała kilka jego książek, starych płyt analogowych, samochód. Andy nie lubił gromadzić przedmiotów. Kiedy się poznali, mieszkał w wynajętej i umeblowanej kawalerce, a w chwili śmierci zasadniczą część należących do niego rzeczy stanowiły prezenty od Min. Prawie wszystko poza notatnikami, pomyślała. Było ich dwieście. Andy metodycznie oznaczał wszystkie datami i przechowywał je w pudle pod łóżkiem, ułożone w chronologicznym porządku.

- Zdziwiłabyś się, ile informacji znajduje się w moich notesach - mawiał czasami. - Wszystko to początkowo wydaje się nieważne, ale z czasem fermentuje, nabiera mocy i wreszcie wypływa na powierzchnię...

Min zamierzała podarować notatniki chłopcom, kiedy będą już na tyle dojrzały, aby odczytać niewyraźne pismo ojca i zrozumieć znaczenie jego notatek. Co jeszcze mówił o swoich zapiskach? Że tworzą unikatowe archiwum. Jeśli zestawia się je z zapiskami innych policjantów z komisariatu, otrzyma się pełny obraz zdarzeń z danego dnia...

Wsiadła do samochodu i sięgnęła po telefon. Wybrała numer i podniosła komórkę do ucha.

- Cześć, Dave Hennigan, to ja, Min Sweeney. Przepraszam, że cię niepokoję, wiem, że masz mnóstwo roboty, ale chciałam cię o coś zapytać. Czy pomógłbyś mi odszukać kilku policjantów, którzy pracowali w twoim rejonie dziesięć lat temu?

Słuchała uważnie, niezrażona irytacją, brzmącą w jego głosie. Spokojnie wyjaśniła, o co jej chodzi, i zaczęła na odpowiedź. Uśmiechnęła się, kiedy po chwili znowu usłyszała Dave'a.

- Dobrze, dobrze, jeżeli tak ci na tym zależy... Zrobię, co mogę. Zanim przyjedziesz, przygotuję tę listę, w porządku? Nazwiska, adresy, numery telefonów. Potem będziesz musiała radzić sobie sama, rozumiano?

Zrozumiała, a jakże. Nie była pewna, co z tego wyniknie, ale patrząc na twarz Susan Cassidy, zdała sobie sprawę, że musi znaleźć rozwiązanie tajemnicy zniknięcia Owena.

Andy, wiem, że jesteś zadowolony z mojej decyzji, pomyślała. Zrobię to powoli i dokładnie, cierpliwie, przywiązując wielką wagę do szczegółów i czytając między wierszami. Tego mnie uczyłeś, prawda? Pomóż mi teraz, bardzo cię proszę.

Rozdział dwudziesty szósty

Chłopiec siedział na murze i patrzył na Nicka. Dzień był pogodny, lecz chłodny. Żłociste liście, które opadły z topoli rosnących na końcu ogrodu, lśniły w porannym słońcu. Mały miał na sobie tylko spraną piżamę, w ręce ścisnął kawałek niedojedzonej grzanki, drugą trzymał się betonowego parapetu, przykrywającego granitowe bloki. Nick powoli ruszył w jego stronę, lecz zaraz przystanął. Uśmiechnął się ostrożnie. Twarz chłopca była poważna, może nawet zatroskana. Położył grzankę na murze i włożył oba palce wskazujące do ust, unosząc kąciki warg i odciągając je od zębów. Wysunął język i kilka razy poruszył głową w jedną i w drugą stronę. Potem przestał i wyciągnął ramiona, czekając, aż Nick zdejmie go z murku i postawi obok siebie na ziemi. Nick się cofnął.

- Przykro mi, mały, ale dzisiaj nie będziemy się bawić. Jutro też nie. Nie możesz do mnie więcej przychodzić, lepiej idź do domu. Zmarzniesz bez kurtki i czapki.

Twarz chłopca zmarszczyła się w wyrazie zawodu i smutku. Wciąż wyciągał ręce do Nicka, rozpaczliwymi ruchami dłoni zachęcając go, aby podszedł bliżej, lecz Nick potrząsnął głową, odwrócił się i odszedł. Nie obejrzał się, więc nie widział, jak po brudnych policzkach chłopca zaczynają się toczyć wielkie łzy, jak jego usta otwierają się w niemym krzyku. Nie widział też rąk, które z tyłu chwyciły chłopca pod pachy i brutalnie ściągnęły na drugą stronę muru. Nie widział człowieka, który zanurzył palce w gęstych włosach dziecka i kopniakiem podciął mu nogi. Nie widział, jak Emir upadł na ziemię i skulił się, usiłując uniknąć ciężkich uderzeń, które posypały się na jego plecy.

Słońce malowało jasne pasy na biurku Dave'a Hennigana, kiedy Min usiadła obok niego i spojrzała na przygotowaną listę.

- To wszystko dla ciebie, skarbie. - Dave uśmiechnął się, podsuwając jej kartkę. - Teraz możesz się nieźle zabawić i odwalić kawał detektywistycznej roboty, co? - Na moment otoczył ją ramieniem i uścisnął.

- Naprawdę masz złote serce, stary. - Min przebiegła wzrokiem kolumnę nazwisk. - Tym razem przeszedłeś sam siebie. Nazwiska, adresy i telefony... Kurczę, jestem pod wrażeniem.

- Dobrze, dobrze, daj spokój. - Dave wstał i przyjrzał się jej uważnie. - Dobrze się czujesz, złotko? Wyglądasz na trochę zmęczoną. Dzieciaki dają ci wycisk, tak?

Potrząsnęła głową.

- Nie, to nie to. W pracy dużo się dzieje, wiesz, jak to jest...

- Więc tęsknisz za nami? Brakuje ci pogawędek i przerw na filiżankę herbaty?

- Jasne! Nie ma to jak twoja herbata! Nikt w kwaterze głównej nie parzy równie pysznej. Przypuszczam, że sekret tkwi w tym, jak wrzucasz torebkę do filiżanki, przytrzymujesz ją palcami i obracasz dookoła łyżeczki. Mam rację, prawda?

Dave parsknął śmiechem.

- Tak jest, mała, masz rację. A teraz zabieraj się stąd, bo niektórzy z nas muszą tu pracować.

Nick czekał. Siedział na sofie i nasłuchiwał, aż w końcu dobiegł go odgłos zamykanych frontowych drzwi. Podniósł się i wyjrzał przez okno. Zobaczył Amrę z dziećmi, małą dziewczynką w spacerowym wózku i niechętnie wlokącym się z tyłu Emirem, zmierzającą przez plac do głównej ulicy. Wyszedł do ogrodu za domem, powoli zbliżył się do muru i oparł ręce na szczycie. Przed laty bez trudu pokonywał tę przeszkodę, wciąż przeskakując do Gouldingów po piłkę Owena. Teraz przerzucił ciężar ciała na ramiona, odbił się od ziemi i palcami stóp poszukał oparcia w nierównościach muru. Odczekał chwilę, z niepokojem patrząc na dom. Miał nadzieję, że nikt go nie widzi. Potem lekko opadł na trawę po drugiej stronie.

Kiedyś znajdowały się tu grządki warzywne. Hilary Goulding miała kilka krzaków malin i agrestu, hodowała zieloną sałatę i cukinię, a w środku lata cieszyła się urodą obficie kwitnących dalii.

- Hoduję je dla przyjemności - powiedziała mu, wystawiając drobną, szarą głowę zza muru. - To taki mój kaprys, ukłon w kierunku frywolnej radości życia... - Odwróciła się i z podziwem spojrzała na kwiaty ekstrawagancko czerwone, pomarańczowe i żółte ze szkarłatnymi nitkami. - Są przepiękne, prawda?

W jej głosie zabrzmiała nuta tęsknoty i żalu. Nick skinął głową i skwapliwie przytaknął, trochę zaskoczony jej namiętnością do kwiatów tak niepasujących do surowej reszty ogrodu, z jego dwoma wzgórkami kompostu, równo przyciętymi rabatkami lawendy i trzeźwą użytecznością.

Teraz w miejscu, gdzie kiedyś rosły warzywa i kwiaty, rozciągał się zapuszczony trawnik z huśtawką, a dalej letni drewniany domek. Nick ruszył w tamtym kierunku. Małe drzwi z szybką u góry stały otworem. Dolny zawias był uszkodzony i drewniany panel smętnie opierał się o framugę. Nick wszedł na werandę. Przy balustradzie stał złożony leżak z płóciennym siedzeniem w pasy, podartym i spranym. Zajrzał do środka. Pod tylną ścianą piętrzył się wzgórek liści, powietrze cuchnęło pleśnią i zgnilizną. Na podłodze zobaczył strzępy starych gazet, drobne kości, zmiażdżone i starannie ogryzione, sporo piór, głównie czarnych i białych, ale także szaro-beżowych, niewątpliwie należących do gołębi, które hodował ktoś mieszkający dwie ulice dalej. Silny odór piżma sprawił, że Nick szybko się wycofał. Natychmiast rozpoznał charakterystyczny zapach lisiego futra i moczu. Na zewnętrznym parapecie okna leżała stara metalowa puszka po tytoniu. Podważył wieczko. W środku leżał ogarek świecy i pudełko zapalek. Niebezpieczna zabawa, płonąca świeca w drewnianym domu, pomyślał. Cóż, tak czy inaczej, ktoś na pewno miał z tego sporo radości.

Odwrócił się i zszedł na trawę. Spojrzał na dom, w puste, ciemne okna. Stojąc na trawniku, usiłował przypomnieć sobie, jak wyglądał ten dom tamtego dnia, przed dziesięciu laty. Drzwi do piwnicy były zawsze otwarte, dzieciaki wchodziły i wychodziły, kiedy tylko chciały. Pamiętał, jak wspinał się na mur i wołał Owena.

Owen, czas na podwieczorek.

Owen, czas do łóżka.

Owen, mamusia wróciła z pracy.

Czasami to nie wystarczało i wtedy musiał przeskoczyć na drugą stronę, pchnąć drzwi i wejść do środka. Powietrze przesycone było zapachem wilgoci i węglowego dymu, wibrowało rytmem głośnego rocka. Stara, zniszczona sofa, przykryta indyjską narzutą. Chris i Marianne odwracają się ku niemu, spomiędzy nich wychyla się Owen. Róisín stoi przy kominku, w jednej ręce trzyma wiadro z węglem. Na ławie kilka kubków bez uchwyty, z wyszczerbionymi brzegami i parę pełnych popielniczek.

- Nie chcę jeszcze wracać do domu, tato - mówi Owen. - Dobrze się bawię, no, proszę cię, tato, jeszcze trochę...

Nick pokonywał jego opór na różne sposoby, ale najczęściej po prostu zarzucał go sobie na ramię, chociaż Owen był już dość ciężki, a jego ciało straciło przytulną miękkość, typową dla wczesnego dzieciństwa.

Teraz szybkim krokiem podszedł do drzwi piwnicy i nacisnął klamkę. Zamknięte. Cofnął się i podniósł nogę, mocno kopnął, aż drzwi zadygotały i wzdłuż brzegu pojawiły się ślady drobnych pęknięć. Wziął głęboki oddech i kopnął jeszcze raz. Zamek trzasnął, drzwi odskoczyły. Nick rozejrzał się, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Serce łomotało mu w piersi, nieregularnie i niepewnie. Wyciągnął rękę, żeby przytrzymać się ściany. Była zimna i wilgotna, więc z niesmakiem wytarł dłoń o dzinsy. Potem powoli ruszył korytarzem w głąb cichego domu.

Kiedy on i Susan wprowadzili się do swojego domu, ich piwnica wyglądała podobnie. Płatanina małych pokoików, zimnych, wilgotnych i ciemnych. W czasach, gdy właścicielom tych domów usługiwali biedni i gorzej urodzeni, były tu sypialnie dla służby, kuchnia, spiżarnia i zmywalnia. Nick wyburzył wewnętrzne ściany, otwierając całą przestrzeń na światło, lecz w piwnicy Gouldingów nadal było ciemno i ponuro. Pchnął najbliższe drzwi. Zakratowane okna były brudne, pełne pajęczyn z muchami, które utkwili w nich dawno temu. Zbliżył się do kominka. Zebrane w kominie pokłady sadzy najwyraźniej runęły w dół, zasypując podłogę wokół kominka. Podłoga usiana była czarnymi śladami małych stóp. Pod ścianą leżał materac. Nick dotknął go ostrożnie. Był wilgotny i cuchnął moczem. W kącie ktoś rzucił koc. Nick czubkiem buta odsunął materiał i odsłonił kawałek papieru. Schylił się i podniósł go z ziemi. Wiedział, co to jest. Dziecięca dłoń narysowała pokrywające papier figurki, naciskając ołówek tak mocno, że w wielu miejscach czubek grafitowego sztyftu zrobił ciemne dziury na białym tle. Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Usiadł na parapecie i zamyślił się.

Co powiedziała mu Marianne? Że słyszała krzyki, widziała krew na ścianach i na podłodze. Ale przecież Marianne miała halucynacje, prawda? Jej organizm w bardzo ostry, prawie psychotyczny sposób zareagował na narkotyki. Miała te wizje w chwili, kiedy zapadała się ciemność, z której często nie ma już powrotu, czy nie tak?

Susan powtarzała, że Marianne nie powinna zabierać ze sobą Owena, kiedy odwiedza Gouldingów.

- To nie w porządku, Nicky - mówiła. - Jest w tym coś niestosownego, wprowadza zamieszanie w ich wzajemny układ. Marianne jest jego opiekunką, nie koleżanką, a Owen to jeszcze dziecko, nie nastolatek...

Ale Nick zbywał jej wątpliwości machnięciem ręki. Odpowiadał, że przecież oboje znają Gouldingów od lat, na miłość boską. Jeszcze nie tak dawno Chris i Róisín zostawali z Owenem wieczorami, kiedy oni wybierali się do kina albo do teatru, zresztą Owen wpadał do Gouldingów prawie codziennie, więc dlaczego miałyby mu się stać coś złego, kiedy idzie do nich razem z Marianne? Na czym polega różnica? I oczywiście zwy-

ciężył, jak zwykle, ale tamtego dnia Owena nie było u Gouldingów, w każdym razie tak powiedzieli Chris, Marianne, Róisín i Eddy. Owen nie przyszedł z Marianne. Marianne przyszła sama.

Nick wstał. Teraz musiał poznać prawdę, dowiedzieć się wszystkiego, co mógł mu zdradzić ten dom.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Drugie drzwi były zamknięte na klucz, więc znowu z całej siły kopnął w miejsce, gdzie znajdował się zamek. Drewno trzasnęło, naparł barkiem na drzwi i otworzył je. Wewnątrz było ciemno. Za zaciągniętymi grubymi zasłonami rysował się jaśniejszy kwadrat okna, które wychodziło na mały ogródek przed domem. Nick zapalił światło. Umieszczona pod sufitem jarzeniówka zamigotała i wydobyła z gęstego mroku pomalowane na biało ściany i betonową podłogę, także pociągniętą białą farbą. Pokój był klinicznie czysty i pusty. Nick wszedł do środka, rozejrzał się dookoła i wrócił na korytarz.

Tuż obok pięły się w górę schody, prowadzące do głównej części domu. Nick powoli stawiał nogi na stopniach, słysząc, jak grube deski skrzypią donośnie. W holu zatrzymał się i chwilę nasłuchiwał. Cisza. Zaczął przeszukiwać pokoje, otwierać szafy, wysuwać szuflady, zaglądać pod krzesła i łóżka. Nie znalazł nic, co mogłoby mu pomóc. Dom był zaniedbany. Wszędzie leżały stopy brudnych ubrań, z kuchni snuł się przyprawiający o mdłości odór starego tłuszczu i nieświeżego jedzenia. Na samej górze znajdowała się mała sypialnia, wielkością przypominająca pokój Owena. Tutaj nie było jednak żadnych zabawek, tylko łóżko z materacem obciążonym folią i porzucony w kącie zniszczony pluszowy miś wata wyłazącą z dziury w głowie.

Nagle Nick usłyszał, jak na dole otwierają się drzwi wejściowe. Potem rozległy się kroki w holu. I głos.

- Amra, jesteś tam? Wróciłem! Jestem głodny! Zrobiłaś coś do jedzenia?

Nick znieruchomiał, wstrzymał oddech. Czuł, jak puls galopuje mu w skroniach i serce gorączkowo podskakuje w piersi.

- Tylko nie mów, że jeszcze leżysz w łóżku! Wstawaj, ty leniwa suko!

Szybkie kroki na schodach i w sypialni z oknami wychodzącymi na plac, potem znowu na schodach i w kuchni. Szum spływającej do zlewu wody. Radio. Muzyka, na cały regulator. I pogwizdywanie.

Teraz Nick zaczął ostrożnie schodzić na dół, stopień po stopniu. Przed sobą miał frontowe drzwi. Już chciał na palcach zbiec do holu i wysliznąć się na zewnątrz, kiedy Chris wyszedł z kuchni, niosąc parujący kubek. Nick przywarł do ściany i zamarł. Zaciśnął pięści, próbując uciszyć galopadę serca. Odczekał chwilę, błyskawicznie pokonał resztę stopni i skrzył ku schodom do piwnicy. Deski znowu zatrzęszczały pod jego stopami, więc nie zdziwił się nawet, kiedy usłyszał donośny głos.

- Kto tam? Kto jest na dole? Głos zbliżał się, przybierał na sile.

- To ty, Emir? Jesteś w piwnicy? Chodź tutaj, w tej chwili!

Gniew, zniecierpliwienie. Nick cofnął się i wcisnął w przestrzeń pod schodami. Próbował nie oddychać. Znowu usłyszał kroki, tuż nad swoją głową, tak blisko, że widział, jak stopnie lekko uginają się pod ciężarem Chrisa. Wsunął się najgłębiej jak mógł, zgiętymi plecami przywarł do ściany.

- Jest tam ktoś? Kto tam?

Słyszał, jak Chris podchodzi do drzwi od strony ogrodu, klnie pod nosem na widok wyłamanego zamka. Potem trzask drewna o drewno i dźwięk przesuwanej zasuwki, u góry i u dołu. Następnie kroki z pokoju do pokoju. Nick skulił się jeszcze bardziej, zamknął oczy. Byle mnie nie zauważył, byle nie zauważył, powtarzał sobie w myśli. W końcu usłyszał kroki na schodach, cichnące, w miarę jak Chris wchodził wyżej.

Dopiero wtedy ośmielił się wypuścić powietrze z płuc. Głowa opadła mu na piersi, przed oczami zawirowały ciemne plamy. Frontowe drzwi otworzyły się i zatrzasnęły, z holu dobiegły głosy. Nick szybko wysunął się z kryjówki, odsunął rygle, wyśliznął się do ogrodu. Przypłaszczony do ściany, powoli dotarł do muru, przesadził go, nie oglądając się za siebie, i opadł na trawę we własnym ogrodzie. Był bezpieczny. Z trudem chwytając oddech, wrócił do mieszkania i usiadł na krześle. Kręciło mu się w głowie, więc oparł czoło o kuchenny stół, zamknął oczy i czekał, aż oddech się wyrówna, a serce przestanie głośno walić. Czekał, aż znowu ogarnie go spokój.

W biurze panowała cisza. Min była sama, co nie zdarzało się często. Przejrzała całą listę, pełna podziwu dla skrupulatności Dave'a. Dwudziestu policjantów, których nazwiska zapisał, wciąż mieszkało pod podanymi przez niego adresami. Dziesięciu przeszło już na emeryturę, oddając się pasji do golfa i uprawie ziemi. Min nagrała wiadomość na ich sekretarkach automatycznych lub przekazała żonom. Ci, którzy nadal pracowali, byli gotowi pomóc, chociaż mieli poważne wątpliwości, czy jej wysiłek przyniesie jakieś efekty.

- Przerobiliśmy to wszystko tysiąc razy dziesięć lat temu, Min - mówili. - Sprawdziliśmy wszystko, co zasługiwało na sprawdzenie, sama wiesz najlepiej. Brałaś przecież udział w początkowej fazie dochodzenia, prawda? Ty i twój mąż... Słuchaj, gdyby można było cokolwiek znaleźć, jemu na pewno by się to udało...

Wszyscy chcieli rozmawiać o Andym. Opowiadali jej rozmaite historie, niektóre z nich słyszała po raz pierwszy.

Po południu zadzwoniła do domu. Wszystko było w porządku. Głos Viki brzmiał wyjątkowo pogodnie.

- Dzisiaj jest dobrze, Minuszka. Chłopcy zadowoleni, słońce świeci, więc Vika też jest szczęśliwa.

- Powiedz mi, jak było wczoraj wieczorem. Dobrze się bawiłaś?

- Tak jest, Minuszka, świetnie się bawiłam.

- Bardzo się cieszę. Kiedy następnym razem późno wrócisz do domu, zamknij drzwi na łańcuch, dobrze? I pamiętaj, by włączyć alarm, tak na wszelki wypadek...

Na wypadek czego, zapytała samą siebie. Och, po prostu na wszelki wypadek, i już.

- Jasne, jasne, Min, na pewno nie zapomnę. Pół godziny temu dzwonił tu do ciebie jakiś mężczyzna, powiedział, że nazywa się Paddy O'Higgins. Podobno przyjaciel twojego męża. Prosił, żebyś oddzwoniła, bo chyba ma coś dla ciebie. Zostawił numer komórki. Masz długopis?

Paddy O'Higgins. Pracował w drogówce, patrolował miasto na motocyklu. Przed paroma laty miał paskudny wypadek. Ścigał bandytów, którzy obrabowali pocztę. Był to dzień wypłaty zasiłku dla dzieci, więc na poczcie było pełno kobiet i dzieciaków. Kilku facetów wpadło do środka, wszyscy w czarnych kominiarkach, z gotowymi do strzału obrzynami w rękę. Paddy wpadł w poślizg na autostradzie, złamał obie nogi, pękła mu miednica. Nigdy w pełni nie wrócił do zdrowia. Teraz razem z żoną, Nancy, prowadził pensjonat gdzieś w Wexford.

Od razu podniósł słuchawkę. W jego głosie dało się wyczuć podniecenie.

- Myślę, że mam coś dla ciebie, Min. Najpierw posłuchaj, a jeżeli uznasz, że to ważne, prześlę ci notatnik ekspresem.

Min wysłuchiwała jego relacji i robiła notatki. Trzydziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku o godzinie 16.35 doszło do wypadku na skrzyżowaniu Marine Road i Sea

Road. Przechodząca przez ulicę kobieta została potracona przez jadący z nadmierną szybkością samochód, najprawdopodobniej marki BMW, którego kierowca się nie zatrzymał. O 16.40 wezwano karetkę pogotowia. Ofiara, pani Annie Molloy, miała osiemdziesiąt dwa lata i mieszkała w Sallynoggin, przy Rollins Villas pod numerem 16. Informacja o kierowcy, który zbiegł z miejsca wypadku, została przekazana policji drogowej. Poszkodowana doznała ataku serca. Na miejscu wypadku wstępnej pomocy udzielił jej William Metcalfe z Bradford w hrabstwie Yorkshire, 28 Moorview Avenue. O godzinie 16.58 ofiarę przewieziono do szpitala św. Michała.

- Co stało się z kierowcą samochodu, Paddy? Kto to był?

- Dzieciak z osiedla Dolphin House, Mick Bourke, szesnastolatek. Jako pasażer jechał z nim jego kolega, siedemnastoletni Damien Smith. Obaj zginęli jakąś godzinę później, w zderzeniu czołowym z ciężarówką na Arklow Road.

- Więc to nie ma żadnego związku ze sprawą Cassidych?

- Żadnego. Przecież wiesz, że sprawdzaliśmy wszystkie możliwe tropy po kilkanaście razy. Z drugiej strony, nigdy do końca nie wiadomo... Od lat nie zastanawiałem się nad tą sprawą. Daj mi znać, jeżeli dowiesz się czegoś ciekawego, dobrze?

Min spojrzała na swój notes i westchnęła. Nie bardzo wyobrażała sobie, jakim cudem mogłaby dowiedzieć się czegoś nowego i istotnego dla sprawy Owena, ale wypadek Annie Molloy był jedyną interesującą informacją, na jaką w ogóle się natknęła. Drzwi biura otworzyły się i zamknęły z trzaskiem.

Podniosła wzrok. Przy biurku stał Conor.

- Hej, jak sobie radzisz? Uśmiechnęła się.

- W porządku, a ty?

Zrzucił kurtkę i usiadł. Przez chwilę milczeli, wyraźnie skrepowani, potem oboje odezwali się jednocześnie.

- Posłuchaj... - zaczęła Min.

- Posłuchaj... - zaczął Conor. Parsknęli śmiechem.

- Panie mają pierwszeństwo - powiedział, odchylając się do tyłu na krześle.

- Bardzo elegancko to ująłeś... - przerwała, a następnie dodała: - Chciałam tylko przeprosić za to, że wczoraj cię zdenerwowałam.

- Nie ma za co, nie trzeba - pokręcił głową. - To ja cię przepraszam, że się wściekłem. Chyba masz rację, rzeczywiście spędzam tu za dużo czasu. Powinienem częściej szukać towarzystwa normalnych, zwyczajnych ludzi.

- No, może i tak... - Min znowu spojrzała na swoją listę. - Słuchaj, zrobisz coś dla mnie? Muszę już lecieć, bo chłopcy mają szkolne przedstawienie z okazji Halloween i będą bardzo rozczarowani, jeżeli się spóźnię. Sprawdzisz dane dotyczące kilku osób? Pewnie nic to nie da, ale co tam... - Podkreśliła kilka nazwisk i podała notatnik Conorowi.

- Jasne... - Oparł dłonie na klawiaturze. - Moje czarodziejskie palce są na twoje usługi, moja droga. Jeżeli znajdę coś ciekawego, zadzwonię. I nie zapomnij przynieść mi jutro paczuszki ze słodyczami i orzeszkami, zgoda?

Min wstała i przelożyła pasek torby przez ramię.

- Nie zapomnę, masz to jak w banku.

Odwróciła się, kiedy była już przy drzwiach. Siedział przygarbiony, z nogami zaplecionymi wokół podstawy obrotowego krzesła, i monotonna nucił coś pod nosem. Nie patrząc na nią, podniósł rękę i pomachał jej na pożegnanie. Odwróciła się i wyszła.

Trzydziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku dzień był pogodny i niezwykle ciepły jak na tę porę roku. Liście opadały z drzew miękkim deszczem czerwieni i złota. W taki dzień osiemdziesięciodwuletnia Annie Molloy odważyła się pojechać autobusem do Dun Laoghaire na zakupy. Zazwyczaj to jej wnuczka, Stacey, przyjeżdżała małym czerwonym samochodem, zabierała sporządzoną przez babkę listę potrzebnych rzeczy i kupowała je w supermarkecie, ale Stacey nigdy nie słuchała, kiedy Annie tłumaczyła jej, że lubi herbatę liściastą, do parzenia w imbryczku, nie ekspresową, i mleko pełnotłuste, nie chude. Poza tym Stacey zawsze zapominała kupić miętówki, które Annie uwielbiała, bo przypominały jej miłe chwile z przeszłości, kiedy to po mieście kursowały tramwaje, a przy wschodnim moło dorożki czekały na schodzących ze statku pasażerów.

Annie chciała także odebrać emeryturę na poczcie w dole Marine Road i przy okazji sprawdzić, kto ze znajomych nadal odbiera ją osobiście. Tego dnia naprawdę była bardzo ostrożna. Na światłach zaczekała na pojawienie się małego zielonego ludzika oraz dźwięk brzęczyka i dopiero wtedy zeszła z krawężnika. Nie zauważyła nadjeżdżającego samochodu, usłyszała tylko pisk hamulców i poczuła uderzenie, które okręciło ją dookoła własnej osi i rzuciło biodrem na jezdnię.

Nie była pewna, co działo się później. Pamiętała pochylonego nad nią policjanta w motocyklowym kasku i w kurtce z grubej skóry, który pytał, jak się nazywa i gdzie mieszka, a potem sięgnął po krótkofalówkę i wezwał karetkę. Wokół nich zgromadził się spory tłum. Ktoś zdjął płaszcz i podłożył jej pod głowę, ktoś inny podniósł torebkę i powiedział, że jej popilnuje. Wtedy poczuła się bardzo źle, szarpnął ją nagły, ostry ból w lewym ramieniu i klatce piersiowej. Zabrakło jej tchu, ogarnęło ją przerażenie. Chwyliła policjanta za rękę, bo przed oczami wirowały coraz większe czarne plamy, a pierś rozrywał na dwoje ten okrutny ból.

Policjant przyklęknął obok niej, usiłował zmierzyć puls i dźwignąć ją do pozycji siedzącej. W panice rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem pomocy. I wtedy rozległ się spokojny głos z angielskim akcentem:

- Pomóc ci, kolego? Czy wszystko z nią w porządku?

Policjant podniósł wzrok. Obok niego przykucnął jakiś mężczyzna, przyłożył kciuk i palec wskazujący do szyi staruszki, ukląkł i przytknął ucho do piersi. Podniósł się trochę, otworzył jej usta i ścisnął nozdrza palcami.

- Teraz - powiedział. - Na jeden, dwa, trzy... Policjant pochylił się niżej. Czekał.

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, przerwa...

Policjant zaczął mocno i rytmicznie uciskać zimowe palto Annie w okolicy serca. W tym samym czasie mężczyzna wdychał powietrze w jej płuca.

- I znowu... Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, przerwa...

I tak raz za razem, aż wreszcie jej twarz znowu przybrała normalny kolor, oczy się otworzyły, usta zaczęły chwytać powietrze. Żyła.

Parę minut później, kiedy karetka zabrała staruszkę do szpitala, policjant odwrócił się do mężczyzny.

- Dziękuję - powiedział. - Odwalił pan kawał świetnej roboty. - Wyjął z kieszeni notes. - Jak się pan nazywa, skąd pan jest?

- Metcalfe, William Metcalfe, z Bradford w hrabstwie Yorkshire, 25 Moorview Avenue. Muszę już iść, inaczej spóźnię się na prom.

- Spokojnie... - Policjant podniósł krótkofalówkę i szybko powiedział kilka zdań. - Zaczekają na pana, wszystko w porządku. Przynajmniej tyle mogę dla pana zrobić.

Uśmiechnął się. Metcalfe odpowiedział uśmiechem i podniósł dwa palce do nieistniejącej czapki. Podniósł torbę z jezdni.

- Nie ma za co dziękować, kolego. Nauczyłem się tego w drużynie skautowskiej.

Odrzucił się i szybkim krokiem ruszył w kierunku stacji promów.

- Nauczył się tego w drużynie skautowskiej, to fakt! - W dobiegającym ze słuchawki głosie Connora brzmiała gorzka nuta. - Został nawet drużynowym. Był także podłym skurwysynem. Sześć miesięcy po wypadku Annie Molloy został skazany na dziesięć lat więzienia pod kilkunastoma zarzutami z paragrafów dotyczących gwałtu, demoralizacji nieletnich i niewłaściwych zachowań natury seksualnej.

Zadzwonił późno. Min właśnie zamierzała pójść spać. Kiedy przywiozła chłopców do domu, bez przerwy awanturowali się i kłócili, właściwie o wszystko. Mało brakowało, a straciłaby cierpliwość. Joe uważał, że podział łupów ze szkolnej uroczystości był niesprawiedliwy, musiała więc ostro negocjować z Jimem, żeby zgodził się oddać jedną paczkę orzeszków i podzielić zawartość na dwie części. Teraz siedziała przy kominku z filiżanką herbaty w ręku.

- Opowiedz mi wszystko, Conor. Facet, który uratował staruszkę, stosując sztuczne oddychanie, dostał dziesięć lat za gwałt, demoralizację nieletnich i niewłaściwe zachowania natury seksualnej? I to właśnie on był w Dun Laoghaire tego dnia, kiedy Owen Cassidy zniknął...

- Tak jest. Tak było.

- A my nic o tym nie wiedzieliśmy? Jak to możliwe?

- Niby skąd mieliśmy wiedzieć? Nie było najmniejszego powodu, aby połączyć wypadek drogowy w Dun Laoghaire i mężczyznę, któremu wtedy nie postawiono jeszcze żadnych zarzutów, z zaginięciem chłopca. Nie mogliśmy wiedzieć.

- Więc co teraz zrobimy? W którym więzieniu Metcalfe odsiaduje wyrok? Myślisz, że moglibyśmy z nim porozmawiać?

- Będzie z tym pewien problem... Metcalfe siedział w więzieniu pod Manchesterem, o zastrzonym rygorze. Dosłownie roi się tam od morderców. Niestety, już go tam nie ma. Został zaatakowany przez jednego ze współwięźniów i zmarł w czerwcu 1998 roku.

Min pociągnęła łyk herbaty.

- Kto go zabił? - zapytała. - Czy to był przypadkowy atak?

- Cóż, nigdy nie udało się ustalić motywu zbrodni.

Dziś wieczorem rozmawiałem z zastępcą szefa więzienia, który powiedział, że wiedzą tylko, kto zabił Metcalfe'a. I tu sprawa zaczyna się robić interesująca... Zamordował go Irlandczyk, niejaki Colm O Laoire, tak

się to pisze w celtyckim. Biedny Angol nie był w stanie tego wymówić... Wszystko wskazuje na to, że był jeden świadek zbrodni, ale nie wydusili z niego ani słowa, więc nie mogli oskarżyć i skazać winnego.

- I ten O Laoire nadal siedzi?

- Tak jest. Został skazany na dożywocie za zamordowanie własnej żony. Sporo mu jeszcze zostało...

- To co? - w głosie Min brzmiało podniecenie. - Pojedziemy tam i zobaczymy się z nim?

- Myślę, że trzeba to zrobić. Poryję jeszcze trochę w aktach i spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej o panu Metcalfie, a ty jutro z samego rana zadzwonisz do tego więzienia i ustalisz, co i jak. Zostawię wszystkie telefony na twoim biurku. Pojadę tam z tobą, jeśli chcesz... - Conor ziewnął głośno. - Jestem wykończony. Gdybyś potrzebowała mnie wcześniej, dzwoń na komórkę, dobrze?

- Jasne.

- I jeszcze coś - gratuluję ci. Dobra robota, naprawdę. Dobranoc.

Siedziała przy powoli wygasającym ogniu tak długo, że w końcu zęby zaczęły jej szczekać z zimna. Dopiero wtedy poszła na górę. Nie mogła pogodzić się z tym, że nie ma nikogo, z kim mogłaby podzielić się swoimi myślami. To bolało.

- Andy, co o tym sądzisz? - odezwała się głośno. - Myślisz, że wpadliśmy na trop? Że informacja o Metcalfie dokądś nas zaprowadzi? Jesteś ze mnie dumny? Powiedz mi, Andy...

Odpowiedział jej tylko szum wiatru w gałęziach drzew za oknem i żalodne zawodzenie samochodowego alarmu, który włączył się gdzieś w pobliżu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nick obudził się. Było ciemno. Leżał na boku, z dłońmi między udami. Był nagi. W głowie brzmiały mu jakieś słowa. Kiedyś znał muzykę do nich, ale teraz zostały tylko słowa.

Smutek, kara za grzech, Rozdziera serce, pełne wyrzutów sumienia.

Matka często je śpiewała. Gdy był nastolatkiem, należała do parafialnego chóru. Mówiła, że był to pierwszy krok na drodze do odzyskania własnego życia, życia, które wcześniej skupiało się wokół męża i dzieci. Miała płytę, nagranie arii Bacha w wykonaniu Kathleen Ferrier. Pasja według św. Mateusza, Pasja według św. Jana, Msza h-moll. Czasami puszczała ją kilka razy dziennie i śpiewała razem z wykonawczynią. Próbowowała nadać swemu głosowi podobne brzmienie, utrzymać się w tej samej tonacji.

- Posłuchaj, jakie to piękne, Nicky - mówiła.

A on, głupi nastolatek, mrucał coś pod nosem i koncentrował całą uwagę na obiedzie.

Poruszył nogami, wyciągnął rękę. Sąsiednie łóżko było puste. Zaczął sobie przypominać. Wypili drugą butelkę wina i wtedy Susan znalazła w kuchennej szafce butelkę calvadosu. Rozmawiali i śmiali się, byli szczęśliwi. Pocałował ją, pociągnął na swoje kolana, a ona oparła głowę na jego ramieniu. Czuł bijące od niej ciepło. Dotknął piersi. Wsunęła dłoń pod jego koszulę i pogładziła go po brzuchu. Potem wstali. Objęła go i razem poszli na górę. Stanęli naprzeciwko siebie obok łóżka, on położył ręce na jej ramionach. Znowu się pocałowali.

Miała ten sam smak i zapach co dawniej. Przyciągnął ją bliżej, przycisnął jej ciało do swojego. Wreszcie ogarnęło go poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

I wtedy cofnęła się gwałtownie. Zaczęła na niego krzyczeć. Jak może? Za kogo się uważa? Za kogo ją uważa? Czy myśli, że wystarczą dwie butelki wina, wypite ot, tak sobie, ze względu na stare dobre czasy, aby wszystko było tak jak dawniej? Naprawdę myśli, że w ten sposób pokutuje się za winy? Pięści miała mocno zaciśnięte, po twarzy płynęły łzy. Kazała mu się wynosić i zostawić ją w spokoju. Wypadła z sypialni, zbiegła na dół, szarpnęła drzwi i z rozmachem zatrzęsła je za sobą.

Chwilę stał nieruchomo, bo po prostu nie był w stanie się poruszyć. Potem zszedł do kuchni, pozmywał naczynia i wstawił je do szafki. Wylał stół, zamiótł podłogę, znajdując pewną pociechę w prostych, rutynowych czynnościach. Usłyszał, że drzwi się otwierają i zobaczył ją, stojącą w holu. Twarz miała białą jak ściana, ręce sine z zimna, ale głos zupełnie spokojny.

- Zostań ze mną na noc - powiedziała. - Chcę, żebyś został. Chodź ze mną na górę. Potrzebuję cię. Nie ważne, co było, teraz jesteś mi potrzebny...

Ledwo zamknęła oczy, już spała. Leżał i słuchał jej oddechu. Potem także zasnął. Obudził się w środku nocy. Przywarła plecami do jego piersi, leżeli ciasno przytuleni. Odsunął włosy i pocałował ją w kark. Ujęła jego dłoń, położyła na swojej piersi i pogładziła podbicie jego prawej stopy podeszwą swojej. Znowu zasnęli.

Teraz drzwi sypialni były otwarte. Nick przewrócił się na bok, oparł głowę na łokciu.

- Jest jeszcze wcześniej, ale muszę już iść. Przyniosłam ci herbatę.

Była w szarym kostiumie, gotowa do pracy. Kiedy podniósł się, usiadła obok niego i podała mu kubek. Ostrożnie pociągnął łyk gorącego płynu.

- Wróć koło szóstej. Zaczekasz na mnie? Skinął głową.

- To dobrze. Wtedy spokojnie porozmawiamy. Pocałowała go w policzek. Pachniała pastą do zębów.

Wstała, wygładziła spódnice.

- Susan... - Podniósł wzrok. - Kocham cię.

- Naprawdę?

Stała już w progu. Obejrzała się z uśmiechem. Usłyszał kroki na schodach i cichy trzask zamykanych drzwi.

Wstał i podszedł do okna. We wszystkich domach przy placu paliły się światła. Ich mieszkańcy jedli śniadanie, szykowali dzieci do szkoły. Rodzice wychodzili do pracy, frontowe drzwi otwierały się i zatrzaskiwały, pogodne głosy wołały coś na pożegnanie. Samochody powoli sunęły w kierunku głównej ulicy. Nick patrzył, jak starsze dzieci idą do szkoły albo na przystanek autobusowy na skróty, przez trawnik, zajmujący centralną część placu. Niektórzy przystawali, żeby popatrzeć na ognisko. Nastoletni chłopcy niepewnie zapalali papierosy, osłaniając usta dłonią, i wołali coś do dziewczyny, która właśnie wyszła z dużego domu na rogu. Była wysoka, długonoga, bardzo ładna i pełna wdzięku w szkolnej spódniczce w kratę i luźnym zielonym nieprzemakalnym płaszczu. Śmiała się i flirtowała z chłopcami, wyciągnęła pasek ze szlufek spódnicy i strzeliła nim jak z bata, żartobliwie smagając ich po nogach. Kiedy wszyscy razem ruszyli w kierunku ulicy, Nick usłyszał głośny okrzyk i zobaczył Chrisa Gouldinga, który wołał młodych ludzi po imieniu, biegnąc ku nim ścieżką. Dziewczyna odwróciła się, aby go przywitać, chłopcy także, wyraźnie zadowoleni, chyba wręcz dumni z

tego, że im towarzyszy. Chwilę stali w kręgu, Chris z rękoma opartymi na ramionach dziewczyny i najmniejszego z chłopców, potem odwrócili się i rozeszli w dwie strony, chłopcy do swojej szkoły, Chris i dziewczyna do drogi prowadzącej do Laurel Park.

Kiedyś całą szeroką dolinę i łagodne wzgórza, rozciągające się u stóp wyższych gór pod Dublinem porastały gęste lasy. Wśród pól, w otoczeniu dużych ogrodów, stały piękne wiejskie dworki, a mieszkańcy pobliskich wsi ciężko harowali latem i zimą, aby dostarczyć swoim pracodawcom cięte kwiaty, owoce i warzywa. Kiedyś były tu korty tenisowe i pola do gry w krykieta, teraz jednak ich miejsce zajęły ulice i centra handlowe, stacje benzynowe i kioski z prasą, przystanki autobusowe i przejścia dla pieszych, szkoły i szeregowe domy, wszędzie domy, domy pożerające każdy metr zielonej przestrzeni. Tam, gdzie kiedyś szumiały brzozy i topole, dęby i buki, teraz stały garaże, szopy na narzędzia, suszarnie.

Z tyłu za zabudowaniami szkoły biegła ścieżka, o której istnieniu wiedziało niewiele osób, a jeszcze mniej z niej korzystało. Jej początek był częściowo zasłonięty stacją rozdziału mocy, ogrodzonej płotem zwieńczonym drutem kolczastym, z ostrzegawczymi znakami w kilku miejscach. Dawniej, kiedy ludzie chodzili pieszo i jeździli na rowerach, była to droga na skróty między jedną niewielką wsią i drugą, teraz tu i ówdzie przegradzały ją paskudne betonowe bariery, pokryte graffiti, umazane ekskrementami i częściowo zasypane śmieciami. Tylko bezpośrednio za szkołą było czysto jak dawniej. Ścieżkę oddzielał od szkolnego boiska żywopłot - latem pachnąca masa kwiatów janowca, dzikiej róży i dzikiego bzu, teraz spiętrzenie brązowych, nagich gałązek i suchych liści. Nieco dalej widać było szczątki lasu, tuż przy szkolnym ogrodzeniu rozpościerała srebrzystoszare gałęzie wybujała topola, obok rosła kępa klonów, w ich koronach czekały opustoszałe aż do wiosny ptasie gniazda.

Kiedyś rezydencja Laurel Park mogła poszczycić się ogrodami we francuskim stylu, ze starannie przycinanymi żywopłotami i z szerokimi, równymi i wyżyrowanymi ścieżkami, lecz teraz wszystko to przeistoczyło się w porządnie utrzymane trawniki. Na przestrzeni ostatnich lat szkoła rozbudowała się i niczym ameba wchłonęła domy po obu stronach głównego gmachu. Zniknęły wysokie mury, oddzielające sąsiadujące ze sobą ogrody. Nick wspiął się na czubki palców i rozejrzał dookoła. W niskich, długich budynkach zewnętrznych, dawniej najprawdopodobniej stajniach, urządzono sale zajęciowe. Z prawej strony widać było jeszcze jeden długi parterowy budynek z dużymi oknami o matowych szybach. Basen, pomyślał Nick. Słyszał dobiegający aż tu głośny plusk wody i radosne nawoływania dziewcząt.

Dochodziła dziesiąta rano, więc zajęcia toczyły się w najlepsze. Nick dokładnie widział Chrisa Gouldinga, który stał przy tablicy, z książką w jednej ręce i czymś, co wyglądało na kawałek kredy w drugiej. Odwrócił się, zapisał coś na tablicy i przeszedł między stolikami, co chwilę przystając i zagadując do dziewcząt. Był ożywiony, pełen zaangażowania, na jego szczupłej twarzy malował się lekki uśmiech. Klasa chłonęła każde jego słowo, dziewczęta podnosiły ręce, zgłaszając się do odpowiedzi, zrywały się z krzeseł. Chris śmiał się, wyraźnie zadowolony z siebie. Gestykulował z teatralną przesadą. Podeszedł do okna, przystanął i wyjrzał. Dostrzegł Nicka, stojącego na dróżce pod drzewami. Nick zobaczył cień zaskoczenia na jego twarzy, potem zaniepokojenia. Dostrzegł, że Chris się cofa, odsuwa od szyby, jakby nagle stracił pewność, czy coś oddziela go od zewnętrznego świata. Zorientował się, że Chris się boi. Podniósł rękę i pomachał mu. Jeszcze chwilę stał i patrzył, potem zaś odwrócił się i szybko odszedł, znikając między drzewami.

Conor i Min stali przed bramą więzienia. Było wczesne popołudnie. Półtorej godziny wcześniej pędzili szosą w kierunku lotniska w Dublinie.

- Dziwne, prawda? - Min zdjęła szalik. - Wielkie Imperium Brytyjskie...

- O co ci chodzi? - Conor spojrział na nią.

- No, popatrz tylko na to paskudne gmaszysko... - Ręką wskazała masywną więzienną bramę i dwie wieżyczki strażnicze. - Przecież to jest bliźniaczo podobne do Mountjoy w Dublinie, wypisz, wymaluj... Z łatwością można wyobrazić sobie urzędasów, siedzących w swoich gabinetach w Londynie w połowie dziewiętnastego wieku, rozrysowujących plany więzień i gmachów sądowych, dworców kolejowych i miejskich ratuszy, a potem rozsyłających je na wszystkie krańce świata, do wszystkich tych różowych plam, które widać w starych atlasach. Koniecznie chcieli, by każda część Imperium, od Delhi po Dublin, wyglądała dokładnie tak samo...

- Może z zewnątrz to więzienie rzeczywiście przypomina Mountjoy, ale wewnątrz starannie je przebudowano, i to w ostatnich kilku latach.

- No tak, mieli tutaj bunt więźniów...

- W tekście umieszczonym na stronie internetowej nazwali to „zamieszkami”. To trochę tak, jakby nazwać drugą wojnę światową „drobnym konfliktem”...

- Albo wojnę secesyjną w Stanach „niewielkimi nieporozumieniami”. Eufemizmy są po prostu cudowne, nie sądzisz? - Uśmiechnęła się do niego.

- No, dobrze... - Conor postąpił krok do przodu. - Jesteś gotowa?

Podczas lotu przekazał jej wszystkie informacje o Metcalfie, jakie udało mu się zdobyć. Metcalfe był żonaty, miał dwoje dzieci. Pracował jako stolarz na własny rachunek. Robił meble kuchenne na zamówienie, półki na książki, regały, przebudowywał strychy i tak dalej. Dużo podróżował. Przez pewien czas mieszkał w Belgii i w Holandii. Po raz pierwszy aresztowano go, kiedy miał dwadzieścia parę lat - został oskarżony o molestowanie kilkunastoletnich chłopców. Później sprawy przybrały jeszcze poważniejszy obrót - niedługo po ostatniej wyprawie do Dublina policja aresztowała go za zgwałcenie trzech chłopców. Okazało się, że był to zaledwie czubek góry lodowej i w czasie procesu z podobnymi oskarżeniami wystąpiło znacznie więcej poszkodowanych. Zdjęcia niektórych ofiar Metcalfe'a rozpoznano w Internecie, gdy przed rokiem policja brytyjska rozpracowała jedną z działających na swoim terytorium grup pedofilów.

- Teraz chyba rozumiesz, dlaczego mnie to zainteresowało - powiedział, pochłaniając podany przez stewardesę lunch.

Uzgodnili, że Min odwiedzi Colma O Laoire, natomiast Conor przesłucha kilku przestępców seksualnych, z którymi Metcalfe kontaktował się w więzieniu dobrowolnie lub z konieczności.

- Jesteś gotowa? - zapytał Conor.

- Naturalnie - odparła Min. - Baw się dobrze.

O Laoire był niskim, drobnym mężczyzną, szczupłym, żylastym, o twarzy porytej bruzdami i naznaczonej zmęczeniem. Więzienny strażnik powiedział o nim wszystko, co wydawało mu się istotne, kiedy prowadził ją do sali widzeń.

- O'Leary - rzekł, podkreślając angielską wymowę nazwiska więźnia. - Nazywamy go O'Leary, po prostu, nie wdając się w rozważania, jak nazywał się jego ojciec. Colm O'Leary, pięćdziesiąt lat, dwanaście lat temu za zamordowanie żony skazany na dożywocie, ze szczególnym zaleceniem, aby odsiedział co najmniej dwadzieścia lat...

- Duży wyrok. W Irlandii wyszedłby po dwunastu...

- Naprawdę? - Strażnik spojrział na nią spod oka. - Cóż, w takim razie być może O'Leary powinien był zabić żonę w Irlandii, nie w Londynie. Oczywiście, zrobiłby najlepiej, gdyby w ogóle dał sobie spokój. Kiedy odkrył, że kobieta się puszcza, powinien był machnąć ręką i spieprzać z powrotem do tego bagna, z którego wcześniej wypelzł...

Min nie odpowiedziała. Czytała opis okoliczności morderstwa, zawarty w aktach. O Laoire skrępował żonę, przywiązał ją do łóżka i podpalił. Odwiązał, gdy już nie żyła. Policji oświadczył, że był to wypadek, kobieta zasnęła z zapalonym papierosem w ręku i sama zaproszyła ogień, lecz w trakcie autopsji okazało się, że kostki rąk i nóg ofiary noszą ślady otarcia od sznura. Jakby tego było mało, O Laoire do podpalenia użył perfum żony.

Powietrze w więzieniu cuchnęło gotowaną kapustą i moczem. Min poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Przelknęła ślinę i utkwiała oczy we wzorze na linoleum, którym wyłożony był korytarz.

- Co się stało z Metcalfe'em? - zapytała.

Przystanęli, żeby strażnik mógł otworzyć kolejne drzwi. Odsunął się, przepuszczając ją przodem. Tłum mężczyzn, stojących po drugiej stronie, rozstąpił się niechętnie. Słyszała komentarze, zwyczajne w tych okolicznościach, jak to w więzieniu. Wiele lat temu kilkakrotnie eskortowała więźniów. Początkowo desperacja i przerażenie ogarniały ją za każdym razem, gdy znajdowała się po wewnętrznej stronie murów, ale dość szybko przyzwyczaiła się do swojej ówczesnej roli.

- William Metcalfe... Jeszcze jeden śmieć, i tyle. Nie wiemy, co dokładnie zaszło, ale Metcalfe i O'Leary przebywali wtedy w skrzydle szpitalnym. Była to niedziela, co oznacza zmniejszoną obsadę, zresztą wszyscy strażnicy oglądali w telewizji mecz, Manchester United grał z Sunderland, czy z jakąś inną mniej znaną drużyną. Nagle rozległy się wrzaski i do pokoju strażników wpadł jeden z więźniów, mówiąc, że Metcalfe popełnił samobójstwo. Znaleźli go z podejrzanym gardłem i kawałkiem szkła w ręce. Wszędzie pełno krwi, no, może pani to sobie wyobrazić. A O'Leary siedział na swoim łóżku, sąsiednim, co warto zauważyć, i spokojnie czytał książkę. Nic nie widział, nic nie słyszał, i już. Poza nim, jedynym świadkiem był facet, który wszczął alarm. Zaraz potem kompletnie się rozsypał i powiedział, że on też nic nie wie. I tak to się skończyło, chociaż prawdopodobieństwo, że ktoś chciałby się zabić, przecinając sobie krtań i tchawicę szkłem, jest raczej niewielkie, coś jakby milion do jednego. Takie rzeczy się nie zdarzają, nie muszę tego pani mówić, co?

Przerwał i otworzył następne zakratowane drzwi.

- Tak czy inaczej, O'Leary jest do pani dyspozycji. Proszę bardzo... - Wskazał małą salkę na końcu korytarza. - Zaraz go sprowadzę. Wątpię, żeby miał dużo do powiedzenia. Ten nasz O'Leary to wyjątkowo mało-mówny gość...

Spokojny, chudy, żylasty, zmęczony życiem - Min natychmiast skojarzył się z rybakiem, wciągającym sieci na kuter w wietrzny listopadowy dzień, z papierosem w kąciку ust i zmrużonymi, zaczerwienionymi od

ostrego wiatru oczami. Stał przy drzwiach i popatrzył na nią w milczeniu. Podniosła się i wyciągnęła do niego rękę, ale on nawet nie drgnął. Stojący za nim strażnik popchnął go dość mocno.

- Zachowuj się, O'Leary. Podaj pani rękę i bądź grzeczny, dobrze? Przyjechała aż z Irlandii, żeby z tobą porozmawiać...

- Wszystko w porządku! - Min pośpiesznie opuściła rękę, usiadła i wskazała krzesło po drugiej stronie stołu z plastikowym blatem. - Może siądzie pan na chwilę... - Wyjęła z torby paczkę papierosów. - Proszę bardzo, niech pan je weźmie. To w prezencie od irlandzkiego rządu...

- *Go raibh math agat.* - Schylił się, wziął papierosy z jej ręki, usiadł i odwinął celofanowe opakowanie.

- *Ná bach* - odparła.

Patrzyła, jak zwija celofan w małą, sprężystą kuleczkę. Paznokcie miał zniszczone, zgrubiałe i pożółkłe od nikotyny. Na dłoniach widniały jasnoniebieskie żyły.

- Och, nieźle, mówi pani po irlandzku... - Strażnik podrapał się po brodzie, chrzęszcząc zarostem. - O'Leary raczej nie ma teraz okazji posługiwać się swoim rdzennym narzeczem, prawda, ziemniaku?

O Laoire wyjął z kieszeni spodni zapalniczkę. Jego ruchy były niespieszne i celowe. Nachylił się nad stołem i zbliżył czubek papierosa do płomyka. Min zauważyła różową bliznę, nierówną i pomarszczoną, szpecącą jego lewy policzek.

- Jakies kłopoty? - zagadnęła, szukając w pamięci irlandzkich słów, i krótkim gestem wskazała twarz więźnia.

- Dyskusja z brzytwą oraz facetem, który ją trzymał - odrzekł szybko i płynnie O Laoire. - Nic wielkiego. Szkoda, że nie może pani zobaczyć, jak wygląda tamten.

- Jak to miło, że O'Leary może sobie uciąć z panią prywatną rozmówkę! - Strażnik rzucił Min pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Niech pani nie zwraca na niego uwagi, to pójdzie sobie, zniknie jak poranna mgła na zboczu. - O Laoire uśmiechnął się do niej przez smużkę dymu. - Ja zawsze tak robię...

Odchyliła się do tyłu i utkwiała oczy w jego twarzy. Siedział bardzo spokojnie, z ramionami splecionymi na piersi i papierosem lekko zwisającym z kącika ust. Wpatrywał się w ścianę za jej głową, w ogóle nie poruszając na wół przymkniętymi oczami. Ciekawe, co tam widzi, pomyślała.

Odchrząknęła i zaczęła mówić. Irlandzkie zwroty płynęły z jej ust. Z przyjemnością wypowiadała miękko brzmiące słowa, konstruowała zdania. O Laoire odpowiadał bez wahania, chętnie. Z informacji w jego aktach wynikało, że pochodził z wyspy Cape Clear i irlandzki był jego ojczystym językiem. Pierwsze szesnaście lat życia spędził, mocując się z wichrami i morzem, w pięknej, dzikiej scenerii. Widziała, że wciąż nosił tamte miejsca w sercu. Kiedy zamykał oczy, pamięć podsuwała mu obrazy z Cape Clear - ciemnozieloną wodę w Południowym Porcie, rdzawoczerwone krzewy na klifach, amarantowe fuksje w ogródkach i bezkresne niebo z napływającymi od Atlantyku chmurami, niebo, które co parę minut wyglądało inaczej.

- Niech mi pan opowie o Williamie Metcalfie - poprosiła.

Wzruszył ramionami i zapalił drugiego papierosa od niedopałka pierwszego.

- Co tu jest do opowiadania?

- Nie lubił go pan? Znał go pan z czasów sprzed więzienia i nie znosił go pan? Czy nie znał go pan, ale nie mógł na niego patrzeć? Jak to było?

- Nie znałem go i nie chciałem go znać. To był śmieć. Nie obchodziło mnie, co się z nim dzieje, i tyle.

- A jednak zabił go pan, w każdym razie na to wygląda. Poderżnął mu pan gardło kawałkiem szkła, a potem usiadł i patrzył, jak wykrwawia się na śmierć...

O Laoire znowu wzruszył ramionami i zamknął oczy.

- Nie powinna pani wierzyć we wszystko, co opowiadają ci główniarze. Zresztą, gdyby rzeczywiście tak uważali, oskarżyliby mnie o morderstwo, a nie zrobili tego.

- Tylko dlatego, że nie mieli świadków, prawda?

- Ani świadków, ani odcisków palców, ani żadnych dowodów. To prawda, że siedziałem i czytałem, gdy Metcalfe umierał, ale trudno zakwalifikować to jako zbrodnię, o ile mi wiadomo. Odpowiedzialność spoczywa na personelu więziennego szpitala, a wszyscy strażnicy i pielęgniarze oglądali w tym czasie telewizję. Niech pani porozmawia z nimi. Dlaczego tak panią to interesuje? Metcalfe był pieprzonym Angolem.

- Pieprzonym Angolem, który trzydziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, dokładnie dziesięć lat temu, znalazł się w Dun Laoghaire. Tamtego dnia po południu ośmioletni Owen Cassidy wyszedł z domu i już nie wrócił. Zaginął bez śladu. Nie znaleziono ciała, które rodzice mogliby pogrzebać i opłakać, nic, po prostu nic. A Metcalfe miał na sumieniu sporo przestępstw natury seksualnej i skłonność do dzieci, konkretnie do chłopców... Ciekawy zbieg okoliczności, prawda? Ale oczywiście pan nic o tym nie wie, w ogóle pan się nim nie interesował, czy tak?

O Laoire otworzył oczy, po czym znowu spod półprzymkniętych powiek zapatrzył się w ścianę za głową Min. Zaczął nucić. Min nastawiła uszu. Znała tę melodię, znała także słowa. Więzień śpiewał *Skaty Baum*, pieśń wygnania i tęsknoty za domem.

- Niech pan zaśpiewa głośniej - powiedziała. - Dawno tego nie słyszałam...

O Laoire spojrzał na nią uważnie, lecz zaraz spuścił wzrok. Zakołysał się lekko, do przodu i do tyłu. Głos miał pewny i mocny, jak ktoś, kto od lat śpiewa bez akompaniamentu, nie licząc na wsparcie instrumentów czy innych głosów.

Moje buty są już znoszone, pończochy poprzecierane,

Moje serce drży ze strachu, że w końcu się poddam,

Moje serce drży od świtu aż po zmrok,

Pełne lęku, że już nigdy nie będziesz orać marnej ziemi

Na skałach Bawn...

Przerwał i znowu na nią spojrzał. Tym razem nie odwrócił wzroku i podjął śpiew, patrząc jej prosto w oczy.

Więc przebudź się, miły Sweeney, i nakarm konia sianem

Daj mu też trochę owsa, zanim zaczniesz się dzieć.

Nie dawaj mu surowej rzepy, chłopcze, zaprowadź go na łąkę.

Może wtedy znowu zaczniesz orać marną ziemię Na skałach Bawn...

Min rozejrzała się po małej sali, ogarnęła spojrzeniem brudne, kremowe ściany, wysokie, zakratowane okienka, zniszczone, spękane linoleum na podłodze i obojętną, ponurą twarz strażnika. Przyłączyła się do O Laoire'a i razem z nim zaśpiewała ostatnią zwrotkę pieśni.

Jaka szkoda, że królowa Anglii nie wezwała mnie na czas,

Że nie wezwała mnie do wojska, gdy byłem młody i silny.

Walczyłbym o chwałę Irlandii od świtu aż po zmrok

I nigdy bym nie wrócił, aby orać marną ziemię

Na skałach Bawn...

- No, kochani, starczy tego dobrego! - Strażnik postąpił krok do przodu. - Nie urządzamy tu przecież koncertu, co?

- Czy ja wiem... - Min popatrzyła na niego z rozbawieniem. - A pan co lubi śpiewać? Jaki kawałek wychodzi panu najlepiej, kiedy jest pan po paru głębszych?

- Pan Walker najbardziej lubi *Pieśń ptaszka* - O Laoire wskazał strażnika ruchem głowy. - Prawda, panie Walker? Widziałem pana na spacerunku razem z innymi, kiedy myślał pan, że nikt na pana nie patrzy. W dodatku umie pan pokazywać wszystko, co trzeba pokazywać przy tej piosence...

Min wstrzymała oddech, ale strażnik parsknął śmiechem.

- Tak jest, *Pieśń ptaszka* to mój przebój. Nie przeszkadza mi nawet, że jest tak samo głupia, jak wszystkie inne irlandzkie smutasy...

- Są gusta i guściki, prawda? - Min potoczyła wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego. - I trudno o tym dyskutować. Panie Walker, czy mógłby pan zostawić nas na parę minut samych? Chciałabym zadać więźniowi parę pytań, bezpośrednio związanych z dochodzeniem, które prowadzę w Dublinie. Mam nadzieję, że mnie pan rozumie... - Uśmiechnęła się zachęcająco, w każdym razie tak jej się wydawało. - Będę panu szczerze wdzięczna...

Zaczekała, aż strażnik zamknie za sobą drzwi i szybko przechyliła się przez stół.

- Dosyć tego, O Laoire. Powiedziałam panu, czego chcę się dowiedzieć o Metcalfie i chcę, by przestał pan ukrywać istotne dla śledztwa informacje.

O Laoire wyjął z paczki następnego papierosa, zapalił i wypuścił z ust smugę dymu w kierunku sufitu.

- Na ile wycenia pani te informacje? Co będę z tego miał?

- Złożył pan podanie o przeniesienie i liczy pan, że dostanie transfer do więzienia w Limerick. Słyszałam, że pańska matka choruje na artretyzm i nie bardzo może już odbywać podróże promem z Cape do Dublina, a stamtąd do Anglii. Gdyby siedział pan w Limerick, byłoby jej dużo łatwiej, prawda? Potrzebuje pan naszej pomocy, podobnie jak my pańskiej. Czas na wymianę.

W sali zapadła cisza. O Laoire długą chwilę wpatrywał się w podłogę. Potem poskrobał linoleum czubkiem adidasa i podniósł wzrok.

- Na pewno słyszała pani powiedzenie, że nie ma nic równie okropnego jak przedśmiertny kwik świni? Poza tym świnia jest w porządku - to inteligentne zwierzę, które łatwo uczy się poleceń, zje wszystko, co popadnie, i na dodatek w całości nadaje się na mięso, ale kiedy się ją zarzyna, kwiczy tak przeraźliwie, że można skonać... - Znowu popatrzył na podłogę i przesunął butem po linoleum. - Ten cały Metcalfe był dokładnym

przeciwstawieństwem świni - brudas, leń i głupek. Cuchnął, tak, zawsze otaczał go smród zgnilizny, czegoś paskudnego. Leżał na swoim łóżku, z otwartymi ustami, i milczał. Nie zakwiczał nawet raz, umarł w ciągu kilku sekund, ale oczywiście narobił strasznego zamieszania. Kiedy w domu zabijaliśmy świnie, podwieszaliśmy ją u sufitu w szopie i podstawialiśmy wiadro, do którego ściekała krew, lecz tutaj popłynęła po podłodze. Zanim skonał, miejscami zaczęła się już ścinać, wyobraża sobie pani? Znowu zaczął nucić pod nosem. Min czekała.

- Dlaczego pan to zrobił, Colm? Miał pan jakiś powód?

O Laoire wsunął dłoń do kieszeni i wyjął plastikowy portfel, a z niego, bardzo delikatnie, czubkami palców, małą fotografię. Położył ją na stole między nimi.

- Zrobiłem to dla niego, dla tego chłopca. Bill Metcalfe bez przerwy gadał o małym Irlandczyku, a ja nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Kiedy go zabiłem i ten idiota, który leżał z nami w sali, poleciał po strażników, zabrałem mu to zdjęcie. Nie chciałem, żeby chłopiec dalej był z Metcalfe'em, tą kupą śmierdzącego gówna. Wyjąłem zdjęcie z kieszeni Metcalfe'a i od tamtej pory starałem się nim opiekować...

Min pochyliła głowę. Z fotografii patrzyły na nią okrągłe, niebieskie oczy Owena Cassidy.

- Mogę?

O Laoire kiwnął głową. Wzięła kartonik do ręki i odwróciła go. Przesunęła palcem po nierównej krawędzi u góry i u dołu.

- Miał osiem lat - powiedziała. - Teraz miałby osiemnaście... - przerwała. - Czy Metcalfe mówił, co się z nim stało?

- Nie. Powiedział, że nie ma pojęcia, że sam nigdy nie posuwa się aż tak daleko. Że dużo lepiej jest dbać, by chłopcy byli zadowoleni, dużo więcej można z nich mieć, kiedy są... Jak on to określił? Ach, już wiem! Kiedy są przyjaźnie nastawieni...

Zza zamkniętych drzwi rozległy się nagle krzyki, potem ciężkie kroki, coraz szybsze. O Laoire wstał i schował paczkę papierosów do kieszeni. Odwrócił się tyłem do Min.

- Może go pani sobie zatrzymać. Ja zrobiłem już dla niego, co mogłem, może pani uda się zrobić coś więcej.

- Dziękuję za pomoc. A co do przeniesienia, to postaram się, żeby szybko dostał pan zgodę.

Spojrzał na nią przez ramię.

- Wierzę pani. - Uśmiechnął się.

- Niech mi pan powie... - zaczęła i zaraz przerwała, nie wiedząc, czy dobrze robi.

- Co takiego?

- Dlaczego zabił pan żonę? Nie mógł pan inaczej rozwiązać tego problemu?

- Inaczej? Jak to, inaczej? Za każde przestępstwo należy się odpowiednia kara. Pani o tym wie i ja także. Ona też wiedziała.

- Myślisz, że naprawdę tak jest, Conor?

- O co ci chodzi?

Podniosła szklanę, zakołysała plasterkiem cytryny i kostkami lodu. Było już późno. Kolację zjedli w hotelu - stek z frytkami, do tego zamówili butelkę wina. Teraz siedzieli w prawie zupełnie pustym barze. Świa-

ta były przygaszone. Min widziała odbicie swoje i Conora w wielkich oknach, wychodzących na parking i dalej na szosę. Z umieszczonych w suficie głośników płynęły dźwięki piosenki Franka Sinatry.

- Że za każde przestępstwo należy się odpowiednia kara.

Conor wzruszył ramionami. Dopił piwo i gestem poprosił barmana, żeby napełnił jego szklankę.

- Miło tu, prawda? - Wygodnie ułożył się w skórzanym fotelu i wyciągnął nogi daleko przed siebie. - Przyjemna odmiana po biurze i całym tym codziennym gównie... - Splótł ramiona za głowę, westchnął głęboko. - I jeszcze puszczają niezłą muzykę. Uwielbiam stare amerykańskie przeboje Irvinga Berlina, Rodgersa i Hammersteina, Lerner i Loewe...

- Poważnie? - Nachyliła się ku niemu. - Zaskakujesz mnie... Dałabym głowę, że jesteś fanem Deep Purple, Meatloaf, znanych heavy metalowych grup...

- Nic z tych rzeczy. - Przesunął kupkę monet w stronę kelnera, który postawił przed nimi tacę z drinkami. - Wychowała mnie babcia, która miała hopla na punkcie Franka, Binga, Dina i Sammy'ego.

- Dina?

- Dina, no, Deana Martina. Babcia mówiła o nich wszystkich pieszczotliwie, z największą sympatią. Jeśli chodzi o Franka, to jej ulubionym filmem było *Dobre towarzystwo*. Nie wiem, ile razy byłem z nią na tym w kinie... Dorastałem, śpiewając najlepsze amerykańskie standardy... - Podniósł szklankę w geście toastu. - Za co wypijemy? Za romantyczne piosenki i filmy, jakżeby inaczej... Za księżyc, czerwoną szminkę i dziewczyny w białych sportowych płaszczach...

- Zapomniałeś odpowiedzieć na moje pytanie. Myślisz, że za każde przestępstwo należy się odpowiednia kara?

Chwilę patrzył na nią znad brzegu szklanki, wreszcie się uśmiechnął.

- Tak myślę. Gdyby tak nie było, nie zwracałbym sobie głowy tą robotą. Zająłbym się komputerami i na pewno kosiłbym wielką forszę. Nosiłbym garnitury od Armaniego i jeździłbym najnowszym modelem jaguara, nie dziesięcioletnią hondą civic... - przerwał i pociągnął łyk ze szklanki. - Wiesz, niektórzy ludzie uważają, że policjant powinien być kimś w rodzaju pracownika opieki społecznej. Że powinniśmy pomagać nieszczęśliwym, słabym, zepchniętym na margines. Sądysz, że pasujesz do tego opisu?

- Kurczę blade, jakie to typowe... - Min się wyprostowała. - Jestem kobietą, więc masz mnie za miłą i skłoną do wzruszeń, tak?

- A nie jesteś taka?

- Nie. Nie jestem taka, ale wierzę w sprawiedliwość, wierzę w prawo, w sądy i bezstronnych sędziów. Wierzę też w karę. Uważam, że ludzie, którzy krzywdzą innych, powinni sami cierpieć. I nie wierzę, że jeśli wszystko wiesz, to powinieneś wszystko przebaczyć... Nie, w żadnym wypadku...

Nagle uświadomiła sobie, że już bardzo dawno nie rozmawiała z nikim o tych sprawach. Powiedziała Conorowi, co naprawdę myśli, i sprawiło jej to przyjemność. Uśmiechnęła się.

- O co chodzi? - spytał, przekrzywiając głowę. - To prywatny żart, czy możesz się nim ze mną podzielić?

- Pomyślałam właśnie, jak miło jest wyjść gdzieś wieczorem i zostawić dzieci w domu. Od śmierci Andy'ego nie zrobiłam tego ani razu. I powiem ci coś jeszcze - rano, kiedy się obudzę, poświęcę co najmniej pół

godziny tylko sobie... Pójdę popływać. Wyobrażasz sobie, jaki to luksus? Naprawdę popływać, zrobić kilka długości basenu, a nie tylko taplać się w brodziku dla dzieci... Nie mogę się tego doczekać.

Conor znowu podniósł szklanę.

- Wznoszę jeszcze jeden toast, za dobrą policjantkę i dobrego człowieka... Nieczęsto można dziś spotkać takie połączenie.

Obudziła się w nocy. Podniosła się na łóżku i spojrzała na zegarek. Po czwartej. Zapomniała zaciągnąć zasłony i pomarańczowy blask lamp przy szosie wlewał się do pokoju. Padał na twarz chłopca, uwiecznioną na małym kwadratowym zdjęciu, które wieczorem oparła o swoją torbę na stoliku przy łóżku, a także na twarz leżącego obok niej mężczyzny. Kiedy jechali na swoje piętro ekspresową windą, zaśpiewała mu *Skały Bawn*, a potem, gdy szli korytarzem do swoich pokoi, on zaśpiewał jej *Prawdziwą miłość*. I jakoś tak to się stało... On ją pocałował, ona odpowiedziała pocałunkiem. I po raz pierwszy od czterech lat poczuła ciepło, siłę, przyjemną bliskość męskiego ciała. Teraz leżała, obejmując go ramieniem i myślała o synach, mocno śpiących pod zdjęciem ojca, wiszącym na ścianie ich pokoju. Odwróciła się, spojrzała na Conora i pogładziła go po policzku. Uśmiechnął się przez sen i przysunął bliżej do jej dłoni, jak dziecko, które szuka piersi matki. Zaraz potem pomyślała o Colmie O Laoire i wyobraziła sobie, jak leży na plecach, wpatrzony w sufit, z szeroko otwartymi oczami, które widzą głęboki, granatowy bezmiar Oceanu Atlantyckiego.

Rozdział dwudziesty ósmy

Zdjęcie było jednym z czterech, zrobiono je w budce z automatem. To nie pozostawiało żadnych wątpliwości, ale cała reszta wciąż była jedną wielką niewiadomą. Min trzymała fotografię w ręku i przyglądała się jej, gdy pociąg oddalał się od stacji Manchester Oxford Street, lekko podskakując. Znowu Owen Cassidy, po tylu latach. Jego gęsta, jasna czupryna i okrągłe niebieskie oczy, znowu jego owalna buzia, tyle że bez uśmiechu.

Podróż pociągiem z Manchesteru do Llandudno, niewielkiego nadmorskiego miasta w północnej Walii, gdzie mieszkała wdowa po Williamie Metcalfie z dwójką dzieci, miała trwać dwie godziny, więc Min próbowała się trochę zdrzemnąć. Oparła głowę o okno, ale kac nie dawał jej spokoju. Czuła się chora i niepewna, prawie tak samo niepewna jak Conor, kiedy tego ranka usiadł obok niej do śniadania. Nie wiedziała, co powiedzieć. Conor przechylił się, jakby chciał pocałować ją w policzek, ale cofnęła się niezgrabnie, przewracając dzbanek z mlekiem i robiąc straszny bałagan na perłowobiałym obrusie. Potworny bałagan, pomyślała teraz. Podobnie jak cała reszta tej nieszczęsnej sprawy.

Powiedziała mu to od razu i prosto z mostu. Że żałuje tego, co się stało, nie powinna była go zachęcać. Nie może pozwolić sobie na związek z mężczyzną, ma za dużo obowiązków. A w tej chwili najważniejszym z nich jest odbycie rozmowy z wdową po Metcalfie.

- Za godzinę mam pociąg - powiedziała, wstając od stołu. - Nie powinnam tego odkładać. Potem wracam do domu, ale nie wiem, kiedy się zobaczymy.

Zobaczyła go znowu, gdy wymeldowywała się z hotelu. Czekał na taksówkę. Wyglądał na zmęczonego i smutnego, palił papierosa.

- Nie odpowiadasz za niego - pouczyła się głośno, kiedy już wyszła na ulicę. - To duży chłopiec, sam umie popełniać błędy.

Jednak teraz, siedząc w pociągu, przypomniała sobie łagodność jego dotyku. I to, jak zasnął obok niej, z uśmiechem na twarzy.

Szarozielone fale z łoskotem uderzały o kamienistą plażę, długie molo wybiegało daleko w morze. Na zboczu odległego wzgórza widać było szybko sunący w górę wagonik kolejki linowej, linia brzegowa tworzyła malownicze zatoczki. Widok jak z pocztówki, pomyślała Min.

Szła wzdłuż szeregu niewielkich domów. W każdym znajdował się mały hotelik albo pensjonat. Stare twarze, zniszczone i pomarszczone, wyglądały zza koronkowych firanek, po chodniku zaś po obu stronach ulicy powoli posuwali się starzy mężczyźni i kobiety, większość z laskami lub ułatwiającymi chodzenie balkonikami. Słyszała o takich miejscowościach, ale nigdy w żadnej nie była. Ciaśniej otuliła się płaszczem, bo po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

Ulica, przy której mieszkała Jean Metcalfe, biegła prostopadle do wybrzeża. Na ganku wisiała tabliczka z wyblakłym napisem „Pensjonat”. Nad dzwonkiem znajdowała się kartka ze starannie wypisanym nazwiskiem „Jones”. Min zajrzała do notesu. Nie, nie pomyliła się, to ten dom. Nacisnęła dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły. Stała w nich nastoletnia dziewczyna.

- Przepraszam bardzo, szukam Jean Metcalfe... Podano mi ten adres, ale nie jestem pewna, czy nie za-
szła jakaś pomyłka...

Dziewczyna zmierzyła ją pozbawionym wyrazu spojrzeniem i odwróciła się.

- Mamo, ktoś do ciebie! - zawołała w głąb wąskiego korytarza.

- Więc to jednak tutaj? Pani Metcalfe mieszka w tym domu, tak?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Niech pani z nią porozmawia - rzuciła, odchodząc.

Jean Metcalfe była wysoka, postawna i pulchna, jej postać wypełniała całe drzwi. Surowo popatrzyła na Min i z dezaprobatą ściągnęła brwi, wysłuchawszy jej wyjaśnień.

- Marnuje pani swój i mój czas - oznajmiła. - Nic nie wiem o tym draniu. Rozstaliśmy się wiele lat temu, kiedy dzieci były małe, mniej więcej sześć miesięcy przed aresztowaniem. Gdy zawiadomili mnie o jego śmierci, poszłam do sklepu i kupiłam sobie butelkę dobrej szkockiej. I wypiłam za to, żeby smażył się w piekle, podlec jeden...

- Bardzo panią proszę... - Min ostrożnie wsunęła się za próg. - Może się pani wydawać, że nic pani nie wie, ale mimo wszystko dziesięć lat temu była pani jego żoną, prawda? Może jest jakiś drobny szczegół, który dla pani nie ma żadnego znaczenia, natomiast dla nas ma ogromne... Proszę ze mną chwilę porozmawiać, to bardzo ważne. Od tak dawna usiłujemy się dowiedzieć, co stało się z tym małym chłopcem i teraz wreszcie zdołaliśmy zrobić niewielki krok do przodu... Na pewno może sobie pani wyobrazić, co przeżyli i wciąż prze-
żywają jego rodzice, bo przecież sama ma pani dzieci...

Twarz kobiety skamieniała, jej oczy wypełniły się łzami. Odwróciła się i poszła korytarzem. Min zamknęła za sobą drzwi i ruszyła za nią.

W ciasnej kuchni było ciepło. Na gazowej kuchence bulgotał czajnik, w powietrzu unosił się zapach ciasta. Jean Metcalfe wsunęła dłonie w kucharskie rękawice, otworzyła piekarnik i wyjęła blachę z ciasteczkami, posmarowanymi z wierzchu dżemem owocowym. Min głośno przełknęła ślinę.

- Wyglądają cudownie, a pachną jeszcze lepiej - powiedziała.

- Jest pani głodna, co? To przez morskie powietrze. Proszę chwilę poczekać, zaraz przestygną...

Posmarowała ciasteczka cieniutką warstwą masła i dołożyła malinowego dżemu. Min łapczywie rzuciła się na poczęstunek. Roztopione masło spływało po palcach.

- Proszę, tu ma pani serwetkę... - Jean się uśmiechnęła. - Zaraz się pani cała wytłuści... O, tutaj... - Wskazała palcem prawy policzek gościa. - Z tej strony wymazała się pani dżemem, tuż pod nosem...

- Boże! - Min parsknęła śmiechem. - Narobiłam sobie wstydu...

Parę chwil siedziały w przyjaznym milczeniu. Min wypila filiżankę dobrej, gorącej herbaty.

- Rozwiodła się pani z Metcalfe'em? - zapytała wreszcie. - „Jones” to pani panięskie nazwisko?

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie, nie uznaję rozwodów, mam na ten temat ustaloną opinię. „Jones” to nazwisko mojego pierwszego męża. Poznałam Williama jako wdowa, dzieci mam z pierwszego małżeństwa.

- I nie wiedziała pani, co to za człowiek, tak?

Jean spojrzała na nią z wyrazem zaskoczenia i pogardy.

- A jak pani myśli, na miłość boską? Nigdy nie związałam się z kimś takim, nigdy nie naraziłabym moich dzieci na takie straszne zagrożenie... Nie, kiedy go poznałam, uważałam go za porządnego człowieka, pracowitego, uczciwego, prawdziwy filar społeczeństwa... Był stolarzem, bardzo zdolnym. Chodził do kościoła, udzielał się w drużynie skautowskiej - to właśnie dlatego go poznałam... Mój syn, Terry, należał do skautów i któregoś wieczoru przyprowadził Williama do domu... - Przerwała i nalała sobie drugą filiżankę herbaty. - Zanim mnie pani zapyta, od razu powiem, że William nigdy nie napastował moich dzieci. Jeśli mam być szczerą, to muszę przyznać, że był dla nich dobry, a oni bardzo go lubili. Cóż, ja także go lubiłam, nie da się tego ukryć... Nie, nie lubiłam - kochałam go. Gdy się dowiedziałam, z jakiego powodu policja go szuka, załamalam się... - Po okrągłych policzkach Jean pociekły łzy.

Min wyjęła z torby paczkę ligninowych chusteczek i podsunęła je gospodyni.

- Dziękuję... - Kobieta wytarła oczy i głośno wydmuchała nos. - Głupio mi, że płaczę, przecież minęło tyle czasu... Myślałam, że już mnie to nie obchodzi...

W korytarzu rozległy się kroki i do kuchni weszła dziewczyna. Jean podniosła głowę i wyciągnęła rękę, żeby przyciągnąć ją do siebie.

- Poznała pani moją Jackie, prawda? Moją malutką córeczkę... - Jean objęła córkę i przytuliła ją do swego boku.

Duże oczy Jackie zimno patrzyły na Min nad głową matki.

- Zdenerwowała ją pani - odezwała się dziewczyna. - Dlaczego wy, gliniarze, nie możecie zostawić jej w spokoju? Nic nie poradzi na to, że za niego wyszła. Nie wiedziała, co z niego za ziółko, i my też nie...

- Nic nie wiedzieliście? Czy w jego zachowaniu w stosunku do ciebie albo twojego brata nie było nic, co nasuwałoby jakieś podejrzenia?

Jackie potrząsnęła głową. Przysiadła na pulchnych kolanach matki, nagle bardziej podobna do dziecka niż dorastającej dziewczyny.

- To nie Jackie padła jego ofiarą, ale jej najlepsza przyjaciółka, Carol - powiedziała Jean. - Ją sobie wybrał, ale dowiedzieliśmy się o tym dopiero po aresztowaniu. Carol poczuła się wtedy w miarę bezpieczna i wyznała wszystko matce. Właśnie wtedy musieliśmy się przeprowadzić. Mieszkaliśmy w Bradford, lecz po tym wszystkim nie mogliśmy tam dłużej zostać. Czułam się odpowiedzialna, a rodzina Carol nie chciała uwierzyć, że nie miałam pojęcia, co się dzieje. Więc przyjechaliśmy tutaj. Odziedziczyłam ten dom po rodzicach.

- Chwileczkę, chciałabym uporządkować sobie kolejność zdarzeń... - Min przerwała. - Czyli kiedy William wyjechał do Irlandii, nadal mieszkał z wami, tak? I wszystko było normalnie, jak zwykle? W kuchni na moment zapanowała cisza.

- Tak. - Jean utkwiała wzrok w blacie stołu. - Zachowywał się jak zwykle, ale teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy, uświadamiam sobie, że już planował ucieczkę. Po powrocie nie powiedział mi, że był w Irlandii. Często wyjeżdżał na kilka dni. Mówił, że to w związku ze skautowskimi obozami i wycieczkami, a ja mu wierzyłam... - Znowu zaczęła płakać. - Byłam taką głupią krową, mój Boże... Wierzyłam w każde jego słowo...

Min patrzyła, jak matka i córka zamieniają się rolami. Jackie przytuliła głowę matki do drobnej piersi, głaszcząc ją po włosach i pocieszając szeptem.

- Zaparzę świeżą herbatę - powiedziała Jean, podnosząc się od stołu.

Później, kiedy wszystkie trzy porządnie się wypłakały, Min wróciła do tematu.

- Więc żadne z was nie miało pojęcia, po co William wybrał się do Dublina i że w ogóle się tam wybrał?

Jean i Jackie potrząsnęły głowami.

- Nadal ma pani rzeczy Williama? Jego notatniki z adresami, listy, rachunki, notesy, tego rodzaju drobiazgi?

- Nie. - Jean spojrzała na nią z zimnym wyrazem twarzy. - Nie. Po jego aresztowaniu przejrzałam wszystkie jego rzeczy. Miał dużą walizkę, którą zawsze trzymał na strychu. Wprowadził się z nią po naszym ślubie, a ja nigdy nie pytałam, co w niej przechowuje. Myślałam, że to takie tam głupstwa, które ludzie zwykle zbierają - listy, rodzinne zdjęcia, no, wie pani, o co mi chodzi... Ale kiedy zajrzałam do środka, o mało nie umarłam, głównie z obrzydzenia. To było straszne. Miał tam zdjęcia dzieci. Spaliłam wszystkie, co do jednego.

Jackie wstała z kolan matki i wyszła. Jean podążyła za nią wzrokiem.

- Przeraziłam się, że mogłyby wpaść w ręce Jackie albo jej brata. Wszyscy mówili o Williamie, potem zaczął się proces, ciągle pisali o nim w gazetach, wokół domu kręcili się dziennikarze, to był koszmar... Dzieci nie mogły spokojnie wyjść na ulicę, codziennie wracały z płaczem, bo ktoś je wyzywał od najgorszych... Nic, co znalazłam w tej walizce, nie miało żadnego związku z tym chłopcem ani w ogóle z Irlandią, więc chyba naprawdę zmarnowała pani czas. Przykro mi, że nie mogę pani pomóc...

- To nic. - Min szybko wyciągnęła rękę i pogładziła drżące palce Jean. - To nic, wszystko jest w porządku. Nie potrafię sobie wyobrazić, co pani przeszła... Sama mam dzieci i też jestem wdową. Nigdy dotąd nie

myślałam o tym, jak bardzo powinnam uważać, kogo wpuszczam do domu, ale teraz będę już o tym stale pamiętać...

Wstała, sięgnęła po torbę.

- Muszę się zbierać, zajęłam pani dość czasu. - Odwróciła się do drzwi, lecz zaraz znowu spojrzała na Jean. - Gdyby jednak przyszło pani coś do głowy, gdyby przypomniała pani sobie coś o Williamie, choćby pozornie całkiem nieistotnego...

- Wiem. - Jean powoli dźwignęła się na nogi. - Będę z panią w kontakcie. - Wzięła od Min wizytówkę i przeczytała jej treść. - Powiem pani jedno, jest pani dużo bardziej sympatyczna niż większość angielskich policjantów, którzy przewinęli się przez mój dom. Niektórzy z nich byli prawdziwymi skurwysynami. I niech ich pani nie broni, proszę nie mówić, że tylko spełniali swój obowiązek, bo to by było kłamstwo... - Spojrzenie Jean przeniosło się nagle w stronę drzwi. - Skąd ty to wzięłaś, na miłość boską?

Min odwróciła się i zobaczyła Jackie, której twarz zasłonięta była maską. Była to głowa ptaka, czarno-białej sroki o ostrym dziobie.

- Nie pamiętasz, mamó? - zapytała Jackie przytłumionym głosem. - Przywiózł tę maskę dla mnie, a drugą dla Terry'ego, chyba lisa, czy coś takiego... Powiedział, że ma w Dublinie znajomego, który zrobił je specjalnie dla nas. Zapomniałaś? Podobno to maski na Halloween, a my mieliśmy je włożyć w dzień Guya Fawkesa, do kostiumów...

Lis i sroka. Kot i chomik. Wiewiórka. Min w jednej chwili ujrzała je wszystkie oczami wyobraźni. Rysunki, projekty naszkicowane ręką Nicka Cassidy... Przypomniała sobie, że te projekty były przypięte do ściany w jego studio, a Marianne O'Neill wspomniała w swoim zeznaniu, że pracowali nad maskami od kilku tygodni, żeby przygotować je na ten wieczór, na Halloween. Zeznała, że ona i jej przyjaciele, a także Owen i Luke zamierzali się przebrać. Kostiumy były już gotowe - Owen miał być lisem. To był najbardziej wymyślny i wymagający najwięcej pracy kostium, ale wszyscy już przygotowali maski i odpowiednie stroje...

- Mogę? - Wyciągnęła rękę. Jackie zdjęła maskę i podała ją Min.

- Zapomniałam, rzeczywiście... - Jean przechyliła głowę, przyglądając się głowie sroki. - Teraz sobie przypominam... Te maski wcale mi się nie podobały, zresztą, teraz też zimno mi się robi, kiedy patrzę na to paskudztwo...

Min uważnie obejrzała srokę. Zrobiona była z papier mâché, starannie oblepiona piórkami oraz drobnymi okruchami szkła i muszelek, dzięki czemu lśniła i mieniła się w świetle. Zupełnie jak prawdziwa sroka, pomyślała Min. Model ptasiego łebka wykonano po mistrzowsku, podobieństwo było doskonale uchwycone.

- Niech pani przymierzy... - Jackie przysunęła maskę do twarzy Min, zakładając szeroką gumę na tył jej głowy.

Min spojrzała przez okrągłe, malutkie otwory. Widziała kuchnię w mocno zwężonej perspektywie i nagle ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie. Zrobiło jej się gorąco, pomyślała, że zaraz zacznie się dusić, że już nigdy nie nabierze powietrza w płuca. Dłonie miała wilgotne od potu, serce biło jej mocno i szybko. Zerwała maskę z twarzy, starając się zachować spokój.

- Nie powiedział dokładnie, skąd miał te maski? Nie wymienił nazwiska tego znajomego?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, nic więcej nie pamiętam, ale byłam wtedy jeszcze mała...

- A ty, Jean? Nic ci nie mówił o tych maskach?

- Powiedział tylko, że to ręczna robota, dzieło kogoś znajomego. I że zostały wykonane z myślą o Halloween...

Min wzięła maskę ze sobą. Jean zapakowała ją do pudełka po butach i zakleiła wieczko taśmą klejącą. W czasie lotu z Manchesteru do Dublinu Min trzymała pakunek na podłodze, między nogami. W taksówce oparła go na kolanach, a w domu ostrożnie położyła na najwyższej półce w szafie w holu. Następnego dnia z samego rana zamierzała zabrać ją do kwatery głównej policji i przekazać ekspertom medycyny sądowej. Może znajdą coś pod czarno-białymi, lśniąco-białymi piórami... A może nie. Może już teraz wiem o tej masce wszystko, co powinnam wiedzieć, pomyślała. Że zaprojektował ją Nick Cassidy. Że wykonał ją Nick Cassidy. Że William Metcalfe dostał ją od człowieka, którego określił mianem dobrego znajomego. Że Metcalfe przywiózł ją do Bradford z Dun Laoghaire, podobnie jak fotografię Owena Cassidy. Kto dał mu tę fotografię? Czy ta sama osoba, która podarowała maskę?

Dom był cichy i ciemny. Chłopcy już spali, Vika również. Min postawiła czajnik na gazie. Nalała sporo whisky do szklanki, dodała brązowy cukier, goździki i plasterki cytryny. Kiedy woda zagotowała się, dołała wrzątku, usiadła na sofie i pociągnęła mały łyk. Zamknęła oczy i oparła głowę o poduszkę. Na zewnątrz wiatr poświstywał w gałęziach drzew, szeptał i wzdychał, przelatując przez zaułek. Min wiedziała, że powinna się położyć, ale nie miała siły, by się ruszyć. W salonie panował bałagan. Najwyraźniej dzieci rozbierały się przed kominkiem i zostawiły ubrania na dywaniku, razem z codzienną kolekcją książek, ołówków, kredek i zabawek. Min wychyliła się z sofy i zaczęła porządkować porzucone rzeczy. Jej palce prześlizgnęły się po błyszczących okładkach książeczek. Spojrzała na nie i nagle jej wzrok padł na dużą książkę w twardych okładkach, z jasną, barwną ilustracją. Położyła ją obok siebie. *Syn gwiazd*, głosił wypisany pochyłą czcionką tytuł. Imię i nazwisko autora otoczone było girlandą złocistych kwiatów, niżej umieszczono imię i nazwisko ilustratora, ozdobione drobnymi rysunkami ptaków i zwierząt. Były tam sroki i wrony, lisy i wiewiórki. Min spojrzała na tył okładki, na znajomą fotografię i notkę biograficzną. Powoli przeczytała krótki tekst.

Nick Cassidy, wielokrotnie nagradzany grafik i ilustrator książek, urodził się w Dublinie, studiował rysunek i malarstwo w Narodowej Akademii Sztuk Pięknych i Projektowania. Jego rysunki, obrazy oraz ilustracje do tej i wielu innych książek zdobyły międzynarodową sławę. Nick Cassidy zasłynął na całym świecie jako autor niezrównanych ilustracji do dzieł Oscara Wilde'a.

Położyła się na sofie, opierając sobie książkę na piersi. Dopiła drinka i ostrożnie postawiła szklankę na podłodze. Objęła się ramionami. Długo leżała z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w sufit. Kiedy wreszcie zasnęła, za oknem już świtało.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Róisín wróciła. Nick stał przy oknie w kuchni Susan i obserwował ją. Bawiła się z Emirem w ogrodzie. Trzymała go za ręce i okręcała wokół siebie, coraz szybciej i szybciej. W pewnej chwili odchyliła się do tyłu tak mocno, że o mało nie upadła. Nick patrzył na twarz dziecka. Nie potrafił określić, czy wyrażała entuzjastyczną radość, czy lęk. Z całą pewnością dostrzegł na niej cień wyczekiwania, ale na co...

Nagle chłopiec runął na ziemię. Puścił ręce Róisín, a może to ona rozluźniła uchwyt... Przewrócił się do tyłu, na mokrą trawę, unosząc w górę ramiona i nogi. Róisín pochyliła się nad nim i pociągnęła ku sobie. Pomogła mu wstać, a potem szepnęła coś do ucha, wzięła za rękę i poprowadziła w kierunku drewnianego letniego domku.

Na placu kręciło się mnóstwo dzieci. Przerwa międzysemestralna, pomyślał Nick. Święto Halloween. Dzieciaki stały przy ognisku, niektóre dorzucały drewno na stos. Wysoki szczupły chłopiec o krótko ostrzyżonych ciemnych włosach podbiegł do nich z piłką, lekko dryblując, i cała duża grupa podzieliła się zaraz na dwie drużyny. Zaczęli grać. Nick przyglądał im się uważnie, z przyjemnością odnotowując uniki, główki i nagłe przyspieszenia. Cieszyła go ich wesołość, wdzięk, radość, jaką odnajdywali w zabawie. Jednak nawet teraz, w chwili tej pozornej beztroski, wciąż słyszał głos Conora Hickeya.

- Zidentyfikowaliśmy jeszcze paru chłopców, których zdjęcia znaleźliśmy na pana twardym dysku. Wszyscy byli ofiarami pedofila, niejakiego Williama Metcalfe'a. Znał go pan? Pochodził z północy Anglii, ale mamy powody sądzić, że na początku lat dziewięćdziesiątych działał także w Dublinie. Czy to nazwisko coś panu mówi?

- Nie.

- Na pewno? Nie chce pan tego przemyśleć?

- Powiedziałem już, że nigdy nie słyszałem o tym człowieku. Nie znam tego nazwiska.

- Cóż, niewiele osób ma dostęp do tego typu materiałów... Te zostały wprowadzone do Internetu przez bardzo ekskluzywną grupę. Trzeba znać całą serię haseł, żeby dotrzeć do tych zdjęć i dostarczyć mniej więcej dziesięć tysięcy nowych, nigdzie dotąd niepublikowanych, aby zostać stałym subskrybentem. Trzeba też dysponować znakomitą znajomością sieci, by choćby z grubsza dotknąć bazy danych grupy. Oni nie puszczają w obieg obrazków, które da się wywołać kilkoma kliknięciami wyszukiwarki. Rozumie pan, o czym mówię, prawda?

Nick milczał.

- Te same zdjęcia znalezione na płatnej stronie w Stanach. Przebywał pan w Ameryce ładnych kilka lat prawda? Na tych stronach robi się kupę forsy, na pewno pan o tym wie. Tak czy inaczej, chcielibyśmy zaprosić pana na jeszcze jedno przesłuchanie...

- Dlaczego? Zamierzacie mnie aresztować? Postawić mi konkretne oskarżenia?

- No, to zależy...

- Od czego?

- Od pańskiej chęci współpracy i od tego, ile nam pan powie. Także od tego, czy panu uwierzymy i czy poda nam pan nazwiska innych, zaangażowanych w ten biznes.

- Na miłość boską, przecież mówiłem, że nic o tym nie wiem! Nie znam żadnych „innych”! Nie należę do żadnej grupy, kręgu czy jak tam to nazywacie! Wyjaśniałem wam to wszystko tysiąc razy, na Boga!

Chwila milczenia, potem westchnienie.

- Znowu utrudnia nam pan życie, Nick... - odezwał się Hickey. - Niech pan posłucha... Proszę to sobie dokładnie przemyśleć. Zadzwoń do pana po południu i umówimy się na jutro, w porządku?

Znowu przerwał.

- I jeszcze jedno... Wiemy, że nigdzie się pan nie wybiera, ale gdyby przyszła panu na to ochota, może pan być pewny, że znajdziemy pana i nie będziemy szczególnie zadowoleni, iż wyjechał pan bez naszej wiedzy i zgody... Moglibyśmy także trochę inaczej spojrzeć na kwestię pańskiej winy lub niewinności, więc sugeruję, by omówił pan to wszystko z żoną. Wygląda na bardzo rozsądną kobietę i myślę, że chętnie pomoże panu rozważyć rozmaite opcje. Z poradą prawną też nie powinien pan mieć żadnych problemów. Co pan na to? W porządku? Pogadamy później, do usłyszenia...

Na placu pojawił się jeszcze jeden chłopak, wysoki i mocno zbudowany, ze związanymi w kitkę ciemnoblonde włosami. Szerokie dzinsy łopotały wokół kostek, gdy truchtem biegł na środek trawnika. Nick patrzył, jak zbliża się do grających. Potem zamknął oczy. Pamięć podsunęła mu obraz Owena, ze śmiechem goniącego piłkę. Dopadł ją, podrzucił bokiem stopy, zgiął kolana, żeby wykonać główkę... Napiął mięśnie torsu i szyi, starając się uderzyć jak najmocniej...

Spójrz na mnie, tato! Patrz, co potrafię zrobić!

Nick otworzył oczy. Grę przerwano, chłopcy stali skupieni wokół Luke'a Reynoldsa. Jeden z nich trzymał w ręku gazetę. Teraz ich głowy zetknęły się nad rozpostartą płachtą. Luke podniósł wzrok i napotkał jego spojrzenie. Uśmiechnął się ostrożnie, z onieśmieleniem, i szybko spuścił oczy. Nick odsunął się od okna i przeszedł do holu. Otworzył drzwi, stanął na najwyższym schodku. Kiedy ruszył w stronę chłopców, ci z wyraźnym zakłopotaniem zaszurali nogami. Luke chwycił gazetę i usiłował schować ją za plecami.

- Jak się masz, Luke? - zawołał Nick, przechodząc przez małą metalową furtkę. - Miło cię znowu widzieć...

Na placu zapadła pełna napięcia cisza. Chłopcy popatrzyli na niego, rozproszyli się i zaczęli odchodzić, zostawiając Luke'a samego.

- O co chodzi? Co się stało? - Nick podszedł bliżej. Luke zrobił krok do tyłu. Nick szybkim ruchem sięgnął za jego plecy i wyrwał mu gazetę.

- Co to jest? Co tam znaleźliście?

Chłopak skrzywił się, jego policzki oblał rumieniec. Niepewnie zerknął na swoje zabłocone buty, potem na Nicka.

- To tylko artykuł o tym, co stało się dziesięć lat temu - mruknął. - Okrągła rocznica, wie pan, jacy są dziennikarze, zawsze chętnie wygrzebią jakieś ploty... Widzi pan, żaden z tych gnojzków nie znał Owena, więc aż się pała, żeby przeczytać jakieś sensacyjne bzdury... Ja... Ja nie chciałem, żeby pan to zobaczył, bo pomyślałem, że tylko się pan zdenerwuje... Wie pan, co mam na myśli...

Gazeta była pognieciona. Nick powoli zawrócił do domu. Rozprostował papier i spojrzął na pierwszą stronę, na której umieszczono zdjęcia ośmioletniego Owena, Victoria Square i nieco zamazaną fotografię jego i Susan. Stali przed komisariatem policji, obejmowali się, ich twarze były pełne rozpaczy i napięcia. Wydrukowany wielkimi literami tytuł brzmiał: „Nierozwiązane tajemnice spokojnego przedmieścia Dublinu”. U dołu strony, w osobnej ramce znajdowało się zdjęcie ładnej dziewczyny z ciemnymi lokami i jeszcze jeden nagłówek: „Zimowe noce przynoszą zagadki nowych zbrodni”.

Usiadł na najwyższym stopniu i zaczął czytać. Luke przysiadł obok niego, czytając ponad jego ramieniem. Tekst w prosty, nieskomplikowany sposób streszczał wydarzenia sprzed lat.

- Wszystko w porządku, Luke... - mruknął Nick. - Nie ma tu nic, co mogłoby mnie zranić, ale dziękuję za troskę...

Chłopak nie odrywał wzroku od pogniecionej gazety.

- Znał ją pan? Tę dziewczynę, którą zamordowano niedaleko stąd?

Nick potrząsnął głową.

- Nie, to stało się jeszcze przed naszą przeprowadzką na Victoria Square... Nie przypominam sobie, żeby ktoś stąd mi o niej mówił, pewnie ludzie niechętnie rozmawiali o tej sprawie... Dlaczego pytasz? - Spojrzął na Luke'a. - Nie mogłeś jej znać, zginęła, zanim się urodziłeś...

- Tak, ale jej twarz wydaje mi się znajoma. - Luke zmarszczył brwi.

- To był nagłośniony przypadek. Ciekawe... Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że zginęła późną jesienią, mniej więcej w tej samej porze roku, kiedy zniknął Owen... Nigdy dotąd nie zestawiałem tych dat, ale nie ulega wątpliwości, że inni zauważyli tę zbieżność... - Nick oparł ramię na barkach Luke'a. - Co cię dziś tutaj sprowadza, stary? Chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Nie, po prostu mam teraz przerwę i pomyślałem, że czas trochę odpocząć. Chociaż na chwilę zostawić miasto, ojca i całe to gówno... Pójdę już. - Wskazał gestem innych chłopców, którzy znowu skupili się przy stosie drewna na ognisko. - Wybieramy się do kina.

Nick wyjął z kieszeni kilka banknotów.

- Kupcie sobie za to prażoną kukurydzę. - Oparł się o schodek. - Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś czegoś potrzebował, prawda?

Luke uśmiechnął się, odwrócił i zbiegł na dół, pokonując po dwa schodki. Jego ściągnięte gumką włosy podskakiwały na futrzanym kołnierzu kurtki. Był już prawie na środku placu, kiedy obejrzał się i wysoko podniósł dłoń w geście pozdrowienia. Nick wstał i pomachał mu. Nagle usłyszał, jak drzwi domu Gouldingów otwierają się z cichym skrzypnięciem. Na ganek wyszli Chris, Róisín i Emir. Nick patrzył na nich w milczeniu, oni także nie odezwali się ani słowem. Szybko zeszli po schodach, trzymając się za ręce. Chris niósł przerzuconą przez ramię sportową torbę.

- Wybieracie się gdzieś? - zawołał Nick.

Chris podniósł wzrok i uśmiechnął się bez cienia serdeczności. Emir wyszarpnął rękę z dłoni Róisín i pomachał Nickowi, który odpowiedział w ten sam sposób. Potem patrzył, jak idą przez plac. Gdy znikli, wrócił do domu, położył gazetę na kuchennym stole i narzucił na ramiona kurtkę. Otworzył tylne drzwi i zbiegł po

schodkach do ogrodu. Szarpnął furtkę, zatrzęsął ją za sobą i szybkim krokiem ruszył przed siebie wąską alejką.

Chris, Róisín i mały, jasnowłosy chłopiec... Dokąd poszli, kiedy dotarli do końca szeregu domów przy placu? Czy skręcili w kierunku głównej ulicy, prowadzącej do miasta? A może w drugą stronę, na drogę wiodącą do wzgórz? Próbował sobie wyobrazić, co myśleli, potem zobaczył ich w oddali. Brat i siostra. Jedno z prostymi ciemnymi włosami, sięgającymi kołnierza kurtki, drugie z bardzo jasnymi, krótko ostrzyżonymi, ciasno oblepiającymi zgrabną małą czaszkę. Między nimi chłopiec. Trzymał ich ręce i wymachiwał nimi, wieszając się na nich, podskakując i tańcząc...

A może próbował się im wyrwać? Może starał się uwolnić dłonie i dlatego tak mocno ściągał ich ręce w dół? Może zapierał się nogami, licząc, że w pewnej chwili zwolnią uścisk i wtedy zdoła uciec? Może te podskoki, te zwisy wcale nie były zabawą? Nick nie był w stanie tego osądzić. Szli spokojnymi ulicami, przy których drzewa gubiły liście, rzucając je na wysokie wzgórki płonące różnymi odcieniami czerwieni, oranżu i żółci, domy cofały się przed jego wzrokiem, odsłaniając tylko puste okna i uporządkowane ogródki. Nigdzie ani śladu życia. Nick minął słoje z bukietami kwiatów, świece i karteczki ze słowami pocieszenia lub modlitwy za Lizzie Anderson. Tamci troje nie zatrzymali się, nawet nie spojrzeli. Poszli dalej, a on podążył za nimi, nie chcąc stracić ich z pola widzenia.

Przerwa międzysesemestralna, cztery dni wolnego. Święto Halloween, w starym języku zwane *samhain*. Czas, kiedy dzień przechodzi w noc tak łagodnie i niepostrzeżenie jak szara linia horyzontu w szarość nieba. Co takiego powiedziała idąca przed nim dziewczyna, schylając się do podobnego do muszelki ucha małego chłopca? Czy były to słowa pocieszenia i miłości, czy też słowa, które miały przerazić i zastraszyć? Nick patrzył, jak chłopiec odsuwa się od niej na moment, jak odskakuje w bok i zaraz potem wpada jej pod nogi. Przystanęła na chwilę, żeby się nie potknąć, i powiedziała coś nad głową chłopca do Chrisa. Oboje roześmiali się, nachylili ku sobie i pocałowali, łącząc wargi nad jasną czupryną małego. Nie był to pocałunek brata i siostry, pomyślał Nick, kiedy znowu ruszyli przed siebie, ciągnąc za sobą wspólny cień, podświetlony jesiennym, już prawie zimowym słońcem.

Szli do szkoły, teraz już wiedział. Zwolnił kroku i patrzył, jak u góry podjazdu skręcają w lewo, w kierunku domu, który dawniej należał do ich babki. Zatrzymali się. Przed wejściem zaparkowana była ciężarówka jakiejś firmy budowlanej, frontowe drzwi budynku stały otworem. W progu pojawił się mężczyzna w wymazanych farbą drelichowych spodniach na szelkach, z pędzlem w ręku. Chris zamienił z nim parę słów i wprowadził Róisín i chłopca do środka.

Nick zawrócił. Obiegł wysoki kamienny mur i skręcił na ścieżkę. Gdy dotarł do końca dróżki, przecisnął się między gałęziami żywopłotu do ogrodu. Przed sobą zobaczył basen. Nie mógł zajrzeć do środka przez matowe, białe szyby, słyszał jednak dobiegające z wewnątrz głosy, okrzyki i piski. Czy były wyrazem radości, zachwyty? Czy to był śmiech? Usłyszał głośny plusk i przycisnął twarz do zimnego szkła, ale widział tylko pasma światła i ciemne plamy. Cofnął się i osunął na ziemię. Czekał.

Popołudnie mijało powoli. Zrobiło się zimno, coraz bardziej wyblakłe światło dnia opuszczało ogród. Z niskiego betonowego budynku nie dobiegały już żadne odgłosy. Nick podniósł się, obszedł basen dookoła i zbliżył się do dawnego domu babki Chrisa i Róisín. Okna na parterze były zamknięte i okratowane. Na bocznej

ścianie umieszczono metalową klatkę schodów ewakuacyjnych. Szybko wbiegł po nich na najwyższe piętro. Nacisnął klamkę przeszklonych drzwi, które ustąpiły pod naporem jego ramienia. Znalazł się w szerokim korytarzu. Dywan przykryty był płachtami poplamionej farbą folii, powietrze przesiąknięte mocnym zapachem terpentyny. W jednym z pomieszczeń na niższym piętrze ktoś włączył muzykę.

Nick zaczął schodzić w dół. Na wysokim rusztowaniu na półpiętrze stał mężczyzna, który na widok Nicka uniósł pędzel w geście pozdrowienia.

- Jak idzie? - Nick przystanął i spojrzał w górę. - Wszystko w porządku?

- Tak, żadnych problemów - odparł mężczyzna.

- Świetnie! - uśmiechnął się Nick.

Zbiegł na parter, przeskakując po dwa stopnie. W holu drzwi wejściowe wciąż były otwarte. Pośpieszenie skręcił w stronę ogrodu i wąskich schodów, prowadzących do piwnicy. Na dole było zimno i cicho. Po obu stronach korytarza szereg niewielkich drzwi, opatrzonych tabliczkami z nazwiskami nauczycieli. Nick czytał je na głos. Panna Jennings, panna Nelson, panna Williams, pan Benson, pan Goulding... Nacisnął klamkę. Zamknięte. Nie wahał się ani chwili - mocnym kopniakiem strzaskał drewniany panel i drzwi uderzyły o ścianę, smętnie zwisając na uszkodzonych zawiasach. Wszedł do środka.

Włączył światło, rozpraszając panującą w pokoju ciemność. Przy ścianach stały regały z książkami, z jednej strony biurko i krzesło, z drugiej szafa. Usiadł za biurkiem. Na podrapanym blacie spoczywał mały teksturowy kalendarz. Sięgnął po niego i poszukał listopada. Szósty dzień miesiąca był zaznaczony grubym czerwonym markerem. Odłożył kalendarz i spróbował otworzyć szuflady. Zamknięte. Mocniej szarpnął uchwyty, potem wstał i przewrócił biurko na podłogę. Skoczył na szuflady i drewno trzasnęło głośno, ustępując niechętnie. W największej szufladzie znajdował się laptop. Nick usiadł na podłodze i włączył komputer. Czekał, słysząc cichy, zachęcający szum procesora. Prawą ręką dotknął wbudowanej myszki i ekran wypełnił się listami plików. Przejechał po nich powoli, otwierając niektóre. Raporty, oceny za wypracowania, listy do uczennic i ich rodziców, opisowe noty semestralne. Nic, co nie było związane ze szkołą.

Wyciągnął pozostałe szuflady. Zeszyty, długopisy, ołówki, spinacze, pół tabliczki czekolady, kilka torebek ekspresowej herbaty... Podniósł się z podłogi i podszedł do szafy. Drzwi były otwarte, wewnątrz znajdowały się nie półki, lecz szuflady, a w nich stare, dawno ocenione prace egzaminacyjne i fiszki opisujące postępy uczennic. Tylko tyle. Stał na środku pokoju i rozejrzał się. Miał ochotę zedrzyć podłogę, paznokciami zdrapać tynk ze ścian. Kręciło mu się w głowie z wściekłości, serce mocno waliło o żebra.

- Uspokój się - powiedział głośno. - Jeżeli coś tu w ogóle jest, powinno być łatwe do znalezienia...

Podszedł do regału i przekrzywił głowę, żeby przeczytać tytuły. Były tu głównie klasyczne powieści Jane Austen, sióstr Brontë, Fieldinga, Trollope'a, Dickensa. Niżej Joyce'a, Becketta, Yeatsa i Synge'a. Standardowe źródła dla nauczyciela literatury angielskiej. Na najniższej półce zwarty rząd książeczek dla dzieci. Nick przysiadł na piętach. Więc to tutaj trafiły jego książki... Zaczął wyciągać je po kolei. *Trzydzieści dziewięć stopni* i wszystkie książki Williama. *Moja przyjaciółka Flicka*, *Grzmot*, *Zielone pastwiska Wyoming* i *Wyspa skarbow*, która kiedyś należała do jego ojca, z wizerunkiem Długiego Johna Silvera na żółtawej okładce. Doskonale pamiętał tę ilustrację.

Ostrożnie otworzył książkę i przewrócił kilka kartek. Od razu się zorientował, że co najmniej połowę starannie wycięto, wkładając w ich miejsce małe plastikowe pudełko. Położył książkę na podłodze i wrócił do komputera. Podważył wieczko pudełka. Wewnątrz znajdowały się dwie dyskietki. Trzymając je za srebrzyste brzegi, ukląkł obok laptopa i wsunął jedną dyskietkę do stacji. Kiedy wyświetliła się ikona, wskazująca, że na dyskietce znajdują się jakieś pliki, próbował je otworzyć, lecz wtedy komputer wyrzucił na ekran tabelkę z informacją, że musi podać hasło dostępu. Cursor migał powoli. Nick wpisał słowo „Owen”, ale na monitorze natychmiast ukazała się tabelka z wiadomością: „Hasło nieprawidłowe. Program nie może otworzyć pliku”. „Cassidy”, spróbował Nick. Ta sama odpowiedź. „Marianne”. Brak dostępu. Zaczął po kolei wpisywać wszystkie hasła, jakie przychodziły mu na myśl. „Chris”, „Róisín”, „Victoria”, nawet swoje własne imię - „Nick”, „Nicky”, „Nicholas”. Potem „Susan”, „Suzy”, „Sue”. Brak dostępu. Mocno uderzył się pięścią w głowę, chory z frustracji. Uświadomił sobie, że nigdy nie trafi na właściwe hasło, ponieważ lista możliwości była nieskończona.

Rozejrzał się dookoła. Na podłodze leżała książka, jedna z ukochanych książek Owena. Owen uwielbiał wszystkich jej bohaterów, szczególnie papugę.

Poczytaj mi *Wyspę skarbów*, tato, prosił często wieczorem. A potem, głosem papugi: „Parę sztuk srebra, parę sztuk srebra!”...

Parę sztuk srebra. Nick wymówił te słowa na głos i wpisał je, szybko stukając palcami po klawiszach. Kliknął OK. I nagle usłyszał cichy szum otwieranej przez program dyskietki. Zobaczył listę plików i dodatków. Kliknięciem otworzył pierwszą małą ikonę, potem drugą, trzecią i czwartą. I ujrzał fotografie, zdjęcia Owena. Zdjęcia Marianne. Ich zdjęcia razem i osobno. I inne fotografie, zdjęcia upozowanego, rozkrzyżowanego dziecka. Na zdjęciach obce dłonie, które dotykały jego ciała, wnikały we wszystkie jego zakamarki. Maski, które kryły twarz chłopca, oświetlonego tak umiejętnie, że blask lamp wydawał się prześwieślać jasną skórę. Nick długo patrzył na ekran, lecz po pewnym czasie nie widział już nic, bo łzy wypełniły jego oczy i oślepiły je słonym, piekącym przypiływem.

Rozdział trzydziesty

Był sobie chłopiec. Miał osiem lat, gęste, jasne włosy, zawsze lekko zwichrzone na czubku głowy, błyszczące niebieskie oczy, długie, chude ramiona i nogi. Nie bał się ciemności. Mówił, że nie boi się niczego, ale czasami w środku nocy z krzykiem siadał na łóżku i wołał matkę, żeby przyszła i utuliła go. Łapał powietrze szeroko otwartymi ustami, z których w czasie tych ataków przerażenia nigdy nie wydobyło się ani jedno słowo. Żadnych słów, tylko dźwięki - pojękiwanie, głębokie, niskie chrząknięcia, krótkie, ostre okrzyki. Wtulał twarz w ciepłe ciało matki i płakał. Kładła się obok niego i trzymała go w ramionach, dopóki znowu nie zasnął. Wtedy podnosiła się powoli, bardzo powoli i ostrożnie, i długo stała nad łóżkiem, niepewna, czy chłopiec się nie poruszy. Dopiero potem wracała do swojej sypialni. „Dzieje się z nim coś złego, nie rozumiem, dlaczego męczą go koszmary”, mówiła. „Jest w trudnym wieku”, odpowiadał sennie mąż. „Wyrośnie z tego, nic mu nie będzie, zobaczysz”.

Ale teraz Nick widział, że Susan miała rację. Zobaczył też inne rzeczy, na przykład zdjęcia Lizzy Anderson, ładnej, wręcz uroczej w szkolnym mundurku. Na tych zdjęciach Lizzie szła tymi samymi ulicami, którymi on chodził teraz. Szła z przerzuconą przez ramię torbą z książkami, śmiała się do przyjaciółek, pełna życia, szczęśliwa, beztraska. A potem martwa. Z opuchniętą, poczerniałą twarzą, białkami oczu szkarłatnymi od popękanych naczyń krwionośnych. Nick zasłonił sobie oczy i przez palce popatrzył na fotografię na ekranie. Na dyskietkach były też inne zdjęcia, przedstawiające dziewczęta i chłopców w różnym wieku, różnego wzrostu, różnej wagi i urody. Wszystkie czekały na wywołanie, gotowe pojawić się na żądanie, na jedno kliknięcie klawiszem i muśnięcie myszką.

W szaleństwie rozpacz i obrzydzenia spróbował je skasować, ale okazało się to niemożliwe. Zdjęcia wciąż powracały, wciąż atakowały ekran, aż wreszcie zerwał się na równe nogi i rzucił laptopem o podłogę. Drzazgi plastiku, szkła, metalu i cienkich drucików trysnęły na wszystkie strony. Deptał je uparcie, rozgniatł i miażdżył obcasami na jeszcze drobniejsze kawałki, ale fotografie pozostały, już na zawsze ukryte w głębi jego umysłu.

Był sobie mężczyzna. Miał idealne życie, żonę, dziecko i dom. Cieszył się także dobrą opinią w kręgach zawodowych, zdobył sławę. Był twórcą piękna, artystą. Był jak Syn gwiazd z bajki, którą ilustrował - miał wszystko. I podobnie jak Syn gwiazd, odwrócił się plecami do swego życia, odepchnął dobro, którym został obdarowany. I stał się jak tamto stworzenie z głową ropuchy i ciałem pokrytym łuską żmii. Zaznał odrzucenia, pogardy, osamotnienia i zagubienia.

Teraz biegł do domu, rozrzucając butami wzgórki mokrych liści, ciężko dysząc. Był sobie chłopiec. Ale ten chłopiec był martwy, mężczyzna nie miał już najmniejszych wątpliwości. Widział zdjęcie chłopca, leżącego na podłodze. Oczy miał otwarte, ale spojrzenie nieruchome, puste. Potem zobaczył jeszcze jedną fotografię. Przedstawiała letni domek w ogrodzie przy domu, który teraz należał do szkoły. Na najniższym schodku siedziała Róisín. W obu dłoniach trzymała bukiet kwiatków i uśmiechała się.

Staranował ciałem furtkę do ogródka, wbiegł po schodach i wpadł do kuchni. Przy stole siedziała Susan, blada i zmęczona. Na jego widok podniosła się z krzesła.

- Gdzie byłeś?! - krzyknęła. - Próbowałam cię znaleźć!

Stanął przed nią, z trudem łapiąc oddech.

- Ten drewniany domek w ogrodzie Gouldingów... - wyrzucił z siebie. - Dlaczego Chris przeniósł go tutaj?

- O czym ty gadasz, na miłość boską?! Przecież to nie ma najmniejszego znaczenia!

Postąpił krok w jej stronę, ale cofnęła się gwałtownie.

- Nie zbliżaj się do mnie - powiedziała. - Jak mogłeś? Jak mogłeś to zrobić? Nie wierzyłam, że miałeś coś wspólnego ze zniknięciem Owena... Wiedziałam, że inni cię posądzali, znam psychologiczne teorie na temat stosunku ojców do dzieci, ale nigdy nie sądziłam, że ty byłbyś do tego zdolny, nigdy...

- Co takiego? O czym ty mówisz? Co się stało?

- Naprawdę myślałeś, że ujdzie ci to na sucho? I mało brakowało, a udałoby ci się... Gdybyś nie wrócił... Dlaczego wróciłeś? Dlaczego?

- Powiedz mi, powiedz mi, co się stało! - Usiłował chwycić jej dłonie, ale odepchnęła go.

Próbował ją objąć, ale wyrwała się z jego ramion.

- Nie dotykaj mnie, nie zbliżaj się do mnie! Policja już na ciebie czeka. Kazali mi zadzwonić, jak tylko wrócisz i zrobisz to, przysięgam, że zadzwonię...

Zrobiła krok w stronę wiszącego na ścianie telefonu, lecz on złapał słuchawkę i rzucił ją na podłogę. Susan rozplakała się, po jej szarej z wyczerpania twarzy pociekły łzy.

- Powiedz mi, co się stało - powtórzył. - Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowujesz, nie wiem, co się wydarzyło. Usiądź, przecież wiesz, że nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy... Nie mógłbym skrzywdzić ciebie ani kogokolwiek innego. Zaufaj mi. Opowiedz, co się stało.

Policjanci przyjechali przed godziną. Susan właśnie wróciła z pracy. Powiedzieli jej, że byli w Anglii i przesłuchali tam więźnia, który miał przy sobie zdjęcie Owena.

- Pokazali mi tę fotografię. Nigdy jej nie widziałam, Owen musiał ją zrobić w jednym z tych automatów, które stoją w centrach handlowych. Powiedzieli, że wcześniej zdjęcie miał inny więzień, skazany za seksualne molestowanie dzieci, ale on już nie żyje. Tak czy inaczej, podobno był w Dublinie w dniu zniknięcia Owena, a kiedy porozmawiali z jego żoną, dała im coś, co jej mąż przywiózł wtedy z podróży. Coś, co jakoby dostał od pewnego znajomego z Dublina. Wiesz, co to takiego? - Susan podniosła głowę i spojrzała Nickowi prosto w oczy.

- Powiedz mi.

- To była jedna z twoich masek, głowa sroki. Podobno ten zboczeniec przywiózł też z Dublina lisa. Maskę lisa, tę, którą zrobiłeś dla Owena...

Patrzył na nią w milczeniu, wstrząśnięty, z malującym się na twarzy wyrazem niedowierzania.

- Ale jak... - wyjąkał. - Ale w jaki sposób zdobył te maski?

Wzruszyła ramionami.

- Ty mi to wytłumacz. No, wytłumacz mi, skąd je wziął.

- Jak się nazywał? Powiedzieli ci, jak się nazywał?

Kiedy powtórzyła nazwisko tamtego, przypomniał sobie rozmowę telefoniczną z Conorem Hickeyem. Metcalfe, pedofil... I chłopcy, których zdjęcia policja znalazła na twardym dysku jego laptopa. Ujął głowę w dłonie i z jego gardła wyrwał się jęk rozpacz.

- I co? - Głos Susan był chłodny, całkowicie opanowany. - Co masz mi do powiedzenia?

Siedzieli w samochodzie Conora pod domem Cassidych. Min była zadowolona, że jest ciemno. Od powrotu z Llandudno starannie unikała wszelkich sam na sam z Conorem, ale teraz nie miała wyjścia. Czuła jego napięcie i gniew. Patrzył prosto przed siebie, jedną rękę, z papierosem między palcami, trzymał na kierownicy, drugą pocierał kieszeń dzinsów.

Podniosła przykrywkę spoczywającego na jej kolanach pudełka po butach i spojrzała na maskę.

- Jak myślisz? - Jego głos był w wystudiowany sposób neutralny. - Sądziś, że jednak coś wiedziała? Bardzo zdecydowanie zaprzeczyła, jakoby on miał z tym cokolwiek wspólnego. Uwierzyłaś jej?

- Pytasz, czy uwierzyłam, że ona nic nie wiedziała, czy że on nic nie wiedział?

- O jedno i drugie. Zresztą, wszystko jedno...

Zaciągnął się papierosem, czerwony ogień wydobyl z mroku jego twarz.

- Wierzę, że ona nic nie wiedziała. Nikt nie potrafiłby zagrać takiego szoku, to było całkowicie naturalne, szczerze. A jeśli chodzi o niego... Cóż, przed wyjazdem do Anglii byłam gotowa przysiąc, że jest niewinny, ale później moja pewność się rozwiłała...

- Naprawdę? U ciebie to dość niezwykle. - Oparł kark o zagłówek.

- To znaczy?

- To znaczy, że zawsze jesteś wszystkiego absolutnie pewna, prawda? Byłaś pewna, że chcesz się ze mną przespać, a następnego ranka nie miałaś żadnych wątpliwości, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego. Żadnych „jeżeli”, „ale”, czy „może”, tylko ta twoja pieprzona pewność...

Zrobiło jej się niedobrze. Siedziała w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w bocznej szybie.

- Nie masz nic do powiedzenia, nic do dodania? - Conor zwrócił się w jej stronę.

- Powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia. Było cudownie, naprawdę miło, ale przyjrzyj się bliżej mojej sytuacji - po pierwsze, jestem od ciebie starsza, po drugie, mam dwoje dzieci, które potrzebują całej mojej uwagi...

- A po trzecie, nieszczególnie ci się podobam, nie chcesz mnie, a już na pewno nie kochasz - przerwał jej ostro.

- Daj spokój, zlituj się. Nie chcesz chyba powiedzieć, że ty mnie kochasz... Nie po tym... Po tym...

- Nie po tym krótkim numerku w marnym hotelu, to masz na myśli? Za dużo alkoholu, za dużo podniecenia, za mało rozsądku, ot, i wszystko...

- Tak, jeżeli właśnie tak chcesz na to patrzeć! - Gniew ogarnął ją gorącą falą. - Niezły z ciebie ogier, ale nic poza tym!

Wysiadła z samochodu i zatrzasnęła drzwi. Przeszła na drugą stronę ulicy, zatrzymała się przy ogrodzeniu. Drzewa wiśni rzucały długie cienie na trawę. Gdzieś po drugiej stronie placu z hukiem eksplodowały sztuczne ognie i na niebie wykwitł kolorowy pióropusz. Usłyszała, jak drzwi samochodu otwierają się i zamykają. Wyczuła jego obecność.

- Przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był... - przerwał.

Odwróciła się twarzą do niego.

- Nie, nie przepraszaj. To nie twoja wina, to ja nie powinnam była cię zachęcać. Wiesz, te ostatnie tygodnie były dla mnie naprawdę ważne. Długo nie mogłam się zdecydować, co chcę dalej robić, ale teraz widzę, że po prostu muszę odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chcę wrócić do czynnej służby, czy jak dotąd siedzieć za biurkiem i być tylko matką i panią domu. To, że pracowałam z tobą, obserwowałam cię, widziałam, jak bardzo kochasz swoją pracę, wskazało mi drogę. Nie mogę sobie odpuścić, muszę iść na całość, rozumiesz mnie?

Skinął głową.

Odwróciła się i oparła o ogrodzenie.

- Myślę, że powinniśmy złożyć Susan Cassidy jeszcze jedną wizytę. Robi się późno, na pewno do tej pory dostała od niego jakąś wiadomość...

Podeszła do furtki.

- Idziesz ze mną? - zapytała.

Kiwnął głową. Rozprostował ramiona, przeciągnął się.

- Jasne - powiedział.

Nick podciągnął się na szczyt muru i po chwili wahania miękko opadł na trawę po drugiej stronie. Drzwi do drewnianego domku były otwarte. Obejrzał się. Susan stała w drzwiach kuchni. Podniósł rękę, ale się nie poruszyła.

Wcześniej wybłagał u niej godzinę zwłoki.

- Posłuchaj mnie, proszę... Posłuchaj... Musisz mi uwierzyć. Ostatni raz widziałem maski rankiem tamtego dnia. Wszedłem do pokoju Marianne. Oboje z Owenem siedzieli na jej łóżku i oklejali je piórami. Później już ich nie widziałem, nigdy. Nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Musisz mi uwierzyć. Daj mi godzinę, błagam. Obiecuję ci, że później będzie już po wszystkim...

Susan nie odpowiedziała.

- Proszę cię tylko o godzinę. Później możesz zadzwonić na policję. Zrobię, co zechcą, przysięgam...

Dotarło to do niego po południu, kiedy zobaczył zdjęcie Lizzie Anderson. Przypomnił sobie coś, co powiedziała mu Róisín. *Obserwowaliśmy ciebie i tę dziwkę z placu. Obserwowaliśmy was.* Okno w studio Giny było ogromne, prawie na całą ścianę. *Powinnaś tu powiesić zasłony,* powiedział jej kiedyś. Gina tylko się roześmiała. *Ja i zasłony, też mi coś,* odparła z rozbawieniem. Teraz wiedział, że obserwowali także i Lizzie, piękną, młodą, nagą, bezbronną, nieświadomą ich obecności. Był tego pewny.

Ruszył w kierunku letniego domku. Wszedł do środka. Podłoga zaskrzypiała pod jego ciężarem. Przykucnął i rozgarnął kupę zeschniętych liści i podartych gazet. Jego palce natknęły się na puszkę po tytoniu. Podważył wieczko, wyjął świeczkę, zapalił ją. Osłaniał płomień dłońmi, dopóki nie zapłonął mocniej. Wtedy odwrócił świecę, patrząc, jak krople stearyny powoli spływają na parapet. Kiedy utworzyły zastygającą, lecz wciąż jeszcze miękką kałużę, wcisnął świeczkę w stearynę. Potem usiadł na podłodze, oparty plecami o ścianę i zamknął oczy. Czekał.

- Jak długo mamy jeszcze czekać na powrót pani męża, doktor Cassidy? - zapytał chłodnym tonem Connor.

- Mówiłam wam już, że próbowałam dodzwonić się na jego komórkę, ale chyba ją wyłączył. - Głos Susan był równie spokojny i zimny. - Nie jestem strażniczką mojego męża, nie sprawdzam, kiedy wychodzi i wraca. Jeżeli macie coś do powiedzenia, powiedzcie to mnie...

Min podeszła do Susan i położyła rękę na jej ramieniu.

- Nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę, jak poważna jest sytuacja Nicka... - odezwała się. - Wiesz, że wśród materiałów, które Conor znalazł na twardym dysku laptopa Nicka, są zdjęcia chłopców, zidentyfikowanych jako ofiary Williama Metcalfe'a? Tego samego Metcalfe'a, którego żona dała mi maskę sroki...

Susan milczała.

- Więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chyba jednak zaczekamy na Nicka...

Susan skinęła głową. Odsunęła się i gestem zaprosiła ich do salonu.

- Może zaczeka pani z nami? - Ton Conora był przyjazny, lecz stanowczy.

Znowu skinęła głową, dorzuciła węgla do kominka i usiadła na sofie, plecami do wychodzącego na plac okna. Dom zamarł w ciszy. Na dworze coraz częściej i głośniejszy wybuchały fajerwerki, sypiąc tęczowymi iskrami po ciemnym niebie.

- To fatalny czas dla kotów i psów. - Conor podniósł się i podszedł do okna. - Pudel mojej babci dostawał najprawdziwszego świra w Halloween...

Min uśmiechnęła się lekko.

- Ciekawe, jak zachowuje się ześwirowany pudel... - mruknęła.

Susan nie zareagowała. Sprawiała wrażenie wyczerpanej, spiętej, przerażonej. Min nachyliła się ku niej.

- Posłuchaj... - zaczęła. - Jestem pewna, że to wszystko ma jakieś wytłumaczenie. I sądzę, że kiedy znajdziemy Nicka, będzie umiał wyjaśnić nam, co to znaczy...

- Kiedy go znajdziecie? - Głos Susan drżał ze zdenerwowania.

- Kiedy go znajdziemy. - Conor znowu usiadł. - Szukamy go, rozesłaliśmy jego rysopis do wszystkich komisariatów i posterunków. Nie ma dokąd uciec. Wie pani o tym, prawda?

Nick otworzył oczy i spojrzał w kierunku domu. W kuchni paliło się światło. Chris i Róisín stali w drzwiach. Patrzył, jak powoli schodzą do ogrodu. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej dyskietki. Położył je na podłodze. Blask świecy przemykał po ich lśniącej powierzchni, tęczkowe, migotliwe pasma przebiegały po krawędziach. Pochylił się i spojrzał na srebrzyste dyski. Ujrzał odbicie własnej twarzy, ale także twarze wszystkich, których wizerunki zostały uwięzione w tych cienkich krążkach z wypolerowanego plastiku i metalu.

- Znalazłeś je. - Chris wszedł do środka, za nim jego siostra. - Zastanawiałem się, czy ci się uda...

Oboje usiedli po turecku na podłodze naprzeciwko Nicka.

- A teraz... - Chris otoczył Róisín ramieniem i przyciągnął jej głowę do swojego ramienia.

Jej zielone oczy wpatrywały się w Nicka. Są jak kamienie, pomyślał. Kamienie, takie, które można znaleźć na dnie jeziora. Błyszczące, dopóki mokre, ale brzydkie i pozbawione życia, kiedy ich powierzchnia obeschnie.

- A teraz... - powtórzył.

- A teraz będziesz chciał wszystkiego się dowiedzieć. Dlaczego, co, jak i gdzie. Mam rację?

Nick kiwnął głową.

Chris odwrócił się do siostry. Uniosła ku niemu twarz, a on delikatnie pocałował ją w usta.

- Powiemy mu, skarbie? Powiemy mu o wszystkich niezwykłych rzeczach, które zrobiliśmy?

- Zacznijmy od „gdzie”. - Nick oparł ramiona na kolanach. - Gdzie ukryliście mojego syna? Jest gdzieś tutaj? Może pod nami? Musiałeś go przenieść, prawda? Kiedy w ogrodzie waszej babki zaczęli budować basen, musiałeś go stamtąd zabrać, tak?

Chris uśmiechnął się i przyciągnął Róisín bliżej. Wyglądził jej długą ciemną spódnicę, strzepnął rąbek nad sznurowanymi butami do kostek.

- Sprytny z ciebie chłopaczek, co? Bardzo bystry, zupełnie jak Owen. On także był wyjątkowo bystry, ale niemądry. Nie wiedział, że pewne sprawy lepiej zostawić w spokoju, prawda, Róisín? Na tym polegał jego problem - był bystry, ale nie mądry...

Róisín nie odpowiedziała. Ujęła dłoń Chrisa i wtuliła w nią twarz. Przycisnęła jego palce do swojej szczęki, potem ściągnęła je w dół, tak, aby otoczyły jej szyję. Jej martwe, zielone oczy przez cały czas obserwowały Nicka.

- Powiemy mu. Wybawimy go z rozpacz, z cierpienia, dobrze?

Róisín powoli opuściła powieki.

- Zamknij oczy, Nick, i otwórz drzwi swojej wyobraźni. Opowiemy ci pewną historię, a ty uzupełnisz ją ilustracjami. Jesteś gotowy? Słuchasz uważnie? Był sobie chłopiec...

- Był sobie chłopiec. Miał osiem lat, gęste jasne włosy, zawsze trochę zwichrzone na czubku głowy, jaśniebieskie oczy i długie, chude ramiona i nogi. Mieszkał w dużym domu z ojcem, matką i opiekunką. Ale ona nie była tylko jego opiekunką, była także jego ukochaną. Był gotów zrobić dla niej wszystko, czego zapragnęła, lecz dziewczyna nie kochała go tak, jak on kochał ją. Kochała innego i była gotowa zrobić dla niego wszystko, czego by zapragnął. W gruncie rzeczy był to trójkąt, przy czym każde było uzależnione od drugiej osoby i jej zachowań.

Pod pewnym czasie chłopca ogarnęła zazdrość. Owego dnia, trzydziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, zobaczył tamtych dwoje razem i wcale mu się to nie spodobało. Wpadł w złość. Był inteligentny i bystry, i jak na swój wiek umiał dobrze czytać, aż za dobrze. Tamtego dnia czytał gazetę i zobaczył w niej zdjęcie pewnej dziewczyny oraz artykuł o jej śmierci. I nagle wymyślił rozwiązanie swoich problemów. Przypomniał sobie, że widział już zdjęcie tej dziewczyny i odgadł, kto je zrobił. Zjawił się w naszej piwnicy, chociaż nie powinien był tam przychodzić. Przyszedł wbrew wyraźnemu zakazowi i powiedział mi, że poinformuje policję o zdjęciach, które zrobiłem Lizzie. Widział je, nie wszystkie, ale kilka. Wystarczająco dużo. Był wściekły, płakał i krzyczał. Nie potrafiłem go przekonać, żeby się zamknął.

- Więc go zabiłeś.

- Nie, Chris nie zabił Owena. - Róisín oderwała dłoń brata od swego gardła. Jej spojrzenie było spokojne i zimne. - Ja to zrobiłam. Nie mogłam pozwolić, żeby w jakikolwiek sposób zaszkodził Chrisowi. Nie mogłam. Złapałam go za gardło i ścisnęłam, mocno, mocniej, jeszcze mocniej... Tak, jak Chris zabił Lizzie. I tyle. Owen umarł, a Chris był bezpieczny. To było bardzo proste...

Westchnęła. Oparła się o Chrisa i znowu wzięła go za rękę. Pocałowała skórę po wewnętrznej stronie dłoni. Nick przełknął ślinę. Usiłował się odezwać, ale zupełnie zaschło mu w ustach. Język nie chciał się poruszyć, wargi nie chciały się otworzyć.

- Chris zabił Lizzie... - wykrztusił wreszcie.

- Tak, zabiłem ją. Zrobiłem to tamtego dnia, kiedy wyśmiała mnie w szopie. Przyszedłem do niej, ale ona powiedziała, że mnie nie chce, że świetnie sobie radzi... - Chris zaczął naśladować wysoki, dziewczęcy głos. - Powiedziała, że nie życzy sobie, by jakiś smarkacz kręcił się przy niej, że jestem dla niej za młody. Że mam dopiero trzynaście lat, a ona piętnaście i teraz jest z prawdziwym mężczyzną. Spadaj, powiedziała, daj mi spokój...

- Ale ty jej nie posłuchałeś.

- Nie. Nie mogłem pozwolić, żeby uszło jej to na sucho. Od tygodni pozowała mi do zdjęć, chociaż udawała kompletnie nieświadomą mojej obecności. Oczywiście, dobrze wiedziała, że jestem za oknem, widziała mnie. Zdawała sobie sprawę, że za nią chodzę, że poszedłem za nią i tym razem, kiedy wybrała się na spotkanie z tym swoim prawdziwym mężczyzną... Więc zrobiłem to, co należało zrobić.

- A ja przyglądałam się, jak to robił - odezwała się Róisín. - Poszłam spotkać się z Chrisem i wszystko widziałam. Oboje byliśmy bardzo zdumieni, gdy okazało się to takie łatwe...

Oczy Róisín załśniły, znowu podobne do zielonkawej morskiej wody. Wiatr potrząsnął drewnianą konstrukcją domku. Płomyk świecy zamigotał.

- Było łatwe, bo ją zaskoczyłem. - Chris uśmiechnął się lekko. - Nie spodziewała się tego. Wszystkiego, ale nie tego...

- Wszystkiego, ale nie tego... - powtórzyła Róisín. - Śmiała się z Chrisa, drwiła z niego. Popchnęłam ją, a ona upadła...

- Była pijana, prawda? Piła wódkę z tym swoim prawdziwym mężczyzną. I kiedy Róisín ją popchnęła...

- Lekko, wcale nie mocno.

- Tak, całkiem lekko... Od razu upadła, zupełnie jak taka rosyjska laleczka, która nie może stać prosto, gdy się ją poruszy, taka wańka-wstańka...

- Więc kiedy ją popchnęłam, upadła i wtedy Chris na nią skoczył.

- Tak. I złapałem ją za gardło. Najważniejszy był element zaskoczenia, nie spodziewała się tego...

- Jeszcze chwilę się śmiała, ale później już nie mogła się śmiać.

- Wyszliśmy z tego obronną ręką, prawda, Róisín?

Nikt nigdy się nie domyślił, że to my. Nikt ani przez chwilę nie podejrzewał, że mieliśmy coś wspólnego z jej śmiercią. Przez jakiś czas sądziliśmy, że ktoś w końcu wpadnie na nasz trop, ale nic takiego się nie stało. Wtedy uświadomiliśmy sobie, że wszystko może ujść nam na sucho. Wszystko.

- Ale Owen się dowiedział i zamierzał powiedzieć o tym policji. - Głos Nicka był spokojny.

- No, właśnie, dowiedział się i zamierzał powiedzieć policji. Więc zabiliśmy go, owinęliśmy w koc i ukryli w szafie pod schodami.

- Jednak wcześniej... - Nick znowu z trudem przełknął ślinę. - Wcześniej zrobiłeś mu zdjęcia. Widziałem je.

- Tak, sfotografowaliśmy go. Takie zdjęcia to majątek, są bardzo rzadkie, a co za tym idzie, niezwykle cenne. Wiedziałem o tym. Kiedy przyjechał Metcalfe, powiedziałem mu, że za parę dni będę miał dla niego coś specjalnego. Dałem mu dwie maski i małe zdjęcie Owena, które znalazłem w jego kieszeni. Metcalfe był bardzo zadowolony.

- Metcalfe... Ten, o którym chce rozmawiać ze mną policja, tak? Znałeś go?

- Och, tak, znałem go, i to od dawna. Metcalfe był przyjacielem mojego ojca. No tak... - Chris rzucił Nickowi rozbawione spojrzenie - nic nie wiedziałeś o moim ojcu, co? On był w tych sprawach prawdziwym ekspertem. Nauczył mnie, co robić, prawda, Róisín? To tatuś wprowadził mnie na tę ścieżkę...

Z uśmiechem pokiwała głową. Mocny poryw wiatru zagrzecotał rozpadającymi się okiennicami. Płomyk świecy znowu zamigotał. Nick odchrząknął. Było mu zimno, co chwilę nachodziły go mdłości. Miał dziwne uczucie oderwania od rzeczywistości, zupełnie jakby wychodzące z jego ust słowa wcale nie były jego słowami.

- Więc zabiłeś go i sfotografowałeś - odezwał się. - Zawinąłeś go w koc i schowałeś pod schodami. Co zrobiłeś potem?

- Co zrobiłem, Róisín? Pamiętasz?

Róisín przytaknęła.

- Pamiętam. Kiedy nadszedł wieczór, rozpętała się straszna awantura, bo Owen nie wrócił do domu. Powiedziałeś, że pomożesz go szukać. Nie skłamałeś, po prostu nie powiedziałeś, że wiesz, gdzie on jest. Wyniosłam go z domu do samochodu, który stał za domem. Gdy wróciłeś, zawiozłeś go do domu babci i zgrzebałeś w pojemniku na kompost. Następnego dnia poszliśmy pomóc babci w ogrodzie. Zawsze lubiła, kiedy jesienią porządkowałeś grządki. Siedziałam z nią w domu, piłam herbatę i prezentowałam nowy taniec do mojego recitalu baletowego, a w tym czasie ty przekopałeś warzywną grządkę i pochowałeś tam Owena. I już...

- Liczyłem, że babcia zapisze nam dom w testamencie - wtrącił Chris. - Tymczasem ona zostawiła go szkole, a dyrekcja postanowiła wybudować w ogrodzie kryty basen. Na pewno się domyślasz, co musiałem wtedy zrobić... - Westchnął.

- Dlaczego mówicie mi to wszystko? - Nick się wyprostował. - To ty zabiłeś Marianne, prawda, Chris?

- Ach, tu się mylisz... To był wypadek. No, może nie do końca... - Chris przerwał i na moment odwrócił wzrok. - Marianne nie chciała się ze mną kochać. Próbowала mnie powstrzymać, ale naturalnie ja byłem silniejszy, więc pchnąłem ją na ścianę tunelu i kilka razy walnąłem jej głową o mur, żeby nie krzyczała i się nie szarpała. Potem nie mogła przyjść do siebie, więc położyłem ją na torach i wtedy... I wtedy...

- A mój zegarek? Jakim cudem znalazł się tam mój zegarek?

- Ach, twój zegarek... To było mistrzowskie posunięcie. - Chris podniósł dyskietki z podłogi i podał je Róisín. - Jesteś zbyt ufny, wiesz o tym? Pozwoliłeś, żeby twój mały przyjaciel Emir, biedny niemowa Emir, grzebał w twoich rzeczach. Emir znalazł zegarek i ukradł go, a ja mu go zabrałem. Na początku zamierzałem ci oddać, ale potem uznałem, że warto wykorzystać ten dar losu w inny sposób, prawda, Róisín?

Róisín skinęła głową. Zdjęła świeczkę z parapetu i przytknęła do płomienia najpierw jedną, potem drugą dyskietkę. Kiedy były już szerniałe i częściowo stopione, odłożyła je na podłogę.

- Nauczyłeś go też sztuczek z komputerem? To także twoje dzieło? W jaki sposób skłoniłeś go, żeby pokazał mi te zdjęcia? Zrobiłeś mu coś złego?

Chris się uśmiechnął.

- Ja? Pytasz, czy zrobiłem coś złego Emirowi? Nigdy w życiu! Przekupiłem go, to wszystko. Dałem mu trochę słodyczy, przytulilem, pocałowałem... Emir chce być kochany. Nie ma ojca, więc bezustannie szuka kogoś, kto by go zastąpił. Pracownicy opieki społecznej, psychiatrzy i policjanci nazywają to „ojcostwem zastępczym”, lecz dla mnie była to świetna zabawa. Nasz tata robił z nami to samo. Och, oczywiście nie mówię o komputerze, chyba rozumiesz, że to przyszło później, ale przed komputerami były książki, magazyny, filmy, potem kamery wideo... Łapiesz, o czym mówię, prawda? Takie skłonności i umiejętności przechodzą z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna, tak jak u nas w rodzinie. Przed moim ojcem był jego ojciec, wcześniej najprawdopodobniej to samo robił pradziadek i tak dalej... Właśnie dlatego zdecydowaliśmy się wszystko ci powiedzieć. Prawda, siostrzyczko?

Róisín kiwnęła głową.

- Więc powiedz mu teraz sama, dlaczego to robimy i co jeszcze zamierzamy zrobić.

Odwróciła głowę i spojrzała na Nicka.

- Pozbywamy się ciężaru, który dźwigaliśmy na swoich barkach, to właśnie robimy. Podjęliśmy decyzję. Mamy dosyć. Wyjeżdżamy, a przed wyjazdem zrobimy jedną dobrą rzecz...

- I jakąż to, siostrzyczko?

- Oddamy mu jego zaginionego synka.

- A w zamian? - Nick nachylił się ku Gouldingom. - Czego chcecie w zamian?

- W zamian ty dasz nam trochę czasu. - Chris podniósł się i pomógł wstać dziewczynie. - Wyjeżdżamy.

- Zakołysał się lekko, w prawo i w lewo. - Mam coś dla ciebie... - Bez pośpiechu wyszedł do ogrodu. - Chodź ze mną...

Nick się zawahał.

- No, chodźże! - Chris zachichotał. - Nie skrzywdzę cię, jeżeli tego się obawiasz... Pomysł, żeby skrzywdzić akurat ciebie, wcale mnie nie kręci...

Machnął ręką. Nick wyszedł za nim w ciemność.

- Tutaj... - Chris obszedł domek. O tylną ścianę oparta była łopata z długim trzonkiem. Podniósł ją wysoko, prawie nad głowę, i mocno uderzył ostrzem o ziemię. - Tutaj... - powtórzył. - Musisz kopać tutaj, głęboko. Na pewno go znajdziesz.

Min stała nieruchomo w ciemnej kuchni domu Cassidych. Wcześniej zaproponowała Susan, że zaparzy herbatę.

- Wiem, gdzie co stoi - powiedziała. - Zajmę się tym.

Położyła dłoń na włączniku i nagle ją opuściła. Podeszła do okna. W ogrodzie Gouldingów migotał mały płomyk. Szybko otworzyła drzwi i stanęła na najwyższym stopniu. Dostrzegła poruszającą się niżej postać, usłyszała dźwięk uderzającej o ziemię łopaty. Rytmiczne, równe uderzenia. Zbiegła na trawę, dopadła muru i podskoczyła, palcami rąk i nóg szukając oparcia w szparach między kamieniami. Podciągnęła się i zeskoczyła na drugą stronę. O najniższy schodek drewnianego domu oparta była świeca. W jej świetle Min zobaczyła leżące na ziemi ciało mężczyzny. Jego twarz była zakrwawiona, krew ściekała na trawę i tworzyła ciemną kałużę. Obok piętrzył się niewielki wzgórek świeżo skopanej ziemi. Nick klęczał w wykopanej dziurze i szukał w niej czegoś rękoma.

- Co ty zrobiłeś, Nick? - wyszeptwała Min zmartwiałymi wargami. - Co ty robisz?

Podniósł głowę i popatrzył na nią. Po jego policzkach płynęły łzy. W dłoniach trzymał coś małego, okrągłego.

- Nie podchodź bliżej - powiedział. - Ty też masz dzieci... Nie chcę, żebyś na to patrzyła...

Min zrobiła krok naprzód, jakby chciała zeskoczyć na dno dziury i znaleźć się obok niego.

- Proszę cię... - Znowu na nią spojrział. - Proszę cię, idź po Susan. On potrzebuje teraz matki.

Rozdział trzydziesty pierwszy

To był dziwny widok, te buty, tak porządnie i równo ustawione na brzegu jeziora Glendalough. Członek straży leśnej pochylił się, żeby lepiej im się przyjrzeć. Damskie buty, sznurowane trzewiki. Numer trzydzieści osiem, czarne, ze zgrabnym obcasem.

Podobno ludzie, którzy postanawiają się utopić, zawsze zdejmują buty. Czasami zostawiają na brzegu także ubranie, ale w tym wypadku było inaczej. Jezioro Glendalough jest głębokie i zimne, i niechętnie oddaje swoje zdobycze. Po tygodniu poszukiwania przerwano. Pewnego dnia ciało Róisín Goulding, dręczycielki Lizzie Anderson i morderczyni Owena Cassidy'ego wypłynęło na powierzchnię, pomyślała Min, patrząc, jak jaskrawopomarańczowy ponton wraz z zespołem policyjnych nurków wraca do brzegu. Pewnego dnia tak się stanie i wtedy Róisín dołączy do swego brata, Chrisa. I wreszcie będą nierozdzielni.

Drugi raz pochowali Owena obok matki i ojca Nicka. Nick zaprojektował prosty nagrobek - gładką płytę z piaskowca, z wrytym imieniem, rokiem urodzenia i rokiem śmierci. Nick i Susan codziennie odwiedzali grób syna. Wiosną i latem przynosili mu kwiaty. Znowu byli parą. Trochę to trwało, ale w końcu oboje zrozumieli, że niezależnie od tego, co wydarzyło się w przeszłości, w przyszłość muszą wyruszyć razem. Zwykle przychodzili do syna razem, trzymając się za ręce, lecz po pewnym czasie, gdy ciąża Susan stawała się coraz bardziej zaawansowana, Nick zaczął przychodzić sam. Nie na długo, ale przynajmniej na chwilę, żeby powiedzieć Owenowi, co dzieje się w domu. Jak czuje się jego matka. Jak oboje nie mogą się doczekać dnia narodzin dziecka. I że to dziecko nigdy nie zajmie w ich sercach miejsca Owena, ale da im nadzieję na przyszłość.

- Lisica odeszła z ogrodu - powiedział synowi. - Ostatnio w pobliżu kręciło się dużo ludzi, więc widać uznała, że może to być niebezpieczne dla jej szczeniąt. Letniego domku też już nie ma, lecz nie martw się, znajdzie nowe legowisko dla następnych lisków... Na pewno, nie musisz się niepokoić.

Czasami Min przejeżdża przez plac i mija dom Cassidych. Zwalnia, ale się nie zatrzymuje. Nie puka do drzwi, nie wchodzi do środka. Widziała w gazecie zawiadomienie o narodzinach dziecka Cassidych i bardzo się ucieszyła. Jej chłopcy nie czytają już opowieści o Synu gwiazd. Można powiedzieć, że wyrosli z niej i poszli dalej. Min także.

Będzie świadkiem na procesie Nicka Cassidy. Jej koledzy często się zastanawiają, jaki wyrok dostanie Nick za zabójstwo Chrisa Gouldinga. Min uważa, że będzie to wyrok w zawieszeniu i że Nick świetnie sprosta warunkom zawieszenia. Będzie się dobrze zachowywał, zgłosi gotowość prowadzenia zajęć w więziennej szkole i za parę lat prokuratura uzna, że odbył karę. I będzie po wszystkim.

Jednak czasami, w porze psa i wilka, Min wydaje się, że kątem oka dostrzega gdzieś znajomą postać, dziewczynę o drobnym ciele, bardzo jasnych, prawie białych włosach i martwych, zielonych oczach. I wtedy się zastanawia, czy aby na pewno buty na brzegu jeziora oznaczały to, co założyła policja. Uważaj, powtarza sobie. Uważaj.